

DZWONEK.

P I S M O D L A L U D U .

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom V.



Biblioteka Jagiellońska

1001849039

LWÓW,

Druk i nakład E. Winiarza.

1861.



122
1702
5 (1861)

0. 122. 1702. 5



SPIS RZECZY

zawartych w tomie V.

I. Żywoty Świątych, legendy i rozmaite historie święte:

	<i>stronica:</i>
Sprawiedliwość boża, przez ks. Wojciecha z Medyki	1
Miłość ojczyzny, przez Grzesia z Mogiły	17
Śty Jan z Dukli, przez ks. Wojciecha z Medyki	33
Matka Boska zielna	65
Szczęśliwy człowiek (Gw. C.)	113
Święty Jan Kanty, przez ks. Wojciecha z Medyki	160
Najświętsza panna i pachole, przez tegoż	177
Św. Marcin, rycerz i biskup	209
Bądź miłosierny! przez ks. Wojciecha z mogiły	273

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historii polskiej:

Nieszczęsne spotkanie, przez Szymona Bruzdę	5
Kara boża, przez R. z W.	14
Wieczorna gawęda Grzesia z Mogiły	20
Sąd na żyda mielnika a wyrok Boży na starostę, spisał Paweł z Uścia	37, 54
Zygmunnt III., król polski, przez Grzesia z Mogiły.	
I. Kłopot z Niemcami	49
II. Dalsze sprawy	81
III. Nielad w domu	97
IV. Stanisław Żółkiewski, pogromca moskiewski	129
V. Wojna z Turkiem i śmierć dwu hetmanów	146
Ślepy dziad, przez ks. Wojciecha z Medyki	68
Kasper Karliński, przez Grzesia z Mogiły	85
Jakto sobie trzeba z dziećmi postępować, przez Ludkę z Myślenic	100
Pożar w Maksymowicach pod Krakowem, opowiedział Paweł z Uścia (Świdzki)	105
Żli sąsiedzi, przez ks. Wojciecha z Medyki	115
Lekarstwo na upor i nieco o żydach, opowiedział Paweł z Uścia	133
Wdzięczny chłopiec, przez ks. Wojciecha z Medyki	152
Historja o sierocie Bogu-milej (przedruk)	168, 181
Władysław czwarty, król polski	194
Jak się pijanica Bartek za życia dostał do sieni piekielnej, przez Tworzymira	198
O Tatarach w Polsce, przez ks. Wojciecha z Medyki	202
Jacy byli mój nieboszyk pan ojciec i co opowiadali o panu Kościuszcze, przez Pawła z Uścia	213
Jan Kazimierz, król polski, przez Grzesia z Mogiły.	
I. Bunty kozackie	225
II. Napaść szwedzka i obrona Częstochowy	241
III. Stefan Czarniecki, bicz na wrogów	257
Dwie siostrzyczki, przez ks. Wojciecha z Medyki	231
Nie ukryje się sztydło w worku (Kmiotek)	248
Cztery pogrzeby przez B. E.	263, 278

III. Wiersze:

	<i>stronica :</i>
Śpiewka pastuszki, przez Grzesia z Mogily	4
Najpiękniejsza dziewczyna, przez T. Lenartowicza	18
Pieśń o św. Janie z Dukli, przez ks. Wojciecha z Medyki	36
Miła nam Polska! przez Sebastjana z Sulmierzyce	53
Sierota, złożył Rusin z Wigckowie	67
Co Jaś Zosi opowiadał o bitwie pod Dubienką, złożył Grześ z Mogily	81
Pieśń o św. Patronach polskich (Przyj. Ind.)	100
Pogorzelec, złożył Grześ z Mogily	115
Pieśń do Pana Boga, z okazji ucisków, jakie się dzieją w Warszawie, złożył Ignacy Ślusarczyk	132
Prostak wiejski, złożył St. Witwicki	150
Pieśń do św. Jana Kantego złożył ks. Wojciech z Medyki	167
O naszej ziemi świętej, (przedruk)	180
O chlebie zamienionym w kamień	196
Z Bogiem! złożył Józef z Bochni	212
Na dzień świąteczny, złożył Jacenty z Magierowa	230
Śpiewka (przedruk)	248
Szturm do Stawiszcz	262
Kołęda, przez ks. Wojciecha z Medyki	277

IV. Piękne przykłady:

Czytelnia w Myślenicach	42
Obrzynek w Siedliszowicach, list Wojciecha z Opatowca	137
List Marcina Grzędy do Grzesia z Mogily	218

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki:

Jakie to były wsie naszych pradziadów	12
O małżeństwie, słów kilka	45
Rady gospodarskie, o chudobie	59, 76
Rady gospodarskie	91, 286
Dziady a żebraki, przez R. z W.	93
Jakto sobie radzić, żeby szkody od ognia nie było, przez Grzesia z Mogily	109, 122
Jak zrobić z dzikiej ziemi urodzajną rolę	140, 158
Pogadanka w Wąwrowicach. Oszkłach powiększających, przez Pawła z Uścia	237, 252
Prawdy pospodarskie	270

VI. Różności:

Nowe plotki i ich skutki	16	Pocziwe i pobożne dziewczątka	160
Szarańcza; — Kometa	31	Świeże czytelnie	175
Grady i nawałnice	32	Jan Sobieski, król polski pod Wie-	175
Trafiła kosa na kamień	32	dnem	175
Tęgi parobek	62	Człowiek strzela, pan Bóg kule nosi	176
Największe bogactwo Matki	63	Pocziwe psisko	176
Chory na krew	63	Jakim sposobem można z lata aż na	190
Poprawka	64	zimę jaja przechować	190
Jakto generał Garibaldi wyratował je-	79	Mrówki	191
den statek na morzu	79	Jak ratować zmarzniętego	192
Smutna historia z ukrytem srebrem	96	Wrony	192
Kmiotek polski w Rzymie u Ojca	111	Rozmaite przykłady	207
świętego	111	Żelazna kolej	222
Złodziejska sztuczka	126	Zabobon moskiewski	223
Skrzydlate parobki	127	Które zwierze najpodobniejsze do czło-	223
Czytelnia w Podkamieniu	128	wieka	223
Gorliwy pszczelarz	128	Pożary	240
Nie porzucaj dawnych ubiorów	143	O zacnej pani i o dziewczętach w Wit-	254
Jaszczółd, stary utor	144	kowicach	254
Ignacy Ślusarczyk	160	Piękna ryba	256

VII. Dawne przysłowia i przypowieści:



1. Lipca.

1861.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

DZWIŃKI

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sprawiedliwość boża.

Słodki nasz pan Jezus ma wielu Aniołów na swoje usługi; więc gdy chce ludziom oznajmić wesołą lub smutną nowinę, to wyznacza Aniołów jako posłów, i daje im rozkaz, aby szli na ziemię i ludziom wolę Jego objawiali.

Owóż raz trafiło się, że się ludzie bardzo rozbrykali: chlebuś święty poniewierali, zmiatając okruszynki na ziemię i deptając po nich; u niejednego gospodarza walały się kawałki chleba w komorze po ziemi i kwitły, a dla dziada nie było jałmużny, bo się gospodarzowi nie chciało pójść do komory, bo jako syty nie wierzył głodnemu. Tak też i wszyscy ludzie nie wiedzieli już zgoła co robić z chlebusem; marnowali go, przepijali, i nawet bydłom do żłobu kładli, i nikt ani myślał iść na zarobek do dworu, do księdza, lub drugiego gospodarza!

Tak to zwykle wydziwiają ludziska, gdy skrzynia i kaleta pełna; a pan Jezus jako jest miłosiernym, tak też i sprawiedliwym być umie. Więc gdy już dużo tego złego było na ziemi a pan Jezus nie mógł się doczekać poprawy, zwołał swoich Aniołów, i tak do nich rzecze:

— Anieli święci, pójdziecie na ziemię, ale z bardzo smutną nowiną! Oto ludzie grzeszą straszliwie, więc oznajmiecie im karę moją, powiadając, że odtąd ujmę im wszystkiego! —

Usłyszawszy to niebiescy posłańcy padli na oblicze i zapłakali; im żal tych ludzi, którzy grzeszą, jak znowu cieszą się nad grzesznikiem, który czyni pokutę. I tak zapłakani opuszczali niebo, a Najświętsza Panna widząc ich zafrasowała się mocno ludzką niedolą.

Jakoż co rychlej poszła przed tron p. Jezusa, i prosiła za grzesznymi ludźmi mówiąc:

— Przecież tam nie wszyscy są źli, i nie wszyscy też bogaci; są tam może i miękkiego serca ludzie i biedacy, którzy by nie śmieli deptać chlebusia i tak go marnować! Przecież tam musi ktoś także zarabiać i pracować! Zmiłuj się mój Synaczkę nad temi przynajmniej!

A pan Jezus miłosierny rzecze do Najświętszej Panny:

— Idź matko z temi Aniołami na ziemię i szukaj tam dobrych ludzi, a jeżeli są tacy, to ich kara moja minie.

Uradowana tem Najświętsza Panna zeszyła z nieba na ziemię za Aniołami bożemi i tak mówiła:

— Święci Anieli! prowadźcie mię do chałup, gdzie są dobrzy i pobożni ludzie; ja tam chcę zostawić błogosławieństwo moje.

A Aniołowie schylili głowy ku ziemi i z płaczem odpowiedzieli:

— Nie ma teraz ludzi dobrych i pobożnych! Mają oni książki do nabożeństwa i modlą się, ale nie mają serca; stawiają figury i kapliczki, robią czasem ofiary do domu bożego, ale to na to, aby ich drudzy widzieli i o tem głośno gadali; schodzą się do kościoła, ale się kłóca, gniewają, cyganią, i brat brata zabija.

A Najświętsza Panna rzecze:

— Wszakże tym ludziom nie nie brakuje, jak widzę mają wszystkiego nadto. O, gdyby byli lepszemi, jakżebym ja się tem cieszyła i mój Syn w niebie!

A święci Anieli zapłakani mówili sobie:

— Ci ludzie mają od pana Jezusa taką ziemię, zdrowe powietrze, zdrowe wody, lasy, chleb i tyle bogactwa w tej ziemi, mają takie śliczne kościoły, mają kapłanów, mają naukę z nieba od samego Syna Bożego i święte sakramenta: a przecież nie słuchają pana Jezusa i robią tyle złego!

I naonczas Najświętsza Panna, kiedy już nie można było znaleźć na wsi dobrych ludzi, kazała się zaprowadzić na pole. A tam było żytko jak las gęste, pszeniczka jak łożyna wysoka, a owsik stał jak kądziele, i były kłosa jak kukielki żółte, a ziarnek byś nie przeliczył i za sto lat na jednej chłopskiej roli. W ogrodach kwitły kartofle, kapusta składała się na głowy jak dzbanki, a jabłonie, gruszki i śliwki aż się gięły ku ziemi pod sadowiną. Anieli święci ciągle płakali, a Najświętsza Panna pytała ich:

— Czegóż płaczecie! Na ten rok wystarczy tym ludziom, a my, jak wrócimy do nieba, to będziemy wszysey prosić pana Jezusa miłosiernego, aby zmienił karę dla tych ludzi.

Na to rzeką Anieli:

— My kochamy i złych ludzi, choć z daleka od nich stoimy, abyśmy naszej niebieskiej sukienki nie zwalali; my się modlimy i za nich, i już prosiliśmy Pana Jezusa od kilku lat, i czekał Synaczek Twój niebieski poprawy, ale teraz skoro my tu na ziemię posłani, już musimy rozkaz boży ogłosić i kara nastąpi.

A Panna Najświętsza mówiła:

— Ano, prosimy jeszcze tu na ziemi za temi grzesznikami!

Wtedy razem Aniołowie uklękli i zawołali:

— Boże, daruj tym grzesznym! A jeżeli Twój wyrok spadnie, to choć połowę kary daruj tym ludziom!

I w tej chwili jękała ziemia i zahuczało coś na niebie. Ludzie słyszeli to i potruchleli, a owóz odtąd zaczęły gnić ziemniaki na polu, i nikt ich już ani połowy nie zbiera. I nie mają odtąd ludzie ani połowy tego bydełka, co dawniej bywało, bo zawsze im pan Jezus zabiera potrosze. Odtąd nie mają ludzie majątków, i nie mogą się dorobić, chociaż i pańszczyzna ustała; odtąd bywają pomorki, cholera i inne słabości, i dużo wszelakiej biedy zagościło na ziemię od onego czasu.

Płacząc wrócili Anieli i Najświętsza Panna do nieba, a z ich łez padał deszczyk na naszą ziemię; lecz pan Jezus sprawiedliwy zamieniał te łzy na grad dla złych, a na rosę dla poprawionych. A na tem miejscu, gdzie Matka święta i Aniołowie klęczeli i modlili się, tam wytrysnęła cudowna studzienka. W tej wodzie myją się różni ludzie, ale złym i niepoprawionym nie ta cudowna woda nie pomoże: ani ich domu nie uchroni od złego, ani spokoju im nie da, ani chleba nie przysporzy, ani nie da urodzaju, choćby nią całe pole swoje pokropili — zaś dobrym, pobożnym i poprawionym, to ona pomaga i daje błogosławieństwo.

I proszą Anieli dotąd za nami w Niebie, prosi tam i Najświętsza Panna, aby nam pan Jezus podarował winy i wrócił dawne dobre czasy: ale widać Syn Boży sprawiedliwy nie zmienia, jeno czeka naszej poprawy. Czeką, abyśmy się już nie gniewali jeden na drugiego, ani pan na chłopą, ani chłop na pana czy na księdza; czeka, abyśmy jeden drugiemu wierzyli, i pan chłopom, i chłopom księdzu i panom; czeka, abyśmy się kochali wspólnie, tak, jak nas kochają Anieli i Najświętsza Panna i święci nasi Patronowie i sam on Jezus słodki i miłosierny.

Ks. Wojciech z Medyki.

Śpiewka pastuszkii.

Hej woły, hej krasne woły moje,
Paście się, paście razem po zielonej górze;
Słoneczko, hej słoneczko ty moje,
Nie budź mię, kiedy oczka, czarne oczka zmruję.

Wiatery lasem powiewa,
Trawa słodko wonieje,
Niebo śpiewem rozbrzmiewa
I do ptaszków się śmieje —
A mnie senność tuli czarne oczy,
Tuli czarne oczy.

Zasnęła, hej uspiły ją ziola;
Sen złoty, złota jej się przysniła obrączka,
I wieniec z rutki złotej do koła,
I czyjaś miła rączka, Jasia miła rączka.

Ciepło idzie po twarzy,
Usta śmieją się we śnie,
A serduszko coś marzy
I puknęło zawcześnie --
Puknęło, i zbudziło niebogę,
Zbudziło niebogę.

— Hej woły, hej gdzieście woły moje! —
I rączką czarne oczka, hej oczka przeciera;
— Słoneczko, hej gdzieżeś słonko moje! —
A złote słonko z boku, hej z boku poziera.

— Idę woły za wami,
Darmo rzucam oczyma,
Wyszedł miesiąc z gwiazdami,
A was nie ma i nie ma —
Zapłakała, a Jaś woły prowadzi,
Jaś woły prowadzi!

Grzes z Mogiły.

Nieszczęsne spotkanie.

Niejeden z was moi bracia co to czytać będziecie, trudnił się furmanką, a wszyscy pewnie znacie dobrze furmanów i wiecie, jakich się oni brzydkich spraw często dopuszczają. Furman z profesji jeździ po wódkę, po wino, żelazo i inne towary; sąsiedzi powiadają o nim że się ma dobrze i chwają go, aleć to najczęściej dlatego że sami furmanią, z wielkiego niby rozumu jeżdżąc ciągle po świecie, i mając do czynienia z różnymi ludźmi.

Aleć ja stary, niedzisiejszy, słyszałem już niejedno o furmanach i ich brzydkich sprawkach, i wiem, że nie najlepiej wychodzą oni z tym swoim rozumem. Na nich to daje pan Bóg ludziom najczęściej żywą naukę, jakto cudzą krzywdą nie zбоgaci się człek nigdy, ale zawsze traci wszystko to co nabył ze szkodą bliźniego, a często też i na własnem szkoduje.

Stać cię na to, dlaczego nie, możesz furmanić, możesz zarabiać ucziwie na chleb, a jak ci pan Jezus poszczęści, toć i uskładasz jakiś grosz z tej furmanki. Lecz powiadam: ucziwie, a nie oszukanym sposobem i z krzywdą bliźniego. A moi ludzie, nieraz to bywa z krzywdą bliźniego, boć wiecie, jak to postępują sobie ci furmani co jeżdżą z winem lub wódką, jako oszukują, fałszują, rozpijają się, a często gęsto wszystko co mają, tracą. Bywa tam że furman naciągnie wina lub wódki w drodze, sam pije, drugich częstuje, a resztę sprzedaje napół darmo, albo przywozi do domu. O, wtenczas kto nie chce to pije, i sprasza sąsiadów, kumoszki i kumotrów. A są ci też takie wsie gdzie każdy prawie furmani i każdy kradnie, a potem wszysey piją. I wtedy to patrzcie bracia: cała wieś niby jedna karczma, niby jeden szynk! — Otóż przy takich furmankach trafiają się nieraz różne dziwne wypadki. Bywa czasem że furman z domu dwoma końmi ruszy a o jednym wraca, bo mu kupiec wziął drugiego za skradziony towar. Nieraz spitemu chudobę ukradną, albo cały zarobek z trzosa, że potem zamiast zyskać to dokładać musi. Lecz cóż tam, stracić wóz, albo konie, albo też kilkanaście lub kilkadziesiąt reńskich; prawda, że szkoda; ale tracić człowieka, to już rzecz inna, bo cóż to droższego nad nasze zdrowie i życie? A owo przecież słyszałem od ludzi, jako przy takiej furmańskiej sprawie i człowiek życie stracił!

Posłuchajcież łaskawie, to powtórzę wam jak to było.

Szedł z Tarnowa do domu chłopak młody, chwacki, urlopnik, a do tego ułan; a szedł rażno jakgdyby go co gnało. Oj, gnała go miłość matki, onej wsi i onej strzechy pod którą się urodził, boć to mówią przecie: wszędzie dobrze a doma najlepiej. Spieszyło mu się; chciał on jak najprędzej ujrzeć swą matkę, której siedm lat nie widział, swoich krewnych i jeszcze kogoś, ot co wam nie trzeba i mówić, a pewnie się domyślicie. Pędziła go też i radość, boć przez siedm lat jeździł on z piką i z pałaszem, i codzien wedle konia i wedle siebie nie mało miał pracy żeby się pokazać jak kazano — a teraz puścili go na wolność, i pozwolili mu iść i robić co mu się podoba. Przez siedm lat pędzili go razem z wojskiem po różnych stronach, z jednego kąta do drugiego, a teraz pozwolili mu usiąść na

wsi spokojnie! Więc mogła też owa miłość i radość przysparzać mu drogi.

Jakoż idzie, idzie, i choć już pięć mil upalił jak z bieżącej trzask, jednak mu zawsze jakoś lekko i dobrze, i wesół jak dziecko.

Jeszcze miał z ćwierć mili do onej wsi, do której zdążył; przeszedł już ostatnią górkę i zobaczył całe sioło, kościół, plebania i dwór, i serce mu się poczęło radować. Spojrzy na dół i zobaczył fury — ot znajome bryki, pokryte szarem płótnem; coś ciężkiego znać wieżą, bo powoli idą, ale co w nich takiego? niewiele on na to zważa, jeno pospiesza naprzód wesoło. Podchodzi do onych bryk i widzi: obok idzie furman, młody parobek, idzie sobie i przygwizduje; więc nie odezwał się do niego Franek, ale idzie dalej, i przy drugiej bryce spotyka starego furmana, co sobie wolno postępował z tyłu za bryką.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — i uchylił nieco swojej ułańskiej czapki.

Aleć skoro tylko spojrzął na Franka on brykarz, odpowiadając mu prędko: — Na wieki wieków — takei zaraz się poznali, spojrzawszy na siebie. I nuż się witać.

— A jak się masz Franusiu, a toć przecie do nas wracasz, jużesmy myśleli, że do nas nie powrócisz. — I dalejże się ścisnąć i całować od serca.

Teraz Franek począł się o różne rzeczy rozpytywać onego furmana, który był jak się domyślacie, z tej samej wsi, a nawet jego krewniak po matce:

— Co tam słyhać we wsi? jak się matusia mają, czy zdrowi? — Bo że żyją, to o tem wiedział, gdyż pisywali do siebie, ale jakoś ku końcu już dawno nie miał listu od nich.

Już się zaczęło ściemniać; Maciej furman zwolna jechał a Frankowi spieszno, ale go Maciej zatrzymuje:

— Poczekaj Franusiu, niedaleko do karczmy, to staniemy, i napijemy się; jakoby to było, tak my się już długo nie widzieli! —

Franek dał się namówić; został i gadu, gadu, to o tem to o owem, dosyć, że nadciągnęli do karczmy, co stała przy drodze wielka i murowana.

— Chou! Chou! — Stanęli, i już się jakoś nie chciało dojechać do swojej chałupy, boć to Maciej mieszkał aż na końcu wsi, wedle młyna Łazarzowego.

Jak jeno stanęli, zaraz ci Maciej woła na żyda o wódkę, tylko o tę lepszą z anyżem; bo onby też chciał miłego Franka uraczyć. Żyd się rażno zawinął, przyniósł wódki, wypili oba po jednemu. Maciej dał i swojemu parobkowi, któremu potem kazał iść do chałupy, a sam dalej-że z Frankiem po drugim i trzecim półkwatku, i tak się jakoś rozochočili, aż Franek na śmierć zapomniał, że to już niedaleko do matezynej chałupy — jeno tyle wiedział, że jest między swoimi.

Gdy tak piją i gadają, furman Maciej wstaje i rzeknie do Franka:

— Franuś, siedźno tu, ja cię czem lepszem poczęstuję! — I wyszedł stary do sieni, a że to było już dobrze ciemno, wlażł do wozu i nuż koło beczki majstrować. A był on nielada majster w tem swoim rzemiośle, że tak rzekę, złodziejskiem. Nasączył z kufy okowity do garnka, co stał w putni wiszącej u wozu, ale wstydził się iść do izby z tym garnkiem; zawołał więc Franka do siebie, i dalej-że złopać tę wódkę, skoro ją trochę wodą rozchlapali. A że sobie byli dobrze podpili, takei już nie mieli wiele smaku w gębie, więc pili taką mocną jak przedtem, a nawet jeszcze mocniejszą. I tak z onej wielkiej radości tak się pobałamucili, że już ledwo na nogach stali; najbardziej zaś był ci Franek skutny, a przytem strasznie go coś paliło we wnętrzu.

I owóz po wielkiej radości bardzo smutno miało się skończyć to nieszczęsne spotkanie!

Franek chciał już wyruszyć do chałupy swojej matki, lecz nogi go nie chciały słuchać; więc też uszedłszy kilka kroków, padł niedaleko karczmy do rowu. Leżał tam jakąś chwilę spokojnie, lecz niezadługo, jak pocznie w onym rowie boruczeć nieprzymierzając jak niedźwiedź, to aż mrowie przechodziło, boć przytem rzucał się, targał koszulę na sobie i strasznie się zapienił. Okropnie ten człowiek wyglądał wonezas; aż nie miło było patrzeć, a tu nie ustaje ono borukanie; i jak gdyby w niego z dziesięć biesów wlażło, tak nim wciąż szamoce.

Kiedy Franek tak w tym rowie leży i jęczy, nadchodzi na szczęście gospodarz Bartłomiej. Usłyszawszy takie boruczenie w rowie, stanął, słucho, myśli sobie: — Ot pijaczyna jakiś — a jako był człowiek miękki, z dobrem sercem, więc żal mu się zrobiło, że to jakiś człowiek leży, nieprzymierzając jak bydle w błocie, a do tego tak sobą rzuca i przyodziewę targa na sobie. Tak też nie wiele myśląc zawołał z pobliza drugiego i trzeciego gospodarza; zabrali się do niego, i wyciągli go z tej fosy na suchą drogę.

— Lecz cóż z nim zrobić? Trzeba go zanieść do karczmy — mówią między sobą gospodarze. Jakoż przynieśli go do izby do karczmy, i położyli na ławie.

Mówi jeden: — To jakiś urlopnik.

Drugi: — A juści urlopnik, i jeszcze ułan. Trzebaby go czem obetrzeć, bo strasznie skalany na gębie.

Wyjmuje Stanisław jakąś chuścinę z zanadrza, a obtarłszy mu twarz krzyknie:

— Patrzcie! czyto nie Franek Skiba?

Przypatrują mu się tamci i mówią:

— A prawda, Franek, a cóż on tu robi? a gdzie on się tak spł? — Było jeszcze kilkoro ludzi w karczmie, parobków i chłopaków, więc Szymon gospodarz mówi do parobków:

— Zanieście go do matki! Jeden i drugi się upiera, żeć to powalany, a do tego tak sobą rzuca; ale Bartłomiej, którego we wsi się i bano, bo był podwójcim, kazał, więc go trzech parobków wzięło i zanieśli do chałupy do matki, a Bartłomiej poszedł za nimi — reszta zaś porozchodziła się do domu.

Skoro go przynieśli do chałupy Frankowej matki, tak tu dopiero opowiedział Bartłomiej matce jego, gdzie go znaleźli.

Nieszczęśliwa matka rzuciła się na niego, i jęła go całować z wielkim płaczem i krzykiem. Ale Franek nie przywitał matki, boć leżał jak bez duszy — tylko czasami rzucał się, pieniąc się przytem strasznie.

— Ratunku, ratunku! — poczęła wołać Skibina. — Oj cóż ja też pocnę, moj Franuś najukochańszy! — I tak już biedne babsko zawodziło, iż się zgoła zdawało, że skończy od wielkiego żalu.

Na on krzyk Skibiny zeszło się znowu kilkoro ludzi, i jakto na wsi, jeden to drugi owo rai. — Mówią że się w nim zapaliło, to najlepiej dać mu ciepłego mleka — prosto od krowy.

Dobrzy ludziska cheieli pomódcz biednej kobiecie, i niezadługo przynieśli prosto wydojonego mleka, i poczęli mu wlewać w gardło. Czasami zdawało się, że Franek przychodzi do siebie, aleć wnet zaczynał znowu okropnie jęczeć i rękami i nogami machać, a strasznie się przytem pienił.

I taki to trwało dość długo, późno w noc. Mleko nie pomagało. Ludzie się porozchodzili, ucichło też nieco to borukanie Frankowe, tylko biedna Skibina zawodzi a zawodzi i tłucze głową od wielkiego żalu. Pocziwy Bartłomiej nie opuszczał biednej wdowy, choć już wszysey się porozchodzili, ale czuwał i co mógł to jeszcze robił — lecz w końcu i on usiadł na ławie, gdy się Franek uciszył.

Po chwili wstaje Bartłomiej, idzie zwolna ku Frankowi, przysuwa się, słuha: ucichł, ale nawet już nie słyhać żeby oddychał. Pocziwy Bartłomiej stanął, gdyby wryty na miejscu, ogień na niego wystąpiły, żal mu wielki ścisnął serce i łzy stanęły w oczach i mimowolnie wykrzyknął:

— Już po nim! —

Ale tak strasznie jęknął, że i biedna Skibina, która się zdrzemnęła na nalepie, zawołała zrywając się jak szalona:

— Franuś, moje drogie dziecko! —

A Bartłomiej dokończył: — Już nie żyje! —

Strapiona i już od zmysłów odchodząca Skibina, rzuciła się na zimne ciało syna swego; poczęła nim trząść, chciała go do życia przyprowadzić, lecz Bartłomiej rzecze jej:

— Przestańcie matko, już go nie wskrzesicie!

Moi ludzie! co się w onej chwili okropnej działo w izbinie, ja stary, niewymowny, wypowiedzieć tego nie mogę; nie mam słów, bym mógł tak wystawić to, co cierpiała matka, i co z sobą biedna robiła. Trzeba to było wam samym być świadkami tych okropności, tego ogromnego nieszczęścia!

Dopiero co chłopak młody, dorodny, zdrowy, pomoc i nadzieja cała przyszła starej, biednej matki. — a teraz oto samocheąc zimny trup na łożu! Działo się to w dzień sobotny; w niedzielę

z południa zanieśli ciało jego do kostnicy, a na trzeci dzień na wieczny odpoczynek. Jedni żalowali i kiwali głowami, mówiąc: — Szkoda go. — Drudzy mileżąco, z oczami w dół spuszczone mi postępowali za trumną.

Pomyślcie sobie teraz sami, co za zbrodnię popełnił ten furman! Najprzód złodziej, bo brał cudzą rzecz; dalej pijak, boć się sam upił jak nieczłowiek i drugich spoił; a w końcu zabójca człowieka młodego i starej kobiety, która niedługo potem już żyła, straciwszy syna jedyne go.

Oj kiedyż to moi bracia nie będzie takich zbrodni na świecie!? Kiedyż to tylko na uczeiwy zarobek będziecie się ludzie oglądać, nie na żadne oszukaństwo; kiedyż to sprawiedliwa praca zasiędzie po chatach ludzkich, jako prawdziwa przyjaciółka i opiekunka?!

Kto tylko jednego złego się dopuści, za tym powlecze się zaraz sto innych grzechów, jak-by straszliwy ogon jadowitej zmyji. Mały grzech, mała krzywda na pozór, zaprowadzi cię często człeku tam, gdzie już niepowrota do cnoty i do szczęśliwości niebieskiej. A ileż to jeszcze między nami grzechów, nałogów, zdrad i oszukaństw! Daleko nam jeszcze do tego byśmy mieli sumienie czyste w obec Boga, nie zmaczone żadnym brudem, jeno przejrzyste jak źródło górskiej krynicznej wody! A kiedyż to stanie się ta poprawa między ludźmi? O, moi bracia, nie widzę ja teraz tej poprawy dużo, i słusznie, jeśli nas Pan Bóg coraz sroższymi karami dotykać będzie, bo z dnia na dzień coraz bardziej zasługujemy na to.

Ja, wasz brat, płacząc życzę wam z całego serca wszystkiego dobrego, i dla pomiarkowania się piszę wam te słowa. Wy zaś nie gniewajcie się, bo kto komu dobrze życzy, to mu prawdę mówi. Panu Bogu was oddaję.

Szymon Bruzda.

Jakie to były wsie naszych pradziadów.

Bóg jeden raczy wiedzieć, jak też dawne są wsie na naszej polskiej ziemi; wybudowali je nasi praojcowie przed wieki, a niejedna wieś pamięta jeszcze te czasy, kiedy przodkowie nasi czcili bożków pogańskich, kiedy jeszcze nie znali światła wiary chrześcijańskiej.

Gdzie dzisiaj wieś leży, tam były przed wieki pustki, stepy, ciemne lasy, błota, puszcze, a w nich zwierz gruby: łosie, żubry, tury, niedźwiedzie, rysie, dziki, wilki, bobry. Narodu było mało. Kiedy się zebrała gromadka ludzi, to wyszukała sobie najdogodniejsze miejsce dla siebie i bydła, wybudowała sobie chaty nad wodą przy dolinie, i w zaciszy pod lasem. Kilkanaście chatek stanowiły osadę, czyli wieś. W koło doliny nad łąką wybudowali z czasem praojcowie nasi więcej takich chatek drewnianych, pokrytych strzechą ze słomy. Budowali się dlatego nad rzeką albo strugą, żeby mieli wodę dla siebie i bydła, a w dolinie, żeby bydło miało trawę, a pszczoły kwiaty na łąkach. Od ciężkich zamieci śnieżnych, srogich wiatrów i słaty, zasłaniały ich bliskie lasy, rosochate dęby, stare lipy i olchy. Na tych drzewach gnieździły się bociany, co były jakoby stróżami wsi.

Żeby się zabezpieczyć od okrutnego zwierza i od napaści nieprzyjaciół, zwykle mieszkańcy okopywali osadę swą wałami i groblami. Bywało wtenczas morowe powietrze, więc trafiało się nieraz że cała osada wymarła. Zaś wierzyli przodkowie nasi w tych pogańskich czasach, że się uchronią od morowej zarazy kiedy każą dwom braciom bliźniętom we dwa woły bliźniaki oborać całą osadę. To oboranie znaczyło granicę wsi.

Owóz taką wsią rządził starsi wiekiem z gromady i doświadczeni; schodzili się oni razem i radzili, kiedy była jaka potrzeba. Starcy też sądzili sprawy między pojedynczymi mieszkańcami. Jeżeli do takiej osady przyszedł gość podróżny, to każdy gościnnie do siebie go zapraszał, bo mawiali nasi pradziadkowie: — Gość w dom, Bóg w dom. Częstowali go chlebem, solą i dobrą wolą; wystawiali mu mięsiwo i miód i mówili:

— Tem rada chata, czem jest bogata; albo też mówili:— Pożywajcie gościu co Bóg dał.

Najstarszego we wsi nazywali *hospodynem*, to jak gospodarzem czyli panem. W roli razem wszyscy pracowali; zbiórka też wszyscy się dzielili po równości. Wszyscy nazywali się kmięciami albo kmiotkami. Kiedy wróg wpadł do kraju i zasiew w polu niszczył, bydło zabierał, wsie palił, ludzi mordował: wtedy każdy co miał zdrowe ręce, chwycił kawałek żelaza lub pałkę, i biegł na wojnę. Ażeby zaś drugim dać znak, że wróg nadciąga, zapalali ustawione na wzgórzach wiechy na wysokich źerdziach, co się wiecami nazywały.

Z takich to starodawnych osad powstały wsie nasze. Lecz osad tych nie było jeszcze i tyle, ile dziś jest wsi. Każda osada, jakby pustkowie, stała gdzieś tam między lasami i polami, ukryta była jak ptasze gniazdo w krzewinie. Dróg tam w owe czasy nie było od wsi do wsi; ludzie kierowali się w dzień według słońca, a w nocy po gwiazdach. Po słońcu i po gwiazdach miarkowali kiedy południe a kiedy północ; znali na niebie baby, furmany, kośniki i inne gwiazdy.

Dużo to od tych starenkich czasów zmieniło się po wsiach, aleć dużo też i zostało w zwyczajach ludzkich, bo trudno człowiekowi odwykać od tego, do czego go z młodu ojcowie wprawili. Zmienić musiało się dużo, boć i czasy się zmieniły; a jak byś ty człowieku na czasy nie dbał i nie postępował według nich w rozumie i pracy: tobyś był jak on pień drzewa na polu do ziemi wrosły, co się nie posuwa czy posucha czy też woda, zaco też w końcu i zgnię mu przychodzi.

Gościnność, sprawiedliwość i miłość naszych ojców, tośmy powinni jak drogie skarby trzymać w sereu naszym! I miłość tej wsi i tej ziemi powinna nam być najświętszem przykazaniem. Każdy też człowiek dobry i w bojaźni bożej wychowany, kocha swą i swych ojców siedzibę, i tęskni do niej, kiedy się mu oddalić przyjdzie. Wszystko mu we wsi rodziniej najznajomsze i najmilsze. Miły mu rodzinny kościół drewniany, co w nim ojcowie, wszyscy znajomi i on sam się z nimi modli; miłe mu rodzinne drzewa na cmentarzu: stare lipy, dęby, kasztany i wierzby; miły mu rodzinny dzwonek na wieży co zwołuje ludzi w święto

na nabożeństwo a pod wieczór na modlitwę wzywa, i na pogrzeb dzwoni.

We wsi rodzinnej, jako w puściźnie dziadków naszych, wszystko nam drogie, wszystko od dzieciństwa znane i kochane.

To też i siwemu staruszkowi najmilej we wsi rodzinnej; tu a nie gdzieindziej oczy zamknąć i kości złożyć pragnie, bo tu także spoczywają prochy ojca, dziada i pradziada jego. —

K a r a b o ż a.

Byłem ci ja raz na sądach w kryminale: a mieli sędzić jakiegoś zbójcę. Mnóstwo się zeszło ludu, jak zwykle ciekawego patrzeć na cudze nieszczęście: a za zielonym stołem siedziało pięciu sędziów cesarskich. Najstarszy sędzia dał znak woźnemu, aby przyprowadził winowajcę. Cicho się zrobiło, strach ogarnął wszystkich, myślano, że przyjdzie rabuś z okropną twarzą, z złośliwymi oczyma, jak to zwykle malują zbójów — a to wchodzi człowieczysko schylony pokornie, twarz miał bardzo uczciwą, a łzy mu z oczów jak groch leciały.

I był to człek prawdziwie uczciwy, miał poszanowanie w gromadzie i u księdza, i poczeiwe dzieci Bogu na chwałę a ludziom na pożytek wychował — toć już lat 15 był starszym bratem przy ruskim kościele — nie dał by bydłeciu wyrządzić krzywdę, a jednak zabił człowieka, i to staruszka siwego! A jak się to stało, posłuchajcie.

Winowajcy było Mikołaj na imie, a miał on przy drodze koło pastwiska owies, w którym mu często robiło szkodę bydło. Gniewało to Mikołaja, bo to i owsiny żal, i szkodnika nigdy złapać nie mógł. Aż oto razu pewnego ujrzał krowę w owsie, pobiegł i zajął ją do siebie. A była ta krowina całym majątkiem biednej wdowy komornicy, co już od kilku tygodni jak zaniemogła, tak leżała chora w szopie. Mała córeczka wdowy pasła po miedzach krowinę, co karmiła oboje, bo zarabiać chora matka nie mogła. Otóż raz biedne dziewczątko zasnęło od głodu i niedospania, wypuściło powróż, a krowę zbyteczniki chłopcy zapędzili w Mikołaja owies. — Przystąpiło do Mikołaja, postanowił za wszystkie szkody pomścić się na komornicy. Sprowadzono wójta i ludzi do karczmy, aby oszacować szkodę, i jak to zwykle bywa, poczęto pić na biedną wdowę. Napróżno

przywlokła się ona choć słaba, do karczmy, i błagała Mikołaja, aby jej darował; dziewczątka jej nabito za nieuważę, a za szkodę i za wódkę, którą w karczmie wypito, zabrali ostatnią kożuszyne, co się nią wdowa nakrywała, i żydowi sprzedali.

Jak już wdowa odeszła, zrobiło się żal Mikołajowi; to mu pan Bóg przemawiał do serca, aby się upamiętał — ale się Mikołaj jakoś dziwnie zaciął, i aby przygłuszyć sumienie, kazał dać wódki; ba kazali dać i inni, aż się popili w końcu, co się Mikołajowi prawie nigdy dotąd nie trafiło.

A siedział ci tam w karczmie w kątku przykuczawszy staruszek, chromający na nogę, wielki sknera, choć był dość zamożnym kmieciem, a lubiał się napijać, ale tylko za cudze pieniądze, i dla tego nie lubieli go ludzie. Otóż i teraz wsunął się staruszek, i jak był złośliwy, tak począł Mikołajowi za krzywdę biednej komornicy wyrządzoną dojadać coraz mocniej, choć pił za pieniądze wdowy i Mikołaja. — Gniewało to Mikołaja tem więcej, że sam już czuł zgryzotę sumienia.

Staruszek podpiwszy sobie, byłby rad i pokurzyć, ale znów żałował swego tytoniu, choć go miał przy sobie. Więc pożądliwie poglądał na fajkę, którą Mikołaj nie dopalił i na stół położył, i przysuwając się do niej, wziął ją pod stół, wypróżnił, i swoją z niej nałożył. Spostrzegł to Mikołaj, złość go porwała okropna, aż ci pochwycił staruszką za głowę, i wyciągnawszy z kąta, na ziemię nim rzucił — i zawołał do ludzi:

— Ano, obaczycie, że ten stary pies ma swój tytoń, a mnie fajkę wyskrobał!

Więc wszyscy będąc pijani, zapomniawszy, że Bóg i samo serce ludzkie nakazują starych szanować, przyskoczyli do staruszka nie mogącego się podnieść z ziemi — i jak zaczęli go przestraszać, aż i buty mu zdjęli, a z buta paczka tytoniu wypadła.

Gniew i wódka i jakiś dopust nieczysty zaślepiły Mikołaja, skoczył do starca, i bosą go nogą kopnął, aż się biedaczysko potoczył i głową o nogę u stołu uderzył. Krew się polała z głowy, z ust i nosa, charczał chwilę, przewrócił oczy — i już się nie ruszył więcej.

Wytrzeźwił się nagle Mikołaj, począł wołać ratunku, lał wodę, ratował, rwał sobie włosy — starzec był nieżywy. Więc nieszczęśliwy ryknął aż się ludzie przestraszyli, potem zapłakał, i dał się spokojnie związać — odwieziono go do kryminału.

Szanujcie ludzie biedne wdowy i sieroty, pomagajcie im, nie pijcie, a starość szanujcie!

RÓŻNOSTKI.

Nowe plotki i ich skutki. Jak grzyby po deszczu, wyrastają teraz między ludźmi raz wraz jakieś nowiny, co najczęściej zmyślane, i zamęczają tylko głowę ucziwemu człowiekowi. Bo i jakże nie ma zamącić głowy fałszywość i kłamstwo i złość co w onych plotkach zawsze się ukrywa?

Owóż rozniesło się teraz między niektórymi, że gromadzie zostały z urzędu darowane łąki, pastwiska i lasy. Ktoby to rozniósł, jużci trudno wiedzieć, ale to chyba sam czart kusiciel wysłał z piekła swoich kamratów, żeby ludzi takimi fałszywymi plotkami do złego podwodzili. Jenó to szczęście, żeśmy już nie tacy głupi, jak się onym czartowskim po mocnikom zdaje. Wszyscy wiemy otem dobrze, że każdy człowiek ma coś swojego, własnego, czego mu żaden rząd i urząd na świecie bez przyczyny odebrać i drugiemu darować nie może, bo to jest jego własność, bo on sobie to własnymi rękami zarobił, albo dostał po ojcach lub krewnych w spuściznie. Gdzie więc łąki, pastwiska i lasy są własnością dziedzica wsi, dawnego pana, to jakże to może urząd gromadom darować? Kto tak mówi, ten jenó hańbi urząd i urzędników, bo oni chyba tylko kradzionym sposobem mogliby się takiej nieprawości dopuścić.

Nie potrzebuje wam też powtarzać, że to jest czysta plotka i wierutne łgarstwo. Pan sam, jeżeli mu się zechce, może czy to lasu kawałek czy pastwiska gromadzie darować, bo właścicielowi wolno robić ze swoją własnością co mu się tylko żywnie podoba; ale komu innemu zasie, jak kotu od sadła!

A przecież trafiają się nierozsądni ludzie, co dają wiarę owym plotkom niesłychanym. Owóż piszą gazety, co się to z tej przyczyny stało we wsi *Łukawicach*, w obwodzie bocheńskim:

Właściciel tej wsi p. Jordan, posiada swoje pastwisko jako sprawiedliwą własność, co mu też i komisja rządowa przyznała. Atoli chłopci wypasali końmi ono pastwisko dworowi przyznane, a skoro o to pan Jordan skarżył, tak urząd powiatowy zakazał paść chłopom. Aleć dnia 11go zeszłego miesiąca Czerwca wypędzili chłopci znowu swe konie; więc też ekonom nie wiele myśląc zajął je i zaprowadził do dworu. I cóż źli chłopci nie robią! Zamiast prosić o wypuszczenie, napadli na stajnię, i odbiwszy drzwi, wyprowadzili sobie konie. Pan Jordan nie chciał się temu sprzeciwić, bo by było do bitki przyszło, jenó stał na podwórzu i przypatrywał się; a wtedy chłopci — aż przykro człowiekowi wypowiedzieć — napadli na pana Jordana i jeszcze go zbili! Patrzcież co za gwałty śród białego dnia!

Przypomnieli sobie widać jak to przed czternastu laty, w roku 1846, rozbójnictwem się zabawiali, a zapomnieli znać jak ich potem pan Bóg karał, że kapali od głodu jak muchy!

Najbardziej przy tych gwałtach dokazywali: Józef Nosek, Andrzej Dyrkut i wójt nazwiskiem Mucha — sam wójt na czele! Niech ich nazwiska zostaną tu na hańbę wypisane. Całą noc potem piły owe zbójniki w karczynie, ale na drugi dzień odwieźli ich zaraz do urzędu w Wojniczu, gdzie ich nie minie zasłużona kara.



11. Lipca.

1861.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Miłość ojczyzny.

Na białej chmurce zlecieli trzej Anieli z nieba wysokiego, i na biednej ziemi od jednego domu do drugiego szukali człowieka najenotliwszego. I szli od pola do pola i od drogi do drogi, i ujrzeni jak jeden żebrak ubogi zdejmował płaszcz ze siebie dziurawy, i cały żalem łzawy kładł go na drugiego od nędzy aż nagiego. Więc jeden Anioł się zatrzyma i smętnemi spoglądał oczyma, i łzy ociera i rzecze:

— Patrzcie moi druhowie, niebiescy Aniołowie, to człowiek najenotliwszy! —

A drudzy dwaj mówią:

— Chodź z nami bracie dalej, będziemy szukali jeszcze enotliwych. I szli Aniołowie od drogi do drogi, i od sioła do do sioła, i ujrzeni chatę w płomieniach do koła, i wielkie im zdziwienie, bo oto matka rzuca się w płomienie za swoim dzieciątkiem niebożątkiem. Więc przystaną dwaj bieli Anieli, rąbkami sukienki niebieskiej czyste zbierają łezki i rzekną:

— Widzisz nasz druha biały, oto niebieskiej chwały godna matka owa, jako najenotliwsza!

A trzeci tak się odezwie:

— Chodźcie bracia ze mną dalej, będziemy szukali jeszcze cnotliwych. — I szli Aniołowie od sioła do sioła i od rzeki do rzeki, i ujrzeli na ziemi człowieka z zamkniętymi powieki: leżał kurczem odziany, w piersiach miał trzy rany, a z nich ciekła krew z serca wytoczona, a czerwona jak koral. Więc przystaną wszyscy trzej Anieli, i łyzy jasne w oczach mieli, a włosami je ocierając i łkając tak rzekną:

— Oto na ziemię tego człowieka przypadli wrogowie z daleka, i sąsiadów jego zabili i dobytek ich spalili, i zabrali niewiasty i dzieci słabe. A choć on wyszedł cało, i jego rodzinie i dobytkowi nie się stało: toć przecież odbiegł dzieci i żonę, a wziął do ręki żelazo ostrzone, i zwołał w imię Boga innych ludzi, i poszedł na wroga. Więc z wrogiem mężnie się potykali, i z ziemi go wygnali. A on gdy najmężniej bił się za kraj kochany, otrzymał w piersi trzy rany, i upadł krwią zbryzgany. Cieszcie się bracia w niebie, to człowiek najenotliwszy!

I polecili trzej Anieli po wodę do rzeki, i obmyli żołnierzowi bladą twarz i powieki, a gdy dusza czysta z niego wychodziła, to radośnie skrzydełkami biła, i w górę leciała. A radośni Anieli wzięli ją między siebie, i lecieli gwiazdami, obłokami, i utonęli w niebie.

Tam w niebiesiech, wśród Anielskiego grania i śpiewania i cichego pacierza, mówiła Najświętsza Panna do duszy żołnierza:

— Chwała tobie chwała, duszo biała, bo dostępujesz zbawienia wiecznego. Cnotliwy człowiek co ma miłość dla bliźniego, cnotliwa matka co życiem swoim broni życie dziecka swego, lecz najenotliwszy człowiek co w każdej godzinie ojców ziemi od wrogów piersiami swymi broni, i za swych braci ginie: bo jako dąb między drzewami, tak między miłościami największą jest miłością świętą *miłość ojczyzny!*

Najpiękniejsza dziewczyna.

Najpiękniejsza dziewczyna, gdy przy matki kolanie
Wtórzy: Boże, o Boże; potem: Panie, o Panie,

Zmiłuj - że się nad krajem, zmiłuj - że się nad krajem,
We łzach cichej modlitwy wciąż przed Tobą się kajem.

Najpiękniejsza dziewczyna, kiedy nikt jej nie widzi,
Kiedy płacze i skacze, i tego się nie wstydzi;
Nie wie czemu wesoła, nie wie czemu i smutna,
Śmieszka, ptaszek, śpiewaczka, swawolnica okrutna!
Bez muzyki tańczy po murawie trawnika,
A naco jej muzyka? Ona sama muzyka!
Dzieci za nią i przy niej, bo nic złego nie czyni,
Więc jak tylko wyleci, towarzyszą jej dzieci,
Skaczą polne koniki w bujnych trawach spłoszone,
W czystej wody przezroczu skaczą żabki zielone;
Wszystko pierzcha na stronę przed dziewczyną wietrznicą,
A słoneczko aż pali, tak całuje jej lico.
Przelecieli do sadu, jak gołębie na daszek,
Najprzód ona i dzieci, potem motyl i ptaszek;
Same kwiaty się mnożą, same wiśnie się rodzą,
Za nic Boże z ogrodu piękną pannę wywodzą.

Najpiękniejsza dziewczyna, gdy ją jakiś żal bierze,
Zamyśli się, zawzdycha, i zapłacze tak szczerze...
Nie za światem, nie za tem, bo jej dobrze u mamy,
Lecz że pierwszy raz widzi, że coś tęskno jej samej.
I choć mama kochana, ale ... otóż to ale,
Lepiej o tem nie myśleć, nie zajmować się wcale!
Zadzwonili z kościoła, ciszej w sercu panience,
Pochyliła swą główkę i złożyła dwie ręce,
I na chwilę się stała taka piękna, tak biała,
Jakby z nieba nie z ziemi, jakby z chmurki nie z ciała.

Najpiękniejsza dziewczyna, gdy u stopni ołtarza —
Tego oto małżonka bierzesz — biorę — powtarza,
A serduszek to stanie, to gwałtownie zapuknie,
Oj serduszek niedobre, aż je widać przez suknię!
Zamienili pierścionki, dwa ze złota pierścionki,
Ten na palec małżonka, ten na palec małżonki;
Gdy ksiądz wiązał ich stulą, co to serce nie czuło!
Z niego życie się będzie jakby złota nie snuło.
Przytem Polka serdeczna, wierszy umie tysiące,
W obraz ojca żołnierza zawsze patrzy jak w słońce:

— Kiedyż, kiedy zza góry błysną nasze mundury?
Kiedyż przyjdą zdaleka Krakowiacy, Mazury?
Szarpiją będą skubała, chorągiewkę uszyję,
I wydam się za tego, co Moskali pobije. —

Teofil Lenartowicz.

Wieczorna gawęda

Grzesia z Mogiły.

Ha no, i ja stary znajomy opowiem wam dziwną przygodę, jaka mi się lat temu kilkanaście, w drodze przytrafiła. Żeby to była czysta bajka na nic nikomu nie przydatna, to by nie warto i wspominać o niej; aleć, że może ztąd niejednemu będzie nauka, więc posłuchajcie kto łaskaw.

Jako już rzekłem, lat temu kilkanaście, kiedy mi raz wypadło ruszać w przydalszą nieco drogę, a taka była ku temu przyczyna: W ruskiej ziemi aż wedle Przemyśla, zmarł stryj mojej kobieciny, gospodarz zasobny, a wdowiec bezdzielny, który owóz cały swój dostatek na moje dzieci, jako też na najbliższe krewniaki zapisał. Dziwno wam to pewnie: z kąd się stryj mojej kobieciny aż het na Rusi wzięli? No ale o tem dużoby gadać; więc wam kiedy osobno opowiem, a teraz dość będzie wiedzieć, że miał jechać tę spuszczoną po stryju odebrać, i ładowałem się jak się patrzy do tej długiej drogi. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że z Mogiły, kędym rodzic, będzie z dobrym okładem mil trzydzieści do miasta Przemyśla, a z tamtąd jeszcze pół-trzeci mili do onej wsi, gdzie pomarli stryjek mojej żony.

Jak dziś pamiętam, było to po wszystkich co pilniejszych robotach w polu, bo już blisko połowy miesiąca Czerwca, a w drugi dzień po świętej Małgorzacie, co sobie także dobrze przypominam, bo mojej kobiecie na imię Małgorzata, więcemy w dzień ten ze sąsiadami wesoło choć spokojnie się pobawili. Ranek był śliczny jak Opatrzność Boska; po bujnej pszenicze stała rosa aż biało, ptaszkiwie niebiescy podlatywali już w niebo ze swoją śpiewką poranną: kiedy mój Franuś założył konie, i dawał im z ręki jeszcze trochę siana przegryźć, napo-

iwszy w potoku. Ja niechwalący się, śpiewałem sobie godzinki do Najświętszej Panny, i trzos opasywałem na niebieskiej kamizeli, i płótniankę wdziewałem na siebie; a moja zawijała tymczasem w płachtę niedzielną przyodziewę, żebym się miał przecie w czym pokazać między Rusinami. Smutno mi było wybierać się w tę drogę, boć to przecie ze dwie niedziele, myślę sobie, zabawić będzie trzeba, zaczem człowiek do ładu wszystko przyprowadzi. Więc mi też jeszcze markotniej się zrobiło, skoro ujrział że już wszystko gotowe, a konięta aż nogami grzebią od niecierpliwości.

— Zostajże z Bogiem moja Małgos! — odezwę się do żony, skórzaną torbę przerzuciwszy przez ramię. — Niechże tu pan Jezus ma was i całe obejście w swej łaskawej opiece!

A nato żonisko dobre rzuciło mi się na szyję, i łyzy jej z oczu puściły się sznurkiem. Ja pocałowałem ją w czoło, a potem poszedłem do kołyski, kędy spała Zosieczka, mój drobiazg kochany, bo jej nie więcej jak pięć miesięcy było wtedy. Biedactwo maleńkie śmiało się we śnie do Aniołków; więc je ucałowałem w różowe jagody, a potem z westchnieniem przeżegnałem po białem czołku, myśląc w duszy:

— Panie Boże, dajże temu robaczkowi wzrastać szczęśliwie, na pociechę twoich sług niegodnych.

Jeszcze raz uściskałem moją kobiecinę, i krzepkiego Franusia, zrobiwszy biczyskiem krzyż święty przed końmi, siadłem na wóz i zaciąłem, bo i mnie zaczęło się coś kręcić i migać, jak gdyby łyzy w oczach.

Rażno ruszyły konie z miejsca; ja spuściłem głowę, a potem podniosłem oczy do nieba i westchnąłem, a skoro wjeżdżał już na bity gościniec, tom się oglądnał na własną chałupinę, aby ją jeszcze choć oczyma pożegnać. I dobrze-m zrobił żem się oglądnał, bo oto widzę Małgosia moja biegnie, i macha fartuszkim żebym się zatrzymał. Stanałem, niewiedzący co to ma znaczyć.

— Grzegorz! toć szkaplerza nie wzięłeś na szyję — zawoła moja z daleka, podnosząc szkaplerz w ręce.

Chwyciłem się za piersi, za szyję, a prawda, nie ma szkaplerza com go dostał po matce, i od jej śmierci ani na chwilę

nie zrzucał ze szyi. Więc co rychlej biorę go od Małgosi i wiem na sobie.

— Bądźże mi zdrowa! — rzekłem i ruszyłem dalej.

— Wracaj z Bogiem! wołała Małgós za mną, prowadząc jeszcze oczyma het, aż na koniec wsi.

Nie chciałem ja żonisko moje straszyc, więcem nie nie wspominał, ale mi jakoś dziwno było, żem prawie pierwszy raz zapomniał szkaplerza.

— Hm, — myślę sobie — czy też jakie nieszczęście nie trafi mię na drodze? — Ale wnet wybiłem sobie z głowy takie do niczego myśli, i zdawszy wszystko na wolę Boską, jąłem znów śpiewać godzinki.

Cóż wam mówić o drodze? Jechało się ot, jak zwykle! Konięta w chłodku rannym wyciągały się jak zające; a jakem zawołał: he, heta, wišta! — to jeno strzygły uszami, spuszczały głowy i dalejże w nogi! Nie ma też co wspominać, gdzie i jakem stawał, czy to na popas czy na noc, bo za łaską Pana Boga nie mi się dziwnego ani przykrego nigdzie nie przytrafiło, a jak mi czasem jaka niewygoda była, tom sobie spomniał, że: *kto chce furmanic, nie może drogi ganic*, i jakoś zaraz było mi lepiej we wszystkim. Nieraz się podróżny trafił, tom go podwiózł milkę albo i dwie, i tak bez przygody stanąłem na miejscu trzeciego dnia nad wieczorem.

Pierwszy ja to raz byłem wtedy na Rusi, więc zrazu jakoś nieśmiało i dziwno mi było zaezepiać ludzi, bo też i trochę inaczej od nas mówią; ależ skorom się raz i drugi przysłuchał, i sam potem gębę otworzył, tośmy jakoś przecie po bożemu się rozmówili, i jeden z drugiego łatwo wyrozumiał czego potrzebuje. Powiadali mi także nasi jakem wyjeżdżał, że Rusini, to zły bardzo naród, że każdy z nich mrukliwy, a taki w gniewie zacięty żeby cię duchem na cztery wiatry rozniósł. Więc też ja bałem się z nimi kumać, a gdzie się tylko zdało, tom zrazu obchodził zdaleka; aleć skorośmy się potem bliżej zaznajomili, toć człeku poznałem jako żywo, że to naród taki sam jak my, jak kropla do kropli wody, jak brat do brata podobny. Więc też nie źle wiedło mi się między nimi, i całą sprawę ze spuścizną po stryjku nieboszczyku bardzo dobrze skończyłem,

jeno co mię dużo po urzędach wywodzili: od jednego do drugiego, od Anasza do Kaifasza. Ztąd też dłużej mię ta rzecz zabawiła, niżem sobie myślał wyjeżdżając z domu; toż po dwóch tygodniach napisałem list do mojej kobieciny, żeby była spokojna, że wszystko dobrze idzie, a sam zostałem się jeszcze tydzień. Otóż i przez ten tydzień było dużo roboty. Sprzedałem zagrodę po nieboszczyku i chudobę, jeno co jednego konia tęgiego a młodego do swoich przyprzągłem; chusty co były i kozuch nowy wzięłem ze sobą, zabrałem też i obrazki z izby, Małgosi na pamiątkę po stryjkę.

Trzeba było widzieć, jak mię wszyscy ściskali i żegnali skoro przyszło wyjeżdżać! Poczciwi ludziska! wypuścić mię od siebie nie chcieli, i Bogiem a prawdą powiem wam, żem więcej niż zwykle piwa i miodku wychylił, niezem mi na wóz wsiąść pozwolili.

— Zostajcie z Bogiem!

— Jedźcie z panem Jezusem! — odrzekli owi, i takeśmy się rozjechali.

Przyznam się, że choć ruszyłem do domu, do żony i do dzieci, toć przecież jakoś ciężiej było mi teraz jechać jak z domu. Prawdę to mówią ludzie: *mokry nie boi się deszczu, a goty rozboju*: więc i ja skorom sobie jechał z domu, nie mając jeno tyle co dla siebie, tom był swobodny i nie bałem się niczego, chyba samego pana Boga; a teraz żem miał trochę grosiwa w trzosie, to się człowiek kulił i oglądał żeby tylko cało zajechać, i trzos dowieść szczęśliwie do domu.

Było już blisko południa gdym wyjechał od Rusinów, toż ledwie do Nienadowy zaciągnąłem pod noc; a że było ciemno i pochmurno, więc pomyślałem sobie: — Strzeżonego, pan Bóg strzeże, wolę tu zanocować — i zajechałem do Nienadowskiej karczmy, co stoi wielka i murowana przy bitym gościńcu.

— Jakoś pan Bóg łaskaw! — pomyślałem sobie znów, stanąwszy z wozem w sieni — że dotychczas bez przygody prowadził człowieka — i na śmierć zapomniałem o tych złych myślach co mię trapiły, gdym szkaplerza przy odjeździe zapomniał. Odprzągnąwszy więc konie, wzięłem siana od stróża, obroku z worka nasypałem do żłobu, a siana za drabinę; a że

skrzynia z rzeczami po nieboszczyku była dobrze do woza przywiązana, więc bezpiecznie poszedłem sobie do izby, obmacawszy się w pasie, czy trzos dobrze trzyma.

Ledwie drzwi otworzył i oglądnął się do koła, aż tu z kąta odezwie się głos:

— Wszelki duch pana Boga chwali! Jak się macie Grzegorzu!

Oglądam się, patrzę, siedzi ktoś w kącie w granatowej kapocie, ale że nie bardzo było jasno, więc nie mogę poznać.

— A cóżescieto oczy i pamięć stracili? — odezwie się tamten wesoło, powstając z ławy.

— Bodaj cię, a toć pan Bartłomiej! — zawołałam radośnie, skorom go lepiej ujrzał z twarzy, i uściskaliśmy się obydwaj serdecznie.

— A dokądże to? — pytam zaraz na wstępie.

— Ja, ot jak zwykle, na jarmark do Rzeszowa, a potem do Łańcuta z kłódkami. Ale z kąd wy mój Grzegorzu?

Więc ja proszę Bartłomieja siedzieć, kazałem dać po szklance miodu i opowiedziałem het jak i poco jeździłem. Przed kim innym nie byłbym tego wygadał, boć trudno dojrzeć z oczu jakiego kto sumienia, więc mógł być człowiek łatwo cheiwość w drugim obudzić: ale co Bartłomieja to dużo ludzi znało z uceiwości. Był to mieszczanin ze Skawiny, kędy wyrabiają doskonałe kłódky; rozwoził on het po jarmarkach Skawiński towar i sprzedawał; a że ja to bywałem z nim w różnych interesach, więc znaliśmy się jak łyse konie.

Skorośmy sobie powiedzieli z Bartłomiejem co było ciekawego na razie, tak ja nuż się rozglądać po izbie, co też są za ludzie, i widzę koło stoła kilku gospodarzy wiejskich, we świtach jak się patrzy, a na przodzie dwóch w czapkach żołnierskich; jeden w surducie wytartym, spodnie długie i obtargane, a na nogach kamasze; zaś drugi w kusem i śmiesznem odzieniu, co go to frak zowią, a przytem niby białe spodnie i wysokie buty. Obadwaj rozparli się łokciami na stole, fajeczyska w zębach, a przed nimi siwucha w kwartowym gęsiorku.

— Co to za ludzie? — pytam Bartłomieja.

— Bóg-że ich raczy wiedzieć! Jakies przywłoki albo urlopniki.

— Posłuchajmy, co też mówią — odezwę się znowu, bom był okrutnie ciekawy co to są za ludzie. Jakoż zamilknęliśmy z Bartłomiejem i słuchamy.

— Szak ja był już aż na końcu świata — mówi jeden z owych urlopników — i nie mało sem napatrzyłem różnym mundurom! Szak byłem w Majlandzie, we Fenedyku, we Widniu, ale tam najgorszy dziad tak po głupiemu się nie ubiera, jak wy tu durne chłopy! —

— Ho, *halt bruder* — zawoła drugi — toć jakby którego z was postawił kole Majlandzisty, toby sem tak wyglądał jak leśna sowa kole gila!

— He, he, he — zaśmieli się wszyscy radzi z tego głupiego konceptu.

Nam tymczasem wypróżniły się szklanki, a że miód był trochę chrzezony i nie mocny, więc ja kiwnę na arendarza, żeby nam dał po drugiej. Bartłomiej nie chciał zrazu na to przystać, bardzo się drożył, że to na niego kolej postawić: ale skorom mu wytłumaczył że ja to wiozę spadek, co nam jak z nieba spadł, więc zamilkł. Żyd postawił miód przed nami.

— Co to za ludzie? — pytam się arendarza.

— A tutejsi, jeno przyszli niedawno od wojska — rzecze arendarz. — Ale to ostatnie łajdaki i pijaki.

— Patrzcież, patrzcie — odezwę ja się do Bartosza. — A toćby człek nie poznał że to swojaki, tak się to gdzieś na złodziei i nieponi wyprawilo!

— Ha cóż mój Grzegorz! Jak się kto raz wprawi do lenistwa, a broń Boże jeszcze do złodziejki, ho ho, to już przepadł na wieki! Ależ posłuchajmy jeszcze co oni tam mówią.

Więc potraciliśmy w szklanki i siedzimy cicho.

A tam ów dowcipny we fraku tak mówi:

— Szak ciebie jeden z drugim jeny postawić sem do prosa, a nie potrzeba stracha; a jak weźmiesz na wywrót barani kożuch na siebie, to cię nikt nie pozna czy baran czy człowiek? Ja sem inaczej ubrany; ja sem tak ubrany jak najwięksi panowie i grafowie we Widniu.

Po tych słowach skoczył ów urlopnik na izbę i okręcił się do koła, a skoro mu się one ogonki od fraka podwinęły, taki złapałem się aż za gębę od śmiechu, tak to pocieszenie wyglądało, skoro jeszcze łatki i dziury z pod nich zaświeciły. Więc rzeknę półgłosem do Bartosza:

— Mój Boże, wszystkim zwierzętom daje pan Jezus ogonki, coby sobie miały czem poślednie części zakrywać; ale żeby sobie człowiek taki ogon samocheąc przyczepiał, a nie dostatnie okrycie, to rzecz niesłychana!

Słuchamy dalej, a drugi z owych urlopników odezwie się:

— A nie dosyć, że wy się ubieracie jak niedźwiedzie, w czapki baranie i rogate, ale też i panowie wasi rebelanty w rogate czapki i w kapoty ze sznurami się ubierają! Ho, ho, pokażemy my im co to znaczy rogata czapka, i co to cysarski wojak! —

Ha, dotychczas słuchałem cierpliwie, albom się uśmiechał; aleć teraz skoczyliśmy z Bartłomiejem oba na równe nogi.

— A cóż ty włóczykiju takes tu gębę rozpuścił? — zawołałem, z całej siły pięścią w stół uderzywszy. — Żeś musiał z cielecą skórą na plecach po cudzych krajach jak bosy pies wędrować, to teraz myślisz tu uczeiwym gospodarzom przewodzić?! —

Moi urlopnicy chcieli się zrazu porwać zza stoła, ale skoro ujrzeni za mną Bartłomieja, co jest chłop sety i dziwnie wielkiej siły, tak przykuczli nazad na ławach: jeden świstał sobie i patrzył w okno, a drugi spuścił w dół oczy i kieliszek obracał w rękach.

— Cóż ty dragalu tu na panów wygadujesz? — zawołałem ja dalej; spojrzawszy im srogo w oczy. Każdy powinien szanować swoje ubranie, bo tak się jego rodzic i dziadek ubierali; a jak każdy ptak inne ma piórka, tak też czy Niemiec czy Polak czy Francuz, inaczej się ubierać powinni! Panowie jak byli chłopami, to się tak ubierali jak my, a skoro im Pan Bóg poszczęścił że zostali panami, to dobrze skoro się dawnego zwyczaju trzymają i nie porzucają ani kapoty ani czapki rogatej! Ja jestem chłop, Mazur czystej wiary, i mojej kapoty i magierki

nie porzucę jak świat światem, i prędzej bym sobie głowę dał ogolić, niż cobym miał wdziwać na się takie oto pludry! —

To mówiąc pokazałem na frak palcem, a twarz obróciłem ku gospodarzom. Cicho było, nikt się nie odzywał, jeno niektórzy przytakiwali głowami, a inni się uśmiechali radośnie, żem tak nosa utarł onym urlopnikom.

Więc ja nagroziwszy im jeszcze, żeby mi tak więcej gęby nie rozdziawiali, poszedłem z Bartłomiejem do naszych szklaneczek, trąciiliśmy i wypili do reszty; Bartłomiej chciał gwałtem trzecią postawić, ale jakem mu zaczął rozgadywać, żeby to było za dużo, tak dał spokój, a wstawszy rzecze:

— Ha, dobrze mi tu z wami mój Grzegorzu, ale trzeba w drogę! —

— Jakto? wy jedzicie pod noc? — zagadnę żałośnie.

— Cóż robić? muszę, muszę, mój kumotrze, bo do Rzeszowa sztuka drogi, a jutro się już jarmark zaczyna.

Nato ja:

— Mnie tam nie pilno, więc bym chciał przenocować, ale nie wiem czy gospoda pewna? —

— Śniała możecie nocować, jak we własnym domu! — rzecze Bartłomiej. — Żyd człowiek uczeiwy i porządny.

— Ha, na takie wasze zaręczenie, zostanę.

— Nocujcież z panem Bogiem!

— Szczęśliwej drogi Bartoszu — rzekłem, a Bartłomiej siadł na wóz, zaciął konie i zniknął mi z oczu.

Że to już było dosyć późno, więc ja nie poszedłem więcej do szynkowni, ale odrazu do swojego wozu, a ujrawszy że wszystko było w porządku jak się patrzy, rozesłałem słomę na wozie, i jak to co wieczór mam we zwyczaju, odmawiałem sobie: kto się w opiekę. Niebawem też zebrała mię senność, więc się położyłem, słyszałem jeszcze chwilkę jak konie obrok gryzły i parskały, a potem już nic.

Nie wiem, czy dlatego żem dwie szklanki miodu wypił, czy to że mię one urlopniki tak rozgniewały, dość że nie za długo potem jakem zasnął, dziwne i straszne sny zaczęły mię trapić. Owóż zdało mi się że jestem gdzieś w obcym, zamorskim kraju, w przeokropnem mieście na rynku. Spoglądałem w około siebie, a

tu co człowiek to w kusym fraczku, na nogach trzewiki jak u baby, a kręci się to wszystko jak wrzeciona. Śmiech mię wziął okropny na on widok; stanąłem, podparłem się w boki patrząc, a tu mi się aż bruch od śmiechu trzęsie.

— He, he, myślę sobie — tać to jak wróble na przednowku, i suche i kuse.

Aleć skoro ja sobie tak stoję, zebrali się też i owi ludzie wedle mnie, i nuż mi się wydrzyźniać i śmiać się z mojego ubrania. Zrazu śmieliśmy się razem, oni z mego ja z ich, ale jak mi już tego dosyć było, tak ja zabieram się, chcę iść, patrzę, a tu całe tłumy ludu na około mnie, i ani rusz; co krok postąpię, to znowu stój. Wołam, proszę, krzyczę — gdzie tam, nie nie pomaga; tak też mię złość porwała, jak nie machnę kijem koło siebie, a tu mi się jeno ręka zerwała, bom machnął jak w czyste powietrze. Więc splunąłem w garść, i chwycę kij w obie ręce, macham i macham, widzę na żywe oczy, po frakach, a tu nie nie czuć jeno szczere powietrze. Już mię też rozpacz zaczęła ogarniać, zły i ledwo żyjący od zmęczenia myślę sobie:

— Ha, niech już co chce będzie, pójdę się na ich modę ubrać, żeby się na mnie nie gapili, bo już trudno wytrzymać.

Skręcąc więc do sklepu, wyciągam z trzosa garść ewan-cygierów, i każę onemu Niemeowi, żeby mię ubrał w frak, w trzewiki i w długie spodnie. Jakem rzekł tak się zaraz i stało. Wychodzę, chwala Bogu nie ma nikogo przed sklepem; ale jenom postąpił kilka kroków, a tu niby z wieży z wysoka ozwie się głos gruby:

— Zakląłeś się Grzegorz, że rychlej byś sobie głowę dał ogolić, niż w kusy frak ubrać! Ogolcież mu głowę!

Na te słowa patrzę, a tu leci cała gromada z postronkami, z brzytwami i nożami, a obces na mnie. Nie wiele też myśląc machnąłem się za głowę, a widząc że cała, dalejże w nogi przez domy i drzewa aż kurzy!

— Mój Boże — myślę sobie, a coby też moja Małgosia rzekła jakby mię z ogoloną głową zobaczyła. — I dalejże co prędzej, drę aż nóg nie czuję.

Jak też sobie tak lecę, zda mi się w tył spojrzeć, a owi golarze za mną; patrzę przed siebie, a tu rzeka szeroka jak morze.

— Tfu, bodajcie! — złość mię porwała. — Niech się co chce stanie, pójdę w bród przez wodę. Skoczyłem — brrr... woda zimna jak nieszczęście! Więc kulę nogi pod siebie i lecę, skoczyłem wreszcie na drugi brzeg, a tu już i trzewików na nogach nie ma, w wodzie gdzieś zostały.

— A niech cię tam licho porwie! — pomyślałem i chcę lecieć dalej, a w tej chwili łożyny przeokropne stanęły mi w drodze. Rzucam się, przedzieram, gdzie tam, ani rusz! W pasie mię schwyliło, ażem się obrócił, i skrępowało do reszty.

— No — myślę sobie — teraz będzie koniec! — bo właśnie i owi golarze przez rzekę przelecieli. — Ale nie, nie dam się, żebym miał trupem paść! — I wyciągam ręce, i chcę się bronić, a owi jak mi nie zarzucą postronek na szyję, jak nie szarpną... ażem się obudził..

Obudziłem się, przecieram oczy, jakieś dwa czarne cienie przedemną na wozie; więc zerwę się, rzucę ręką i złapałem za coś. W tej chwili świsnęła mi jakaś paliczka koło ucha, ale szczęściem nie trafiła nigdzie; więc ja krzyknę wielkim głosem: — Złodzieje! — i zerwę się na równe nogi.

W tej chwili coś czarnego skoczyło na obie strony woza, zostawiwszy mi w ręce to za com uchwycił. Na mój krzyk stróż zaraz zaświecił latarkę, inni furmani się też pobudzili, a wtedy patrzę ja po sobie: a tu butów na nogach nie ma, trzos trzymam w ręce, a płótnianka zawieszona na sznurku od szkaplerza. Ażem się przeżegnał od strachu, aleć wnet nie wiele myślący opasuję trzos i lecę za innymi ku bramie.

No, i zgadnijcie coś my tu złapali? — Oto złapaliśmy za nogi owego urlopnika we fraku, jak się właśnie dziurą we wiązaniu wymykał. Niedaleko od bramy leżały moje buty. Zaś na strychu w sianie znaleźliśmy drugiego ptaszka. Więc krótka sprawa: związaliśmy sznurami jak baranów, i jeno się rozwidniło, zawieźliśmy do mandatarą (boć to jeszcze wtedy mandatary po wsiach bywali), a on też ich zaraz zamknął do kozy, i napisał o tem do regimentu.

Ja gorąco dziękowałem panu Bogu, że się to na tem cała przygoda skończyła, a zapłaciwszy co się należało, zaprząłem koniki, i dalej wio! do domu. W drodze dopiero cała rzecz dobrze mi się wyjaśniła. Oto jak mi te draby ściągnęły buty, to mnie się śniło, że ja przez wodę brodząc, i z chłodu kuliłem nogi pod siebie; a jak mi trzos odpinali, to ja niby zawikłałem się w pasie między owemi łożynami. Ale na ostatku było najcudowniej, bo owo jak im jeszcze tego dość nie było, i zdjęli mi płótniankę, tak za łaską Bożą haftka od płótnianki zaczęła się o sznurek od szkaplerza, i jak z nich któryś chciał porwać odzienie, tak i mnie szarpnął sznurkiem za szyję tak mocno, że m się aż obudził. Cudownym więc sposobem obroniły mię szkaplerz i haftka od wielkiego nieszczęścia, za co niech i dziś będzie panu Bogu chwała!

Spokojnie i szczęśliwie zajechałem już ztąd do domu. Radości było nie mało z mojego powrotu, i z tego że m się na Rusi dobrze sprawił; ale co najwięcej uciechy to było dopiero wtedy, gdy m Małgosi opowiedział cały ów przytrafunek w Niemandowskiej karczmie!

— A widzisz, co to szkaplerz! rzekła moja plaskając w ręce.

— Ba — odezwę ja się — a gdybym nie był miał płótnianki z haftkami jeno jaki frak kusy, toby mi także nie było pomogło! — i ucałowałem z radości moją kobiecinę.

Później, w jesieni, że pieniędzy było dosyć, więcem odwoził Franusia do Krakowa do szkoły. Małgosia płakała, ot zwykle jak niewiasta, a ja tak mówił do Franusia:

— Pamiętaj chłopcze, żeś się na polskiej Ziemi urodził, w chacie wiejskiej i z ojca kmiecia wiejskiego. Miej w miłości ziemię i tę chatę, i w poszanowaniu zwyczajów ojcowskie, a nawet tę magierkę i tę kapotkę co ją masz na sobie, bo to wszystko świadczy, żeś ty nie Niemiec ani Moskal, ale na tej tu naszej Ziemi zrodzony. Może ci trudno będzie iść w grubej gurbanie między pańskie syny, to każ sobie z cieńszego uszyć sukna, ale tym samym krojem z haftkami i pętliczkami, żeby ci każde spojrzenie przypominało żeś wyszedł i czem jesteś! —

I dotrzymał Franuś rzetelnie mojej rady, za co niech go pan Bóg błogosławi.

RÓŻNOCI.

Szarańcza. Nie pomogły deszcze ani zimna wiosna do wygubienia szarańczy, która zeszłego roku jaja swoje u nas zakopała. Już od połowy przeszłego miesiąca lamentują gospodarze na Podolu i Ukrainie, że mnóstwo szarańczy ze ziemi wyłazi, i aż czarno po polach, tyle tego paskudstwa skacze. Robią tam ludzie co mogą, ażeby tę plagę wytępić, aleć kto wie czy ona i dalej nie powędruje, zwłaszcza jak dostanie skrzydła, bo wtedy nie tak ją łatwo wygładzić. Trzeba się więc mieć na baczności i na pogotowiu, jakby przyleciała; co zaś z nią robić, o tem napisałem wam już rok będzie prawie, na samym początku IIIgo Tomu Dzwonka. Przeczytajcież sobie uważnie to co tam stoi, a zresztą może też urzędy i co lepszego wymyślą; na wszelki przypadek niech was pan Bóg ma w swojej opiece i ochroni od tej plagi, a jeżeli już dotknął, to niech w czem innym szkodę stokrotnie wynagrodzi!

Kometa. Widujecie już pewnie od kilku dni nocą na niebie podle gwiazd, co to się zowią wozem Dawidowym, jasną jak jutrzienka gwiazdę, za którą się wlecze jasność uiby miotła długa, z promieni nawiązana. Taka gwiazda z ogonem nazywa się

kometą. Bo to trzeba wiedzieć, że są różne gwiazdy: jedne ciągle na jednym stoją miejscu, i te się zowią *gwiazdami stałemi*; taką też jest nasze słońce. Inne gwiazdy kręcą się koło takich gwiazd stałych, i od nich biorą światłość i ciepło, te się zowią: *planetami*, a taką planetą jest ziemia nasza i owa piękna jutrzienka. I znowu około tych planet kręcą się jeszcze gwiazdy, i od planet biorą światło, a te się zowią *księżycami*, jakim jest nasz księżyc czyli miesiąc. Ale prócz tych są jeszcze inne gwiazdy, które chodzą luzem po niebie, jak włóczęgi, długi ogon ciągnąc za sobą; te się zowią: *kometami*. A tu skoro się zjawi taka ognista miotła na niebie, to ludziska ciemne się zaraz strachają, a głupie baby wróżą, że to znaczy pomor, wojnę, głód, i Bóg wie jakie jeszcze nieszczęścia. I zawsze wywróżą: bo jużćić gdzieś na świecie zawsze się takie nieszczęścia trafiają; nie tu, to tam, czy to kometa pokaże się na niebie czy nie. Ale pojrzyjcie koło siebie, a obaczycie, że pijaństwo, lenistwo, klótnie w chałupie, w gromadzie, i między panem a chłopem, między monarchami a ludem — to straszniejsze jak kometa: bo gdyby nie było tych klótni, tego pijaństwa, lenistwa, to nie byłoby nigdy wojny, pomoru i gło-

du, choćby sto naraz mioteł ognistych na niebie zaświeciło.

Grady i nawałnice. Nie tylko drogą a biedną ziemię naszą oczystą nad Wisłą, Sanem, Dniestrem, Bugiem i litewskim Niemnem, nawiadzały tego czasu srogie grady i nawałnice, ale i te ziemie, kędy mieszkają Węgrzy, Niemcy, Francuzi i Włosi.

Trafiła kosa na kamień. Król polski *August drugi*, a będzie temu lat sto pięćdziesiąt jak on panował w naszej ziemi, taką miał wielką siłę w rękach, że łamał najmocniejsze podkowy, a srebrne kielichy gniótł w palcach jak wosk nieprzywierając. Nikt mu też długo nie mógł sprostać; aż ci raz przecież trafił na swojego. Owóż pbsłuchajcie jak to było.

Za prostego człeka przebrany, jechał sobie pewnego razu król August na koniu, a tak przyjechawszy do małej wioski, zawołał kowala i kazał sobie konia podkuć, bo przez drogę zginęło dwie podkowy.

— Tylko zrób mocno, żeby się prędko nie połamały! — zawoła król na kowala.

— Oho, tego mi nie trza powiadać! — rzecze kowal, chłop sążnisty, nie poznawszy króla — i sam djabeł nie rozłamał by mojej podkowy! —

— No, no, zabaczymy! — odrzekł król August i uśmiechnął się tylko.

Nie minęła godzina, aż ci tu kowal niesie już podkowy gotowe.

— Są, jak pieniądz! — zawołał majster i brzęknął jedna w drugą.

Król spojrział i nic nie mówiąc bierze za jedną -- prach! — złamał; więc huknie na kowala:

— Cóż ty drażalu sobie myślisz, że mi takie podkowy dajesz jak opłatki! Róbże coprędzej inne!

Zdziwił się strasznie biedny kowalisko i poszedł do kuźni kuć inne podkowy, a niewiele czasu minęło, sunie już ze świeżemi. Aż zsunął nieborak od strasznej pracy, abyć już były jak się patrzy i mocne i twarde. Ale król nie próbował już tą razą, jeno każe corychlej okuć konia. Wnet się też sprawił kowal i przychodzi po zapłatę, a król sięguie do kieszeni, i wyjąwszy dwa talary rzuci je na stół.

Brzękło srebro i zaświeciło; kowal popatrzył na pieniądze, oglądnał, a wreszcie chwycił jeden — prach! — rozłamał; chwycił drugi — prach! — rozłamał i zawołał:

— A jakież mi to talary dajecie łaskawy panie, tać to jak opłatki! — i nuże się śmiać z całego garła.

Pomiarkował się zaraz król, że trafił na swojego; więc rzucił kowalowi cały worek z pięknemi, bitemi talarami, i odjechał. A majster śmiejąc się jeszcze głośniejsze, brzęknął workiem i zawołał za odjeżdżającym:

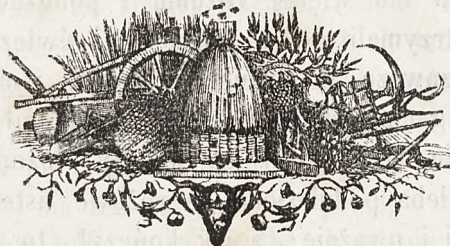
— Trafiła kosa na kamień! —



21. Lipca.

1861.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Jan z Dukli.

W miasteczku Dukli mieszkało dwoje pobożnych ludzi. Ojciec był rzemieślnikiem i rękami zarabiał na życie: od niedzieli do niedzieli pracował, najraniej wstawał a ostatni legał, nigdy na grosz nikogo nie oszukał, a robotę na czas, jak obiecał, to pewnie dostawił, że tam ani godziny nie chybito. Był on przytem najstarszym bratem rozańcowym w kościele — a jako pobożnego znała go cała okolica; zaś matka, jak on nabożna, o dzieci dbała, pracowita i trzeźwa kobieta, należała także do bractwa w kościele.

Owóz tym dobrym ludziom dał pan Jezus kilkoro dzieci, i te chowali pobożnie, aby z nich była pociecha dla Boga i dla ludzi, bo tak sobie mówili:

— Choć tam nie ma w domu ani pieniędzy ani majątku, to przecież najlepsze wiano dla dzieci, kiedy choć biedne, wychowają się w pobożności, a potem czczą Boga, ludziom nie złego nie robią, a dobrego co można,

A otóż był między temi dziećmi drobnemi jeden chłopiec, któremu było na imię Jaś. Osobliwe to było dziecko! Prawda, że pan Jezus dał mu więcej rozumu i pobożności od innych, ale i rodzice trzymali go w karności i ćwiczyli w enotach. Więc też Jaś zawsze do paciorka klękał, i nikt go tam nie potrzebował naganiać do tego, a jak mówił „Ojeze nasz” to rączki ślicznie na piersi w krzyż były złożone, główka prosto, oczka do nieba podniesione, a różowe usteczka odmawiały wszystko powoli i uważnie; a jak kończył, to widać było łzy na twarzy maleństwa jak dwie kropelki rosy na kwiateczku. Potem się nachylił ku ziemi, pochwalił najświętszy Sakrament, ucałował ziemię, przeżegnał się i wstał. Tak go nauczyła matka i tak widział, jak ojciec robił. Biegł potem do kościoła i klękał przed obrazem Najświętszej Panny i modlił się, dopóki ksiądz na mszę nie przyszedł, a potem odsłużył do mszy i późno wracał do domu z modlitwy. To też ludzie gadali ojeu i matee:

— Wy będziecie mieli z tego dziecka poiechę; widać, że ono stworzone na księdza albo na coś większego.

A rodzice brali sobie to do serea i zaczęli Jasia posyłać do szkoły dukielskiej. Jaś się uczył najlepiej, był od wszystkich lubiony, a dzieci przepadały za nim: bo to i pokazał na książce drugim, i przepowiedział kilka razy, a co miał w ręce czy śniadanie czy co, to rozdawał wszystkim, a sam nie raz ani pokosztował. Jak dostał groszyk od księdza proboszcza, to dał biedniejszemu na papier, albo na ołówek, a nieraz bywało chowa do kieszeni tę bułkę, co mu matka dała, i jak zobaczy dziadka, to eichó podejdzie i wetknie mu ją do ręki aby mało kto widział.

Owóz ten Jaś maleńki, skoro podrósł, to poszedł do Krakowa, a tam mieszkał król polski Jagiełło co ze żoną swą Jadwigą wystawił szkoły najwyższe. Dobry znajdzie wszędzie ludzi i miejsce; więc i Jaś znalazł tam w tej szkole co mu było potrzeba, i znali go tam ludzie z jego pobożności i dobrego życia. A skoro już w Krakowie kilka lat przebył, jakoś mu się żał zrobiło za swoim domem, a zresztą chciał swoim rodakom dać dobry przykład i naukę z siebie, i powrócił do Dukli, choć pamiętał dobrze słowa pana Jezusa: *Kto nie opuści domu, ojca, matki, brata i siostry dla mnie, nie jest mię go-*

dzien. Otóż dla niego był pan Jezus nad wszystko, a dusza więcej mu znaczyła nad świat cały.

Przyszedłszy do Dukli, poszedł Jan do niedalekiego lasu, aby nie mieć przed sobą pokusy od złych ludzi, i więcej mieć czasu do modlitwy; poszedł, i tam sobie wynalazł skałę, a na tej skałę miał kapliczkę i przebył tam długi czas jako święty pustelnik. Aleć po niejakiem czasie pomyślał sobie Jan:

— Więcej ma ten zasługi, kto pomaga drugim do zbawienia, niż ten, kto tylko o swoje dba zbawienie. W pustyni można tylko dla swej duszy pracować, a w klasztorze i między ludźmi na parafii można drugim do zbawienia pomagać to naukami, to przykładami i różnym sposobem.

Więc też pomyślawszy tak, udał się Jan do Lwowa, i był tam w klasztorze Franciszkańskim; potem poszedł do Bernardynów, gdzie jako przełożony zakonników wiódł życie bez grzechu, a pobożne i sprawiedliwe. Był on nauczycielem ludu, był doradcą i ojcem dla rodaków, był litośnym dla biednych, a w klasztorze żywiły się gromady ludu biednego. A przyszło do modlitwy, to modlił się najwięcej po nocach przy lampie, przed obrazem Najświętszej Panny, a w dzień to odwiedzał szpitale, to spowiadał, to mówił kazania i naprawiał grzeszników. Miał też tę śliczną enotę, że nigdy na nikogo nie złego nie mówił, wszystkim wierzył, a bywało, powiada:

— Kto drugim nie wierzy, sam wiary nie wart; patrz najpierwej na siebie samego, a nie będziesz miał czasu wytykać co na drugich; w twem oku nie widzisz belka, a w cudzem ujrzysz pałdziorek. —

Choć był przełożonym w klasztorze, to sam najpierwszy wszystko robił, a co mógł sam zrobić, nigdy nie odkładał do jutra ani nie zwał na drugich. I owo Jana święte życie tak było głośne w całej Polsce, że ludzie szli do niego od Krakowa, a sam Król Polski Kazimierz Jagiellończyk cieszył się, że było naówczas w Polsce tylu świątobliwych ludzi, boć to wtedy żył także i św. Kazimierz królewicz w Krakowie, zjechał też do Polski św. Jan Kapistran. Więc byli ci trzej święci mężowie jakoby lilja niebieska o potrójnym kwiecie, ludziom na przykład i naukę od Boga posłana.

O życiu Jana z Dukli dowiedział się aż Ojciec św. w Rzymie. A biedni rodzice dożyli tego, że syn ich choć ze stanu mieszczańskiego, był księdzem, i to tak dobrym, że później świętym i patronem polskim był mianowany.

Ten nasz święty urodzony w roku 1419 w Dukli za króla Władysława Jagiełły, żył lat siedemdziesiąt i umarł dopiero za króla Kazimierza Jagiellończyka we Lwowie, kędy też ciało jego leży, a koło Dukli stoi kapliczka w lesie na skale, gdzie przebywał jako pustelnik. Dzień temu świętemu przeznaczony, jest siódmy dzień Lipca każdego roku.

Módl się za nami św. Janie z Dukli, uproś nam poprawę życia, zgodę i miłość i lepsze czasy, a po śmierci niebo.

Pieśń o św. Janie z Dukli.

(Na nutę jak: „Do Ciebie Panie“).

Błogostawiona Polaków kraino,
Tyś nam wydała dużo świętych synów!
Bóg cię obdarzył łaskami wielkimi,
Byś przodowała w świętości na ziemi,
Byś jako gwiazda w kościele świeciła,
I wszystkim ludziom dobrą matką była!
Najlepiej w Polsce był Pan Jezus czczony,
Gdy królowali Piasty, Jagiellony:
Wtedy pobożne były wsie z miastami,
Chłopi, mieszczenie słynęli cnotami,
Wtedy i Dukla wydała świętego
Patrona Polski, Jana Dukielskiego.
Rodzice jego nie króle, ni pany,
Lecz rzemieślnicy i proste mieszczańcy;
Ich imię słynie nie z rodu lub złota,
Lecz z poczciwego polskiego żywota.
Janie Dukielski, naszej ziemie perło,
Ty zdobisz bardzo Jagiellonów berło!
Musi być święta ta Polska Korona,
Gdy nam i Ciebie dała za patrona.
Od dobrych ojców miałaś dobre rady,
Zdrowe nauki i święte przykłady,

Bóg Cię prowadził cichemi drogami,
Aż Cię umieścił między kapłanami.
Byłeś we Lwowie zakonnikiem wiernym,
Nauczycielem, ojcem miłosiernym,
Wszystkie twe siły użyłeś do tego,
Aby prowadzić chłopków do dobrego.
Serce twe było święte, nieskalane,
Szczere, niewinne, dla wszystkich wylane,
A życie całe jaśniało czynami
Jak to słoneczko, co świeci nad nami.
Ciało twe leży we Lwowie w kościele,
Tam polskich kmieci idzie bardzo wiele
Z skruszonym sercem i prośbą do Ciebie,
Byś nam dopomógł w tak ciężkiej potrzebie.
O nasz patronie, ty synu ludowy,
Zdejm z kości naszych te ciężkie okowy!
Uproś nam szczęście, z Bogiem królowanie,
O nasz patronie, o Dukielski Janie! —

Amen.

Ułożył: ksiądz Wojciech z Modyki.

Sąd na Żyda mielnika, a wyrok Boży na starostę.

Było to w małym miasteczku Uściu solnem, gdzie wpada rzeka Raba do Wisły. Od tego też *ujścia* rzeki zowie się miasteczko, a solne ztąd, że w niem istniały składy Bocheńskiej soli, którą tu na galary ładowano i Wisłą het, het w dalekie okolice spławiano. Lat temu sto blisko, jeszcze za rządów polskich, za ostatniego a nieszczęsnego króla *Stanisława Augusta Poniatowskiego*, Uście solne, licha dzisiaj miejscina, było miastem obwodowem, a jako mieszkanie starosty, licznie zamieszkałe i bogate. Mieszczanie, wolni obywatele i posiadacze gruntów, uprawiali jak dzisiaj rolę, inni trudnili się handlem: bo też położenie samo miasteczka nad spławną rzeką ułatwia wielce wywóz i odstawę towaru. Toć też od dawna spławiali mieszczanie na galarach aż do Warszawy różne jarzyny, ogrodowiny, szczególnie zaś cebulę; a i dziś jeszcze dobrze spieniężają w Warszawie, gdy jaj kurzych na sprzedaż dostawiają.

W tem tedy miasteczku za dawnych jak mówią czasów mieszkał pan bogaty, właściciel wielu okolicznych włości, a nazywano go starostą, bo on był oraz wysokim urzędnikiem i miał się starać, aby w tych stronach wszystko w porządku się odbywało. Ale pan starosta baczył tylko na siebie, i żył ludzką krzywdą; na swoim dworze utrzymywał pacholków, a ci stróżowali swego pana, lecz zato obdzierali i ludzi co nie miara. Źle to było bardzo, ale działo się też w czasach, kiedy nieprzyjaciele nasi, szczególnie Moskale, nie dali nam u nas we własnym domu żadnego porządku zaprowadzić, i owszem podburzali brata na brata, wicherzyli gdzie mogli, i najgorszych ludzi wspierali, aby takim sposobem cały kraj w nieładzie będący pod swoje panowanie zagarnąć. I tak ci też zrobili! Oj z piekła rodem te Moskaliska! Dobrzy nasi obywatele radzili jak mogli, by niezgodzie i nieporządkowi zapobiedz, ale Moskale wszystko, co nas na nogi postawić miało, odrzucali, wszystkich prawych i poczciwych ludzi, ba nawet biskupów samych precz na Sybir w lodowate kraje wywozili i wyganiaли, a z takimi jak nasz pan starosta, ściśle się zaprzyjaźniali. To też nie dziwota, że kraj nasz upadał coraz bardziej, a nasz starosta gnębił i gnębił, darł biedne ludziska choćby z ostatniego grosza, a nie bał się nikogo, bo Moskali miał za sobą.

Byłoć raz, że wystawił na rzece Rابية młyn wielki, i wypuścił ten młyn żydowi w dzierzawę. Żyd jak żyd, nie musiał być nic dobrego, bo ta i żyd jeźli poczciwy, nie wdawał by się w żadne sprawy z tak niegodziwym panem; aleć żydzisko szukało widać tylko zysku, choćby niewiem z jaką krzywdą ludzką połączzonego.

Mało było staroście, że sam ciemniżył: nastał mieszczanom jeszcze niepotem dzierzawcę, żyda. Żyda był panu dogodny: nadskakiwał zachceniom pańskim, a płacił regularnie czynsz dzierzawny, na jakiby się nikt zresztą zobowiązać nie chciał: to też postanowił sobie przynajmniej dwakroć tyle na mieszczanach wynagrodzić: kazał sobie dużo płacić od mlewa, żądał miarki mąki od każdego zmielonego. korea, i co mógł wydziwiał, jak gdyby jaką straszną łaskę robił temu, kto do niego do młyňa posyłał. Nie też dziwnego, że każdy wolał raczej

jako tako zgnieść ziarno na domowych żarnach, i grubemi śniademi pożywić się kluskami, niż posyłać do młewa obrzydliwemu żydowi. Tak więc niezawodnie skapałby był żyd z kretešem, lecz wolał się udać do niegodziwych sposobów. Otóż Mundek (tak bowiem zwało się to żydzisko, którego mieszczanie mówiąc grzecznie, panem Mundziem nazywali) zwąchał się z pachółkami starosty, napadał z nimi domy mieszczzańskie, i tam dopiero zabierali żarna, tłukli, a kamienie ze żarn topili w pobliskiej kałuży, mówiąc ze złością, że dobry pan na to młyn wystawił, aby mieszczanie piękny chleb jadal, a kiedy oni się na dobroci pańskiej nie rozumieją, to ich przymusić wypada, żeby słuchali swego opiekuna i dobrodzieja. Taki ucisk dochodził do ostateczności. Skarzylić się ludzie do starosty, ale żyd tak tam pana jakoś przekonał, oczerniając najpoczciwszych mieszczan, że pan, co sobie i tak nie wiele robił z krzywdy ludzkiej, kilku z miasta przytrzymać i obić kazał. Serce pękało na taką niesprawiedliwość, ale darmo! biedni musieli znosić ziarno do młyna, bo starosta powyznaczał nawet, jak dużo ziarna każdy mieszczanin mleć powinien. Oj ciężkość przychodziło jeść chleb biały! ale trudno! nosili ziarno do młyna, choć go ni połowy ztamtąd nie odbierali. A tu Mundek wydziwia, bo na każde zawołanie ma pachółków pańskich. Mieszczanie cierpieli jak mogli, ale w końcu i cierpliwości zabrakło przy takim ucisku.

Raz wyjechał był pan, a z nim jego niegodziwa służba. Pojechał Bóg wie gdzie, zapewne zaprzyjaźniać się na nowo z Moskalami, by można i dalej krzywdzić i zdzierać poczciwych ludzi. Więc w niebytności pana nuż się mieszczanie zmagają, aby żyda ukarać przykładnie. Schodzą się wszyscy do ratusza miejskiego; wszyscy, ba nawet kobiety i dzieci, składają się po groszu, kupują kilka łokci płótna, i szyją wielki worek, ale tak, że każdy po kolei jeden ścieg zrobił, aby w razie odpowiedzialności wina na wszystkich ciążyła. Potem wszyscy jak byli, poszli do pana młynarza i pakują jegomości do wora, dodając kamieni. A tak ich jakoś dziwnie bieda i złość ku mielnikowi osłepiła, że zgola nie wiedzieli do jakiej zbrodni się zabierają. Było to w młynie; nie też naturalniejszego, jak że w bliskiej Rabie miał żyd zakończyć nieuczciwe życie. I tak

się też stało. Pchnięty wyładowany worek potoczył się ku wodzie, zabulkotało tylko, i wnet kamienie wciągnęły go aż na samo dno rzeki! — Cała ta straszna sprawa odbyła się w jednej chwili; mileżące tłumy robiły jak jeden człowiek, a tak wszyscy byli rozjątrzeni na nieuczciwego żyda, że i słowa nie pozwolili mu wypowiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Pewno, że wzdryga się myśl ludzka na tak straszną karę, aleć nie wiedzieć wreszcie jak tu osądzić całą sprawę. Mieszczanie zawinili bardzo, bo nie mieli prawa robić sobie samym sprawiedliwość; powinni byli przecież udać się albo do jakiego wysokiego sądu na skargę, albo do księdza plebana, i jemu opowiedzieć, co się to dzieją za krzywdy w mieście; tylko, że to w chwili niebytności samego gnębiiciela nie było czasu pomyśleć o tem — więc osadzili bez namysłu mielnika, i zaraz zapamiętały wykonali karę. Oj! drzeć też, drzeć na wspomnienie, że starosta wcześniej czy później dowie się o ich postępkach. Zdawało się, że sąd Boży zbliża się na biedne ludziska! A tu jeszcze dopowiadają, że jeden z pozostałych we dworze drabów przeleciał na koniu jak strzała gdzieś pewno donieść staroście, co się stało ze żydem; inni mówili, że starosta co tylko nie powróci, bo nie pojechał daleko.

Straszne myśli snuły się po głowach mieszczan. Niektórzy więcej tchórzliwi, już najprzód myśleli się wynieść z miasta, a kilku się nawet wyniosło, zostawiając żonę i dzieci na pastwę zemsty; inni postanowili bądź co bądź czekać woli Bożej i Jego sądów. Już przyjechało naprzód kilku pachołków starosty. Straszne rzeczy, bo starosta już się zbliżał do granic miasteczka. Sądy Boże! co tam naprzód lamentu a strachu, to ani pojąć temu, kto tego nie widział. A tu pachołkowie, co ta jeszcze Boga w sercu mieli, sami skruszeni rozmawiają z ludźmi i straszą, jaki to tam rozżarty starosta, jak on się mścić będzie! No! już głowy nie stało biednym mieszczanom.

— Dziej się wola Twoja Panie, niechże nas wszystkich wytopić każe! mówią jedni.

— Tego by sam nie zrobił starosta, bo któżby pozostał w mieście; zresztą i na niego by się w końcu znalazła sprawiedliwość. — Nie ma na to trybunałów — mówili inni. — Aleć

doprawdy woleliby byli ludziska raz zakończyć życie, niż żyć w takim ucisku i nędzy.

— Straszne rzeczy! co się to tu stanie z naszą mieścina?

— Ja ta przy tem nie był — rzekł jeden.

— Niebyliście panie Józefie? — Przecież ja po was zrobiłem ścieg igłą.

— Alem nie był przy Rabie.

— A tośmy też wszyscy byli przy Rabie — mówił pan Jan — toć moja was widziała panie Józefie, jakeście nogą popychali żyda do wody.

Zarumienił się pan Józef, i nie nie rzekł. Józef należał do ludzi, co udają zuchów, gdzie niema niebezpieczeństwa, a tchórza gdzie strach, i winę na innych zwałają; lecz wnet poznał pan Józef, że mu się tą razą nie uda.

Tak rozmawiało kilku mieszczan cicho i urywkami, obawiając się, aby zaś szeleszczący wietrzyk nie doniósł ich słów do uszu starosty. Długo, długo radzili, wreszcie się zgodzono, aby każdy zapytany szczerą prawdę powiedział i na siebie winę przyjął, choćby mu się niewiem co za to dziać miało.

Rozmawiają jeszcze, a tu leci jakiś parobek z Nadwiśla, leci z krzykiem ze żalu czy z radości, a woła z daleka:

— Słuchajcie, kulony! słuchajcie: Starosta.... I nie może parobek mówić ze zmęczenia.

Przepuścili mu tą razą mieszczanie, że ich kulonami nazywał, a pytają na pół z strachem, a na pół z ciekawości:

— Co? co starosta?

— Nieżyje!... zaledwo wymówił chłopek.

— Co? nieżyje? — razem wykrzykli.

W jednej chwili wielka gromada ludu jak-by wyrosła ze ziemi, a parobek nuż im opowiadać:

— Kark skręcił, nogi połamał, na Macieynie; wieżą go nieżywego. W złości klął na woźnicę, przeklinał Ujszczanów. Spali, mówił, całe miasto, zniszczy wszystko na czem świat stoi — w tem wyskakuje, padł, wywrócił się z góry, i wyzionął czarnego ducha. —

Wszyscy osłupieli na taką mowę, stanęli jak-by piorunem rażeni, patrząc jeden na drugiego. Nie rozmawiali nic więcej,

rozeszli się po chwili, mileząc, bo każdy widział w całym zdarzeniu słuszne a straszne wyroki Nieba.

Niezdługo przywieziono martwe ciało starosty, a w tym samym czasie wydobyli żydzi trupa utopionego młynarza. Żydzi powieźli swego do Wiśnicza, a czereda pachotków porwała ciało starosty precz, czart wie w które strony. Ni żony ni dzieci nie miał ten pan niegodziwy, bogacz a sam jeden, bo Pan Bóg tylko bogobojnym i zacnym pozwala używać szczęścia w kole rodziny; przecie choć samemu, mało mu było lieznej posiadłości, bo obdzierał ludzi z grosza, by tylko nowe i coraz inne wyprawiać zbytki. Więc Bóg osądził już niedobrego pana i wymierzył nań zasłużoną karę; lecz inaczej było ze żydem. Tego osądziła ludzka i ludzka ukarali; toż przyszło im niezdługo odpowiadać za swoje czynności. Żydzi zaskarżyli mieszczan i aby tem prędzej sprawiedliwość znaleźć, udali się ze swą skargą wprost do króla do Warszawy. A jak się ta sprawa dalej potoczyła, opowiem wam za drugą razą.

Piękne przykłady.

Czytelnia w Myślenicach.

Trafiło mi się już nieraz, żem słyszał podeszłych gospodarzy, jak narzekali że czytać nie umieją, żeby się radzi dowiedzieć z druków o tem i owem, a tu skoro przyjdzie spoglądać na książkę, to jak na jakie dziwo. Ha, i mielić słuszność owi gospodarze, bo to musi być bardzo przykro, kiedy człowiek patrzy na drugiego, a on sobie czyta różne dziwne i śliczne rzeczy, zaś samemu ani rusz poznać choćby jednej kreski! Przekonało więc to już wielu ludzi, że choć-eś prostym człkiem od roli, to ci zawsze umieć na książce się godzi, a potrafić też napisać co na papierku także nie zawadzi. Nie zabije cię ta nauka; ot, za młodych lat rok i dwa w szkole, a jużoi rzecz skończona, jest wygoda i przyjemność na całe życie. Więcej też teraz jak poprzód wysyłając dzieci do szkoły, i coraz bar-

dzień ludzie po wsiach zabawiają się czytaniem, kiedy chwila wolna, z czego i pożytek dla nich nie mały, i uciecha panu Jezusowi, kiedy widzi, że zamiast grzeszyć, pić i puszczać się na psie figle, jedno i drugie święto przykładowie przepędzą.

Bywa atoli czasem, że człowiek umie czytać i ma w domu książkę do nabożeństwa i opisanie męki Chrystusa Pana, a przeczytał już to sobie nie raz i nie dwa razy, i radby w wolnej chwili i w inną zaglądnąć książeczkę, a tu rozstąp się ziemio, nie znajdziesz. Pożyczysz ci tam wprawdzie nieraz Dobrodziej z plebanji, albo kto we dworze, aleć czasem i oni stósownych książek do czytania dla prostego człeka nie mają, albo już i im niestarczy, więc błąkasz się i chodzisz, i nie wiesz jak sobie zaradzić.

Owóż tak samo było i w miasteczku Myślenicach w Wadowickim obwodzie. Dużo tam ludzi umie czytać, a nie łatwo było znaleźć gdzie jaką książkę; więc natchnieniem Bożem pani *Ludwika Leśniowska*, co tam w Myślenicach mieszka, pomyślała sobie:

— Hej, miły Boże, żeby to można gdzie zebrać całą szafę książek, i rozpożyczać ludkowi do czytania, toby to ztąd wielki był pożytek i chwała Boża.

I myślała dalej ta dobra Pani o tem, jakto często pan Bóg najszlachetniejszym ludziom w ucziwej błogosławi rzeczy, że tak ni ztąd ni zowąd samo się zkądś weźmie, i jakby kwiatek z ziemi wyrośnie. Więc mówiła sobie dalej:

— Nie mam ja ci prawda wielkich majątków, nie mam też i sił tak dużo jak inni ludzie, ale mam dobrą wolę co mi ją pan Jezus natchnął, więc spróbuję czy sama trochę książek dla ludzi zebrać nie potrafię. Prości i pokorni byli apostołowie Pańscy, a przecież roznieśli naszą wiarę świętą po całej ziemi, bo mieli moc Bożą po sobie; więc i mnie słabej może Pan Bóg w ucziwej myśli poszczęśli.

Jakoż przeżegnała się ta pani Ludwika, i nuż rozpisywać po ludziach z prośbami, żeby jej książek co kto może nadsyłał, a nie żadnych niemieckich zagranicznych, ale takich coby były po swojemu zrozumiale pisane, a z pożytkiem i zabawą dla wiejskich i miejskich ludzi. I tak rozpisawszy to, czekała

pani Leśniowska spokojnie co pan Bóg nadarzy. A owóz poszczęścił jej pan Jezus w tem dobrem przedsięwzięciu, bo wnet zaczęli różni dobrzy ludzie nasyłać po kilka i kilkanaście książek, a dobra pani z wielką uciechą zaczęła to układać w szafkę, i nuż rozpowiadać znajomym, że ma dla nich siła rzeczy do czytania, żeby sobie przychodzili do niej, jak który zapragnie.

Jakoż z największą chęcią zaczęli się zbiegać różni ciekawi, to gospodarze wiejscy i dziewczęta, to ze samego miasteczka, wreszcie małe studenty ze szkoły, żeby tylko coś ładnego do czytania dostać. Pani Ludwika z największą chęcią pożyczała książki to temu to owemu, a prosiła tylko żeby odnosić jak już kto przeczyta, bo drugiemu trzeba ją będzie dać gdy zażąda. I za całą tę życzliwą uczynność nie żądała dobra Pani chyba „Bóg zapłać“ w nagrodę.

Owóz jak się to w imię Boże rozpoczęło, tak się już do dziś dnia trzyma. Zrazu zaczął tam urząd się mieszać, bo myślał że w tem co złego; aleć skoro zobaczył, że to rzecz niewinna, i owszem do podniesienia i pożytku ludzkiego urządzona, więc nie tylko że nie mówi, ale owszem dla areztantów książki od owej Pani pożycza, żeby i ci biedacy nabożnem czytaniem pana Boga za swe grzechy przeprasza, do uczciwego żywota się wprawiając. Jak po wodę do dobrej studni, schodzą się dziś do Myślenic różni ludzie, czy gospodarze czy wójcia, i biorą od tej pani i błogosławią jej bogobojne chęci. Co najwięcej, zatrudnia się tem od początku gospodarz z Polanki imieniem *Józef Pasternak*. Ten to pobożny i uczciwy człowiek chodzi i przynosi książki, i czyta ludziom w niedzielę po niesporach, a ludzie się różnym ciekawym i ładnym rzeczom ledwo nadziwić mogą.

— Mój Boże — pomyślałem ja sobie w duszy, skoro mię gadka o tem wszystkim aż tu do Lwowa doszła — żeby to tak nie tylko w jednym miejscu, ale choć co pięć mil jedna szafka z książkami u kogo była, czyto przy szkółce, czy przy kościele albo też przy dworze, ileż by to ludzie dobrego i ładnego duchem nauczyć się mogli; ileż by to, jak przyjdzie święto, ślicznej zabawy i uciechy było, jak długi dzionek Boży! Dziś jak przyjdzie dzień Bogu poświęcony, to cóż gospodarz najczęściej robi? Oto nie

pracując ani w polu ni w domu, idzie do karczmy na zabawę, a tam od niedzieli do niedzieli zawsze jedno; to choć najlepszego, ów czart skusi, co mu nawet rogów z kieliszka nie widno. Mój Boże, żeby to tak było, niejednej plotce nie wierzyli by ludzie, a wiedzieli sami ze siebie, jak tam co gdzie w świecie pan Jezus postanowił, i nie byłoby oszukaństwa, bo by się każdy łatwiej na niem poznał.

Da Bóg łaskawy, może tak kiedyś będzie, tymczasem dziękujmy Mu, że już od początku natchnął ową dobrą panią Leśniewską, za co niech i jej tu będzie podziękowanie.

Grzesz z Mogiły.

0 małżeństwie, słów kilka.

Bywa to często między ludźmi, że sobie za nie mają żeniaczkę; ot tak, byle sobie dogodzić i pohulać na własnem weselu. Nie patrzą oni na to, że często po trzech dniach wesela następuje całe życie biedy; nie dbają o to, że małżeństwo jest świętym i ważnym sakramentem, od samego pana Jezusa naznaczonym.

W piśmie świętem stoi napisane: *Małżeństwo wielki sakrament jest, lecz ja mówię: w Chrystusie i w kościele.* Cóż znaczą te słowa pisma św.? — oto że małżeństwo jest takim połączeniem, jakoby Chrystusa z Kościołem. Jak Jezus Chrystus kościół kocha, strzeże i do wiecznego żywota prowadzi, tak też czynić ma mąż względem żony. A jak kościół uznaje Chrystusa za głowę, i kocha go i czci, taka też ma być żona względem męża. Jako Chrystus na wieki wierny zostanie Kościołowi, a Kościół Chrystusowi, tak też wiernymi aż do śmierci mają być dla siebie mąż i żona. Oboje mają być nierozłączeni w jednej wierze i miłości, i życiei cnotliwem; wspólnie mają pracować, jedno dla drugiego się starać, jedno drugie poważać i poprawiać, wspólnie się cieszyć i wspólnie się smucić aż do śmierci. Przy ślubie kładzie ksiądz obrączki na palce pana młodego i młodej panny na ten znak, aby jak ta obrączka nigdzie się nie kończy, ich miłość i wierność nigdy się też nie kończyła. Więc też śmierć jedna może małżeństwo rozłączyć.

Widno z tego że para małżeńska, jeżeli ma być wedle woli Chrystusa Pana i kościoła, musi być enotliwa, miłości pełna, wierna, zgodna, pracowita i o swe dzieci dbała. Jeżeli jednej tylko z tych enót brakuje, to już małżeńska para popełnia grzech przeciwko najświętszemu Sakramentowi.

A jakżeż trzeba sobie postępować, aby w niezem małżeństwu nie uchybić? Owóż najwięcej trzeba pamiętać o tem, aby tak ojcowie jak i państwo młodzi dobrze się poznali, na wszystko się oglądnęli i wszystko dokładnie rozważyli, zaczem skojarzą małżeństwo.

Parobek zabierający się do stanu małżeńskiego, powinien mieć najmniej lat około 24; powinien być stateczny i enotliwy, zaradny i pracowity. Dlatego żenić się nie może kaleka i chorowity, ani zgrzybiały starzec. Parobek taki ma umieć składnie orać, młócić, kosą w żniwa siec, konie do woza zaprządz, pług sobie przyrządzić, kiedy się co zepsuje naprawić; powinien znać się na roli, na uprawie, na siewie, sprzęcie, chudobie i na innych rzeczach rolniczych. Powinien sobie także wysłużyć ładny przydziewek, i co nieco grosza na zapomożenie. Tak się może żenić, a biedzie się nie da, i żona jego byle rządną była, zawsze będzie miała wsypać co do garnka. Pokorny w domu, pobożny w kościele, rączy przy pracy, wesoły i śpiewny na zabawie, obrotny między ludźmi: taki parobek niech się żeni, bo w domu jego i w rodzinie będzie szczęście i Boskie błogosławieństwo.

A dziewczyna idąca za mąż, ma być rodzicom posłuszna, matce we wszystkich pracach chętnem sercem pomocna, a porządna, zaradna i czysta; czy to w święto, czy w dzień roboczy, ma być choć ubogo lecz chędogo ubrana, a pracowita i wesoła; nad strój enotę kochać powinna, i być wstydlivą i w bojaźni Bożej wyćwieczoną. Powinna znać się na syciu, na lninie, przędziwie, na nabiale, na gotowaniu i na pieczeniu chleba, na praniu i na wszystkich niewieścich zatrudnieniach.

Skoro już młoda para osiedzie na swem gospodarstwie, więc tam jest mąż głową rodziny. Powinien on całą swą ro-

dzinę kochać, na jej utrzymanie pracować i od złego ją chronić. Przykazania Boskie powinien dobry mąż założyć jako fundament w sercu swoim; strzedz się ma, żeby nigdy na grzech w rodzinie swojej nie zezwolił. Przez wszystkie dni żywota swego powinien szanować starego ojca i starą matkę swoją, a nigdy im zmartwienia nie zrządać; twarzy swej nigdy nie ma odwracać od nieszczęśliwego, kaleki i ubogiego, a czynić jałmużnę wedle majątności swojej, bo wtedy i Bóg nigdy oblicza swego od niego nie odwróci. Ktokolwiek pracuje dla niego, natychmiast mu winien oddać zapłatę. Uboższymi od siebie nigdy pogardzać nie ma, bośmy wszyscy bracia między sobą, a dzieci jednego ojca. Rady od mądrych i starszych niechaj chętnie przyjmuje. Czego by nie chciał, aby mu kto inny czynił, tego i drugim czynić nie ma.

Żona zaś jest gospodynią domu. Dobra żona, to dar Boga, mówią ludzie; a w księdze mądrości stoi zapisano: *Niewiasta dobra cieszy męża swego. Jako słońce wschodzące światu, tak niewiasta dobra na ozdobę domu jest.* Powinna więc żona w rodzinie być jako pszczołka: pilna, pracowita i rzędna. Co mąż zapracuje, to żona gospodarnością i oszczędnością pomnażać ma. Jako pszczołka lata a brzęczy wesoło, miód zbiera i do ula znosi: tak żona w domu ma się krzątać a wesoło pracować, zbierać i spiżarnię pomnażać. Jako pszczołka cudnie i czysto plastry miodu układa, tak dobra żona wdzięcznie i czysto dom urządza. Jak pszczołka oszczędza miodu, aby mieć zapas na zimę, tak dobra żona oszczędza dostatków, aby nigdy w domu niczego nie zabrakło. Jako ludzie dziwiają się gospodarności w ulu żwawej pszczołki: tak się dziwić mają rzędności dobrej żony w chędogiej zagrodzie.

Jeżeli Pan Bóg młodą parę dziećmi obdarzy, wtedy mają oboje strzedz drobiazgu jak żrenicy w oku. Mają oni dziecko nietylko żywić, ubierać i o jego zdrowie się starać; ale także pilnie dbać o jego wychowanie, zawczasu je od złego odzwyczajając, a do dobrego prowadzić, uczyć paciorka, posłuszeństwa dla rodziców i zachowywania przykazań Boskich.

Jeżeli para małżeńska wszystkich tych cnót gorliwie przestrzegać będzie, to jej Pan Bóg błogosławieństwa swego użyczy.

Nie zazna ona biedy ni nędzy, a w szczęśliwości żyjąc, będzie się cieszyć szacunkiem i przyjaźnią ludzką.

Grzesz z Mogiły do swoich znajomych, *na ich miłe listy.*

Dużo ja nieraz liścików odbieram od miłych mi znajomych i mniej znanych ludzi, a korci mię, żeby choć słówkiem odpisać, to podziękować za dobre słowo, to poradzić gdy pytają o co, to wreszcie bodaj pozdrowić serdecznego kuma, wraz z kobieciną i dziećmi. Nie stać atoli człowieka na tyle czasu i papieru, a zresztą i poczta dąży kosztuje, co także przy tych złych czasach dla mnie chudziny coś waży. Otoż, pomyślałem sobie, że to lepiej będzie drukować w tym tu Dzwoneczku od czasu do czasu bodaj słów kilka do znajomych, gdy odpowiedzieć na liścik wypadnie, a ci co i odpowiedzi odemnie wyglądają, to jeno rzucają okiem, i już ci się dowiedzą jak ich sprawa stoi. Będąc to wprawdzie i inni ludzie czytać, ale my tam między sobą żadnych ciężkich tajemnic nie mamy, więc może cały świat o nich wiedzieć, bo niechwalący się jeżeli co się robi, to tylko na chwałę Bożą i pożytek ludzki.

Do *P. S. z Uścia solnego, w Krakowie*. Skromniście bardzo moi mili, a ta cnota Wasza Panu Bogu wielce się podobać musi, bo zawsze więcej waży u Niego dzień lichej pracy niż tydzień krzyku i gwaru, choćby też bliźnim ku pomocy. Mogliście ano przecie napisać mi w waszym liściku jak się nazywacie, bo mi markotno, że nie wiem komu dziękować za tę ładną opowieść, której połowę tu w tym numerku wydrukowaną widziacie. Napiszcież mi więc przy sposobności Wasze miłe nazwisko, a jak zechcecie, to ja o tem nikomu nie powiem. — Waszą radę o bractwach wziąłem sobie do serca, i powiem o niej uczciwym ludziom, a może się co zrobi. Zostajcie z Bogiem!

Do *Jakóba Grygusa w Powodowej*. Nie bądźcie mi też bardzo przeciwni, że mnie wydrukował żywota św. Onufrego. Nie darmo to mówią ludzie: Jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził; taki ja, mozem Wam tam nie dogodził, choć jak mi Bóg miły, że miał chęć przedrukować, aleć mi się za długie na mój arkuszyk wydało. Da Bóg doczekać, to ja może krótszą sprawę o św. Onufrym napiszę, a i na Waszą śpiewkę o wódce może starczy miejsca. Oddaję Was Panu Bogu, a pozdrawiam też obu Ruczajów, Markiewicza i Sitarza od serca.

Do *Stanisława Pysza w Grodzisku górnem*. Wybaczcie moiściewy, że Wasze opisanie Jasnej Góry jeszcze w szufladce leży. Człek by rad z duszy serca wszystko dobre i piękne w naszym „Dwonku“ pomieścić, a tu czasem aż się płakać chce, taki ten arkuszyk maleńki. O Krakowie, królewskim zamku na Wawelu, macie już w Ziemi polskiej co ją właśnie opisuję, więc co w Waszem opisanu o samym kościele stoi, toć to jakoś wyjmijmy i da Bóg podamy do druku. O Humanu także się coś znajdzie w swoim czasie. Wosia i innych znajomych pozdrowicie. Zostajcie w Bogu i w życzliwości ku mnie.

Do *Wojciecha Osowskiego z Wieloswi*. Za wasze szczerze życzenia do składu pięknie złożone, coście mi w liściku przystali, serdecznie wam dziękuję; aleć drukować ich niemogę, bo by rzekli ludzie: Ot, chwali się, jak liszka swój ogon! — a ja i tak co prawda nie zasłużyłem na to. Panu Bogu Was oddaję.

U w a g a. Jeżeli by kto chciał pisać do mnie, to niech na liściku wyrazi: Do redakcyi Dzwonka we Lwowie.



1. Sierpnia.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
t. 11. i 21. każdego
miesiąca



1861.

Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ZYGMUNT TRZECI, KRÓL POLSKI.

I. Kłopot z Niemcami.

Jak zwykle po śmierci króla, tak też i po śmierci Stefana Batorego ogłosił najpierwszy biskup czyli *prymas* bezkrólewie, i objął tymczasem rządy nad krajem, a razem jął też rozpisywać po panach i drobnej szlachcie w całej Ziemi, żeby się corychlej pod Warszawę na obiór nowego króla zjeżdżali. Zaczęli więc ściągać z różnych stron ludzie, a niebawem nadjechali też Zborowscy, wieley panowie a bracia straconego Samuela, a ze swojej strony znów Zamojski, ów waleczny hetman. Zborowscy żli na hetmana, że to do śmierci ich brata wiele się przyczynił, przywiedli ze sobą mnóstwo uzbrojonej szlachty a nawet i porządnego wojska, co widząc Zamojski takóž się wielką siłą zbrojnych przyjaciół ubezpieczył. A widzicie nie było to wedle prawa ludzkiego i wedle Bożych przykazań: bo przy takim obiorze króla, co jest rzecz bardzo ważna, to miało jeno natęchnienie Ducha Świętego rozstrzygnąć, a tu tymczasem jedni na drugich podwodzili, jedni sobie i drudzy sobie, i ani myśli o zgodzie nie było. Nie też dziwnego że i króla nie chcieli

wespół obierać, ale Zborowsey okrzykiwali panem austryjackiego księcia, co się zwał *Maksymiljan*, a Zamojski znów ze swoimi nie chciał na Niemca przystać, jeno prowadził na królestwo *Zygmunta*, królewicza szwedzkiego, co się rodził ze siostry *Zygmunta Augusta*, a więc z Jagiellonki.

Łatwo sobie wystawić jakie to były swary i krzyki na owym zjeździe. Austryjacki Maksymiljan naobiecował Zborowskim mało nie złote góry, jak się tylko na króla dostanie, więc też owi zabiegali co sił starczyło, nie skąpili nawet i pieniędzy gdzie padło, byle tylko Niemca na tron wysadzić. I tak długo ważyło się to tu to owdzie, aż też w końcu zaczęli się ludzie na Zamojskiego oglądać, i widzieli że tam rzecz sprawiedliwsza, i więcej też panów i senatorów po ich stronie; zaś co najwięcej, że za Zygmuntem była także Anna żona zmarłego króla, jako za swym siostrzeńcem. Więc i Litwini i Rusini, jako przywiązani bardzo do rodu Jagiełłów, jeli się garnąć do Zamojskiego, co on widząc że ma większość po sobie, bez pytania się Zborowskich obwołać kazał *Zygmunta szwedzkiego* polskim królem, i wyprawił zaraz posłów do Szwedzkiej krainy.

Zobaczywszy Zborowsey i ich cała strona co to się stało, mało nie popękali od złości, i dalejze ze swojej strony iść do kościoła, i tam odprawili nabożeństwo, i obwołali królem *Maksymiljana austryjaka*, szląc także swoich posłów do niego. Patrzcież więc do czego to złość i zawiść nie doprowadziła! Oto dwóch króli obwołano, a biedny naród nie wiedział nawet co robić, i którego się trzymać, i było ztąd zamieszanie niesłychane po całej ziemi.

Tymczasem wybrał się *Zygmunt* ze swego kraju co za morzem leży, i płynął do Polski, a *Maksymiljan* ze swojej strony zaproszony także szedł objąć królestwo, jeno przewąchawszy, że mu tam nie bardzo będą radzi, najął Niemców we zbrojach *Morawiaków* i innych, i tak ciągnął ku Krakowu. Dowiedział się o tem *Zamojski*, więc jako był skory, tak duchem pobiegł ze swoją garstką rycerstwa przywitać austryjackiego księcia, ale nie bardzo grzecznie, bo obsadził Kraków swoimi, i pokazał mu zęby zpoza murów. Zborowscy posunęli tymczasem z całą swą czeredą na pomoc *Maksymiljanowi*.

Widząc dość znaczną siłę obok siebie, jął się Niemiec kusić o Kraków: to napadał, to straszył, to szturmował i podpalał, ale zawsze go nasi ze szkodą odpierali. Ażei przemyślny książę spostrzegł, że na jednym przedmieściu zwącem się Garbary mieszkają Niemcy, więc z nimi jako z rodakami łatwo się pokumał, a naprowadziwszy nocą żołnierza do ich domów, jął się nad ranem wdzierać do miasta. Hou, strach padł zrazu na naszych, bo Niemcy niespodzianie siedli im na karku; aleć odważny Zamojski każe co tehu zapalać Garbary, a sam chwyta chorągiew do ręki, prowadzi swoich i w puch rozbija niemiecką czeredę. Teraz dopiero źli i zaciekli Niemcy zwalili całą winę na Garbarskich przedmieszczan przypisując im zdradę, i nuż siekać i rąbać swoich niemieckich kamratów. Patrzyli się na to z murów bezpieczni już nasi, i mówili sobie:

— Dobrze tak tym drabom! Niech im się nie zachciewa zdradzać miasta z którego żyją, bo zdrajce Pan Bóg karze; a oto teraz od własnej giną ręki, i dobytek ich cały stopił się w płomieniach.

Po takiej nauczce usunął się Austryjak od Krakowa, a tymczasem królewicz Zygmunt wysiadł już na naszej ziemi, i zbliżał się ku temuż miastu. Niebawem też witali go Krakowiacy jako swego pana, i wnet go ukoronowali na króla. I już zdawało się że spokój, aż tu Maksymiljan dostawszy znowu świeże posiłki, razem z Zborowskimi i ich czeredą zaczął się uwijać po krakowskiej ziemi, każąc się za króla prawego uznawać.

Zamojski aż skoczył od niecierpliwości zasłyszawszy o tem: — Muszę ja go nauczyć! — zawołał odgrażając ręką, i nuż zbierać co było naszych i Węgrzynów, i dalejże ciągnąc na Maksymiljana. Zląkł się książę, skoro mu o zbliżaniu się Zamojskiego doniesiono, a że go już i tak jeden Zborowski opuścił, i z dnia na dzień coraz mniej Polaków było przy nim: więc uszedł do Szlązka i zamknął się w mieście Byczynie, gdzie go niebawem posiłki dojsć miały. Myślał książę austryjacki że hetman nie wejdzie do Szlązka, jako że kraj ten naonczas do Czechów należał; ale Zamojski nie na to dbał, i choć śród mroźnej iskrzącej się nocy przeszedł granicę, a na drugi dzień stanął oko w oko z nieprzyjacielem.

Był to dzień niedzielny, a już koło południa. Zamojski szykuje wojsko do bitwy, aż tu nadejdą inni dowódcy i rzeką:
— Panie hetmanie, zważcie no czy nie będzie już za późno rozpoczynać taniec z Niemcami? —

Zamojski kazał sobie pokazać zegar:

— Ho, ho, jeszcze pięć godzin do wieczora, to wystarczy na oną hołotę.

Jakoż za rozkazem wodza zaczęli nasi nacierać, i nie długo trwała bitwa, aż tu Niemcy w nogi. Nasi kopijnicy gonią i biją piechotę Maksymiljana, aż też sam książę niewiele myślący wpadł z resztą do miasta i zamknął bramy. Spojrzy hetman na Byczynę i myśli sobie:

— Nie takie ja grody zdobywał na Moskalach! — i co prędzej każe otoczyć mury, i bramy siekierami rąbać. Strach padł na zamkniętych, jeśli wysyłać posłów i wchodzić w targi z hetmanem, ale Zamojski nie wiele się wdawał w rozmowy, jeno krótko a wężłowato rzekł:

— Albo się sami dajcie wzięść do niewoli, albo was przemocą wezmę, a wtedy będzie źle.

Na takie ostre gadanie nie było innego sposobu, jeno się poddać. Jakoż Maksymiljan wyjechał z miasta razem z najprzedniejszymi panami, a Zamojski witając z wielkiem poszanowaniem wziął go wraz z jednym Zborowskim i innymi pany do niewoli, wojsko ich do domów rozpuścił i na tem się wojna skończyła.

Po tem zwycięztwie pod Byczyną rozpoczął dopiero Zygmunt w spokoju rządzić. Zaczęło się to świetnym pogrzebem króla Stefana, bo jak wiecie dopiero po obraniu następcy zmarłego króla grzebiono. Płakali ludzie przy tym pogrzebie Batorego, bo im coś smutno seree gadało, że już coraz gorzej, że coraz niespokojniej będzie w biednej Polsce.

Maksymiljan siedział cały rok u nas, jako więzień, choć mu tam źle przez ten czas nie było. Hetman go gościł w swoich zamkach i wodził po polowaniach; jeno co wyjeżdżać nie pozwalał. Dopiero po roku, skoro przyrzekł że Polski turbować nie będzie, wyjechał książę do swej niemieckiej ojczyzny, a tak nam się już tylko jeden król został na tronie.

Miła nam Polska!

Miła nam Polska na żyznym zagonie

Zasiadła, jako u Boga na łonie.

Może nie wiedzieć Polak, co to morze,

Gdy pilnie orze.

Tu gumna w szczyrych polach stoją hojne,

Tu łąn bogaty, tu żniwa spokojne,

Tu chłopek wesół bo pewnie ma wszystko,

Kiedy ma żytko.

Tu zwierza dcsyć, tu bydło rogate,

Tu woły tuczne i owce kosmate,

Pasą się w łąkach jałowice tłuste,

I kozy puste.

Ztąd ma gospodarz i sprzęża do pluga,

Ztąd ma odzież pan i dobry sługa,

Ztąd mięso świeże, nabiału dostatek,

W mieszek ostatek.

Gęsi moc wielka w łągu szczebiotliwych,

Kaczek łakomych, łabędzi krzykliwych.

W domu obfitość sadowi się wszędzie

Kur mu po grzędzie.

Lecz też do stołu nie lada potrawy

I gołębiniec rodzi mu dziurawy,

Półcie też w domu z niemאלą pociechą

Wiszą pod strzechą.

Leśne bogactwa nieoszacowane

Hojnym Polakom od Boga są dane,

A kto je sobie chce dobrze uważyc,

Może ich zażyć.

Po ziemi łanie i sarneczki żartkie,

Po drzewie ptactwo igra sobie wartkie,

Do barci niosą pracowite roje

Zdobycze swoje.

Ryb też dostatek prawie dobrej wody

Rodzą jeziora, stawy, rzeki, brądy.

Owóz Polakom na niczem nie schodzi

Wszystko się rodzi,

Sebastjan z Sulmierzyc.

Sąd na Żyda mielnika, a wyrok Boży na starostę.

Posłuchajcież jakieto były kłopoty i procesa, po owych strasznych historjach w Uściu solnem.

Skoro się tylko dowiedzieli mieszczenie, że żydzi aż do Warszawy do króla ze skargą pojechali, wsiadają nie wiele myśląc na galar, a że właśnie jak zwykle w jesieni woda na Wiśle przybyła: toż stanęli w kilku dniach na miejscu we Warszawie, a więc o wiele prędzej, niż żydzi stałym ładem. Tym sposobem ubiegli żydów, udali się wprzód do króla Jegomości, przyznali się sami do winy, a wszystkie krzywdy, które znosić musieli, dokładnie królowi opowiedzieli.

Wysłuchał król Jegomość opowiadania z ojcowskiem ubolewaniem nad tylu cierpieniami, pocieszał przyszłością, że się już nigdy podobne gwałty dziać nie będą, a byćć to właśnie w owym czasie, kiedy król Konstytucją 3go maja zaprzysiągł.

— Widzicie drodzy — rzekł król Stanisław do mieszczan — już Pan Bóg sam wymierzył sprawiedliwość na waszym staroście; bądźcie dobrej myśli skoro żydzi przybędą, rozsądzę rzecz całą po Bogu jak można będzie najsprawiedliwiej. Wiedziecie zaś o tem, żeście i wy bardzo wiele zawinili!

Dobry to był człowiek z naszego nieszczęsnego króla Stanisława; dobry mówię człowiek, ale nie dobry król, bo co na króla a przytem króla polskiego, to już zupełnie nie był stworzony. Nie chcąc osobiście z nikim żyć w niezgodzie, bez silnej woli szedł zawsze po tej stronie, gdzie mu się widział spokój choćby nie trwały dla siebie i poddanych, i tem też wiele się przyczynił do zguby naszej. Dobrzeć jest żyć w spokoju, ale w spokoju trwałym, a takiego u nas być nie mogło, skoro Moskale wciąż i wciąż wicherzyli. Trzeba się było wpierrw Moskali pozbyć. Stanisław by to był i umiał gospodarzyć, ale tak jak gospodarzy w domu pani gospodyni, gdy jej pan mąż gospodarz dostarczy wszystkiego, dowiezie, a ona z gotowego bierze, i karnej służbie stosowne rozkazy wydaje. Dobrzeć i to jest umieć, bo i to nie każda potrafi, ale to u nas w owych czasach trzeba było królowi strasznie baczyć na wszystko: kozłem w dro-

dze dla nieprzyjaciół stanąć, a ostro trzymać burzycieli i wichrzycieli w należytem posłuszeństwie. Tego Stanisław nie umiał. Pragnął ciągle spokoju i znalazł go wtedy, gdy go Moskale precz aż do Petersburga wywieźli. W spokoju zagryzł się tam nieborak wyrzutami sumienia za to, że mu się zdawało dobrem kumać się z Moskalami.

W obcowaniu z poddanymi był król Stanisław bardzo łagodny, przystępny, i dlatego też mieszczenie Ujsey w rozmowie z nim czuli się jak-by na pół usprawiedliwieni; błogostawili mu też za jego ojcowskie współczucie. Długo rozmawiali z królem Jegomością a tak się rozgadali, że nie wiedzieli na czem skończyć; i wygadali się wreszcie co tylko dusza pragnęła, a król wierzył ich mowie, bo widział, że rozrzewnieni serdecznie mówili tylko to, co było istotną prawdą. Mój Boże! z takim to królem rozmawiać, to nie żał sercu; a on cię wysłucha i zrozumie, jeżeli masz jaką krzywdę, bo on kość z kości twojej, tego samego co i ty nasienia. I nie wiem kiedy by byli mieszczenie skończyli lamenta i żale, gdyby nie sam król zajęty wielu innemi czynnościami nie był tak mowy skierował, że się nareszcie posłuchanie skończyło.

— Jak żydzi przyjadą zawołam was znowu — rzekł król Stanisław odchodząc. — I żydów wysłuchać muszę, kiedy się do mnie udają, boć też i oni są zarówno moimi poddanymi.

Do nóg się rzucili mieszczenie królowi, a król pożegnał ich łaskawie.

W kilka dni potem przybyli i żydzi. Król Jegomość zawsze łaskaw, przyjął ich i chciał wysłuchać ich mowy. Aleć cóż tam nie było wrzasku, płaczu, że to rozboje w tem Uściu, że rozbójnicy napadają poceiwyeh żydków i napastują arendarzy. Za głowę się wziął król Jegomość na tyle hałasu, kazał się uciszyć i rzekł z powagą:

— Przecież musiała być jakaś przyczyna, kiedy mieszczenie wszyscy...

— Wszyscy rozbójnicy! — krzyknęli żydzi.

— Kiedy wszyscy odważyli się — mówił król dalej — aż do tego kroku, w którym dla siebie żadnej korzyści nie upatrywali, prócz tej, że się pozbędą tego co im krzywdy wyrządza.

Zaledwie domówić dali królowi, a powtarzali ciągle że Mundzio najszlachetniejszy człowiek, z delikatnej familji i tam dalej, co tylko było najlepszego.

— Ależ tam coś zachodzić musiało — rzekł król Jegomość raz jeszcze

— Nie, nie, to rozboje! przenajjaśniejszy królu!

Wtem dał król znak, a mieszczanie wychodzą z przyległego pokoju.

Zmartwieli żydzi zrazu, a potem nuż się czerwienieć, i nuż zielenieć z bojaźni, boć to przecie chceć króla oszukać to rzecz nie błacha.

Już z pierwszego wrażenia żydów mógł poznać król, że mieszczanie mówili wszystko świętą prawdę, ale jako pan mądry a sprawiedliwy kazał żydom w obec mieszczan powtórzyć jeszcze raz swe zaskarżenia. Jąkali się żydzi, a mieszczanie odpowiedzieli na wszystko śmiało i dobitnie, wyliczając wszystkie krzywdy i żale, a przyznając się do swojej zbrodniczej winy.

Tu już nie było rady udowodnić niewinności Mundzia.

— Umarłych karać — rzekł król — to rzecz nie nasza, choć jasno, że zawinili wielce. Ich już osądził Pan Bóg, nam pozostać żywi! Potępiam was mieszkańcy Uścia, boście się dopuścili czynu, który acz w wielkiej boleści i rozpaczony wykonany, przecież nie przestaje być złym i zbrodniczym, bo wykonanie jego nie do was należało. Gdyby bowiem każdy sam sobie sprawiedliwość wymierzać zechciał, wymierzałby w zapaleczywości zbytecznie; więc tak już jest urządzone, że nikt sam w swojej sprawie sądzić nie może. Przekroczyliście nadto ustawy porządku publicznego, popełniliście gwałt publiczny napadając osobę i wymierzając na niej karę według swej samowoli. Daliście zły przykład, a przy takich przykładach kraj i tak niestety w nieładzie będący, nie pozbył by się nigdy gwałtów i samowoli. Tylko te wielkie krzywdy, jakieście cierpieli mogą po części usprawiedliwić wasze oburzenie i gwałt popełniony! —

Zasępili się mieszczanie na te słowa, ale widzieli, że król mówi słusznie i sprawiedliwie.

— Zawiniliście bardzo — ciągnął król mowę — to i karę odnieść musicie. Nieporządek i samowola w kraju staje się

przyczyną jego upadku; pamiętajcie to sobie. A wy — rzekł do żydów — nie zapominajcie, że tylko uczciwością i prawdą na oześ u ludzi zasłużycie; podłe zyski i kłamstwa na nic dobrego nie wyjdą, a sprowadzą na was hańbę i pogardę u świata.

Rozczulili się wszyscy na te ojcowskie słowa, i wnet mieszczanie pogodzili się na wezwanie królewskie.

— Zgoda niech panuje między wami — odezwał się król — między wami dziećmi jednej ziemi, boć wszyscy tutaj życie odebraliście. Różnica wiary niech was nie rozdziela; Bogu samemu zostawiono sądzić o sumieniu człowieka. Żyjcie na jednej ziemi, tej samej ziemi pożywacie owoce, z tego samego źródła czerpicie wodę: i czemużby wasze usta miały rzucać obelgi sobie nawzajem, i czemu mielibyście się krzywdzić i nienawidzić? Żyjmy według przykazań Bożych które wszyscy zarówno wyznajemy, a wtedy nie zasiądzie nienawiść w sercach naszych!

Mieszczanie i żydzi z rozrzewnieniem przytakiwali głowami; niejeden łzy połą obcierał, a król mówił dalej:

— Jeszcze raz powtarzam: Zachowanie porządku a szanowanie osoby w innych nakazuję wam mieszkańcy Uścia. Uczciwe i prawe postępowanie w waszych czynnościach zalecam wam, którego brat wasz żyd, aczkolwiek człek niuczeiwy, powinien był także doznać. Zaś dla wiecznej pamięci tych przepisów chrześcijańskich rozkazuję, aby mieszczanie za karę samowoli opłacali roczny haracz na utrzymanie rodziny utopionego, tudzież na rozdanie jałmużny za jego duszę. Dla wspomnienia zaś o karze za zdzierstwa na utopionem żydzie popełnionej, przychodzić będzie corocznie dwóch żydów z Wiśnicza z worem, i odbierać będą haracz od każdego mieszczanina po groszu opłaty.

Jeszcze jedno polecił król Jegomość mówiąc weselej:

— Zdaje się, że nienawiść między wami naraz przestać nie może. Otóż nakazuję wam najsurowiej — mówił żydom — zamieszkiwać w Uściu, aby się to nie stało powodem do świeżych jakich krzywd i niesnasków.

Tem się zakończyło posłuchanie u króla Jegomości. Mieszczanie i żydzi wyszli spokojnie, bo czuli w swoich sercach całą sprawiedliwość wyroku; może tam jeszcze nie było w nich miłości ku sobie i zupełnej zgody, lecz nie było też złości i nienawiści.

Obydwa rozkazy królewskie wypełniono święcie. Dziś jeszcze żyją w Uściu tacy, którzy pamiętają, jak w porze jesiennej dwóch żydów z worem przychodziło, i ci odbierali od mieszczan po groszu opłaty, którą w końcu za jałmużnę dla biednych żydów uważano. Utrzymał się też zakaz królewski aby żydzi w miasteczku nie mieszkali. I dziś w Uściu za ledwo na arędzie spotkasz żyda, gdy gdzie indziej rozsiedli się i rozkrzewili niezmiernie, i zamieszkują najcelniejsze części miasteczek.

Spokój tam teraz święty między mieszczanami i żydami, ale przecież jak się trafi, to odgrają w gniewie żydowi utopieniem, jeżeli w czasie targu lub jarmarku do kłótni przychodzi, ot tak, z przyzwyczajenia; a historję o utopieniu żyda opowie ci każda dziecina i wskaże miejsce, gdzie stał ów młyn kędy mielnika do wody wrzucili.

Potrzebna też ta zgoda święta, bo dziś stosunki inne, a nasi mieszczanie nie będą mogli przeszkadzać żydom nabywać osiadłości, skoro im prawo do tego przyznane będzie. Przyznane zaś będzie pewno, skoro żydzi będą obywatelami a nie przybyszami i nieuczciwymi szachrajami. Nie naruszajmy ich wiary, bo pokazało się, że ludzie innej wiary takż dobrymi mogą być obywatelami; a oto żydzi już dziś zarówno jak lutry i kalwiny zasyłają we Warszawie i w całej obszernej Polsce swoje gorące modły do Pana Boga, prosząc za duszami niewinnie zabitych w ostatniej rzezi, jaką sprawili niedawno ei sami Moskale, którzy od wieku gnębią naszych braci nad Wisłą. A więc ręka w rękę ze żydami i ze wszystkimi, co się na tej naszej ziemi zrodzili! I żydzi przecież muszą być inni: uczciwsi i sprawiedliwsi, skoro my przeciwko nim porzucimy złość i nienawiść, jak to nakazuje nam Chrystus Pan, nauczyciel wielki, mówiąc: *Miłuj bliźniego twego, jak siebie samego!*

Na tem to kończę moje opowiadanie, upraszając o jedno chociaż szczere westchnienie do Boga Najwyższego, by się zlitował ten Pan, a ujęty miłością i zgodą zmienił naszą dolę niešťęsną!

Rady gospodarskie, o chudobie.

Sól potrzebna dla krów, owiec i tuczników.

Doświadczony gospodarz tak w tej sprawie pisze:

Było to po Wielkiej Nocy, kiedy się chciałem przekonać, czy sól skuteczna jest co do ilości mleka; a więc przestałem ją moim krowom dawać. Już na drugi dzień miałem mniej mleka 8 kwart, a na trzeci dzień nawet 12 mniej. Natychmiast znowu kazałem krowom sól dawać, i oto zaraz na drugi dzień mi mleka znacznie przybyło.

Lecz ile trzeba soli dawać? — Krowom dosyć jest 4 łoty codziennie, dla owiec to 10t na 8 sztuk wystarcza. Tyle dawaj zimą, a latem to i połowa dosyć; — więcej nie dawaj, bo rozwolnienie sprawia.

Kiedy trzeba sól dawać? — Wtenczas, kiedy pasza jest niepożywna, albo kiedy siano jest zepsute, albo kiedy chodzą na mokre i kwaśne pastwiska, a nakoniec kiedy przy wilgotnem i zimnem powietrzu są na pastwisku.

Jak sól trzeba dawać? — Albo się nią posypuje pasza, albo w wodzie się rozpuszcza do zwilżenia paszy.

U tuczników to już pewna jest ta reguła, że ile funtów soli spaszysz, tyle funtów ci słoniny przybędzie.

I to jest rzecz naturalna. Tucznikom daje się pasza sytna, a zatem ciężka do strawienia. Solą pomaga się trawieniu, i dla tego wtenczas przybywa więcej mięsa i tłuszczu.

Podobnie i u krów; bo krowa tylko wtenczas może dać dużo mleka, jeżeli wiele pije. Sól zaś sprawia pragnienie, po soli przeto krowa dużo pije, a temsamem dużo daje mleka.

U owiec sól też przyczynia się do lepszego utrzymania mięsa, a czem owca lepiej jest utrzymana, tem więcej wydaje wełny, a ztąd dowód oczywisty, że sól przyczynia się także do wydania więcej wełny.

Ztąd to wynika, że każdy dobry gospodarz powinien dawać sól bydłu, owcom i tucznikom. I dają też. Lecz to dziwna, że przecież nie wszyscy gospodarze swej chudobie ją dają. Bo sól nie tylko że się przyczynia do lepszego utrzymania chudoby,

ale jest i lekarstwem na różne choroby, osobliwie na zapalenie i zgniliznę.

Jaką sól trzeba dawać? — Koniom i owcom dają zwykle sól kamienną do lizania, krowom i tucznikom sól kuchenną.

Nakoniec i to spostrzeżenie zrobiono, że po soli nie trzeba zaraz bydła pojąć, bo to szkodzi. Dla tego też po daniu soli należy się z pojeniem nieco wstrzymać.

Krowy dobre do zaprzęgu.

Jest to u nas w Polsce zastarzały przesąd, aby krowami nie orać, ani ich nie zaprzęgać. A ja wam z góry powiadam, że to tylko przesąd i nie więcej, bo krowy dobre są do zaprzęgu, i na tem ty nie tracisz, owszem przeciwnie wiele skorzystasz. Po naszych miasteczkach widziałem obywateli, co samemi krowami orzą, a krowy mimo to ślicznie wyglądają i dużo dają mleka. — Szwajcarja, co to jak wiecie kraj taki jest górzysty, piękne ma bydło, a Szwajcarski ser to na cały świat się rozechodzi; i tam najwięcej krowami orzą, a jednak krowy są w dobrej tuszy, i mleka tyle dają, ile nieoprzęgane.

Lecz aby się tem lepiej o tem przekonać, wybrałem zupełnie równych 8 krów, równego były wzrostu, i równo mleka dawały. Pasłem je przez cztery tygodnie równo. Z tych krów używałem cztery do zaprzęgu, a cztery stały w oborze jak zwyczajnie. Lecz nie chciałem krów w zaprzęgu za nadto zniszczyć; dla tego jedne pracowały do południa, a druga para po południu. — Mleko zaś kazałem mierzyć osobno od krów zaprzęgowych, i od krów niezaprzęgowych. Po 4 tygodniach pokazało się, że każda krowa zaprzęgowa dawała z jedną kwartę mniej mleka, jak niezaprzęgowa; a przytem ubyło jej przez ten czas 3 funty mięsa. Ileż więc masz straty z krowy przez ubytek mięsa i mleka, gdy ją zaprzęgasz? Kilka groszy tylko dziennie: a za to ile ci krowa zarobiła przez zaprzęg? kilka złotych. A więc cóż jest korzystniejsze, czy używać krów do zaprzęgu, czy nie? To już ślepy namaca, że wielką odnosisz korzyść, gdy krowy zaprzęgasz.

Lecz ty co do mleka wcale nie tracisz, bo chociaż

go masz mniej od krów zaprzęgowych, za to mleko krów roboczych więcej wydaje masła. Co więc na ilości mleka stracisz, to znów zarobisz na jego tłustości.

Na to zważać powinni szczególnie mniejsi gospodarze, bo dla nich daleko korzystniejsza trzymać krowy do zaprzęgu, aniżeli konie, bo konie potrzebują wiele, jeżeli mają co zrobić. Lecz niejeden trzyma jednego konia, jednego wołu i krowę, i to wszystko razem zaprzęga. I ma to być dobrze! Lepiejby zrobił, gdyby konia sprzedał, a natomiast krowy dojne do roboty kupił. Miałby przez to i robotę w polu, i mleko; bo krowy może też przez cały dzień zaprzęgać; a gdy je człowiek dobrze utrzyma, to przytem i na mleku nie a nie nie traci.

Srodki na wzdęcie bydła.

Wiadomo każdemu, że czerwona koniczyna szczególnie młodociana, lub zaraz po deszczu albo za rosy pasiona, sprawia wzdęcie. Ile to już bydła i owiec padło tym sposobem na koniczynie! a to najczęściej przez niedozór lub zbytne łakomstwo.

Niejednen przez to całkiem podupadł. A jednak koniczyna jest wyborną paszą dla bydła, bez której niepodobna już się obyć. Dla tego ostrożnie z koniczyną, jak z ogniem; najlepiej posieczoną dawaj bydłu, a nigdy nie pasz po deszczu, lub za rosy.

Gdy ci się bydłę wzdęło, uwiąż je tak, aby się cofnąć nie mogło. Lewy bok naciskaj mocno rękami jedną na drugą złożonymi, i naciskaj póty, póki się bydłociu nie odbije, co zwykle w dziesięciu minutach następuje.

Albo też wprowadź je w wodę, ale tak, aby przodkiem wyżej w wodzie stało. Szuflą lej wodę na bok wzdęty, przez co też z bydłęcia powietrze zbytne, szkodliwe ustępuje.

Lecz gdy już bydłę za nadto się wzdęło, to już bez trokaru się nie obędziesz. I dla tego też na wszelki przypadek każdy gospodarz powinien mieć w domu trokar, to jest nożyk spiczasty w pochewce z talerzykiem, umyślnie do tego sporządzony.

Trokar wbij po talerzyk pochwy w słabiznę, pięć cali od biedra ukośnie ku brzuchowi; — wyciągnij ostrze, i tylko pochewkę zostaw, dopóki wszystko powietrze nią nie wyleci; — a

gdy ci się pochwęka zatka, to ją prątkiem przerznij. Jeżeli kilka sztuk była naraz ci się wzdęło, to wyjmij i pochwękę razem z ostrzem, a na jej miejsce włóż cewkę z trzciny lub bzu, albo i grube pióro.

Gdybyś nie miał pod ręką trokaru, to ci ostry kończaty nóż tę samą może uczynić posługę. Ranę zimną wodą zmywaj, która się wkrótce zagoi. Bydlęciu zaś dawaj sieczkę z otrębami i siano, a nie konieczyne, bo wzdęcie łatwo powrócić może.

W miejscu takim gdzie apteka pod ręką, to bardzo dobrym środkiem jest *Amonja*. Ta *Amonja*, jest to płyn z pozoru do wody podobny, bo taki czysty i bez nijakiej barwy, ale jak go powąchasz, to ci aż świeczki w oczach stają i w nosie kręci jak najlepsza tabaka. Tej to *Amonji* dwie łyżki drewniane, z pół kwartą wody wymieszane w butelce wlać bydlęciu do garła, a wzdęcie jak-by ręką odjął. Większe gospodarstwa powinny mieć *Amonję* w domu; tym zaś co nie mają, a do apteki daleko, radzę używać zamiast niej świeżego wapna, które się zrazu trochą wody gasi, a potem kwartą lub więcej na cienkie, białe mleko rozrabia.

(Sz. N.)

RÓŻNOSCİ.

Teżi parobek. W okolicy Myślenickiej trafiło się nie zbyt dawno temu oberwanie chmury; nagle przypadłe wody zrobiły wielkie szkody, najwięcej we wsiach *Pcimie*, *Trzebinia* i *Herbertowice*. Woda niosła straszne kamienie, które pozabijały kilkanaście sztuk bydła, i ten nieszczęśliwy zdarzył się wypadek, że dwie dziewczyny utonęły: jedna w *Herbertowicach*, a druga na *Rabie* w *Pcimie*. A owóż posłuchajcie jak to było z tą drugą dziewczuchą.

Szli sobie ludzie z niesporów w *Pcimie* — a że tam rzeka *Raba*

niedaleko płynie, i niektórzy parafianie są także za *Rabą* — więc prawie dziewczucha idzie sobie w bród przez rzekę, co jeszcze nie była wielka, aż ci nagle przyszła fala jak ściana wysoka, dziewczuchę przewróciło i odrazu zakryło. Skoro to zobaczył niejaki *Bzoski* parobek ztamtąd, zuch sobie chłopak, tak niewiele myślący skacze do wody na ratunek. Ale gdzie tam, nie było rady! On sam ledwie nie zginął, i dobrze co go żywego wyciągnęli, a ją woda uniosła het aż do *Myślenickiej* granicy, gdzie ją też na drugi dzień znaleźli. Już jej nie

nie pomożemy, chyba mówiąc wieczne odpoczywanie, ale o tym parobczaku *Bzoskim* to warto pamiętać, że tak swego życia dla miłości bliźniego nie ważył. On też za to pewno będzie w łasce u pana Jezusa przez całe swoje życie, a my moi ludzie także taką miłość ku bliźnim w każdym wypadku okazać starajmy się, żeby znać po nas było, żeśmy chrześcijanie!

Największe bogactwo Matki. Zeszły się kumoszki z sobą, i dalej się chwalić i wynosić jedna nad drugą, jak to kobiety. Ta ma najpiękniejsze korale, bo takie wielkie jak orzechy; a ta kupiła sobie śpilki prawdziwe złote. Inna ma znów chustkę tak wielką, jak dera na konia, a cała z jedwabiu; a inna to ma aż cztery spodnice jedwabne. I jedna nad drugą się wychwala i wynosi, i jedna drugą chce całkiem zakasować. Wrzask zrobił się wielki, bo gdy cztery kobiety w izbie, to jarmark cały.

Tylko jedna Tomaszowa siedzi sobie spokojnie, nic nie mówi, na kolanach trzyma jedno dziecko, tak piękne jak aniołek, a drugie stoi przy matce; a matka je głaszcze czule, jakto matka przywiązana.

— A wy Tomaszowa, czegoż tam tak cicho w kącie siedzicie? — odezwały się naraz wszystkie kumoszki — i wy też pokażcie nam swoje bogactwa.

— Czemu nie? — odrzekła spokojnie Tomaszowa; — patrzcie! moje dzieci, to są największe moje bogactwa; bo matka tylko w dzieciach może być szczęśliwą.

Chory na krew. Zwyczajem jest

wielu, a zwyczajem bardzo szkodliwym, iż corok bez poradzenia się lekarza doświadczonego każą sobie krew puszczać, bo zwykle mówią: ja chory na krew, ja już zwyczajnie corok krew puszczam, a nie wiedzą, że krew to można wszystką upuścić, ale jak jej zabraknie, to już w żyły wlać jej niepodobna.

Z częstego puszczenia krwi narażasz się na rozmaite choroby; a zwykle stracisz siły, i osłabiesz zupełnie. Chodzisz blady jak cień, a niedługo to ci i zadzwonią. Oto masz skutki swej lekkomyślności częstego puszczenia krwi: masz za kilka groszy śmierć, bo nie idziesz do biego lekarza, tylko do cyrulika, a ten ci upuści krwi ile chcesz, bo mu o zarobek tylko chodzi. Zdarzają się przytem takie wypadki, które nam okazują, jak śmieszny jest ten zwyczaj.

Kuba zachorzał, cały nie może, a więc idzie wprost do cyrulika, aby mu krew puścił, bo on na krew chory. Ale ostrożny wchodzi pierwej z cyrulikiem w układy:

— Co Pan będzie za to żądał?

— Pół złotego.

— To zawiele Panie cyruliku, a sześć groszy czy Pan nie weźmie?

— Nie; inaczej nie będzie.

— Kiedy nie, to Pan zostań z Bogiem.

— Czekaście! już wam za sześć groszy puszczę.

Gdy cyrulik filiżankę krwi utoczył, zatyka ranę i chce owiazywać. Ale biedak prosi się jeszcze o więcej:

— Panie cyruliku! jeszcze trochę, bo to za mało.

— Nie! — zawołał cyrulik. — Chcieliście za sześć groszy, oto macie. Jeżeli mi dacie pół złotego to wam puszczę więcej. Czy dacie? — co?

— No już dam; — odrzekł biedak smutnie. A cyrulik dopiero wtenczas odjął palec od rany, i za pół złotego dobrej miary krwi mu upuścił. —

Poprawka. W przedostatnim numerku omyliło się Grzesiowi z Mogiły w jego Wieczornej Gawędzie. Tfu, dolicha, niewiedzieć czy niewyraźnie

napisał, a pan drukarz źle też wydrukowali, czy tak z prędkości conieguno mu się wymknęło niżli chciał, dość że tam stoi w jednym miejscu jakoby w *Skawinie* kłódki robili i dużo majstrów kłódkarskich się znajdowało, a to nie prawda bo to w *Świątnikach* są tacy majstrowie. W krakowskiej ziemi są ci obydwate miejsca, obydwazna Grześ doskonale, więc się to tak jakoś pobałamucilo; przepasza więc Świątniczarów, a za karę obiecuje w przyszłym numerku napisać co nieco o ich mieście.

Z d a n i a.

Spimy przez połowę życia, i dla tego przez połowę życia największy nędzarz równy jest bogaczowi. —

Jeżeli ludziom wyświadczasz dobrodziejstwa dla tego że się wdzięczności spodziewasz, to zakładasz handel. —

Pożyteczniej tobie iść do domu, gdzie płaczą aniżeli gdzie biesiadują i bawią się; bo tam możesz nabyć zasługę, a tu pozbyć spokojność, niewinność i szczęście. —

Nie szczyj językiem nieprzytomnych, bo się ciebie strzedz będą przytomni. —

Kto o nieszczęśliwych pamięta, o tym Pan Bóg nie zapomni. —

Chłuba dla ojca, jeżeli dzieciom więcej zostawi rozumu i cnoty, aniżeli majątku. —

Nim co przedsięweźmiesz, dobrze się namyśl, a gdy się namyślisz, działaj stanowczo.

Cnotliwy człowiek ma litość, i dla tego ulituje się i nad zwierzęciem cierpiącym.

Kto chce drugich poprawiać, powinien zacząć od siebie. —

Sumienie czyste jest najlepszym lekarstwem na sen. —

Kto nie pracuje za młodu,

Ten się nacierpi w starości głodu.



11. Sierpnia.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca



1861.

Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Matka Boska zielna.

(Na dzień 15go Sierpnia.)

Po męczeńskiej śmierci Jezusa Chrystusa, Syna Boga żywego a Zbawiciela naszego, została Najświętsza Panna, Matka Jego, w mieście Jeruzalem. Pokorna i cierpliwa w boleści swej macierzyńskiej, chwaliła przedwiecznego Boga i nie szemrała, a owszem stała się wielką pociechą dla Apostołów i wiernych Chrześcijan: jako gwiazda niebieska świeciła im swoją dobrocią i łagodnością, jako zorza poranna witała ich zawsze uśmiechem niebiańskiej czystości.

Tak mijał rok za rokiem od Wniebowstąpienia Chrystusa Pana, gdy oto po kilku latach nastąpiło wielkie prześladowanie wiernych w Jeruzalem. Więc Jan Apostoł ujął Marię Pannę za rękę, i odprowadził ją do Efezu, kędy wiara święta bardzo się już rozszerzała. Niezadługo atoli powróciła boleśna Matka do Jeruzalem, a wspominając często na Syna swego jedyne, przesiadywała na górze Oliwnej, i tam w gorących modlitwach wznosiła się myślą do nieba.

Tak zatopioną w niebiańskich myślach, i pragnącą połączyć

się z najmilszym Synem i Bogiem, zaszedł ją raz Archanioł Gabriel i rzekł:

— Bolesna Matko Syna Bożego! za trzy dni będziesz podwyższona nad chóry anielskie. — A byłoć to właśnie we trzynaste lat po Wniebowstąpieniu Zbawiciela naszego, i miesiąc Sierpień miał się ku połowie.

Trzy dni mijało od owego ukazania się posłańca Bożego, Gabriela, a Królowa dziewic, przeczuwając bliskie połączenie się z Bogiem, usiadła na skromnym i ubogim łożu, a w około postawali Apostołowie i grono wiernych z zasmuconem wejrzaniem. Matka Boża odzywa się do nich słowami niebieskiej pociechy, i do wytrwania i wierności Chrystusowi zachęca; a gdy oto słowa złote z najmilszych ust cieką, światłość jakaś dziwna i wonna napełniła izbę. Wtedy Marja wzniosła anielski wzrok ku niebu, a uśmiech słodki igrał jej po twarzy, bo w światłości ujrzała Syna najmilszego, jak otoczony chórem Aniołów zstępował do biednej izdebki. Więc w chwili tej szczęśliwej ciało jakoby usnęło, a dusza wyszła zeń i poleciała na łono przedwiecznego Boga.

Otoczyli nazajutrz wierni ubogi domek Najświętszej Panny, a znosili najdroższe pachnidła i płótna najcieńsze do pogrzebania Królowej dziewic. Wnet wedle zwyczaju złożono drogie zwłoki na marach, otoczono pachnidłami, i okryto je wspaniałą zastoną. I w głębokim smutku niesli je Apostołowie na barkach w dolinę Jozafata, kędy u samego podnóża góry Oliwnej grób był już wykuty. W płaczącym orszaku postępowali wierni Chrześcijanie, a pobożne niewiasty wysłały kwiatami i zioły kamienną pieczarą. Tam to na łożu z kwiatów, złożono drogie zwłoki Królowej dziewic, i zastawiono otwór kamieniem.

Trzy dni modląc się czuwali u grobu wierni Apostołowie, i przez trzy dni słyszeli anielskie pienie w około. Aż oto trzeciego dnia przybył Tomasz apostoł, i nieutulony w smutku że się spóźnił, odezwie się do innych:

— Pokażcież mi bracia najmilsi przeświète zwłoki Matki Chrystusa, abym je płacząc pożegnał.

Więc Apostołowie odwalili kamień, zamykający wejście do grobu, ale znaleźli tylko kwiaty i zioła, na których spoczywały

zwłoki Marji Panny, i jej białą chustkę z cienkiego płótna, cudny ze siebie wydającą zapach. Wnet zrozumieli wierni, że Zbawiciel nie chciał oddać ziemi ciała najukochańszej swej Matki, i rozkazał, aby z duszą razem do nieba było wzięte.

Stało się to piętnastego Sierpnia w 45 lat po narodzeniu Chrystusa Pana. Na tę więc pamiątkę obchodzimy co roku ten dzień Wniebowzięcia N. Maryi Panny, które to święto w całej polskiej Ziemi Matką Boską zielną nazywają, od onych ziół i kwiatów, na których zwłoki najświętsze złożono.

W owem miejscu gdzie jest grób przeczystej Pani, stoi do dziś dnia kościół, cały prawie w ziemi zbudowany. Pięćdziesiąt schodów murowanych prowadzi do wnętrza świątyni, kędy się nagle wspaniałe sklepienie odkrywa, na którym dzień i noc jak gwiazdy niezgasłe dwadzieścia lamp płonie. Kościół jest w kształcie krzyża zbudowany; po prawej stronie, na samem jego podnóżu jest grób Marji Panny wycięty w żywej skale, a przed nim unoszą się wonne obłoki kadzideł.

Ubrani w wieńce i równianki z kłosów, ziół i kwiatów, spieszmy do Świątyni Pańskiej oddać pokłon przeczystej dziewic Królowej: — O Marjo, matko prawdziwego Boga, użyźnij nasze łany, strzeż pól i dostatków naszych, a wstawiaj się za nami do Boga Ojca i twego Syna jedyne, byśmy z modlitwą na ustach żyzną uprawiali ziemię, a ona stokrotne plony nam dawała. Marjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen. —

S I E R O T A.

Świeci słońce, świeci,
Pada deszczyk złoty —
Tyleć tutaj szczęścia
Dla biednej sieroty.

Zaszło słońce w chmury,
Powiał wiatr ponury —
Rusza w świat ni-boga,
Gdzie powiedzie droga.

— „Czy w prawo czy w lewo
Ścieżka mnie powiedzie,
Przecie kiedyś Pan Bóg
Zrobi koniec biedzie;

Przecie kiedyś Boże
Biedną główkę złożę,
Ptacy wezmą ciało —
Anioł duszę białą.“

Zimny wiatер wieje,
A krzemienna droga —
Obdarto i boso
Idzie w świat nieboga.

A gdzie spotka ludzi,
To milcząco idzie,
A gdzie Boża męka,
Do paciorka klęka.

Idzie, idzie, i tak
Myśli sobie biedna:
— „Gdyby się schyliła
Do mnie ręka jedna!

Gdyby na mnie biedną
Padło oko jedno,
I spojrzęło mile,
Ot, tylko na chwilę!“

W tem z kościółka z wieży
Gdzieś na Anioł dzwonią,
I jak posly Boże
Słodkie dźwięki gonią.

Dziewczę rączki składa,
Na kolana pada,
Biedę zapomnia!o,
Bogu zaśpiewało.

A wciąż gdzieś z daleka,
Jasny dzwonek dzwoni,
Jakby wołał biedną,
Chciał coś mówić do niej.

Wstała, i o biedzie
Zapomniawszy, idzie,
I śpiewa wesoło,
Aż głośno wokolo.

R. z W.

Ślepy dziad.

Skulony, oparty na kuli pod prawą ręką i na oczy ciemny, że tylko co nie co widział przed sobą, szedł raz dziad jeden przez wieś, a prowadził go mały chłopiec na lasce, którą za końce trzymali oba rękami swemi. Dziad sunął się powoli na kuli, miał dwie terby przy bokach, głowę łąsą, a na czole zmarszczki, bardziej ze zgryzoty niż starości lub biedy. I pytał się chłopca.

— Ty chłopcze! gdzie to my teraz chodzimy? Co to za wieś?

A chłopiec mały nazywał mu wsie i miasta, kędy przechodzili, tak jak wiedział i jak mu gadano.

To znowu pytał się chłopca:

— A ktoto teraz przeszedł koło nas i gadał z nami?

A chłopiec mały opowiadał mu, czy przechodził żyd czy chłop jaki; opowiadał tyle, ile potrafił. To znowu usłyszał dziad dzwony i śpiewy żałobne i pytał chłopca:

— Co to takiego? czemu tak krzyczą i dzwonią?

A więc chłopiec mały gadał mu, że to jakiś pogrzeb, że

to ludzie płaczą, że księża prowadzą trumnę na cmentarz. A dziad ślepy stanął na to jak wryty; założył ręce stare i suche na piersiach, pokiwał łysą głową i coś mruczał i mruczał i wzdychał, i kazał się prowadzić na cmentarz. Gdy go chłopiec zaprowadził na cmentarz, dziad położył kulę, zdjął torby z siebie i ukląkł koło grobu, w którym niedawno pochowano kogoś, i zaczął lamencić, narzekać i tak wygadywać:

— Ah Boże! czemu ja żyję, kiedy moi współnicy już dawno pomarli? Czemu ja tylko jeden takie kary ponoszę kiedy nas kilkoro razem ciężkie grzechy popełniało? Czemu ja ciemny, kulawy i ukarany na całym ciele włóczyć się muszę po wsiach i to już przeszło dwadzieścia lat! Czyż ja już nigdy nie skończę tej biedy i kary?

I krzyczał dziad, a głos jego rozchodził się po całym cmentarzu, i zdawało się, że się aż gdzieś umarli w grobach ruszają. Ludzie co byli na pogrzebie, obstąpili dziada, a każdy zapłakany dziwił się strasznym słowom jego i przypatrywał się, co to stary robił. A on bił głową o ziemię, i natrafił czołem na jakąś kość umarłego, i skaleczył sobie strasznie czoło i wołał skrwawiony:

— Oj! kiedyś tak umierali z mojej winy! Ja ich nie zabił ani siekierą ani nożem, alem ich pokrzywdził i do ostatniej nędzy doprowadził, że oni tak chodzili po żebrach jak ja teraz, i pomarli na obcej wsi, a ja pokutnik żyję i żyję....

Ludzie potruchleli na taką mowę, bo ich litość brała nad staruszką i żebrakiem ciemnym, a tu aż strach po kościach każdemu latał, bo uważał sobie po tej mowie dziada, że na nim ciężą jakieś wielkie grzechy. I nuż niejednen ciekawy pyta dziada, gadając mu pięknie:

— A cóżto takiego zrobiliście dziadku, że tak narzekacie na siebie i na samego Boga?

A dziad odpowiadał ludziom:

— Oj opowiem ja wam, co to ja zrobił, abyście mieli naukę i przestrozę na całe życie, aby się piąty i dziesiąty kail i nie robił tak. —

I zrobiło się eicho, bo ludzie stali na poświęconem miejscu,

i zresztą ciekawi byli, za co to dziad pokutuje już przeszło lat dwadzieścia, i każdy też słuchał. A dziad tak opowiadał:

— Miał ja ci brata jednego; ojciec podzielił nas gruntem i swoją pracą, obaśmy się poženili, dzieci dał nam Bóg kilkoro; było nam długo dobrze, aż oto umarł mój brat dobry, zostały sierotki z matką, a mnie zrobił urząd opiekunem tych dzieci. Byłem ja pobożnym i nie złym człowiekiem, ale coś złego opanowało moją głowę, i jakiś zły duch podsunął mi tę myśl bezbożną, aby obedrzeć sieroty po bracie rodnym, te sieroty, co mnie każde rano nazywały stryjaszkiem swoim, i nieraz wieszły się koło mojej ręki i szyi....

Zaczął mocno dziad płakać, zakrył bladą twarz rękami i nachylił się ku ziemi, a jeden z ludzi zapytał:

— No, i cóżeście zrobili z temi sierotami, co was miały za ojca, i coście zrobili z ich gruntami?

Dziad gadał dalej:

— Był testament po bracie, ale mnie podmówił jakiś pisarz, abym sfałszował testament brata, i wyskrobaliśmy podpisanych świadków a napisali takich, co już dawno pomarli. Było tam dwa tysiące reńskich dla dzieci, a my wyskrobaliśmy jedno oko i zostawili tylko dwieście, a co było przeznaczone każdemu z sierot, tośmy wszystko przerobili na moje dzieci, i tak my ułożyli testament, że cały grunt i zabudowanie miały spaść na mnie, a sieroty miały mieć tylko do nowego chleba u mnie przytułek, i te 200 reńskich.

Potruchleli ludzie na taką mowę, której słuchali na cmentarzu, gdzie już umarli spoczywają i zostali osądzeni od pana Jezusa, boć każdy musi raz umierać i sąd boży przebyć. — Ale jeden gospodarz spytał się:

— A cóż się stało z temi sierotami i ich matką?

Dziad trząsał się cały i gadał:

— Matka chodziła z dziećmi tak, jak ja dziś chodzę z tym małym chłopcem. Dziś jej nie ma, Bóg wie, na którym cmentarzu ona leży, a sierotki po bracie jam po roku skończonym powyganiał z domu, chałupę rozebrali ludzie, a grunt został przy mnie. Gdzie są te sieroty, ja nie wiem, ale pewnie pomarły z biedy, bo nic a nic nie słyhać o nich.

Rozpłakali się ludzie przy tych słowach, boć tu każdy gospodarz miał niejedno dziecko w domu, boć niejednen z nich doznał nie raz krzywdy od drugiego, i niejednen pomyślał sobie:

— Cóż się też stanie za rok i zemną albo z mojemi dziećkami? Gdzie one się będą obracać?

Lecz inny gospodarz zapytał znowu:

— A cóż się stało z waszemi współnikami dziadku? co z temi fałszywemi świadkami i z onym pisarzem, który doradzał do tego wszystkiego?

Dziad opowiadał dalej:

— Co się ze mną stało, to widzicie na własne oczy! Oto złamał mi we dwoje rękę pan Jezus, którą skrobałem testament i fałszywie pisałem na nim, kula pod nią dziś i już tak od dwudziestu lat jest! Złamał mi pan Jezus i nogę jedną za karę, żem chodził za tem aby ukrzywdzić sieroty biedne! Zamknął mi oczy obie, i już nie widzę światu bożego ani ludzi; pomarły mi wszystkie dzieci, tylko został wnuczek, i to jest ten chłopiec, który mnie dziś do was na kiju przyprowadził. Wziął pan Jezus i majątek sierocy i do tego mój cały majątek, a ja dziś ostatni żebrak pogardzony, zgryziony, odarty i krzywy i ślepy, chodzę za pokutę po tym świecie. O Boże mój, weź mnie z tej ziemi!

Strach wielki przeszedł po ludziach wszystkich, boć to już nie raz pokarał pan Jezus krzywdzicieli, ale tego dziada skarał strasznie, bo już dwadzieścia lat żyje i chodzi między ludźmi i gada im straszne rzeczy; wyżółkł jak trupia kość, a teraz już raczkuje jak małe dziecko po ziemi, i tak chodzi od chałupy do chałupy i żyje na dowód sprawiedliwości Boga. —

Ale spytał go jeden gospodarz:

— No! a cóż się stało z drugimi?

Dziad zaczął znowu:

— Pisarz, co mi pisał, umarł w kryminale; robactwo go żywego stoczyło, a na trumnę i koszulę śmiertelną składali się wszyscy kryminaliści. Żona jego służy dziś za kucharkę, a dzieci rozeszły się gdzieś po ludziach, ale ludzie wytykają im zawsze ojca szachraja, jakiego świat nie widział i to, że umarł między złodziejami w kryminale, choć tam dzieci niewinne temu. Świadkowie podpisani już i tak nie żyli, a inni co fałszywie za

mną a na biedne sieroty przysięgali, pomarli do roku co do jednego, bo taka jest kara boża, że rzadko który przeżyje rok po fałszywej przysiędze, a ich praca rozlazła się jak-by kto po niej jeździł i deptał, i dziś nie ma czem i palca owinąć. Wszysey moi współnicy, co mi doradzali do tego, co razem pili z nami, co się cieszyli, co mi przychwalali i wygadywali na sieroty, wszyscy już w ziemi świętej, już po sądzie bożym. A gdzie tam ich dusze? Czy tak spokojne, jak kości w tych grobach? Ja tylko żyję jak upiór i chodzę i chodzę, i szukam grobu, a grobu nie ma dla mnie; może gdzie trza umierać pod płotem! Może mnie tak będą przeklinać ludzie, jak tamtych? Ale wy ludzie dobrzy, nie przeklinajcie mnie, ale raczej proście Boga za mną, aby mi darował karę i skrócił mi dni moje! Wy ludzie dobrzy bierzcie sobie przykład zemnie dziada ciemnego i nie róbcie nikomu żadnej krzywdy!

I osłabł dziad z tej mowy, a ludzie wszyscy pokłękli na cmentarzu koło niego, zmówił każdy paciorek za dziada grzesznego, potem za dusze sierót i wszystkich ich gnębiceli. Każdy ocierał sobie oczy, każdy dumiał sobie rozmaicie, jakie to są sądy boże na tej ziemi, że jednym jakoś uchodzi wszystko złe a drugim nie nie ujdzie, a zawsze prędzej czy później dotknie każdego ręka Boga sprawiedliwego za jego sprawki.

I rozeszli się gospodarze i gospodynie do domu, i dziad podźwignął się, a chłopczyk podał mu koniec laski do ręki, a sam wziął za drugi koniec i poprowadził dziada pokutnika na dalszą poniewierkę. A gdzież jest ten dziad teraz? Oto niedawno wyspowiadał się z całego życia, osiadł przy jednym kościele pod imieniem pokutnika, żył jeszcze długo i już się ani przechodzić nie mógł, i umarł tak przy drzwiach w kościele, że nikt o tem nie wiedział. Gromada złożyła się na trumnę, jeden gospodarz dał płótna na koszulę śmiertelną, ksiądz go pochował jak się patrzy; i już osądzony na tamym świecie, on co tyle ludzi przez jego grzech marnie poszło ze świata, co tyle złego pozostało po nich, i kara boża tak widoczna! A jego wnuczek stanął na służbę we dworze, i zrobił się z niego bardzo dobry człowiek, i znowu mu pan Jezus błogosławi i będzie z niego coś dobrego, jeżeli nie odstąpi od woli pana Jezusa.

A ja wam też moi kochani ludkowie to opowiadam, abyście mieli zawsze w sercu pana Jezusa, i nikogo nie krzywdzili, ani namowy do tego nie słuchali.

Ks. Wojciech z Medyki.

PIĘKNE PRZYKŁADY.

O Świątnikach i Świątniczanych.

Co prawda to nie grzech, a co ładne i dobre to i opisać nie zawadzi, żeby sobie ztąd inni ludzie przykład i naukę brali. Otóż więc, zamiast tam bając o zagranicznych jakichś cudach, wełę wam opowiedzieć, nie sięgając daleko, o Świątnikach i Świątniczanych.

Świątniki górne, jest to wieś o półtory mili od Krakowa położona, a jako wiecie krakowska ziemia jest śliczna, więc i w Świątnikach nie brzydko sobie wygląda. Wieś ta należała dawniej do biskupa krakowskiego, więc też Świątniczanie mieli obowiązek pełnić służbę przy kościele na zamku w Krakowie, mieniając się po kilku; zato zaś nie odrabiali pańskiego.

Długo to tak było. Aleć, skoro cała nasza Ziemia przeszła w ręce obcych, tak i Świątniki przestały być biskupiami, a nastał w nich nowy pan. Świątniczanie, trzeźwi i pracowici ludzie, nie mieli ani jednej karczmy u siebie, więc temu dziwował się nowy pan, i umyślił wybudować karcznię i osadzić ją żydem. Złękli się tego Świątniczanie i myślą jak by tu zaradzić; a każdy aż pocierpał na samą wspominkę karczniczka, boć to lud mając trunki pod nosem gotów się i rozpić. Myślą więc: niech co chce będzie, a my karczmy postawić nie damy! Więc skoro pan jeno zwiózł budulec na karcznię, to moi Świątniczanie, cichaczem w nocy, het za wieś wszystko wywieźli; zwieźli drugi raz, a Świątniczanie dalejże mu to samo: więc nareszcie pan, sprzykrzywszy sobie taką do niczego furmankę, dał pokój wszystkiemu.

Więc tą razą Świątniczanie postawili na swoim, a na znak tej historji leżało jeszcze długo za wsią wywiezione

drzewo, i dziś tam żydowskiej karczmy nie znajdziesz choćby na lekarstwo.

Aleć nie z tej historji są Świątyniki takie dziwne, żeby aż o nich pisać; oj nie z tego moi ludzie, ale z tej przyczyny, że tam cała wieś, składa się z pracowitych rzemieślników, co już od dawna, het z polskich czasów ślusarką się trudnią. Jak jeszcze nasi potrzebowali to zbroie to szabliny lub innego żelazniwa, to Świątyniczanie het niemało tego do Krakowa dostawiali; wyrabiali oni bowiem szable, zbroice na człeka i konia, okucia różne, łózka żelazne, i tym podobne rzeczy. Teraz atoli wyrabiają Świątyniczanie same prawie kłódki; znać dzisiaj bardziej trzeba przed ludźmi zamykać jak dawniej, kiedy na marne kłódki największy odbył.

Nie było tam pierwej jak się patrzy ładu w rozsprzedawaniu tych kłódek: Kilku lub też kilkunastu co majątniejszych Świątyniczian zakupywali kłódki każdy na swoją rękę, i każdy też je z osobna po targach i jarmarkach jeżdżąc sprzedawał. A że to jak zwykle jeden od drugiego więcej chciał utargować, więc się kłócili między sobą, i każdy chciał taniej towaru się pozbywać. Aleć prawda to niezbita, że gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci korzysta, więc i między Świątyniczianów wleźli inni, obey kupcowie i korzystali, a oni podupadli tylko i stracili.

Owóz-ci więc te swary nauczyły ich rozumu. Powiedzieli sobie: na cóż ma z nas kto korzystać, kiedy my sami żyć możemy z pocziwego zysku? I tak się rozmyślawszy podali sobie Świątyniczanie ręce do zgody, i postanowili razem towar zakupywać, i wspólnie go po świecie rozwozić, a potem się też razem albo zyskiem albo stratą obdzielać. W ten sposób pozbyli się wnet kłopotu z innymi kupcami, i łatwiej im co skorzystać przychodzi.

We wszystkich dobrze urządzonych i bogatych krajach siła ludzi zatrudnia się handlem i przemysłem, i dlatego dobry ich byt i szczęśliwość coraz bardziej wzrasta. U nas tylko mało ludzi chwyta się handlu i różnych profesyi rzemieślniczych, toć to wszystko mają w rękach albo żydzi albo niemcy, a my nie z innej przyczyny jeno z lenistwa do niczego się nie bierzemy, boć Świątyniczanie żywym są przykładem, żebyśmy

mogli, gdyby się nam chciało. Owóz Świątniczanie sami się w ślusarskiem rzemieśle i w handlu prowadzą, a nie chodzi tu o pięć czy dziesięć kłódek, lecz o całe tysiące, boć mają ci oni do czynienia z różnymi zagranicznymi kupcami, a kłódki ich rozchodzą się het za góry po Węgrach aż do samej Turcyi. Dla tego też Świątniczansom dostatnio i wesoło przy uczeiwej pracy, a mnie tylko dziwi, dlaczego to tak rzadko u nas wsie czy miasteczka rzemieślnicze się trafiają. Dobrze jest przy roli pracować, i większa część ludzi roli się też trzymać powinna, jako że kraj nasz jest rolniczy; aleć lepiej by było, żebyśmy sobie przytem sami wszystko robili co nam jest potrzebne, a nie wysyłali zato pieniędzy z domu do cudzych krajów, albo co i gorzej, cudzoziemcom handlu naszego w ręce nie dawali, bo oni także z bogaciwszy się naszą pracą, pieniądz het ze sobą do czarta wywożą!

Z świętą wiarą i przykazaniami bożemi w sercu, umieją też Świątniczanie na dobre swych dostatków używać. Owóz własnym kosztem bez nieczyjej pomocy, postawili oni we wsi rodzonej wielki, murowany kościół, a taki udatny, że ci chyba w Krakowie drugiego podobnego szukać. Miło im też tam patrzeć na to dzieło wystawione z pracy rąk swoich, miło im wracającym z drogi zobaczyć już zdaleka wznoszące się wieżycę kościoła, i słyszeć dźwięki dzwona, co ich mile wita czystym swym głosem; i miło im być w tej świątyni pańskiej, gdy przy uroczystościach lud pobożny nawet z odległych okolic pomieścić się może, i razem z nimi modły do pana Boga zasyła i słucha słów Jego. Jest też więc z tego i korzyść nie mała, obok wielkiej zasługi przed Bogiem.

Nie pisze się to tutaj dla Świątniczanz, aby się broń Boże w dumę czem mieli wzbijać, bo duma i pycha do wszystkiego złego prowadzą; ale pisze się, aby pokazać niedbałym i niezapobiegliwym ludziom, jak się obowiązki swoje ku ludziom i ku Bogu wypełnia.

Aleć jako na jasnym słońcu są plamy, tak i w Świątnikach jest jedno złe, o czem zapomnieć nie można, a toć właśnie to, że nie ma żadnej szkółki dla dzieci. Powinni oni to sami czuć dobrze, że skoro dzieci ich dorosną czegoś im nie dostaje; że

młody chłopak nauczywszy się jako tako kłódkę skleić, więcej już nie umie; że ten chłopiec gdyby umiał tylko czytać i pisać, toby już był w swem rzemiośle poradniejszy, i niejedno lepsze i sztuczniejsze mógłby sobie zaprowadzić, boć to ludzie swoje wynalazki w książkach spisują, więc tam niejednego ciekawego można się dowiedzieć. Teraz tylko niektórzy, co za-
możniejsi wysyłają dzieci do Krakowa, bo to zawsze siła kosztuje; więc lepiej by było, gdyby wszystkie dzieci jak są, w domu się już poduczać mogły. Jest to więc bardzo naganna taka nie-
dbałość o naukę swoich dzieci, ale da Bóg, a dobrzy ludzie mają tę nadzieję, że Świątniczanie i w tej sprawie zaradzą.

Szkoda by było tyle dobrego, gdyby to potem ciemnotą waszych dzieci upaść miało mili Świątniczanie! Pokażcież więc fundując szkołę, i oświecając się nawzajem, że Polak nie tylko po szkodzi, ale i przed szkodą mądry! —

Rady gospodarskie, o chudobie.

Czy lepiej koniom dawać owies przed, czy po pojeniu.

Nie to konia żywi co on zjada, ale to co przetrawia; potrzeba więc mu dawać pokarm w stanie najwłaściwszym do trawienia. Dla tego przygotowujemy paszę przez rznienie słomy na sieczkę, gniecenie zboża i tym podobnie. Trawienie jak wiadomo, odbywa się głównie w żołądku, zatem pożyteczniej będzie, gdy pokarmy w żołądku dłużej pozostaną. Przed dziewięć laty zrobiono w jednej szkole rolniczej doświadczenie, które przekonało, że zwyczaj dawania koniom owsa zaraz przed pojeniem jest zły i szkodliwy.

Wzięto w szkole dwa konie przeznaczone na naukę uczni. Jednemu dano garniec owsa, i gdy go zjadł, zaraz wiadro wody. Po ostatnim łyku wody, zabito go i otworzono; i patrzcież! oto w żołądku ledwo kwarta się była pozostała; trzy kwarty już woda daleko była uniosła, a zatem niestrawione trzy części ziarna żadnego koniowi nie byłyby przyniosły pożytku.

Z drugim koniem postąpiono sobie zupełnie przeciwnie. Dano mu najpierw wody, a potem garniec owsa. W dziesięć minut

otwierzono żołądek, i znaleziono w nim wszystek owies, który już zaczął przechodzić w trawienie; a więc wszystek owies spożyty obrócił się na korzyść konia.

Widzimy przeto jasno, że obrok powinniśmy koniom dawać dopiero po pojeniu, a nigdy przed pojeniem.

Jeszcze jeden nałóg radbym wykorzenieć, to jest dawanie owsa i siana zaraz po powrocie do stajni, gdy konie jeszcze od pracy lub jazdy są zgrzane. Wygłodzone cheiwie połykają owies prawie bez przeżucia, z czego powstaje niestrawność, a owies dobrze niestrawiony mało się przyczynia do żywienia,

I dlatego konie powracające z roboty, spocone i zdyszane, należy pierw mocno wytrzeć wiechem słomianym, okryć i czekać, dopóki nie wypoczną; — potem dać im nieco siana, a dopiero w pół godziny mniej więcej trzeba je napoić i po napojeniu zaraz im obrok zasypać.

Oto są doświadczenia nowe, z których i wy korzystajecie, bo doświadczenia i pisma są dla waszej korzyści. —

(Sz. N.)

Jak bydło najkorzystniej przezimować.

Wiele już pisano w rozmaitych rolniezych pismach o tem, jak bydło paść zimową porą najkorzystniej, aby więcej mleka wydawało, prędzej mięsa nabierało, lub też lepiej podrasłało. Wszystkie te pisma wzięły jednakowoż po większej części za podstawę, albo rozmaite warzywa, albo makuchy, ospę, wywar, lub inną podobnie dobrze działającą paszę. To wszystko podług mego zdania dla was, moi mili gospodarze, za kosztowne, i tylko zwolna do takiego paszenia przychodzić możecie. Tu więc myślę was głównie w tem pouczyć, jak przy paszy, którą zwykle pasiecie, i którą też w własnem macie gospodarstwie, najlepiej i najkorzystniej swe bydełko przezimować.

Jest to prawie ogólnym waszym zwyczajem paść bydło sieczką, i to rzniecie wszystką słomę, a nawet i siano pospół. A potem sypiecie bydłu naraz tyle sieczki, ile się w koryto zmieści; a gdy jej bydło zupełnie nie wyżre, dosypujecie potrosze na nowo, aby pomieszawszy ją z pozostałą, smaczniejszą ją uczynić, a nawet przez ciągłe poruszanie bydła chcecie je przymusić, aby ją do szczytu zjadło. To jest wielki wasz błąd, który macie zaraz zaniechać; tylko mnie słuchajcie!

Każde bydle zdrowe wszystko od razu z chęcią pożera, dopóki się nie nasyci; a co pozostanie w korycie, do tego z trudnością wielką da się przymusić; a przez częste przysypywanie sieczki i poruszanie bydła, nie tylko że nigdy z chę-

oia, lecz nawet często z głodu tylko do jądła się zabiera; i nie mając dostatecznego czasu do przeżucia zjedzonej paszy, żadnej korzyści nie odnosi. Przeto wam radzę, abyście pasienie bydła zimą w następujący sposób urządzili:

O godzinie szóstej, kiedy zwykle dój się rozpoczyna, daj krowom zupy lub warzywa w kawałkach potrosze, a potem nasyp drobno i porządnie urzniętej sieczki, w równej ilości z wszystkich gatunków słomy, jaką na sieczkę przeznaczysz; ale tyle tylko wsyp jej w koryto, ile uważasz, że od razu czysto wyżre. Jeżeli zaś bydło jej zupełnie nie wyżre, pozostałą sieczkę wyrzuć, a nasyp na drugi raz mniej; potem zostaw bydło w spokojności zupełnej; najlepiej zamknij oborę, aby kto inny mu nie przeszkadzał, i wcale go nie spędzał. O godzinie dziewiątej daj mu cokolwiek siana, po chwili napój, i znów zamknij oborę. O dwunastej w południe nasyp sieczki; o trzeciej daj mu trochę targanej słomy, a o szóstej wieczorem, tak jak rano, zupy lub warzywa do doju, a potem sieczki na noc. A po każdym daniu zalecam wam szczególnie spokojność, aby bydło miało czas do przeżucia tego, co zjadło. Przed każdym zaś daniem wymiećcie czysto koryta, albo wiechciem ze słomy, albo też miotłą do tego przeznaczoną, bo czystość wiele dopomaga do dobrego utrzymywania bydła.

Pasienie wołów i bydła młodocianego w tym samym porządku odbywać się powinno; tylko z tą różnicą, że woły nie w zimie nie robiąc bez warzywa obyć się mogą. Młodocianemu zaś bydłu należy do sieczki przymieszać cokolwiek zgonia lub plew owsianych, i wybierać mu jak najlepsze siano, aby przez niedostateczną paszę wzrost jego nie był wstrzymany, boć od tego zależy też i siła wołu i dobroć krowy.

Powie może niejeden z was, że przez pasienie samą sieczką o wiele mniej słomy wychodzi; ja temu zupełnie przeczę, bo w wielu najlepszych gospodarstwach wcale sieczką nie paszą, tylko słomą, i dobrze na tem wychodzą. I wy się o tem możecie sami przekonać. Odłóż tylko pewną ilość słomy i siana przeznaczoną na sieczkę na dzień jeden, z tego weź trzy części i porznij, a dwie takie części odłóż i spaś w słomie i sianie: a przekonasz się, że temi dwoma częściami wystarczysz; ztąd zyskujesz trzecią część słomy. Paście przeto wszyscy zimą bydło tym sposobem, jaki wam podałem, a przeto i na słomie zyskacie, i lepsze będziecie mieli bydło, albowiem bydło przy urozmaiceniu paszy smaczniej zajada i lepiej wygląda. —

(Ziemianin.)

RÓŻNOCI.

Jako generał Garibaldi wyratował jeden statek na morzu. Słyszeliście wy już zapewne o sławnym włoskim jenerale Garibaldi, który jest jakoby też prosty chłop, tak ci nie dużo i w ubiorze i w jedzeniu potrzebuje, chociaż co prawda że umie na książce, i około pióra praktykant, choć niewielki. Otóż ten generał Garibaldi to jest taki, co jeno w koszuli chodzi i kozy pasie, a jak butów to chyba w drogę albo do wielkiego miasta używa, kiedy mu na sejm jechać przypada; chociaż on się od deputacyi wymawia, jako to jest głupi chleb, a osobliwie dla takiego co o niczem nie wie. Więc ten Garibaldi jenerał to ma chałupę na takiej wyspie na morzu maluśką, aby na jednego człowieka, i przystawkę na kozy, i w tej to chałupie sobie siedzi; zaś wyspa to jest taka, co na niej drzewa nie rosną i ledwie że się koza pożywi, jako to jest takie zwierzę co się łąda czem obejdzie. Wysepka jak piąstka, i na kamieniu kamień i nic więcej; a dla czego on tam siedzi, kiedyby przecie jako jenerał mógł sobie ładną kamienicę zakupić w mieście, i żeby tylko pisnął, to Włochy co go okrutnie kochają, skoroby się zlecieli, toby mu taki dom wybudowali jak samemu królowi, albo i jeszcze piękniejszy. Ale jemu o to nie idzie, bo on woli ryby łapać jako to jest rybak bardzo mocny, i cała jego uciecha to kiedy sobie popłynie het, het i z drugim też takim koziarzem na morze, gdzie się ryby przewracają, mający sobie gdzie hulać bo morze straszne.

A no tak widzicie płynął sobie jeden statek wedle wyspy, gdzie Garibaldi siedzi, a ten statek się nazywał *Pintada*; co żeby się tak u nas nazywał, toby się z tego śmieli, ale że to po włosku, to cóż nam tam do tego. Należał ci ten statek do

jednego Francuza co też na nim chorągiewkę francuzką wywiesił, która jest czerwoną, niebieską i białą, a ten co jechał zwał się *Nikolini*, i płynął sobie od jednej wyspy do drugiej za węglami. Aleć jak przypłynął na pewne miejsce, co się nazywa *moneta*, tak się trafiło co się straszne wiatry porwały, i morze zaczęło igrać tak co niech Bóg broni, bo jak się morze rozigra, to tam żartu niema: albo się uratujesz, albo zginiesz; chociaż największy okręt to jak złapie, jak nim huknie o skałę, to porozbija na drobne drzazgi i ludzi i bydło i wszelką rzecz, tak, że się rzadko kiedy kto na brzeg wydostanie, i to tylko za Bożem zmiłowaniem, a z odzienia i z każdego włosa woda dziurkiem rznie co aż strach. A no jak ten biedny *Nikolini* już tylko co się miał rozbić takci mu Pan Bóg na pomoc zesłał onego rybaka, co jest i jenerał razem i koziarz, jak kiedy czego trzeba. Widząc tedy Garibaldi że ten człowiek utonąć już musi, jak ci da nogą po morzu — tak zaraz dopadł do tego tam stateczku: *Stój!* a to nie tedy, jeno na prawo, potem na lewo, jak zacznie manewrować, próbent dobry, jedzie het, raz koło jednej skały, potem koło drugiej, kędy wiatr nie tak bardzo dochodził, i zaraz tam było spokojniej, a wszystko to jak najlepszy majtek, co się już z morzem zna. Więc biedny *Nikolini* myśli sobie:

— A to dziwo nie człowiek! A żebymci to ja takiego chłopca miał na moim statku, toby mi się przydał bardzo! — Ale nie mówi nic tylko tak sobie myśli; dopiero jak wypłynęli na spokojne miejsce, tak on przewodnik zawoła:

— Hej patrzcie tam już wyspa, możecie sobie teraz spokojnie płynąć, bo już tam będzie bezpiecznie

aż do samego końca, jeno się zawsze brzegu trzymajcie; brzegu, brzegu, żebyście na wielkie morze nie wypływali!

A no, tak Nikolini pawiada:

— A mój człowieku, a tożescie mię z nieszczęścia wyciągnęli, to przecie wam jestem powinny do zapłacenia.

Ale Garibaldi nic a nie ani grosza:

— A co się tam będziecie szkodać! —

— Ta chociaż szklaneczkę wina wypijcie albo essencyi! — bo we Włoszech to same wino piją, ale czasem też takie, coby i koza beczala gdyby jej nalał. Więc kazał Nikolini wyciągnąć co tam miał najlepszego na spodzie we swoim statku.

— O! już tego to nie — odpowiedział pokłoniwszy się Garibaldi — jako ja nie piję nigdy nic innego jeno wodę, bom się odprysnął jeszcze od maleńkości. —

— To i jakże będzie? zapłaty nie chcecie ani poczęstunku, to mi przynajmniej powiedzcie jak was zwą?

— Ta ja tutaj mieszkam na tej wysepce *Kaprera* gdzie tam na roli pracuję! — (śliczna mi rola, co czysty kamień a gorący jak węgiel) zaś potem wskoczył we swój stateczek rybacki, i szmurr... poszedł jak ryba po wodzie, a Nikolini jakby zgłupiał i myśli sobie: — A to wyraźny cud Bozki; — i patrzył się za nim, czapkę zdjął i sam nie wiedział czy się żegnać, czy Panu Bogu dziękować czy co; a jenerał Garibaldi z daleka jeszcze pokazał mu wiosłem jak ma płynąć.

Tak ci więc płynący i płynący, przypłynął statek do wyspy gdzie węgle brali. Ludzie na brzegu stoją, ha no, tak Nikolini dopiero opowiadać jak, co, a ludzie się pytają z ciekawości:

— A pamiętacie jak wyglądał ten człowiek?

— Ha cóż, krzepki chłop, broda gęsta, żółte włosy, na głowie też włosy długo zapuszczone jak u górala, spodniska z drylichu, koszula czerwona i chusteczka przez plecy pod pachą zawiązana, buciska okrutne srogimi gaoździami nabijane, a z oczów to mu dobrze patrzyło, tak co i miło było patrzeć na tego człowieka.

— Dopiero ci ludzie we śmiech; jak się wezmą śmiać, tak Nikolini zgłupiał: bo to jak się wezmą śmiać z kogo, to naprzód człowiek zgłupieje, a potem go złość ogarnia i mówi: A zjedliście wy tyle a tyle, a z czegoż wy się nasławiacie? A jeden co najrozsądniejszy powiada:

— Panie Nikolini, zapisz sobie wasan ten dzień i godzinę, bo to jest dzień w którym nie tylko żeście statku nie stracili, ale jeszcze wam dowodził sam jenerał Garibaldi! —

Otóż to widzicie we Włoszech tacy są jenerałowie; a bodajby się taki na kamieniu rodził!

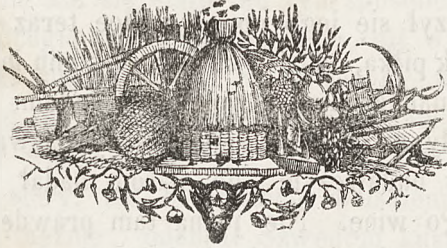
Pożur. Dnia 14. zeszłego miesiąca paliło się w miasteczku *Sieniawie* w obwodzie przemyskim. Płomienie zniszczyły 51 domów, między temi kilka murowanych kamienic i dwie bożnice żydowskie. Szkody z tego pożaru liczą na sto czterdzieści tysięcy; a skoro zaczęli dochodzić, jakim się to sposobem zajęło, tak się pokazało że to z przyczyny jakiegoś furmana, który chcąc wyjechać w nocy z gospody popasał konie przy latarni, a odjeżdżając zostawił ją w żłobie. Czy latarnia zła była, czy też otworzona, dość że się zajęło, i od takiego marnego drobiazgu z przyczyny lenistwa jednego furmana, zważyło się tyle nieszczęścia na biednych mieszkańców *Sieniawy*.



21. Sierpnia.

1861.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ZYGMUNT TRZECI, KRÓL POLSKI.

II. Dulsze sprawy.

Wkrótce nie mało było biedy w kraju z królem Zygmuntem. Bo to nie podobało mu się, że w Polsce tyle wolności, że nie może sobie rządzić i rozkazywać jak jemu się zechce, ale musi praw słuchać; zniechęcił się więc prędko, i niebawem przyszło do niezgód między nim i narodem. Przyczyną do tych swarów było też i to, że Zygmunt umyślił pojąć za żonę Annę księżniczkę rakuszką, siostrę cesarza niemieckiego, a naród na to nie chciał się zgodzić, obawiając się Niemki na tronie, jako że taka łatwo ci może narobić siła biedy, że ani się spostrzeżesz.

Trzeba wam zaś wiedzieć, że król w Polsce wstępując na tron zaprzysięgał i to, wraz z wielu innymi prawami narodu, że nie ożeni się bez jego zezwolenia. Nie zważał jednak na to król Zygmunt i pojął za żonę Annę z Rakuz, ale co gorsza, zaczął z jej bratem arcyksięciem rakuskim wchodzić w tajne umowy, w których układali się, iż Zygmunt odstąpi tron polski Niemcom, sam zaś na szwedzkim poprzestanie, wymawiając sobie za to niektóre takie rzeczy u cesarza niemieckiego, co były z ko-

rzyścią nie dla Polski, jeno dla szwedzkiej krainy. Owóz te umowy i listy tajne zostały wykryte, a naród oburzył się mocno, że król, którego wolnie obrał a przeniósł nad innych współzawodników i powierzył się jego opiece, chce teraz ni ztąd ni zowąd przerzucać się jak piłka, oddając za lada co komu innemu zwierzchnictwo i pieczę nad zacnym i wolnym narodem.

Nastąpił tedy w r. 1592 sejm, który nazwano *inkwizycyjnym*, co znaczy badawczym, bo naród badał na nim króla i wyrzucał mu jego winę. Nie jedną tam prawdę ostrą usłyszał król Zygmunt, i musiał się uniewinniać, tłumaczyć, a wręście dał zapewnienie, że niechno tylko o tem co się stało zapomną, to on nadal prawem sprzeciwiać się, ani też tronu komukolwiek ustępować nie będzie.

Aleć trafiło się, iż w tymże roku umarł ojciec Zygmunta, Jan król szwedzki, i Zygmunt pojechał do Szwecyi, by się tam ukoronować. Trzeba wam wiedzieć, że wstępując na tron przyrzekł Zygmunt oddać Polsce kawałek szwedzkich posiadłości zwący się *Estonją*, co dawniej do naszej ziemi należał; jednakże tego przyrzeczenia dotąd nie był dotrzymał, a ilekroć się naród upominał, to obiecywał i obiecywał, aleć jak zwykle *obiecanka cacanka a głupiemu radość*, bo ojciec na to póki żył nie pozwalał. Więc teraz skoro już ojciec pomarł, nie miał Zygmunt żadnej przeszkody, a przecież Estonji nie oddał Polsce. W Szwecyi zaś tak sobie nierozsądnie postępywał, że Szwedzi go od razu znieubili; toż zdał tam wnet rządy na swego stryja, a sam wrócił do Polski. Aleć stryj ów widząc jak Szwedzi nie lubią Zygmunta, pomyślał, że on sam mógł by tam być królem; i tak ich pokłócił z Zygmuntem, że oni sobie go naręście obrzydili i słuhać nie chcieli, a stryja na króla szwedzkiego ukoronowali.

Zygmunt gniewał się na to i sierdził, i wyprawiał się do Szwecyi, lecz został tam pobity. Chciał więc koniecznie, aby teraz Polacy za niego bili się ze Szwedami, wydając im wojnę: ale Polska, dbała o swoje dzieci, nie chciała szafować dla lada czego ich krwią i zdrowiem, i wojny Szwecyi nie wydała.

Wyobraźcie więc sobie co król robi: teraz kiedy już nie miał Estonji, oświadcza się z tem, że on ją Polakom oddaje, i

nakazuje pewnemu dzielnemu rycerzowi, który był wojewodą w Inflantach, aby do Estonji wpadł i zagarnął ją. Wojewoda usłuchał króla, ale źle się stało, bo tym sposobem król Zygmunt więcej dbały o drugie dla siebie państwo, niż o dobro polskiego narodu, wciągnął nas w wojnę ze Szwecyą, ponieważ Szwed gniewny za napad na Estonję, najechał zaraz Inflanty. Wtedy to Jan Zamojski ów wielki hetman, o którym już wiecie, musiał choć bardzo już stary, iść z wojskiem polskim bronić Inflant. Walczył on tam mężnie, odebrał Szwedom kilka miast, które byli zabrali, ale wkrótce zaczęły mu dokuczać rany odebrane w boju, i wiek podeszły; i z tem też miał biedę, że król zwyczajnie jako obcy z rodu, nie wiele dbał o to, żeby wojsko nie cierpiało głodu, i nie dosyłał mu pieniędzy. Wtedy to poczciwy Zamojski pożałował żołnierzy, którzy z nim razem się bili, i mając bardzo dużo srebrnych naczyń przeróżnych jako wielki pan, wszystkie te swoje srebra oddał na potrzeby wojska. Ten wnet jako już bardzo starością znękany, zdał dowództwo Karolowi Chodkiewiczowi, który po nim został hetmanem, i wrócił do Polski, gdzie mu na sejmie naród dziękował za jego wszystkie wysługi dla miłej ojczyzny.

Karol Chodkiewicz tymczasem znalazł się w Inflantach w wielkim kłopotcie: miał tylko półczwarta tysiąca wojaków swoich, a tu król szwedzki napadł na niego z ośmnastą tysiącami tegoż żołnierza.

Było to pod miastem, które nazywają tam Kircholmem, w r. 1604. Chodkiewicz nie zważał wcale, że naszych mało a tamtych dużo, bo wiedział, że człek strzela a Pan Bóg kule nosi, i jak Władca niebieski zechce, to słaby pokona mocnego, jak niegdyś Dawid Goliata. Otoż wezwawszy Boga w pomoc, uderzył na Szwedów, i tak mu też Bóg szczęścił, że ich pobił ogromnie. Dziewięć tysięcy Szwedów zostało trupem na miejscu bitwy, więc przeszło dwa razy tyle ich poległo, niż było polskich wojaków. Toż po tej bitwie schował się Szwed do nory, i nie śmiał już tak bardzo dokuczać Polsce, której Bóg jawnie pomagał przeciw nieprzyjaciołom, ile razy w Nim zaufała.

Co Jaś Zosi opowiadał

o bitwie pod Dubienką.

Płynie Wisła jak spiąca,
A nad Wisłą zagroda
Cicha, biała, nie duża ;
A Zosińce, choć młoda,
Blednie liczko choć róża,
I iza płynie gorąca.

Kłękła w chacie na progu,
I we Wiśle wzrok topi,
I tak skarży się Bogu :
— Gdy Jaś jechał z panami,
Siałam grzędą konopie ;
Dziś już płótno z konopi,
I już drugie we snopie..
O mój Boże, mój Boże
Zlituj że się nad nami!
Toć o Jasiu ni slychu,
Ani brata w komorze,
Ani pana we dworze,
A coś wabi do grzechu,
Coś tak wabi do rzeki..
Chce się zasnąć na wieki.

I znów ciche łyzy leje,
I modlitwą się grzeje,
I nadzieją się śmieje.

— O mój Boże, mój Boże,
Ani brata w komorze,
Ani pana we dworze,
A mój Janek nie ze mną,
Chyba we śnie w noc ciemną..
O mój Boże, mój Boże
Zmiłuj-że się nademną!

A po Wiśle w tej chwili,
Czy jaskółka czy ryba,
Coś się pluska i pluska,

Łozinami przechyba,
I ugina traw kłóska,
Aż się samo wychyli :
A toć łódka jak rybka,
Ledziuteńka i chybka,
Niby płynie nie płynie,
A w niej jakby w łupinie
Nie rybaki, rybaki,
Dwa w mundurach wojaki.

Plusło w łozach, przybiło,
I usiadło jak ptaszek,
I dwóch na brzeg skoczyło :
Jaś kochanek, brat Staszek,
Łódź na Wisłę się prosi,
A ci obaj przy Zosi.

— Mój gołąbku kochany,
Moja Zosiu niebogo,
Niosę w piersiach trzy rany,
Ale w sercu mi błogo :
Bo na polach Dubienki
Moskał legnął jak zboże ;
Więc się pomódl w pokorze
Do najświętszej Paniienki,
I do pana Jezusa,
Ześmy Moskwę pobili,
Ześmy cało wrócili
I że tęga w nas dusza.

Pan Kościuszko przywoził :
Mój ty Boże, to żołnierz!
Co mu kabat zlocisty ?
Jeneralski co kołnierz ?
Na Krakusa się zrodził,
W zlocio nigdy nie chodził,
Toć też zato człek czysty,
Toć też serce jak djament,

A ta polska w nim dusza
Widzisz w oczach się rusza!

Wielki Moskwie był lament,
Choć wywieźli armaty,
Choć się długo bronili,
Choć strzelali psubraty;
Bo to kosa fundament!
Więceśmy ich zdławili,
Tak, że białe dziś kości
Trawę gryzą z radości!
Moja Zosiu niebogo,
A nie będziesz mi krzywa,
Że ja tylko trzech zabił?
Trzech Moskali, ubogo!
Czwarty szedł mi do żywa,
Z nóg powalił, osłabił,
Piersi pika rozwalił,
Lecz Stach resztę ocalił.

Hej niechno tu Kościuszkoo..
Jeszcze raz ich przetrzępię!

Lecz się pierwej pokrępię...
Czy przy tobie serduszek?

Zosia, duszka, gołabek,
Cichła, bladła, płakała,
A przy końcu skraśniała
Jak w jesieni jarząbek.
Wzięła Janka za rękę,
Razem poszli pod Mękę;
Razem się tam modlili,
Potem cicho mówili,
Potem poszli do chaty,
Gdzie pan ojciec bogaty,
Potem prało się, szyło,
Potem piekło, warzyło —
Trzy niedziele, nie wiele..
W końcu było wesele.
A brat Staszek szedł dalej
Rąbać panów Moskali.

Grześ z Mogiły.

KASPER KARLIŃSKI.

Opowiem wam historję z owego czasu, gdzie Niemcy swego księcia Maksymiliana na tron polski prowadzili. Trudność bo trudno go było doprowadzić niebożętom, jako że Polacy jak świat światem nigdy się o Niemców nie kusili; aleć owi spróbowali przecie czy im się nie uda, począwszy od napadu na krakowską ziemię. Jak długo się to na pytaniach i prośbach kończyło, tak długo śmiał się z nich pan Zamojski i najwięcej palcem w bucie groził; lecz skoro owym na prawdę panować się zachciało i z halebardami w rękę ruszyli na Królestwo: tak nasi skropili ich, bo skropili co się zowie uczciwie, a potem fora z domu, wykurzyli na cztery wiatry, samego księcia złapawszy. No, aleć o tem wszystkiem wiecie; jeno nie wiecie, jak się przy tej okazji pan Kasper Karliński spisał, który naonczas załogą dowodził w obronnym zamku *Olsztynie*. Jeśli łaska, posłuchajcie.

Było to zimową porą; pan Karliński chodził smutny po zamkowych izbach, bo mu przyszło pochować ukochaną żonę, wierną towarzyszkę życia. Tydzień już od pogrzebu, a panu Kasprowi brzęczą jeszcze w uszach dzwony pogrzebowe, przed oczami stoi mu jeszcze czarna trumna z białym krzyżem i konie w czarne chusty odziane.

— Boże mój Boże! ciężkoś mię zasmucił — rzekł wreszcie sam do siebie biedny pan Karliński, stanąwszy przed oknem. — Zakrwawione moje serce stratą najdroższej mi niewiasty, z którą tyle lat w zgodzie i miłości żyłem, a w niczem pociechy znaleźć nie mogę, bo oto świeży już smutek rośnie z niedoli Polski, tej drogiej matki ojczyzny, którą Niemcy napadli i pustoszą.

I wyteżył pan Kasper wzrok przed siebie, i patrzył, patrzył ze smętnem obliczem, jak tam zkaśes od zachodu łona pożarowa bije. Więc uderzył pięścią o ramę od okna aż szyby zabrzęczały, i dodał głośno:

— Ale odkrwawię ja bolesne serce na skórach tych Niemców, skoro się tylko zjawią. Ani nogi nie wypuszczę cało!

W tej chwili zaleciało dziecięce płkanie od przyległej komnaty. Był to głos małego syna pana Karlińskiego. Potarł biedny ojciec na świeżo zaturbowane swe czoło, bo mu przyszło na myśl: co to będzie z tem biednym dzieciątkiem, jak się ono bez matczynej wychowa opieki?

— A jak Niemcy na zamek napadną? — pomyślał pan Kasper trwożliwie — gotowi wydrzeć mi skarb ostatni, ostatnie moje kochanie i nadzieje razem z niebożątkiem. Dosyć siedmiu synów, co zginęli dla świętej ojczyzny; ósmego chciałbym już ja przeżyć!

I wyszedł frasobliwy ojciec do przyległej izby, kędy stała kolebka z dzieciątkiem, a wiejska kobieta schylała się nad niem, cichą nutą tuląc płacz małości.

Pan Karliński stał chwilę, a spoglądając to na dziecko to na kobietę, snąc ważył coś w głowie:

— Moja Zofijo — rzekł wreszcie do piastunki — Niemcy nadeciągają w tę stronę, i jużci napadną na zamek, chcąc go dobyć. Jest to w Bożej mocy, czy nam się ten Najwyższy obrońca dozwoli, czy też nas odda w ręce Niemców. Bronić się bę-

dziemy do ostatka, a jak im się zamek zdobyć uda, to pewnie nikogo żywcem ztąd nie puszczą. Toż i moje dzieciątko może być w niebezpieczeństwie; więc weź je lepiej Zofijo na wieś do swojej chaty, boć Niemcy nie będą was tam przecie ani wyganiać ni mordować jak pogany Tatarzy. Karm to maleństwo swoją piersią, bądź mu matką, i strzeż jak oka w głowie do skończenia wojny.

Zofija pomyślała chwilę, pytała i radziła się o to i owo, i tak rozmawiali jeszcze chwilę, poczem pan Kasper ucałował w rumiane liczko małą dziecinę, żegnając je wraz z piastunką.

Tymczasem wiódł książę austriacki wojsko swoje w głąb krakowskiej ziemi, i jeszcze tego samego dnia oparł się o Olsztyn. Na murach zamku stała już załoga gotowa do obrony, a gdy Niemcy zbliżyli się pod wały, huknęły ukryte w basztach armaty, a za każdym strzałem kładły się pomostem szeregi nieprzyjaciół. Rozbiegło się więc czempredzej owo bractwo, nie smakując w takim przywitaniu, i gotowało się z innej strony całą siłą uderzyć. Ale darmo! Pan Karliński ze swoimi psem w oczy im się sady, i z której strony Niemcy chcą go tylko uderzyć, to on ich tak parzy po łapie, że co chwila zmykają jak oparzeni.

Schodzą się niemieccy dowódcy, i radzą, radzą jak tu zdobyć Olsztyn? Przemocą nie można gdyż są silni, zdradą jeszcze gorzej gdyż wierni swojej Polsce. Więc łamią sobie głowy i łamią, bo im wstydno odchodzić z kwitkiem, dostawszy po skórze. Wtem wchodzi żołnierz do jeneralskiego namiotu i rozpowiada, iż złapali jakąś kobietę z dzieckiem, o którym ona mówi, że to syn dowódcy zamku.

— Zastrzelić jak psów! — zawołał jeden z jenerałów, któremu najbardziej nie szła w smak twarda obrona zamku. Żołnierz chciał już wyjść i spełnić rozkaz, gdy drugi z dowódców zatrzymał go nagle, śmiejąc się z zadowoleniem do siebie.

— Stój! — zawołał — ja mam myśl doskonałą!

Wszyscy otoczyli go ciekawie.

— Co, jak, mów!!!

— Mamy dziś ostatni raz szturmować do zamku, a ja wątpię czy nam się to uda. Tak jak w przeszłych razach przepa-

dniemy, jeżeli nie zrobimy tego co poradzę. Oto weźmy kobietę z dzieckiem Karlińskiego i prowadźmy ją przed pierwszym szeregiem szturmujących; jużci do własnego dziecka ten Polak przeklęty strzelać nie pozwoli, a tak nasi dostaną się bez szkody aż pod same mury.

— Wybornie, doskonale! — zawołali inni, a uściskawszy dowcipnego doradcę, jeli zbierać wojsko do ostatniego szturmu.

Odezwały się bębny i trąby, a szeregi wychodziły z namiotów jak z pod ziemi; błyszczały pałasze i halebardy, ale nie błyszczało nie radości na twarzach panów Niemców, owszem smutek i zmęczenie pochylały ich żołnierskie postacie, a strach wyłupiał oczy jak cebule na wierzeh. Boć to nie fraszka isé jeszcze raz w ogień, skoro już kilka razy sparzyło.

Aleć przecie ten i ów prostuje się nabierając odwagi, bo dowódcy chodzą między swoich i wskazują palcem na pierwszy szereg wojska.

— Toć do syna nie strzeli! — mówi sobie ten i ów, i odwaga wstępuje w tehrzowskie ich dusze.

A tam pierwszy szereg pędzi Zofiję jak bydle przed sobą. Ręce sznurami skrepowane i dziecię przywiązane do niej. Biedna kobieta na pół umarła z przerażenia i bojaźni; nogi drżą pod nią, kroku stąpić nie może, leez żołnierze wiodą ją na sznurach, szturkają i popychają naprzód.

Chwila uderzenia już się zbliżała; Niemcy podchodzili pod wały, a na zamku przyłożył puszkarz twarz do armaty i celuje w podchodzących nieprzyjaciół. Karliński krząta się naokoło, wydaje rozkazy, i kupi swoich w miejscach co najślabsze, a gdzie się napadu spodziewa.

Puszkarz celujący zbladł nagle i skoczył od armaty:

— Panie! — zawołał zwracając się do Karlińskiego — tam Niemcy pędzą przed sobą Zofiję i... z pańskim dzieckiem na rękach.

Pan Kasper pobiegł na te słowa i ostrym wzrokiem spojrział na szeregi.

— Prawda... Zofija i syn mój... ostatni — mruzczał sobie przez chwilę, a oczy mu się zaświeciły, niewiedzieć złością czy łzami. Niemcy szli coraz spieszniej i coraz bardziej zbliżali się

pod zamek, a Karliński stał, czerwieniał, czerwieniał na twarzy, wreszcie podniósł rękę do góry i krzyknął strasznym głosem:

— Pal!

Puszkarz stał drżący i blady, i trzymał lont zapalony w ręce, lecz go nie przykładał. Więc Karliński poskoczył i wydarł mu lont z ręki.

— Strach cię ogarnął? — zawołał głośno. — Pierwej ja byłem Polakiem jak ojcem! — i z temi słowami przyłożył lont do panewki... zabłysło, dymu kłąb wyleciał i jęk strzału rozległ się w powietrzu... Po chwili gdy się rozrzedził kłąb dymu, nie było widać tylko kupkę trupów i uciekających Niemców, a na murach stał pan Kasper z ponurem obliczem, trzymając czarny lont w zmartwiałej ręce.

Kilku z żołnierzy zgromadziło się obok nieszczęśliwego ojca.

— Gdzie dziecko z piastunką? — zapytał któryś z nich półgłosem.

— Nie żyje! — odrzekł Karliński, lont wypadł mu z ręki, a sam osłabiony pochylił się na ramiona towarzyszy.

Niemców nie było już prawie pod zamkiem. Na pierwszy strzał rozpierzchnęli się jak stado trwożliwych kaczek z krzykiem i lamentami, i po tej ostatniej próbie nie wrócili już więcej.

Pana Kaspra zawiedziono do zamkowych komnat. Blady był jak mur i milezący, a łzy gorące toczyły mu się niby groch po twarzy. Nie krzychał ani złorzeczył woli Bożej; skinieniem ręki oddalił dworzan od siebie, a skoro sam już był w izbie, jeno w obecności Najwyższego Stwórcy, wówczas upadł na kolana przed cudownym Jezusa wizerunkiem, i skarżył mu się z swoją boleścią, i tonął cały w cichej modlitwie.

Na dole w rycerskich izbach odpoczywali żołnierze po trudach obrony, ale choć Niemiec daleko już był od zamku, i nawet chmur śniegu na nim już nie widno: przecież nie wielka uciecha błyszczy na twarzach zwycięzców. Ten i ów podparł ręką zafrasowaną głowę, a inni ocierają czasem wilgotne oczy kitami od czapek.

— Ej, jak mi Bóg miły — zawołał jeden z żołnierzy — wolałem być sam zginąć niż doczekać się takiego smutku na-

szego komen danta! Zbił człowiek Niemców na kwaśne jabłko, a i tak mu nie radośnie.

— Prawdę mówicie Wojciechu! — zawołał inny. — I mnie jakaś taka wściekłość porwała, skorom tylko ujrzał dziecko naszego dowódcy na czele niemieckich szeregów, że byłbym wyskoczył i bił i rznął tych drabów aż do ostatniej kropli krwi.

— Bo też trzeba na to podłych tchórzów i nie chrześcianów, żeby się biednym niemowlątkiem i jedną niewiastą zasłaniać — rzekł westchnąwszy Wojciech, a potem zacisnął pięść i uderzył nią po krzywej szabli.

Między żołnierzami siedział stary i siwy już wojak. Na stole przed nim stał miód żółty w cynowym gąsiorku; od czasu do czasu maczał usta w orzeźwiającym napoju, przysłuchując się uważnie prowadzonej między druhami rozmowie. Wreszcie wstał, otarł usta, a uderzywszy w stół ręką tak zawołał:

— Co płaczecie i skarżycie! Płacz i skarga, to chleb nie rycerski! Bolić i mnie, a może więcej niż was wszystkich ten smutny wypadek, bo znam pana Kaspra od małości, a siedmiu synów jego uczyłem na koniu jeździć i szablą wywijać. A otoż podobało się panu Bogu wszystkich siedmiu zabrać do siebie w czasie krwawych wojen; wszyscy zginęli odważnie i po rycersku, jak prawi synowie tej polskiej Ojczyzny! Dziś zginął ósmy syn, ostatnia pana Kaspra pociecha, a ja przecież nie płaczę ani skarżę, lecz dziękuję Bogu. I wy moi druhowie dziękujcie wraz ze mną panu Bogu, że nam daje takich wielkich i świętych ludzi, co nie tylko sami zginąć, bo to fraszka, ale i ostatniego potomka dla dobra tej miłej Polski na śmierć oddać potrafią. Nie nam wróg nie zrobi, nie zdławi nas pewnie, jak tylko podobnych Kasprowi ludzi będą rodzić nasze matki! Dziękujcież więc Bogu i westchnijcie do Niego za biednym kome-dantem, chyba o tyle, żeby ten Pan Niebieski zesłał spokój święty na jego duszę, a chwała niech będzie naszej matce Polsce! —

— Chwała naszej Polsce! — rzekli jedni.

— Prawdę świętą mówi — mruknęli inni.

A co starsi pozdejmowali kołpaki i zegnali się krzyżem świętym, i odmawiali modlitwę za spokojem duszy swego dowódcy kochanego, i za dobrą przyszłością jedynej ojczyzny.

Cicho się zrobiło w rycerskich izbach, a w górze w zamkowej komnacie wstał właśnie z kłęczków pan Karliński, i tęsknym ale czystym wzrokiem, jakby jeden z owych Świętych Pańskich, co dziecięta swoje na rzeź wydawali, patrzył przez wysokie okna na bielejące się pola i lasy, i był spokojny w duszy, bo dopełnił świętego obowiązku miłości ojczyzny.

Opowiadał: *Grzesz z Mogiły.*

Rady gospodarskie.

O chowaniu ziemniaków na zimę.

Dzięki Panu Jezusowi i Panience Najświętszej, która naszą ziemię Polską w szczególnej ma opiece, nie słyhać dziś z żadnej strony, żeby się ziemniaczki psuły. Przeszłego roku słabowały nam one trochę, ale tego roku jeden w drugi samo zdrowie, a do tego wielkie i smaczne. Nie sztukać to wykopać, nie sztuka też i jeść, zwłaszcza jeśli masz sól, a trafi się i okrasa; ale skoro zjeść od razu nie można, to sztuka jest przechować ziemniaczki tak przez zimę, eoby się nie popsuły. Pisałem ja wam już o tem, rok temu prawie będzie, podawałem wam jedno i drugie, choć nie wszystko dobre; ale widząc jak wy sobie w tem ciągle źle radzicie, pomyślałem, że to nie zaszkodzi opisać wam jeszcze raz szeroko, jak to ziemniaczki przez zimę przechowywać należy, żeby były zdrowe i ani od deszczów nie zgniły ani od mrozów nie zmarzły.

Owóz trafia się między wami najczęściej, że zasypujecie ziemniaczki do dołów, co jak świat światem nigdy nie jest dobrem, a przeciwnie, bardzo szkodliwym być musi: bo żaden dół, choćby na górze, nie będzie ci taki suchy, żeby tam wilgoć i woda nie podeszła. A skoro tylko woda podchodzi, a do tego i luftów nie ma, któremiby powietrze dolatywało, a para z ziemniaków uciekała, to muszą ci one zacząć gnić po-

woli; a jak już gnienie zaczyna, ho, ho, to już trudna sprawa; nie pomoże święty Boże, zepsuje ci wszystko do imienia.

Najlepsze ze wszystkich schowków są piwnice suche, widne i wietrzne; ale że to u was mili gospodarze rzadko się trafia, więc nie ma też o czym mówić. Lepiej będzie odrazu opowiedzieć, jak się ziemniaki w kopce zesypują i jakie powinny być te kopce.

Otoż kopce są dwojakie: albo mniejsze okrągłe, albo większe podłużne. Podłużne są lepsze, bo je możesz podług ilości ziemniaków jak ci się podoba urządzić: na 3 lub 4 łokcie szerokości, a długość wedle woli; a jak przyjdzie ziemniaki dostawać, to możesz od jednego końca rozpoczynając wyjmować, i napowrót zakładać, podczas gdy przy okrągłych naraz tylko całą ilość kartofli wyjąć można.

Cheąc taki kopiec urządzić, trzeba najprzód wybrać ziemi do dwunastu cali głębokości, tak, żeby na pokrycie całego kopca wystarczała. Jeżeli jest grunt suchy i czysty, to odrazu sypać można; lepiej atoli podłożyć nieco równej słomy z okłotów, którą się przynajmniej do połowy po za krawędź wykopanego dołku wysuwa; te wystające końce możesz tymczasem, gdy ziemniaki sypać wypadnie, deskami poprzeciskać, a potem usypawszy już ziemniaki coraz wyżej ku górze, zdejmujesz deski, podnosisz owe końce słomy, okrywając kopiec, który też i z góry słomą jak daszkiem obłożyć należy. Poczem obrzucasz cały wykopaną ziemią; gniotąc z lekka łopatą; a dajesz na to baczność że skoro przyjdą mrozy, to drugie tyle ziemi przywieść i dopiero nią po drugi raz kopiec obrzucać trzeba.

Jeżeli wykopiesz ziemniaki przy suchej i ciepłej pogodzie, a nie ma na nich prawie żadnej ziemi, to pamiętaj nie sypać je wielką gromadą do piwnicy, zwłaszcza jeżeli jeszcze na dworze wciąż ciepło; bo gdy przytem w lochu przeciągu powietrza nie ma, a niektóre ze ziemniaków trochę poranione i wielką leżą kupą, to ci pewnie zgnilizna i zepsucie niezadługo się w nie wkradnie.

Na to samo trzeba mieć baczność przy sypaniu ziemniaków w kopce. Owóz należy w kopcach od góry jeden lub kilka otworów zostawić, ale tak z wierzchu słomą zakrytych, eoby tylko

niemi powietrze sobie hulało, a deszcz nie zaciął. Za najbliższym mrozem zatyka się te lufty, otwierając je znowu, gdy ciepła odwilż nastąpi.

Niech Bóg broni sypać wraz ze zdrowemi zmarznięte ziemniaki; kilka takich może ci cały kopiec zepsuć. Lepiej też gdy przypadkiem kopanie ziemniaków za długo w jesień się przeciągnie, kiedy już przymrozki nad ranem się trafiają, aby te przymrozki cierpliwie przeczekać, i w ciepłym czasie kopać; lub też co najlepiej, pospieszyć się z kopaniem.

Oto są główne potrzeby zdrowego przezimowania ziemniaków. Przeczytajcież więc sobie uważnie i róbeie jak napisano, a pewnie wam to na dobre wyjdzie.

Dziady a żebraki.

Wielec to my cierpieli: piękną i szeroką Polskę naszą napadali nieprzyjaciele; łupili ją, zalewali krwią i pożarami Moskale, Niemcy, Tatarzy i Turcy, a choć już poszli sobie szablami polskimi wypłoszeni, to za nimi wlokły się różne kłęski, morowe powietrze i głód: morowe powietrze z trupów niegrzebanych, a głód dlatego, że pola leżały niezasiane, a i rąk nie stawało do pracy. Zsyłał Pan Bóg na doświadczenie cierpliwości naszej chrześcijańskiej okropne posuchy, straszne powodzie, tłumy szarańczy — więc znowu bywał głód, a w skutek głodu pomory straszne.

A przecież po takich srogich kłęskach kraj się jakoś podnosił niebawem, przychylił Ojciec w niebiesiech lica swego — i tak gdzieś ziemia święta jakby cudem zakwitła, dawała plon bogaty — i wsie jak ule pełne ludu pracowitego; i mając ojczyznę swoją drogą całą, naród śpiewał wesolutko i pracował dla siebie i swoich i na chwałę Boga.

Ale nie bywało w naszej pięknej i szerokiej Polsce, dopóki w zamku krakowskim lub sławnej Warszawie na tronach siedzieli monarchowie królowie polscy — nie bywało, aby stary człowiek tułał się bez przytułku i chleba, aby dzieci marły pod płotami z głodu. Od wsi do wsi chodzili dziady i dawniej — ale żebraków nie było nigdy jak Korona polska stała.

Nie jednoć mi o tem prawił mój dziadek nieboszczyk; wi-

dział on wprowadzie jeszcze króla polskiego na tronie, ale z owych złotych polskich czasów już wtedy były tylko ślady i pamięć żywa, jakby o tem co się wezorał działo. Bo już za tego ostatniego króla zagospodarowali się w kraju Moskale — toć już wam i mówić nie trzeba, jak się dzać musiało. Moskale napadali dniami i nocami dwory, wsie i miasteczka, rabowali, palili, porywali uczeziwe niewiasty i dziewczki, a co najokropniej bolało, to że nie przepuszczali nawet ołtarzom świętym. Toż to moi ludzie, z kościołów dlatego, że to kościół katolicki a nie szyszmatycki, robili stajnie dla koni i karczmy dla siebie; w komżach i ornatach święconych robili najsprośniejsze rzeczy; komunją, ciało Pańskie, wyrzuciwszy i oplwawszy, pili z kielichów wódkę. Ach aby wszystko opisać, potrzeba ksiąg ogromnych.

Otóż to od owego czasu zjawili się w Polsce żebraey, jak królów polskich niestało.

Trafiało się jak zawsze tak i dawniej za polskich króli, że została sierotka bez rodziny; więc ją pan zabierał do siebie, albo oddał pod opiekę całej gromady. Nie zaznała wprowadzie sierota co to przytulić się do rodnej matki, do ojca — ale wzrosła zdrowo i wychowanie dostała lepsze nieraz, niżby w rodzicielskiej chacie. A jak dorosła — czy to chłopiec czy dziewczucha — to i u ludzi wnet znalazła miejsce, i dostawała męża czy żonę, i chatę własną, ta i rodzinę — bo i miłość była, i ręk było potrzeba, gdyż wtedy jakoś i ziemia święta więcej rodziła.

A zdarzyło się, że staruszek czy staruszka zostali sami, bez rodziny, bez synów i wnuków, i siły odmawiały posłuszeństwa rękom — toć się udał pod dach kościoła, i służąc Bogu przy dzwonnicy, przy ołtarzu, w zakrystyi, w plebanii, dożywał reszty dni pracowitego żywota.

Starey bez rodziny i sieroty nie tułały się po obcych zagrodach, nie ginęły pod cudzemi płotami. Jak powiedziałem, *żebraków*, t. j. szukających chleba i przytułku z nędzy, nie było za naszych starych czasów.

Ale byli *dziady* — i to dwojakiego rodzaju :

Gospodarz, spracowany, znękany wiekiem, oddawał rolę i chatę i obowiązek pomagania dziedzicowi swemu, który bronił kraju i kmiotków swoich od Turków, Tatarów i innych nieprzy-

jaciół — bo rekrutacyi za dawnych polskich czasów nie było, i pan za poddanych swoich służył w wojsku — otóż *gospodarz na starość*, kiedy już praca ręk jego dla kraju i rodziny nie wiele przydać się mogła, myślał o zbawieniu duszy swojej, pożegnał się więc z swoją rodziną, z swoją gromadą i dworem, zapuszczał brodę poważną, brał kij do ręki, torbę przewieszał przez plecy — i szedł w ten szeroki kraj polski, sięgający od morza do morza, na odwidziny wszystkich sławniejszych miejsc świętych, które gęsto rozsiane są po Małej i Wielkiej Polsce, po Rusi i Litwie. Tam się modlił za siebie, za swoich, za pana, i za droższą nad wszystko ojczyznę. Nie turbowały go złe gościńce, nie frasował się czem usta posili, gdzie pod noc głowę złoży. Bo jak ta Polska wielką była, tak wszysey jej mieszkańcy to jak jednej matki dziatwa; bo choć Mazur, Rusin i Litwin niby każdy ma odmienną swoją mowę, ale jako dzieci jednej matki, jednej ojczyzny, której królową jest sama Panna Przenajświętsza — wszędzie znalazł przyjęcie jak u krewniaka na kiermaszu lub prażniku, wszędzie takiego dziada witano z radością i uszanowaniem, a dzieci i dorośli za wielkie poczytywali sobie szczęście, gdy taki starzec dziad ich głowy pobłogosławił; i co najlepszego miała komora, co najmniejszego i najcieplejszego pościel, wszystkim częstowano dziada i jeszcze na drogę zaopatrywano, jako pielgrzyma świętego, jako gościa z dalekiej ale rodzinnej dla wszystkich strony.

Tak więc szedł staruszek od Częstochowy, aż do Wilna i Kijowa, i wracał aż kiedy już przeczuwał, że niezadługo Bóg po pracy ziemskiej powoła na odpoczynek do siebie. Wtedy wracał do swoich, aby jeszcze po raz ostatni obaczyć drogie osoby, aby pod swoim kościółkiem złożyć kości, aby i nad mogiłą jego wiało to powietrze słodkie, którem odetchnął w pierwszej godzinie żywota swego.

I były znowu *rodziny dziadowskie*: dziad i pradziad, syn i wnuk, babka i córka — wszystko było dziadem z rodu, i nie siedziało na roli. Rodziny takie dziadowskie posiadały nieraz znaczne mienie — a mimo to coś ich goniło po całym świecie polskim, ta nieraz nawet do Moskwy zagląдали. Nie lenistwo jednak było powodem ich dziadostwa. Oni byli śpiewakami, lirni-

kami, nawet lekarzami, gazetami roznoszącemi po jednym końcu Polski to, co się na drugim działo lub dzieje. Oni zaznajamiali ze sobą pieśnią lub powieścią najoddalsze plemiona, ziemię Polską zaludniające; przechowywali i rozszerzali najpiękniejszy płód pracy umysłowej ludu, pieśni ludowe.

Tak więc i te dziady nie z nędzy, nie z lenistwa żyli chlebem z rąk łaskawych dawanym, ale byli poniekąd nawet potrzebni w kraju, i płacili za jałmużną pieśnią lub radą.

Oba rodzaje dziadów, t. j. staruszków co po latach pracy chwytali za kij i torbę, dla odwiedzania miejsc świętych, i rodzin dziadowskich, co z pieśniami, powieściami i radami lekarzskimi chodziły po świecie polskim — oba te rodzaje dziadów znikły prawie bez śladu. Dziadów u nas już nie ma, ale są niestety za to żebraki.

Daj Boże, aby się wróciły te czasy, w których u nas nie było żebraków, t. j. żebrzących z nędzy lub lenistwa.

R. z W.

RÓŻNOCI.

Smutna historia z ukrytem srebrem.
Piszą z poza Wisły, że pewien Niemiec tamże zamieszkały, kutwa, jak to zwykle Niemcy, zbierał sobie niewiedzieć czystym czy nieczystym zarobkiem srebrne talarki i ruble i składał to porządnie w garnku. Owoż naskładawszy tak pełen garnek pomysłował sobie:

— Hej, trzebaby to gdzie schować przed ludźmi, bo gotowi zwędzić, albo się wyda i roztrwoni niewiedzieć na co!

I byłoby nie źle, gdyby to tak z czystej oszczędności; ale suche Niemczyskoniedojadło, niedospało, od ust sobie odejmowało, byle tylko mieć garnuszek białych jak lustro pieniędzy. Ni to dzieciom ni to krewnym, jeno tak, ot dla siebie. Skoro mu więc przyszło na myśl chowanie, tak też zaraz w nocy wybrał się do stodoły, w klepisku wybrał trochę ziemi i tam zakopał garnek z srebrem, i ubił dobrze napowrót.

— No jużem spokojny! — rzekł do siebie ciągnąc szlafmycę na uszy.

Aleć mówią ludzie, że jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści! a ono pokazało się to na owym Niemcu i

na jego srebrem. Bo skoro tylko usnął, aż tu burza mocna nadchodzi; Niemiec się budzi, a tu ci się łyska i grzmi na niebie, aż ciarki plecami chodzą. Więc też i mój Niemiec aż się kuli w pierzynch i głowę gdzieś pecha pod poduszkę... gdy nagle trzasło mu w uszach jak z armaty. Zerwało się biedne Niemczysko na równe nogi, patrzy, a tu stodoła w płomieniach. Oniemiały z przerażenia wybiega, budzi, gasi, ale gdzie tam: pożar okropny pali stodołę i domostwo, jeno co graty i bydlę ocalało.

No i zgadnijcież: co było powodem owego pożaru? Owoż nic innego jeno talarki i ruble. Bo skoro na drugi dzień ledwo żywy Niemiec grzebał po boisku, chcąc wyciągnąć garnek, wyciągnął tylko sztukę stopionego srebra, za co mu się ledwie połowa pieniędzy wróciła. Że nie umiał darów Boskich skromnie i pocziwie pożytkować, jeno jak kruk chował świecidła do nory, więc go też Pan Bóg ukarał; gdyż jak wiecie, każdy metal, żelazo, miedź, złoto, a więc i srebro przyciąga łatwo pioruny do siebie; toż sobie i owe talarki piorunek przyciągnęły!



1. Września.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca



1861.

Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ZYGMUNT TRZECI, KRÓL POLSKI.

III. *Nieład w domu.*

Przylecieli gońce donieść królowi o bitwie pod Kircholnem, i zastali go właśnie wraz z innymi panami w kościele, kędy ksiądz Piotr Skarga, najśłynniejszy pod owe czasy kaznodzieja, nauczał i przestrzegał lud cierpkimi słowy, że wielkie nieszczęścia wiszą nad polską krainą.

— Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli — mówił ksiądz Skarga — w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu i we wszystkim niedostatku. I włożą jarzmo na szyje wasze, przeto iżecie nie służyli Panu Bogu swemu.

Ucieszyłać wprawdzie ludzi po tej mowie wiadomość o wygranej bitwie, ale niestety już niezadługo jęły się sprawdzać nieszczęścia przez księdza Skargę przepowiadane.

Najbliższem z tych nieszczęść były smutne zatargi domowe, jakie się wnet po całej Polsce wszczęły. Powodem do nich była znowu samowola króla Zygmunta, który po śmierci pierwszej żony, bez niczyjego przyzwolenia z drugą księżniczką austryjacką się ożenił, i już na piękne się z Niemcami pokumał.

Więc szlachta i panowie, widząc jak sobie król pozwala, jeli się zjeżdżać i radzić nad swą niedolą, a w końcu też zebrali się zbrojno i głośno wyrzekli, że króla słuchać nie chcą, bo im ich prawa narusza.

Toż dopiero od tej chwili zrobiła się istna Sodomą i Gómorą. Król posyła księdza Skargę do szlachty i napomina i prosi, a ci nie, jeno swoje robią, zbroją się, zjeżdżają w coraz większe kupy i odgrażają na króla. Więc, aż zgroza bierze wspomnieć, do czego to w końcu przyszło! Król zawołał Chodkiewicza z wojskiem, wziął też inne oddziały i ruszył na nieposłusznych, których zwano wówczas *rokoszanami*, jako że *rokosz* przeciw królowi podnosili. Schodzili się nieraz rokoszanie i królewscy, aleć jakoś nie mieli odwagi uderzyć na siebie; w końcu znecierpliwiło to królewskich, i pod *Guzowem* uderzyli pierwsi na swoich braci. I patrzcież, tak dalece nienawiść zaslepiła oczy walezących, że bracia braci rąbali bez opamiętania, i siła krwi własnej natoczyli! Zwycięstwo wachało się chwilę, aż ci w końcu poszli w rozsypkę rokoszanie, i jakoś pogodzili się z królem po tej smutnej bitwie.

Tymczasem w innej stronie dziwne rzeczy wyrabiają nasi. Owóz trafiło się u zamożnego księcia na Wiśniowcu, że był w służbie kuchta, zwący się Hryćko jak siła innych; ale cóż z tego, kiedy z oczu mu zupełnie na kucharza nie patrzyło, takie miał pańskie wejrzenie. Więc niejeden głową kiwał i dumał sobie że się w tem coś święci, aż tu jak na raz zaniemógł mój Hryćko, i taki był kiepski, że mu aż księdza sprowadzili.

W tej chwili śmiertelnej przyszło dopiero do wyjawienia tajemnicy. Hryć pokazał krzyżyk wielkiej wartości i zeznał, że nie jest wcale żadnym kuchtą, jeno synem moskiewskiego cara, owego Iwana okrutnego, i że musiał uciekać z kraju, bo go zabić chcieli. Toż dopiero dziw nad dziwy, i dopiero wielkie honory dla kuchty, skoro mu się zrobiło lepiej, a w końcu przyszedł zupełnie do zdrowia.

— Toć on a nie inny! — mówili sobie ludzie — lata te same, jedno ramię krótsze, plama na twarzy: kubek w kubek Dymitr, syn Iwana!

Więc *Mniszech*, krewny księcia Wiśniowieckiego a pan całą gębą, zabrał odszukanego Dymitra do siebie, i za przyzwoleniem króla postanowił zbrojno i dwornie zaprowadzić carewicza do Moskwy, jako prawego tronu dziedzica. Zaraz też zebrawszy swoich dworskich ludzi przeszli granicę moskiewską. Garstka to tego była maleńka, i szli zgoła jak z motyką na słońce, bo nieprawy władzca na tysiące liczył swojego żołnierza; aleć że to nasi niby w obronie prawdziwego cara się wybrali, więc i Kozacy i inni Moskale się do Dymitra przyłączyli, i tak szli do miasta Moskwy. Cudem też prawie doszli na miejsce, boć wojska wielkie drogę im zastępowały, lecz ułatwił im sprawę i ten wypadek, że nieprawy władzca umarł właśnie pod oną porę; więc Moskale widząc Dymitra, syna pamiętnego Iwana, przystali do niego, biorąc go sobie za cara.

Wtedy Dymitr, zostawszy już carem moskiewskim, zwrócił się do *Mniszcha*, i rzecze:

— Mój Waszmość Panie, będąc jeszcze w domu a Ciebie, spodobałem sobie był córkę twą Marynę, a myślę, że i ona mi nie była krzywa. Jeżeli więc zezwolisz na połączenie się nasze, toby Moskwa godną miała carowę.

Więc pan *Mniszech* skłonił się na to:

— Znać w tem wola Boża — rzeknie — więc jej się sprzeciwiać nie godzi. — I zadarł głowę do góry i spojrział na innych z pod oka, bo to nie bajki mieć córkę za carem! I wnet też stało się tak jak uradzili, a piękna Maryna *Mniszechówna* siadła na carskim tronie moskiewskim.

Alić, któż nie wie jakie bywają sprawy z Moskałami? Lepiej to podobno mieć z bydlęciem do czynienia, bo to choć nierozumne, jak z tym krwi echiwym narodem. Więc też i pan *Mniszech* i Maryna żalowali niezadługo swego pośpiechu, bo owóz, skoro się Dymitrowi zachciało Moskali na katolików przerabiać, tak owi obruszyli się, rzekli, że to nie Dymitr jeno jakiś oszukaniec, i dalejże się buntować. I bardzo smutno skończyła się cała historia, bo zbuntowani Moskale Dymitra zabili, Polaków przy nim bawiących wyrznęli, a Marynę obdarli ze wszystkiego i wrzucili do więzienia.

Tak też i na ten raz już po całym carstwie; choć niezadługo nowy Dymitr się zjawił i świeże wszczęły się zaburzenia, a te były przyczyną do wojny z Moskalami, o której wam przyszłą razą opowiem.

P i e ś ń

o świętych Patronach Polskich.

(Na nutę jak: „Bądź pozdrowiona“)

Wysokich niebios wysocy Panowie,
Słabego świata możni Patronowie:
Ratujcie nędznych, ratujcie prosimy,
Bo bez ratunku waszego zginiemy.
Spojrzyjcie na nas od tronu Pańskiego,
Nachylcie ucha ku nam łaskawego,
Utlucie serce Boga rozgniewane,
Wstrzymajcie strzały gniewem hartowane.
Wszystkich pospołu pokornie wzywamy,
Których królestwa opiekunami znamy:
Przecież nam kiedy ubłagajcie Boga,
Niech pokój wróci a ustąpi trwoga.
Nad wszystkie jednak oraz przed wszystkimi,
Błagamy Ciebie, Święta nad świętymi,
Maryjo, matko Boga i sędziego,
Przejednaj Syna długo gniewliwego.
Pomnij, żeś naszą Panią się mieniła,
Czemuś Twe sługi teraz opuściła?
Oto że nazbyt bezpiecznie grzeszymy,
A tem opiekę niebieską tracimy.
Ufajmy jednak! Matka to litości,
Przyjmie pokornych do swej łaskawości:
Przyjmij nas! przyjmij, u nóg Twych wołamy,
Spraw niechaj przez Cię, Boga ubłagamy. (Prz. lud.)

Jak to sobie trzeba z dziećmi postępować.

W jednej wsi, nieopodal od Krakowa, żyła sobie wdowa. Była to zagrodniczka, i choć sama była, ot jak wdowa, ale jej dziękować Panu Jezusowi biedy żadnej nie było, i nie wiele

brakło jej do szczęścia. Aleć przecie trafiła się jedna turbacja, co okrutnie gryzła jej serce, a to, że miała jedyne go syna, co mu było Jaś na imię, a ten był straszny, wielki niepoń.

O, mówię wam, że już nie było psoty, którejby ten miły Jaś nie był wyrządził. Dosyć powiedzieć, że cała wieś bała się go jak ognia, bo nie było dnia, żeby komu z rozpusty nie zrobił jakowej przykrości. Choć mościewy, jeszcze i młode to było, bo nie miało więcej jak dziesięć lat.

O Najświętsza Panienko! już biedne kobiecisko nie wiedziało jak sobie z nim postąpić, a dziwno jej było czego zaś jest takie ladaco, kiedy ona mu od samej maleńkości, nie nie folgowała. Boć nie pieściła uchowaj Boże, ale zaraz duchem karciła, i często gęsto pucuwkę tęgą od niej dostawał. To też i tych psot nie darowała ona mu nigdy, ale tłukła i biła co w niego wlażło, a potem to mu i dobrego słowa nie dała, myśląc, że tem najlepiej zrobi, i że go może naprawi.

Ale gdzie tam! Jakby się wszyscy bisi na biedną kobiecinę z mówili, bo ona bije, tłucze, a Jaś co dnia zamiast być lepszym to gorszy. Ledwo się już babsko gdzie nie podziało! Bo to mościewy, ten rozpustnik jakiś, jak już nie miał co komu na złość zrobić, to dalejże leci na zagony, na to mówiąc w len, jak jeszcze był zielony, i któremu gospodarzowi nie jeden i nie dwa zagony wyrwie. A jużcić ztąd swar wielki we wsi i obraza Boska okrutna.

Już biedna matka i na mszę świętą do Przemienienia Pańskiego dawała i co, a tu Jasiak jak broił tak broił. A co on nowego figła spłata, to ona go za każdy figiel dziesięć razy surowiej ukarze.

I zdarzyło się, że jednego dnia były jakieś chrzciny, a owa kobieta poszła z kumosiami do karczmy. Więc przy kieliszku o czem mowa, jużci nie o czem innem, tylko o złośliwym i rozpustnym Jaśku. I pocznie biedna matka żalić się przed kumoszkami, że już nie może z tym swoim chłopakiem wytrzymać:

— Wiercie mi moja kumo — rzecze — jużem sobie tak w swojej głowie umyśliła, że jak Pana Jezusa kocham, jak mi

jeszcze raz jaką psotę ten bachor robi, to niech się dzieje co chce, wezmę kamienia z młynka i do razu go uśmiercę.

— Ej, dla Pana Jezusa — ozwie się jedna z kumoszek — przezegnajcie się Wojciechowa, coście też to za głupie słowa wyrzekli! Żebyście zaś swoje własne dziecko uśmiercić chcieli, tobyście, czego Boże uchowaj i Najświętsza Panienka, i jego i swoją duszę zabili.

— A kiedy już nie z nim poradzić nie mogę, hej nie mogę! — rzekła kobieta i poczęła od żalu wielkim płaczem zawodzić, że aż się rozlegało po karczmisku.

— A wiecie wy też jeszcze co — rzecze znowu po chwili ta sama kumoszka — tak na mój głupi rozum, spróbujcie też jeszcze obchodzić się z nim jakby z najlepszym dzieckiem. Zaraz jak wrócicie do chałupy, to go zawołajcie do siebie, przemówcie do niego dobre słowo, popieście się z nim, pocałujcie go, obiecujcie mu co ładnego kupić na kiermaszu jak będzie grzeczny; a o tych jego psich figlach i psotach, jak kamień w wodę wrzucił, nie mu nie wspominajcie. Któż wie, może to wasze dobre serce ujmie go, i da Pan Jezus, że się poprawi i ustatkuje. Bo już cię tak po prawdzie, wyście tam Wojciechowa od małości trocha za surowo się z nim obchodzili.

— Oj, święteby wasze słowa były kumosienku! — rzecze Wojciechowa — i kiedy mi tak doradzacie, toć ta jeszcze i tego spróbuję, a jak się nie poprawi, to widzi Pan Jezus, że zrobię z nim koniec.

— No, no, spróbujcie jeno Wojciechowa, i zdajcie się na wolę Boga, a takie głupie, grzeszne myśli niech od was odejdą.

Ta i przyszła ei Wojciechowa do domu, i poczęła robić tak, jak jej kumosia doradziła. Prawie znalazła Janka, jak się ta gdzieś po za ścianę czy na strychu ukrywał, boć jakąś psotę wyrządziwszy, był pewny, że go plagi nie miną. A tu matka go zawoła pięknie po imieniu jak się patrzy:

— Jasiu, moje dziecko, pójdz-no tu!

Chłopak przystąpił nieśmiało, a owa kobieta poczęła go głąskać, i pięknymi słowami do niego przemawia:

— Gdzieżeś był Jasiu, cóżeś robił? Nie róbże już dziecko psoty nikomu, bądź grzeczny, to cię będę okrutnie kochać, i

będę cię pieścić, i da Pan Jezus doczekać kiermasza, to ci kupię czapeczkę czerwona z barankiem.

Jaś przytulił się do sereca matki, od którego go surowość jej długo odpychała, i czy jej jakowe słowo rzekł czy nie, tego nie wiem, dosyć, że się mu czegoś w duszy okrutnie słodko zrobiło, i zdało mu się, jakoby się dopiero był narodził.

No, i nadszedł ci drugi dzień, a Jaś grzeczny, nie rozpusztuje, nie biega, nie odchodzi i krok od chałupy, a matce aż świat zapachnął. I tak zeszedł niejedyn dzień, ba i niejedyn tydzień, a Jaś dobry, potulny, miękki jak wosk, co z niego zrobi co chce; gdzie mu ta jaka psota w głowie, kiedy on się niezmiernie cieszy tem dobrem serecem matki, że anioł nie dziecko zrobiło się z niego! A kobieta się temu jak cudowi wydziwić nie może, i dziękuje Panu Jezusowi, i chciałyby tę kumoszkę co jej taką rzecz doradziła, ozłocić.

Ha, i zdarzyło się, że tamtejszy dziedzie, przechodząc sobie raz przez wieś, zobaczył Jasia jak sobie spokojnie pasł bydelko, i okrutnie mu się czegoś jego łagodna i miła twarz udała. Tak posłał ci po matkę i spytał ją, czyby mu też Jaska do jego syna nie dała do usług?

— Że — mówi — wyprawiam go do szkoły do miasta, tobym mu dał Jaska do kompanji, bo widzę, że jakiś rzetelny chłopak; a możeby przy takiej rzeczy jak się mój syn będzie w naukach ćwiczył, i on mógł co skorzystać?

Kobieta ucieszyła się takową wołą Pana, pokłoniła mu się pięknie pod nogi, i dała Jaska do panicza do usług.

No, i pojechali oba do miasta. Do panicza chodzą instruktory i uczą po całych dniach, a Jasiak się jeno przysłuchuje wszystkiemu. Ale cóż ta z tego, kiedy jak przyjdzie co do czego, i jak się po żarcie Jasia o co spytają, to Jaś tylko ze słuchu więcej umie i rozumie jak panicz, choć mu instruktory po całych dniach głowę suszą. Jak się też o tej rzeczy dowiedział pan dziedzie, tak ci zaraz go kazał wszyściutkiego uczyć pospołu ze synem.

A Jaś rok w rok premijantem, że to nie pytaj: i kiedy już przepięknie skończył wszystkie klasy, tak ci pan dziedzie spyta się go jednego dnia tak:

— Mój panie Janie, bo już cię teraz tak cię będę mianować, czemże sobie zamysłasz być w świecie, powiedz otwarcie, a ja ci we wszystkim pomogę. Na ten przykład, możebyś chciał być doktorem, to ja wszelki nakład biorę na siebie.

Pan Jan czyli nasz Jaś, pokłonił się pięknie panu dziedzicowi, i rzecze:

— Proszę wielmożnego pana dziedzica, kiedy taka łaska pańska, to jabym sobie też życzył, i taki już oddawna jest mój zamysł abym został lekarzem, ale nie ciała, jeno dusz ludzkich, to jest kapłanem, sługą Bożym.

Więc dopomógł mu pan dziedzic co potrzeba było, i nasz rozpustny Janek został księdzem. O, ale jakim księdzem, to poszukać w świecie, jaki pobożny, enotliwy, a jak was ludku prosty kocha, bo już cię jest wasze dziecko, kość z waszych kości, a jak kocha ten kraj nasz, tę polską ziemię, matkę naszą! w każdziutkiej chwili dałby za nią życie. Dostyć że mało, ej mało takich dobrodziejów w całym kraju.

Dawno to już, przed laty, to ja się z nim częściej widywała, i byłam z nim w przyjaźni, i on sam o sobie tę rzecz którą wam tu spisałam opowiedział; ale teraz już go dawno nie widziałam, wiem jeno, że tu kędys w naszej ziemi jest plebanem, i prawdziwym sługą Boskim jak się patrzy. I wiem ci na pewne, że jak on to o sobie wyczyta, to się rozpłacze z czułości, i pocznie dziękować Panu Jezusowi za tę Jego nad nim łaskę, i zmówi pacierz za tę kumoszkę, co taką mądrą radę dała jego matce. Bo żeby nie to moiściewy, a to kto wie, możeby był z niego jaki wisieluch, a tak przy Boskiej pomocy jako sługa dobry i wierny, duszami i sercami ludzkimi się opiekuje.

A wam tu moi kohehni ludkowie, a osobliwie wy matki, muszę z tego taką wyprowadzić naukę, abyście z waszemi dziećmi różnie sobie postępowali i niekoniecznie zawsze surowo, bo nie zawsze jednakie są serca u dzieci: jeden potrzebuje ostrości, a z drugim nie nie poradzisz, jeno miłością, dobrocią i słodyczą. Jak oto ten przykład tu wam powiedziałam, że ów sługa Boży już od maleńkości miał serce do miłości Boga i bliźniego stworzone, a że zrazu w swej matce nie znalazł tej miłości co jej szukał, i tej dobroci, to tak to jego serce było,

jakby na ten przykład kiedy się kto opije, co robi sam nie wie co, a wszystko to z tej przyczyny, że biedna matka zrazu nie umiała sobie z nim postąpić.

Pamiętajcież więc moi kochani rodzice, abyście z dziećmi waszemi, choć się mało wiele trafi jaki rozpustnik, różnie próbowali, abyście im miasto nieba, waszem ostrem postępowaniem piekła nie przysporzyli.

Ludka z Myślenic.

Pożar w Maksymowicach pod Krakowem.

Opowiedział Paweł z Uscia.

Wiadomy nam tu wszystkim przypadek, który się wydarzył w Maksymowicach; a że w przypadku tem zachodzi zdarzenie, co wyraźnie dowodzi, jak srodze ukarał Pan Bóg łakomego i echiwego cudzej pracy człowieka, a to człowieka zresztą pracowitego, więc nie zupełnie złego i zepsutego, chcę wam o tem opowiedzieć.

Maksymowice należą do pana dobrego i uczciwego, coby i za szpilkę nikomu krzywdy nie zrobił; to też dziwno, że u takiego pana spaliły się stodoły, ta i w stodołach cały złożony dobytek. Gdyby to ten pan był tyranem a krzywdzicielem swej służby, gdyby się srodze obchodził z wieśniakami i najemnikami, pomyślałby sobie niejeden: może go tam jaki nieczemny włuka umyślnie podpalił. Tu zaś tak nie było. Właściciel Maksymowic jeźli komu ze swego nie udzieli, to pewno cudzego nigdy nie pragnie, a obchodzi się nawet ze żebrakiem jak najuczciwiej, i dlatego też lubiony od wszystkich panów i włościan w całej okolicy, co najlepiej pokazało się przy pożarze jego dobytku. Chłopi bronili do upadłego swego ulubionego pana z narażeniem życia, zapominając o własnych blisko leżących domach, które zarówno z dymem pójść mogły; bogatsi sąsiedzi dopomogli swemu przyjacielowi odbudować się zupełnie, wsparli czem mogli tak, że zacny pan nie poniósł może żadnej straty przez pożar, którym go Pan Bóg tylko na ukaranie innych na-

wiedział. Zaraz na drugi dzień po ogniu, waliły się z rana, bo pożar był w nocy, waliły się gromady ludu pocieszając dobrodzieja; chłopki znosiły płachtami siano dla bydła, a bogatsi panowie posyłali wozami karmy tak, że w dzień ten trudno się było przecisnąć drogą wiodącą do Maksymowie, pomiędzy jadącymi i idącymi z pomocą i pociechą.

Na zapytania co się to stało, jedno odpowiadał wszystkim pan pogorzały:

— Bóg tak chciał, tak się stało, niech będzie pochwalone Jego Imię Najświętsze — a dziękował ludziskom za niesienie ratunku.

— Zkąd powstał ogień? — zapytywaliśmy się, cośmy przyjechali z dalsza i jeszcze nie wiedzieli o przyczynie pożaru.

— Mój Boże! — rzekł ktoś nato — i cóż ci przyszło człeku, żeś się nie wstrzymał od zbytecznego łakomstwa, mając ta i w chałupinie tyle coby ci przy pracy na wyżywienie własne, żony i dziecka wystarczyć mogło! Mój Boże! mój Boże! oj naukać to dla setnego łakomca! Ale ten Bartek, to już niepochamowany łakomiec. Wszystkoby był chciał mieć. Na cóż mu to przyszło, na co? A co tu ruiny i naszemu panu, a kochanym paniętom!

— Dajcie pokój, nie sądzcie Bartka — rzekł ktoś drugi — Pan Bóg go już osądził.

Tak rozmawiano w tłumie ludu, poglądając wciąż to na kupę leżących niedopałków, to znów na leżącego na boku spalonego trupa, nakrytego jakimś odzieniem.

Dreszcze nas przeszły na tę mowę, gdyśmy spojrzeli w tę stronę gdzie nakryte ciało leżało, bośmy się czegoś nadzwyczajnego domyślać poczynali. Każde wymówione słowo słyhać było na kilka stajañ, bo w ciszy jakby makiem zasiał mileżące tłumy stały nad pożogą, prawie nieruchomo jakby skamieniałe; zaledwo kto słowo przebaknął, tak było wszystko zmienione a zrażone okropnością wypadku.

I my strętwieliśmy, nieznacznie odwołujemy jednego ze stojących gospodarzy, a ten nam jął trwożliwie opowiadać:

— Hej Boże! Boże! i siebie styrał, i pana styrał, i kobiecinę z dziećmi ten Bartek nieszczęśny. Moi panowie widzicie, widzicie! juźci się to z jego przyczyny zapaliło. A miatei

chłop chałupinę, miał kawałek gruntu i dobrze mu się dosyć działo. Co u niego było złego, to ta zbyteczna cheiwość, żeby to tak zaraz chciał być mieć wszystko, co u kogo zobaczył a jemu się podobało. Toć my go tu znali. Dobrze to starać się mieć coś tak dobrego jak mają inni, ale trzebaby uczciwym sposobem do tego dochodzić. Tać to cheiwość zgubiła go moi panowie, ta i zrujnowała naszego pana! Domyślamyć się co to być mogło, bośmy znaleźli Bartka spalonego zakopanego w słomę ot tu, gdzie była młocarnia przy kieracie, a przy nim znaleźliśmy kozik wyostrzony. O rany Boskie! nie wspominajcie mi, bo człowiekowi włosy dębem stają! Jak wiecie, po takich upałach wszystko suche jak krzesiwo, ogień duchem ogarzał naraz co było. Bronimy, a broniliśmy naszego pana co strach; odrywamy co możemy, a tu kwik, kwik, straszny kwik słyhać. — Co tam takiego? pytają, prosie wpadło do ognia, czy co? — Ej to myszy się palą — mówią chłopacy; a tu, ciągnie któryś osęką chłopa za nogę. O Chryste Jezu! Parobcy zaraz w nogi. Szczęście, że ja, ale co ta za szczęście, dosyć, że ja lu wodą na chłopa! On jeszcze kwiknął, stęknął jeszcze i w naszych oczach skończył, czy tam jak mam powiedzieć, bo prawdziwie nie wyglądał na Boskie stworzenie; leży tam przykryty łachami.

— A wiecie Janie — przymięszał się parobczak — on się z tym nożem pewno na pasy u kieratu zakradał, bo kiedyś jakżeśmy robili w młocarni, podobały mu się bardzo te szerokie rzemienne pasy u kieratu; te wiecie, co to pan dopiero nowe kazał poderabiać, a za każdy coś dużo, podobno 20 reńskich płacił. Podobały mu się te pasy, ale mówił, że niepotrzebnie są takie szerokie, i jeszczeby z nich pasek można odkroić.

— Tak? — rzekł Jan — a może, może to jemu się to paska zachciało, bo i jego babina mówiła, że Bartek jak wrócił z pańskiej roboty, pojadł sobie na wieczkę, poprawiał na sobie i powiadał: Tak człeka porzęta opadają, ani też paska nie mam porządneho. Naostrzył potem kozik, wziął w rękę zapalki i wyszedł, ale ona go ta nieboga nie pytała dokąd idzie!

— Ano, ano! to on sobie to chciał pasek odkroić. Oj Boże! Boże! o ten głupi pasek tyle nieszczęścia! Patrzenie no się, patrzcie!

— Tak to, tak — mówił Jan — oj gorzka to nauka dla setnego, jak to okropnie ukarał Pan Bóg cheiwego Bartka, choć to chłop zresztą pracowity i trzeźwy, nikomu drogi nie zalegał.

Tylem usłyszał od Jana i parobczaka o nieszczęsnym Bartku. Inni domyślili się, jedni to, drudzy owo. Domyślano się, jakim sposobem mógł Bartek zapalić stodoły; mówiono, że zatarta zapałka upaść musiała w słomę, ztąd wszczał się nagle płomień, że Bartek stracił przytomność i nie wiedział którędy uciekać, bo zapomniał którędy wszedł, wszyscy zaś twierdzili jedno, że od kieratu i młocarni palić się zaczęło.

— To okropne zdarzenie! — pomyślałem sobie.

Właśnie w tej chwili nadjechał z Krakowa doktor dla opatrzenia spalonego. Niechęący zobaczyłem straszny widok! opalone włosy po jednej stronie głowy, nabrzmiałe ciało na twarzy, zresztą i odzież nie tknięta; noga lewa osmalona, cholewa u jednego buta potargana od oseki. Okropność brała! Nie długo potem zobaczyliśmy pana Maksymowic. Właśnie ukończył był obrachunki z urzędnikiem od asekuracyi, towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń od ognia. Wszystko odbyło się w porządku; towarzystwo wkrótce wypłaciło za zrzadzoną przez ogień szkodę, a pan przy pomocy sąsiadów prócz kłopotów nie poniósł żadnej straty w gospodarstwie.

Kobiecie Bartka i dzieciom jego przeznaczył pan coś na zapomogę, boć oni byli zupełnie niewinni, a biedactwo, ze swego wyżycie nie mogli i zarobić też nie podołali.

Ten tedy straszny wypadek opisałem wam tutaj, bo mi się godny opisania wydawał; wy zaś opowiedźcie o nim każdemu, kto sobie za nie tego nie ma, że sąsiadów w małych rzeczach pokrzywdza. Każdeć to pokrzywdzenie, małe ono czy wielkie, znajdzie wcześniej czy później zasłużoną karę. Tu widzicie ukarał się Bartek przenajokropniej, ten Bartek, który przez zwężenie pasa może nie myślał wyrządzać swemu panu żadnej przykrości. Oj, nie czyńcie nikomu najmniejszej szkody, mając przed oczyma owego nieszczęśliwego Bartka!

Jak to sobie radzić, żeby szkody od ognia nie było.

Niemasz pewnie w gospodarstwie gorszego nieszczęścia jak pożar. Bo to jak się nie urodzi, jak się zmarnuje, to wiesz przynajmniej że to własna twoja wina, że to kara za lenistwo i niedopilnowanie; jak grad wytłucze, a choćby do ziarnka wytłukł, to przecież zostanie ci gdzie głowę pod dachem ukryć, a ręce masz jeszcze zdrowe do zarobku; ale jak ci przyjdzie pożar i puści z dymem zagrodę, i sprzęt wszelaki a nawet i chudobę: oj, to wtedy nie mało serce się zakrwawi, spoglądasz po niebie i po ziemi szukając ratunku, a jak go nie znajdziesz na razie, to cóż? ezarną, nieuprawioną ziemię i gruzy z chałupy zostawiasz na wolę Bożą, a sam torbę przez plecy i hajże po dziadowskim chlebie, błogosławiąc jeszcze ludzi, gdy dzieciom gdzie do siebie głowę przytulić dadzą. Jak ci gospodarz zasobny, a uciułał sobie jaki woreczek do skrzyni, no, toć jeszcze nie ostatnio! Z biedą, z biedą lecz się jakoś odbudować zdoła, choć i to dzisiaj, z naszymi papierzanymi pieniędzmi, łatwo ci ogień i uciułany grosz zabierze! Ale jakże tu poradzić chudzinom, co od roku do roku zjedzą własną pracę, a i to czasem na przednowku jeszcze im nie starczy? Czyż taki musi już koniecznie iść z torbami, jeśli go ludzie z łaski nie wspomogą? O, jak Bóg na niebie, że nie, bo jest na to godziwy i chrześcijański sposób poratowania swego mienia! — Pan Bóg dopomaga tylko ludziom pracowitym, sprawiedliwym i zapobiegliwym. Nie ci nie pomogą odpusty, spowiedzie, posty i modlitwy, jeśli przytem będziesz gnuśnym leniuchem, zdziercą i szkodnikiem. Jeśli sobie ucziwie nie zapracujesz, albo w nieszczęściu rękami i głową własną nie zaradzisz, to ci Pan Bóg nie spuści gotowego z nieba, bo Pan Bóg tylko pracy i przezornej zapobiegliwości błogosławi. „Módl się i pracuj!” to każdy winien mieć w sercu: modlitwa ci potrzebna, abys nie poszedł krzywemi drogami niesprawiedliwości, a praca i przezorność, byś mógł sam spokojnie to ziemskie życie przebyć, a dostatkami twych bliźnich wspomagać.

Trzeba ci więc obok pracy: oględności i przezorności, żebyś się nie potrzebował nigdy spuszczać na cudzą łaskę, jeno na własną głowę i własnych rąk dwoje, a wtedy żadno nie-

szcęście, choćby jak wielkie, nie zgubi cię do szczętu, bo będziesz na nie już przygotowanym. Więc i pożar, choćby ci cały dobytek pochłonał, jeszcze cię zniszczyć nie potrafi, jeśli sobie będziesz naprzód myślał żeś i ty taki ułomny człowiek jak i inni, że i twoja chałupa czyto słomą czy gontem pokryta przed ogniem się nie ostoi, że więc i ciebie nieszczęście pożarowe łatwo dotknąć może. Jeżeli tak sobie pomyślisz, to łatwa nato rada, bo się *zabezpieczysz od ognia*, i już spisz spokojnie.

— Ba, a jakżeż się to zabezpieczyć od ognia? — zapyta niejeden — toć to w tem cała sztuka?

— A jużci w tem cała sztuka, lecz nie wielka, jeno posłuchajcie!

Od dawnać to już myśleli nad tem ludzie i tak wymyśleli:

— Żeby to każdy dał niewiele, po kilka groszy czy złotych, a takich dających była duża liczba, toby się i spora uzbierała sumka, bo to jak ludzie mówią: *grajcar do grajcarca, będzie pełna miarka!* Jużci ci wszyscy co dali, spalić się naraz nie mogą, ale za tanie pieniądze spokojnie spać sobie będą, bo pogore jeden, dwóch i trzech, no, toć uskładanych pieniędzy wystarczy, żeby tym szkodę i z czubem zapłacić, coby się odbudować mogli.

Jak też sobie tak ludzie wymyśleli, tak dalejże zawiązywać się w Towarzystwa zabezpieczenia od ognia, czyli *Asekuracje*, kędy co zapobiegliwsi płacą dobrowolnie niewielki podatek, a zato kwit od Towarzystwa dostają, że w razie pożaru zabezpieczona suma, na jaką swój dobytek oszacują, zwrócą im będzie. Jużci ci ludzie w Towarzystwie z początku i swego grosza coś nieco mieć musieli, żeby, broń Boże, z początku siła wypadków pożarowych pokryć już czem było; ale z czasem zabezpieczało się coraz więcej i coraz więcej, a dzisiaj przyszło już do tego, że Towarzystwa z tych składanych podatków gruby grosz zyskują, i jako swój zarobek chowają do kieszeni. A żeć to te Towarzystwa wszystkie za granicą naszej ziemi się zawiązały, czyto z Niemców, czy z Włochów, czy z Węgrów, tam też mają swoje pieniądze i tam ich na inne interesa potrzebują, a tu tylko utrzymują swoich urzędników co od nas zabezpieczających się pieniądze odbierają,

dając za to kwity i wypłacając skoro kto się spali: więc też i ten wszystek zyskany z nas grosz idzie za granicę, do Niemców, Węgrów, Włochów i innych, im kieszenie wypełnia i im do wygod służy.

Zmiarkowawszy to, a będzie temu ze dwa ze trzy lata, zaczęli nasi co bogatsi panowie i mieszczanie tak myśleć:

— Jużei zabezpieczać czy tam asekurować się trzeba, bo to rzecz mądra, ale pocóż my mamy nasz grosz krwawo zapracowany obcym Towarzystwom dawać, żeby go za granicę wywozili, kiedy my możemy sami się w takie Towarzystwo zabezpieczeń od ognia zawiązać, u siebie pieniądze składać, i sami też sobie wypłacać, gdy na kogo nieszczęście Pan Bóg spuści?

— A prawda! — rzekli inni co mądrzejsi, i dalejże się nad tem jeszcze naradzać, a w końcu poprosili Cesarza o pozwolenie, i tak nie zbyt dawno temu zawiązali Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń od ognia, którego naczelników siedziba jest w Krakowie, a które teraz po całym kraju swoich urzędników czyli *agentów* wyznaczyło. Chwała Bogu więc, nie będziemy Niemcom i innym cudzoziemcom naszych pieniędzy dawać, ale u swoich ludzi składać, więc grosz w kraju zostanie, i nie będzie tyle kłopotów i turbacji, gdy przyjdzie w nieszczęściu od swojego żądać zapomogi.

Was to moi mili gospodarze wiejscy najwięcej obchodzić powinno, bo was najczęściej pożar z torbą na plecach z rodzinnej wsi wygania; więc jak to się w naszym krajowym Towarzystwie zabezpieczać trzeba, opiszę wam dokładnie w przyszłym numerku.

R Ó Ź N O Ś C I.

Kmiotek Polski w Rzymie u Ojca Ś.
Feliks Boruń, ubogi kmiotek z pod Krakowa, dowiedziawszy się, że Ojciec Ś. jest w smutku i biedzie, postanowił iść do Rzymu i odwiedzić go. Wziął kij w rękę, pożegnał rodzinę, i dalej w Imię Boże do Rzymu.

Po siedmiu tygodniach niezmordowanej podróży, dostał się nasz chłop

polski do tego sławnego odwiecznego miasta. A Pan Bóg wynagrodził mu te jego podjęte trudy, bo Ojciec Ś. dowiedział się, że chłop polski z tak daleka do niego przychodzi, i zapragnął go widzieć.

W Środę więc po Nawidzeniu N. Maryi Panny nasz kmiotek wprowadzony został do pałacu Papie-

skiego z tłumaczem, bo Papież po polsku nie mówi, a nasz kmiołek inaczej nie umiał. Zadziwił go ogromny i przepyszny kościół Ś. Piotra, i wspaniały pałac Papieża, bo też to pałac, jakiego szukać na całym świecie: ma jedynaście tysięcy pokoi, a samych schodów to aż dziewięćset; a gdy się na to patrzył, to powtarzał ustawicznie: — O jakże musi być ślicznie w Niebie, gdy już tak pięknie tu na ziemi! — Nadworni panowie, prałaci i oficerowie papiescy podziwiali naszego Borunia, i przypatrywali się jego pięknemu polskiemu strojowi, i pytali go przez tłumacza o szczegóły podróży.

A tu podwoje się otwarły, i wchodzi Papież Pius Dziewiąty, i prosto idzie do Borunia, a gdy przed nim stanął, zapytał się tłumacza:

— Ten to więc jest chłop polski, który przyszedł do Rzymu?

— Tak jest Ojciec Najświętszy — odpowiedział tłumacz — i opowiedział, że siedem tygodni siedł do Rzymu, by pocieszyć w smutku Ojca Ś., bo lud polski ma głęboką wiarę, i przywiązany jest do kościoła.

Papież słuchał tego opowiadania z wielką uwagą, i często powtarzał:

— Biedak!

Gdy ów tłumacz klęcząc z Boruniem przed Papieżem mówić przestał, Papież tak się odezwał do kmiołka polskiego:

— Gdy najbliżsi synowie opuszczają kościół, ty ubogi kmiołku z dalekiego narodu przyszedłeś pieszo, aby Matce swej Kościołowi Rzym-

skiemu, i Namiestnikowi Chrystusa hołd złożyć i wierność wyrazić! Zaprawdę powiadam ci, iż błogosławiony jesteś, i że błogosławieństwo Boże spoczywać będzie na tobie! — Potem dał mu Papież srebrny medal z figurą niepokalanie poczętej Boga Rodzicy, i rzekł:

— Ja zaś błogosławię cię, i cały lud polski błogosławię w tobie.

Te wszystkie wyrazy Ojca Ś. powtarzał tłumacz Boruniowi po polsku. Natenczas nasz chłop w głos płakać zaczął, a przypadłszy do stóp Ojca Ś. całował je z zapalem i łzami oblewał; bo też prawdziwie uszczęśliwiony został, że go Ojciec całego Chrześcijaństwa tak łaskawie i serdecznie przyjął raczył.

Jest tam w Rzymie także kilku księży polskich. Oto jeden z nich Ksiądz Kajsiewicz zajął się naszym kmiołkiem, oprowadził go po Rzymie, obwioził go też i po Włoskim kraju; a potem to znów tak wracał do swego kraju, jak przyszedł, to jest pieszo, jako bardzo ubogi; ale bogactwo wielkie przynosi dla siebie, dla naszego ludu i dla całej ziemi polskiej, bo błogosławieństwo Ojca Ś. przynosi nam. Oj, szczęśliwy będziesz narodzie mój, gdyż spoczywa na tobie błogosławieństwo Namiestnika Chrystusowego, bo przez niego sam Chrystus tobie pobłogosławił. A z tem błogosławieństwem Chrystusowem oby weszło zarazem owo upragnione szczęście do ziemi naszej, do którego tak długo wzdychamy!

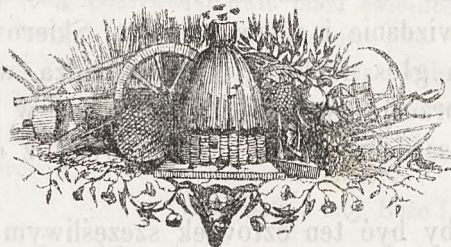
Sz. N.



11. Września.

1861.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Szczęśliwy człowiek.

Pewien król zachorował śmiertelnie. Daremne były zabiegi lekarzy, aby go uratować. Nakoniec poradził jeden bardzo mądry i stary lekarz, że król wtedy ozdrowieje, jeżeli wdzieje na się koszulę szczęśliwego człowieka, i dwie doby mieć ją będzie na sobie. Myśli sobie król:—toć nie łatwiejszego, jak znaleźć człowieka szczęśliwego. Woła tedy ministrów i pyta, czy są szczęśliwi? Gdzie tam, ten ma za wiele pracy, ten niezdrów, i tak każdemu czegoś trzeba. Wysła tedy król posłów, aby po całym kraju szukali szczęśliwego człowieka.

Poszli oni szukać najprzód tego szczęśliwca w pałacach, ale przekonali się, że szczęście w pałacach nie zamieszkuje. Znaleźli tam tyle nieszczęść, chorób, nudów, narzekania na świat, niewierności małżeńskiej, złych dzieci: że czemprowadzaj opuszczali pałace. Ale nie lepiej im się darzyło u mieszczan i rolników. I tam miał każdy swego robaka, i tam choć nie było tyle urojonych nieszczęść co w pałacach, bo przy pracy więk-

sza część ich znika, jednak żaden z tych ludzi nie nazwał się szczęśliwym.

I już wracali owi posłowie napowrót, gdy wtem idąc przez las, usłyszeli gwizdanie i śpiew wesoły. Skierowali kroki w tę stronę, zkąd ich głos dochodził, i oto widzą węglarza, który w pocie czoła pracuje przy węglach, a choć w dymie i w kurzawie, śpiewa serdecznie, aż miło. Mówią z cicha do siebie posłowie:

— Miałże by być ten człowiek szczęśliwym? Ależ to niepodobna! — Pytają go jednak, czy jest szczęśliwym.

— A jakże — odpowiada węglarz — jestem zdrow, wesół, a choć jem tylko czarny chleb i popijam wodę, to nie pragnę nic więcej, dziękuję Bogu za to co mi daje, i za nic w świecie nie mieniałbym mego ubóstwa i wesołości za największe bogactwa. Tak, tak, moi panowie! — i zaśpiewał wesołą piosneczkę, że aż posłom żal się zrobiło, iż oni nie są tacy szczęśliwi.

Rzekną do niego po chwili:

— O szczęśliwy człowieku, a nie uczyniłbyś nam wielkiej przysługi, i to dla samego króla? Oto jest chorym bardzo nasz pan miłościwy, i dopiero wtedy ozdrowieje, gdy dwie doby będzie miał na sobie koszulę człowieka szczęśliwego; pożycz nam więc dla króla twej koszuli.

Odrzeczę węglarz:

— Chętnie bym to uczynił, ale cóż, kiedy tylko to mam, co na mnie widzicie, to jest, te szarawary i gołe plecy, a koszuli nie mam.

Zasmuceni, a więcej jeszcze zadziwieni posłowie odeszli, a węglarz śpiewał sobie znowu, aż się po lesie rozlegało.

Otóż nauka dla nas, że można być przy największem ubóstwie szczęśliwym, jeśli się zadowolnimy tem, co mamy, a miernie i skromnie żyjemy.

Już to Jan Kochanowski, sławny pisarz nasz polski przed trzystu laty żyjący, powiedział:

„Ten pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swoim.“

Gw. C.

Pogorzelec.

Miałem chatę poszywaną, dwie białe świetlice,
Miałem brogi i oborę, boćka na oborze,
Miałem w podwórku jawora, jawora jak świecę,
Miałem kozuch i świąteczne odzienie w komorze:
A dziś ledwo ręce zdrowe i na plecach łaty,
Ni to brogów, ni obory, jawora ni chaty,
Mój Boże, mój Boże!

Podłożyli ogień ludzie, oj niedobrzy ludzie,
Poszła cała ojcowizna niby wiązka siana;
O Halusi powiadali jak o jakim cudzie,
Taka ładna na gosposię, a taka kochana...
Hej bez chaty... co zapowiedź, co mi tam kochanie!
W biednej piersi mało serce od żalu nie stanie,
Halusiu kochana!

Toć pamiętasz, o północy... aż krew w żyłach stygnie...
Nawet bociek, biedne ptasze, młode mu zabrało,
A co które z góry zleci, jeno szyjkę wygnie,
Zatrzepota skrzydełkami, mało, i przestało...
Wszystko zboże, cep i brona, wóz i pługi oba,
A chudoba znikła w ogniu, prześliczna chudoba!
Oj stało się, stało!

Dzisiaj wiaterek sobie chodzi po spalonej chacie,
Jak na dudce, na spalonym wygrywa jaworze;
Ani żóraw już nie skrzypi przy studni na warcie,
Gęste zielsko się rzuciło po spadłej oborze.
Kiedyż ja się odbuduję moja Haluś miła?
Oj źli ludzie... jeszcze na nich godzina nie biła,
Mój Boże, mój Boże!

Grzes z Mogiły.

Źli sąsiedzi.

We wsi Powodny było dwu gospodarzy nieostatnich, co się mieli nie źle, boć dał im pan Jezus i grunta dobre i pracy podostatkiem. Jeden się zwał Szymon Gwizdoń a drugi Wojtek Sroka. Chałupy ich były blisko, bo tylko ogrody przedzielały ich, a grunta od zapłoci szły sznurem długim i tylko miedzą

graniczyły. Jakto na wsi bywa między ludźmi rozmaicie, tak i ci gospodarze mieli ciągle kłótnie i zwady między sobą. To raz krzyczy Szymon:

— A co to wy Wojciechu robicie; toć wasze bydło stratawało mi jęczmień i owies od końca do końca! Co to będzie z tego?

A Wojciech mu na to odpowie:

— Ja go tam nie zaganiał, a zresztą i wasze bydło narobiło mi szkody co niemiara.

I nuż od słowa do słowa, od przezwiska do obrazy Boga, aż narobiło się hałasu i gwaru, co nie raz było słyhać po całej wsi, a ich wyzwiska straszne odbijały się aż o dwór i święty kościół. Nigdy też jeden drugiemu nie ustąpił ani pofolgował, nieraz do północy wygadywali na siebie niestworzone rzeczy, a każdy od swej chałupy krzyczał co mu gardła stało, osobliwie Szymon Gwizdoń był cięty jak ostra siekiera. Po takiej kłótni sprowadzali się do karczmy na drugi dzień, i tam w gromadzkim sądzie przepraszali się przy dobrym napitku, a jak się wytrzeźwili, to znowu nowe swary i publika straszna.

Przez tych dwu gospodarzy nie było nigdy spokoju we wsi, a obrazy bożej i ztąd zgorzenia bardzo wiele.

Więc raz zawołał ich pan do dworu, a był to pan mądry i sprawiedliwy, co go tam i najgorszy musiał pochwalić, i ten pan tak rzecze:

— Moi dobrzy ludzie! czemu wy się zawsze kłóćcie? Macie takie grunta, macie i gospodarstwo, macie działki zdrowe i dobre, czyż nie moglibyście siedzieć cicho, spokojnie jak u Boga za drzwiami? Co wy chcecie, co wy macie do siebie?

Na to zaczęli oba razem gadać i Wojciech i Szymon, a tak rażno i głośno, że pan ani słowa wyrozumieć, ani ich pogodzić nie mógł; i byliby się może poczubili między sobą, gdyby to nie we dworze i nie przy dobrym panie. Aż się zmordowali gadaniem, a tu o nic nie szło innego, tylko o szkodę, którą głupie bydło jednemu i drugiemu czasem zrobiło. Gdy trochę ucichli, pan znowu ich godzi i tak mówi:

— Toć to trudno obejść się bez szkody, gdzie jest gawieź i chudoba! I twoje wlezie na cudze, a cudze na twoje,

toć nigdy nie może gospodarz wszystkiego zabrać co wysiał: bo jedno ziarneczko zje ptaszek, który ani sieje ani orze, jeno śpiewa tak ładnie ludziom i nad dachem i na polu przy robocie i w ogródku w sadowinie; a drugie ziarneczko znowu to zgnije w jesieni, to wymarznie w kiepską zimę, to nie zejdzie, to go robaczki zjedzą, wszak i o tem biedactwie pamięta pan Jezus; a trzecie znowu wyrwie bydlę albo go wydepee, a może dziesiąte urośnie i wraca do stodoły gospodarskiej! A zresztą, toć to zjada twoja chudoba, to niech jej wyjdzie na zdrowie. I o cóż tu się kłócić i swarzyć?

Na to rzekną gospodarze:

— Tać to pan świętą prawdę mówi: ale na co ma być szkoda, na co robić tak jakby naumyślnie?

Ale pan godzi ich i prawi:

— Naumyślnie to tylko złodziej lub zły człowiek robi szkodę, a wy oba przecie ludzie dobrzy i pierwsi na wsi gazdowie. Oto podajcie sobie ręce i żyjcie w zgodzie.

I nibyto zgodzili się Szymon z Wojciechem i szli do dom, ale w sereu ich był tam zawsze zawziętek. Boć to i prawda, że kto się lubi kłócić, temu lada włos zaszkozi, i o głupią trzaskę będzie wygadywał, jakby Bóg wie o co! Tak też Szymon z Wojciechem ledwo noc cicho przespali, a na drugi dzień w południe już się kłócili o nową szkodę. I nie było na to rady, aż ich zwołał sam ksiądz do siebie i nuż im prawić:

— Przecież ja myślał, że wy ludzie pobożni, boć co prawda to prawda, że bywacie w kościele na nabożeństwie, boć i pracujecie i nie przepijacie i o dzieci dbacie: ale wy nie jesteście ludźmi jak się patrzy. Na co tyle obrazy bożej, tyle wywoływania, tyle publiki strasznej?

A Szymon czerwony rzeknie:

— Na co on mi robi tyle szkody! — i popatrzył na Wojciecha, jakby na rabusia co sto wsi spalił.

A Wojciech do żywego tknięty znowu gada:

— To ty mi robisz szkodę, bo jabym miał nie tyle zboża w stodole, żeby nie twoje bydło i nie twoja gawieź.

I znowu zaczęli sobie dogadywać, aż ksiądz mówi:

— Bójcie się Boga! zobaczycie, że ani wy Szymonie, ani

wy Wojciechu nie będziecie pożywać tych darów boskich, które wam tak ładnie rosną na polu. Jak będziecie oba źli, to musi być zawsze źle, ale albo oba zmieńcie się, albo przynajmniej jeden niech ma rozum! Pamiętajcie sobie dobrze, że pan Jezus cierpi długo, ale na końcu przyjdzie i kara od niego.

Na to się odezwie Szymon:

— Mój jegomość, i cóż ja takiego złego robię? toć ja ani pijak, ani cygan jaki! Czy ja tam komu robię jakie krzywdy?

Na to ksiądz rzecze:

— A czyż to nie grzech wielki po nocach wywoływać od chałupy jeden na drugiego takie rzeczy, aż wstyd mówić? Czy to nie grzech znieważać i niedzielę i święta, i zaraz po nabożeństwie rozpoczynać kłótnie, gdzie ludzie słuchają wszystko i jeno się gorszą? Czy to nie grzech ta obraza boża? A dzieci wasze czegoż się uczą przez to?

I zamilkli oba gazdowie na tę mowę, i jakoś sobie trochę wzięli do głowy i znowu się przy księdzu pogodzili, a skłoniwszy się pięknie i pochwaliwszy pana Jezusa, poszli do domu. Ale gdzie tam cięty Szymon mógł dzień przeżyć bez kłótni? I gdzie tam znowu Wojciech mógł cierpliwie słuchać gadania i wyzywania Szymonowego! Otóż kłócili się jak dawniej, i to zawsze o jakąś szkodę! Ale dobrze im ksiądz mówił, że pan Jezus cierpi długo, ale i on ma swój czas do karyznaczony. Otóż rozchorował się na piękne najpierwej Wojciech. Leżał długo, to kaszlał, to stękał, to siedział, to łaził koło domu, ale roboty żadnej ani ruszyć mu było; to też wtedy już nie wychodził na dwór i nie odzerał się Szymkowi. Ale na wiosnę chciał koniecznie wyjść na zapłocie i tam zobaczyć swój grunt i zasiewy; wziął sobie laskę grubą, obuł się w buty jak na mróz dobry, i wyszedł na zapłocie, ale tam zesłał i przewrócił się koło drogi, i tak nieboraczysko leżał. Aż tu jedzie tą drogą Szymon: on sobie siedział na wozie, a syn jego poganiał konie. I przyjechali w to miejsce, gdzie biedny Wojciech leżał skulony i prawie konający.

A Szymon pyta syna:

— Kto to taki leży? Co to za człowiek, czy wsiowy?

Na to syn mówi:

— To nie poznajecie Wojciecha, naszego chrzestnego ojca?

I stanął z wozem syn Szymona, i chciał skoczyć z wozu i pójść podźwignąć swego chrzestnego ojca, ale Szymon krzyknął:

— Siedz ty głupia noga, ja sam pójde do niego.

I przyszedł do Wojciecha kuma, popatrzył mu w oczy, a wtedy obudził się w jego sercu piekielny gniew i szatańska radość, i zaczął sobie gadać z śmiechem:

— A widzisz bratku! a co moja szkoda, będzie jeszcze? A czemu się teraz nie kłócisz? no, gadaj kumunciu mój!

A syn Szymona siedział zapłakany na wozie, boć mu żal było Wojciecha i tak się odezwał:

— Chyba ja tatusiu podjadę tam i włożymy chorego chrzestnego ojca na wóz; wy go potrzymacie, aby się nie talał po wozie, ja przywozę wody ze studni, może się jeszcze ocuci, a potem pojedziemy pemaleńku i zawieziemy go do domu. Ale trza mu kożuch porozpinać, bo go bardzo gniecie — i ruszył wozem, a wtedy Szymon gada:

— Ani się tykaj ty głupia nogo! Niech sobie tu kończy, bo on mi zalał nie raz gorącego sadła za skórę. — Potem śmiejąc się, wsiadł na wóz i kazał jechać.

Umarł Wojciech na zapłociu, na tem polu, pod temi wierzbaumy, gdzie się nieraz kłótnie rozpoczynały z Szymonem o szkodę! Ale nie darował też pan Jezus i zjadłemu Szymkowi owych kłótni częstych i owej złości, że konającemu Wojciechowi nie przebaczył, ale się jeszcze cieszył z jego konania, a co gorsze, że na konającego Wojciecha wygadywał ze złością. On myślał, że go nikt nie widział; syn jego nie widział tego, bo sobie zatkał oczy od płaczu kapeluszem, a łzy mu lały się po brodzie aż na kołnierz od koszuli; nie widział tego nikt inny, ale widział tę sromotę pan Jezus z nieba, co wisi nad głową każdego człowieka, a ztamtąd patrzy na naszą ziemię, jakby przez czyste okienko, i widzi co każdy człowiek robi i gdzie każdy robaczek się obraca i gdzie najdrobniejsza trawka rośnie, i gdzie się podziewa jak ginie: a widzi nawet przez wierzch naszej głowy, co człowiek myśli, i widzi przez pierś naszą na wylot, co człowiek ma na sercu, czy dobroć czy gniew, czy

grzech jaki utajony, czy uczynek dobry. I słyszy pan Jezus wszystko; to też słyszał on wszystkie złe słowa, które Wojciech i Szymon do siebie po dobremu i po złemu gadali, i wiedział wszystko, co oni kiedy robili, czy naumyślnie czy nienau-
umyślnie.

Otóż jedzie sobie Szymon dosyć wesoło, a nie wiedział w tej chwili, że oprócz jego syna na wozie, płakali i Anieli na niebie, że też to ludzie ochrzczeni, co mają tak święte kościoły i takie nauki, a mogą robić tak, jak właśnie zrobił Szymon konającemu Wojciechowi! Ale on nie wiedział, że pan Jezus w niebie nagotował już karę na niego. I pojechał sobie na targ, poprzedał i pokupił, co było do domu potrzeba, i miał już wsiadać na wóz, a syn go pyta:

— Kupiliście soli do domu?

— Aha! — odpowie Szymon — prawda, żem zapomniał jeszcze kupić tej soli — i poszedł w miasto i przechodził przez gospodę w mieście, i na prostej drodze upadł jak długi. Leżał też na środku sieni w gospodzie, leżał na śmieciu żydowskim, stękał i jęczał, ale tu nikt ani się go zapytał:

— Co wam to się stało? — owszem niejeden go kopnął i mówił sobie:

— Ot jakiś pijak; spił się śmierdzącego gorzałczyska jak bydlę pomyi, i teraz tu leży i stęka. — Aż ktoś miał wjeżdzać do sieni, i zaciągnął go pod żłób i zostawił w śmieciach leżącego. A syn Szymona stoi i czeka i wyziera ojca, a ojca nie widać, już wieczór, a ojca nie widać. Zostawił wóz i poszedł ojca szukać po mieście, ale gdzie go znaleźć? Kto wie, gdzie on jest? kto tam widział, że go zaciągnięto pod żłób, takiego gospodarza! I chodził biedny syn noc całą i płakał i szukał, i był się pytać w tej samej gospodzie o ojca, a on nieszczęsny nie wiedział, że ojciec kona pod żłobem na śmieciu, że go niejeden kopnął i napluł na niego. Aż rano na drugi dzień znalazł ojca na wpół umarłego, wziął go na wóz, rozesłał dużo siana, zdjął swój kozuch z siebie, podesłał go ojcu, porozpinał mu chusty na szyi, aby mógł lekko dychać, przyniósł wody zimnej, obmył twarz i głowę ojcu, potem po-

szedł po doktora, nakupił różnych leków i jak już doktor kazał mu jechać do domu, wtedy siadł sobie tak, aby głowę ojca położyć na swe kolana i trzymać ją, by mu się nie ruszała mocno, nakrył ojca, by mu proch nie leciał na twarz i by go słońko nie piekło, i jechał tak nóżka z nóżki tylko, a płakał tak, że już i świata bożego nie widział ani nie wiedział, że już do wsi swej przyjechał. I musiał jechać tą samą drogą do domu, kędy wczoraj z ojcem zdrowym przejeżdżał; a ledwo przyjechał pod te wierzby, gdzie to Wojciech, jego chrzestny ojciec leżał konający, i gdzie go nie podratowali, wtedy Szymon podniósł głowę raptem i zawołał:

— Stój synu!— i popatrzył się groźnie w to miejsce, gdzie leżał konający Wojciech i mówił: — I ja tu muszę skonać za karę na tem samem miejscu, gdzie się tyle kłócił, tyle Boga obrażał, i tego konającego znieważał i śmiał się z niego. Tak mi coś powiedziało do ucha, gdym tu nadjeżdżał — i to mówiwszy, padł do wozu na siano i umarł!...

Syn przywiózł trupa do domu. W domu Wojciecha zawodziła straszne płacze żona z dziećmi, teraz rozpoczęła znowu Szymonowa to samo.

Wnet przybiegł pan, ksiądz i ludzie, a wszyscy gadali:

— Ot widzisz! czy to nie kara Boża widoczna? Jak żyli tak umarli, gdzie się kłócili, tam ich śmierć z dopustu bożego zapadła!— Ale potruchleli oraz wszyscy na takie zdarzenie!

Drugiego dnia szły z kościoła dwie trumny na cmentarz, szły eicho i pomaleńku, jakby nic nie zaszło; prowadził je ksiądz zasmucony, bo się sprawdziło to, co on gadał nie raz tym dwom kłótnikom za życia. Szedł i pan ze dworu i ludzi dużo, a wszystko smutne, bo ukarał pan Jezus dwu pierwszych we wsi gospodarzy tak strasznie! Zadzwończyły dzwony, dwie trumny spadły do ciemnego grobu! dwaj kłótnicy za życia leżeli eicho na wieki na świętym cmentarzu, nawet się nie przeprosili umierając, tylko jeden Wojciech umarł po św. spowiedzi, a Szymon umarł bez spowiedzi, a pan Jezus osądził Szymona duszę, za owe złe serce, które on konającemu Wojciechowi okazał. Ale niech im obom odpuścić raczy pan Jezus ich grze-

chy, a wy ludkowie życie w świętej zgodzie między sobą, życie w miłości z kościołem bożym i dworem, aby i was nie pokarał podobnie pan Jezus.

Ks. Wojciech z Medyki.

Jak to sobie radzić, żeby szkody od ognia nie było.

Powiedziałem wam przeszłą razą, iż chcąc być pewnym, że ogień szkody nie robi, trzeba się zabezpieczyć w Towarzystwie ogniewem, czyli w Asekuracyi, bo choćby się potem co spaliło, to ci stratę w pieniądzach wróca. Obiecałem wam też dziś opowiedzieć, w jaki sposób można się to w tem naszym Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń zabezpieczać, więc jako człowiek sumienny zaraz wam to wypiszę, jeno proszę o dobrą baczność na moje słowa!

Zabezpieczać można wszelaki majątek ruchomy i nieruchomy, a uszkodzeniu przez ogień podlegający, czy on na wsi, czy w mieście. Więc możesz sobie zabezpieczyć dom mieszkalny, stodołę, oborę i tak dalej, jako taki majątek, co się z miejsca ruszyć nie da, więc nieruchomy; albo zboże w snopach, wódkę w beczkach, drzewo na składzie i tym podobne, jako majątek, co się da z miejsca ruszyć i przenieść, a więc ruchomy. Zabezpieczenia zaś nie przyjmuje Towarzystwo nasze najprzód: na składy albo fabryki takich rzeczy, jak proch, saletra i inne, a takie, co to choćby tylko iskierka wleciała, cały budynek w powietrze ci wysadzi; dalej nie przyjmuje zabezpieczenia na wszelkie budynki dla wojska lub na ich graty przeznaczone; a wreszcie zabezpieczać nie wolno gotowych pieniędzy i innych papierów i dokumentów, takóŜ różnych kosztowności, obrazów i t. p.

Kto sobie chce swój majątek zabezpieczyć, to idzie do pierwszego lepszego ajenta czyli urzędnika od Towarzystwa, którzy już teraz w lada miasteczku znajdować się będą, i powie: — Mój panie, jabym się chciał zabezpieczyć. — Na to jużci urzędnik się spyta: — A cóŜ chcecie zabezpieczyć, dom, czy szpiehlerz, czy co? — Więc tu trzeba mu dopiero pięknie wyliczyć albo spisać jak kto umie, czy to dom, czy co inne-

go, a jak dom, to z czego zbudowany, czem pokryty i tak dalej. Agent sobie to wszystko opisze, obliczycie razem siła majątek warta, i dopiero urzędnik posyła te wykazy do Lwowa albo do Krakowa, gdzie mu bliżej do dyrektora, a ów wypisuje kwit czyli *police*, poświadczającą jako ten a ten majątek jest zabezpieczony. Więc ty człowieku przy odebraniu policy musisz dopiero zapłacić, ile tam wypadnie, stosownie do tego, ile wart majątek, i na jak długo ma być zabezpieczony. A wtedy, skoro masz już *police* w ręce, a choćbys i nie miał, lecz dyrektor o tem już jest zawiadomiony: to już możesz spać spokojnie, bo choćbys i na drugi dzień miał się spalić, wszystko do grajearka ci wypłaca.

Nasze Towarzystwo, jako że dopiero niedawno ustanowione, nie ma jeszcze dużo pieniędzy, tak jak owe Towarzystwa zagraniczne, które już od dawna istnieją. Więc z kądże nasze Towarzystwo bierze pieniądze na wypłacenie pogorzalców? Otóż tak się ta rzecz ma:

Jak już wiecie, przy zabezpieczaniu płaci się kilka, czy kilkanaście reńskich, wedle tego, co się zabezpiecza, a to się zowie *saliczka*, i te pieniądze od siła ludzi na raz służą do wypłaty pogorzalców. Trafi się czasem, jak dużo pożarów, że nie starczy tych pieniędzy i z własnej kieszeni trzeba dopłacać, ale to bardzo rzadko; częściej tak się to dzieje, że jeszcze dużo z tych pieniędzy zostanie, a to wtedy jest czystym zyskiem, jeno schować do trzosa. Chowają też do trzosa Towarzystwa zagraniczne, ale nasze nie tak. Nasze każe sobie wprowadzić na początku troszkę więcej płacić, i jeszcze od każdego reńskiego po 5 nowych krajearów, lecz nie na własne zyski. Z pieniędzy tych płaci ono pogorzalców, płaci swoich urzędników, papier i inne wydatki, a po opędzeniu tych kosztów rozdziela znowu resztę na zabezpieczających się, to jest na tych, co dali. I tak, jak ty w obcym Towarzystwie zapłacisz na ten przykład 3 reńskie zaliczki od zabezpieczenia, a pan Jezus cię i tak od ognia ochroni, to ci już te trzy reńskie na wieki tam przepadają; a u nas nie! u nas przypadnie jeszcze na ciebie bodaj coś nie co z tej zaliczki, wedle tego, czy dużo, czy mało było pożarów, to jest, czy Towarzystwo wielkie, czy nie

wielkie poniosło koszta. A gdyby bardzo częste były pożary, to i nie ci się nie wróci, ale jak już powiedziałem, rzadko się to trafia. Jak więc widzicie mądre to urządzenie, bo z reszty tych zaliczek to ci się zbiera i zbiera, i tak ci się uzbierać może, że od czego dziś na ten przykład reński płacisz, to za lat kilkanaście, gdy się ciągle zabezpieczasz, zapłacisz od tego samego ledwie kilka krajcarków, bo Towarzystwo wielkie sumy już będzie miało, a nie dla swego trzosa, jak cudzoziemskie Towarzystwa, jeno dla całego kraju, dla tych właśnie, co się zabezpieczają.

Można się zabezpieczać w naszym Towarzystwie każdego czasu, kiedy kto tylko zechce, aleć nie można ci na krócej, jak na trzy miesiące. Kto jednak ma już ubezpieczone przedmioty, a chce tylko czas ubezpieczenia przedłużyć, to mu to i na jeden miesiąc uczynić wolno.

Owóż zobaczmy teraz, jak sobie trzeba postępować, gdy pan Bóg nieszczęściem nawiedzi, i pożar zniszczy zabezpieczony majątek. Oto zaraz po zaszłej pogorzeli, a najpóźniej we trzy dni, powinien pogorzelec albo na piśmie za receptisą posłać wiadomość do ajenta, albo zawiadomić go ustnie o nieszczęściu, przy obecnych temu dwóch świadkach. Przy takim to opowiedzeniu wypadku trzeba wymienić przyczynę pożaru, jeśli jest wiadoma, albo też powiedzieć, jak się kto domyśla, z czego ogień wybuchł; wyliczyć potem należy, co zostało uratowane, a co się spaliło, i jak wielka w spalonym może być szkoda.

Pogorzeliska nie można uprzętać, ani też nie odmieniać na tem miejscu, jeno wszystko tak zostawić, jak było zaraz po ugaszeniu, dopóki urzędnicy z Towarzystwa na komisję nie zjadą i nie oglądną, czy rzeczywiście tyle się spaliło, jak pogorzelec podaje. Komisja dopiero ogląda ściśle, co się spaliło a co zostało, i rachuje, ile straty wypadło, a więc, ile poszkodowanemu wypłacić należy, wedle tego, na ile był zabezpieczony. Wyrachowawszy to, podaje komisja żądanie do dyrektora, u którego na miejscu, najdalej za dwie niedziele po skończeniu komisji za kwitem pieniądze w gotówce odebrać można, albo też jak zechcesz, to ci wynagrodzenie przez pocztę do miejsca zamieszkania przysła.

Od sumy, którą za szkody przez pożar wyrządzone masz otrzymać, odtrąca się także pięć od sta, to jest, od każdych 100 reńskich 5, na fundusz rezerwowy, to znaczy na ten fundusz, czyli na tę sumę, która ma się w skrzyni Towarzystwa zbierać i zbierać na to, żeby zaliczka mogła być coraz mniejszą, a tym końcem coraz mniej uciążliwszą dla tych, co się zabezpieczają.

Oto mniej więcej opowiedziałem wam w krótkich słowach, jak się to rzeczy mają z naszym Towarzystwem, i jak sobie to radzić trzeba od ogniowej szkody przez zabezpieczenie. Nie jednemu, co jeszcze nie a nie o takich Towarzystwach nie sły-
 szał, będzie to może trochę dziwne i niezrozumiałe; ale niech sobie raz i drugi to com tu napisał, uważnie przeczyta, niech przytem poduma trochę swoim prostym rozumem, a pewnością przyjdzie ci do samej prawdy, i wyrozumie rzecz, co się zowie do ostatka. Jeżeli zaś kto już taka zabita głowa, że tych tu spraw różnych i rachunków nie pojmie, więc już koniecznie wyrozumieć musi, że to rzecz bardzo dobra, jeżeli ci w nieszczęściu duchem gotowiznę na dłoń wyliczą, i jest na razie zczem, jak to mówią, zabrać się do ludzi i do świata. Trafi się znowu, że niejeden uwierzy a nie zechce, bo mu żal będzie kilka złotych na zaliczkę, jako że u nas nieprzezornych ludzi więcej, jak przezornych. Ale to moi ludzie bardzo, i bardzo źle; bo to, jak mówią: *żeby kto był wieszczy, toby był bogaty*, ale cóż ty mizerny człeku przewidzieć możesz, jakie nieszczęście cię czeka, choćbyś niewiedzieć jaki miał rozum w głowie? Więc kiedy taka jest natura ludzka nie wiedząca, toć *lepiej dźwigać jak ścigać*, lepiej się oglądać na najgorsze, i na najgorsze być przygotowanym, jak potem, żeby cię miało zjesć do szczętu lada małe nieszczęście; lepiej płacić co nieco za swój spokój i być za to pewnym, że potrafiśz oprzeć się jako tako biedzie, niż ciągle być w niepewności, czy jeden pożar nie wygoni cię na żebry z żoną i z dziećętami. Zysk taki pojmie każdy, bo do tego nie trza wielkiej głowy; a już w to, że to nasze Towarzystwo ubezpieczeń od ognia najlepiej chce tylko zrobić ludziom, to już i mnie, i innym ludziom, co się na tem rozumia, wierzyć musicie. Swojskie ono, toćby nie

chciało niczyjej szkody; a najlepiej się o tem przekona każdy, co się w tem Towarzystwie ubezpieczyć zechce. Ja wam to tutaj podaję jako sumienną i doskonałą radę przeciw nieszczęściom od ognia, a zresztą oddaję Was Panu Bogu!

Grzeń z Mogiły.

RÓŻNOCI.

Złodziejska sztuczka. Piszą w gazecie o przygodzie, jaka się przytrafiła niedawno temu, pewnemu człowiekowi ze wsi Brzany w Sandeckiem; a żeby się to i drugiemu przytrafić już nie mogło, więc wam ją tu na przestrożę powtórzę:

Owóz w ostatnich dniach przeszłego miesiąca wysłano owego człowieka do Jasła z listem. Idzie on, idzie, ażci w drodze spotyka go jakiś urlopnik. — Niech będzie pochwalony! — Na wieki wieków! — gadu, gadu, idą sobie razem, nareszcie urlopnik opowiada naszemu posłańcowi, że także idzie do miasta po trzysetna reńskich, które ma dostać za to, że długo w wojsku służył.

Tak rozmawiający, uszli może z miłą i nic; aż nagle schyla się urlopnik i podnosi zwitek papieru, nitką do koluśka owiązany.

— Chwała panu Jezusowi, czemś mię też pan Bóg obdarzył — rzece uradowany — jakieś mnie szczęście spotkało!

To mówiąc, rozwiązuje zwitek, i z podziwieniem wielkiem znajduje w nim dukata, rozwija dalej, znajduje i drugiego.

— Mój Boże, dwie kapitulacje

wysłużyłem w wojsku, a nigdy nic podobnego nie znalazłem!

— Ha, dziękujcie panu Jezusowi, że o biednych pamięta — rzece posłaniec z Brzan. — Przytrafunek też to nie lada, dwa dukaty na równej drodze.

A w duszy myślał sobie nasz człowiek:

— Hej, żeby to można od niego tanim kosztem te dukaty odkupić!

I patrzcie, ledwo sobie tak pomyślał, a nasz urlopnik, jakgdyby go był na wskroś przejrzał, rzeknie:

— Mój człowieku, doradźcież mi, co mam z temi dukatami zrobić? Jestem biedny i odzienie moje lichy; jeżeli je będę mieniał, mogą we mnie wnówić, żem je ukradł, przy czem i dukaty stracę i do nieszczęścia przyjdę. Wiecie co, dam wam dukaty w zastaw za dziesięć reńskich, a po dwóch tygodniach wrócę i wykupię.

Posłaniec uradowany, że mu się sposobność nasuwa, byłby onemu chętnie dał 10 reńskich, ale cóż, kiedy nie miał przy duszy więcej jak 1 reński i sześć centków, a i to na drogę. Ale cóż za szczęście,

kiedy urlopnik wziął tylko reńskie-go, i dał dukaty w zastaw. Niedługo też przyszli do Jasła, tam się po-żegnali i rozeszli.

Minął tydzień, mija drugi, urlopnika nie widać; więc idzie nasz człek do miasta do znajomego mie-szczanina, a oddawszy jego niewie-ście koszyczek z jabłkami w podarun-ku, rzeknie:

— Chciałbym też z wami mój panie na osobności pogadać w je-dnej ważnej sprawie.

— No, no, cóż takiego, mów-cie! — zawoła mieszczanin, skazu-jąc żonie, żeby wyszła.

Na to chłopek obejrzawszy się, wyjmuje z zanadru dukat, i pyta po cichu ile warta i coby z tem zrobić?

— Mój człeku, toć to nie du-kat! — zawoła zdziwiony mieszczanin, przyglądawszy się z bliska pienią-dzowi.

Nasz chłopek stanął jak rażony, a mieszczanin prawi dalej:

— Toć to nie jest nawet żaden pieniądz, jeno z mosiądzu taki zna-czek, jakie panowie grając w karty używają.

Trudno to było uwierzyć, ale gdzie się tylko nasz człowiek spy-tał, to mu to samo powiadano, bo święta była prawda, jako że zna-czek ów nawet nie leżał przy zło-cie, i nikt nie chciał dać za to ani grajcara. Reński przepadł z urlopnikiem jak kamień w wodę, a nasz biedny chłopek oszukany, jeno tyle, co miał uciechę przez dni kilka i nic więcej!

Patrzcież, na jaką się to zło-dziejską sztuczkę puścił ów urlop-nik! Bo to sam te znaczki w pa-pier owinał, a potem rzucił na zie-mię, niby to znalazł i w pole wy-wiódł uczciwego człowieka!

Skrzydlate parobki. Z Anto-nówki, z obwodu Czortkowskiego, donoszą do gazet o przedziwnej rze-czy, której tam wiele ludzi się przy-patrywało. Otóż tak:

Jak wiadomo, w bardzo wielu miejscach wylęła się tego roku szarańcza, i choć dał pan Jezus, że niewiele szkody wyrządziła, toć przecie roboty było po łokcie z tępieniem onego plugastwa. Owóz tra-fiło się to samo i w Antonówce. Drobną szarańczą zaległa pola, aż czarno, więc wyszło siła ludzi, sta-nęli sobie szeregami, i tak idąc krok za krokiem, dalejże spędzać szarańczę na jedno miejsce, gwoli łatwiejszego wytępienia. Zabrali się więc do pracy, postępują, umiatają, aliści jakież było ich zdziwienie, gdy nagle w górze pokazuje się cała gromada bocianów, lecąca prosto na pole zaległe szarańczą. Toby jeszcze nic, ale bociany zleciawszy na zie-mię, stają sobie rzadkiem naprze-ciw umiatających ludzi, przytem i po bokach, tak, że zamknęły drogę uciekającej szarańczy. A potem mo-żście wy, jak się to boże ptactwo za-częło uwijać, tępiąc, dziobiąc i zja-dając szarańczę, to aż strach; lu-dzie aż postawali od dziwu żeby nie spłoszyć tych skrzydlatych parobków, którzy bez przestanku i wytchu pra-

cowali, uganiając się za robactwem, przyczem nie bacząc i na ludzi naprzód się posuwali. Jakoż niezadługo z wielkim skutkiem została wytępiona szarańcza w Antonówce.

No, i moiściewy, jakie to pocziwe! Aż się człowiekowi śmiać i płakać chce i chwalić pana Boga i Jego mądrość najwyższą. Jakże tu nie pilnować gniazd tego bożego ptactwa, jakże tu nie bić psotników, co się do młodych zakradają; i jakże tu nie gniewać się na niemców, co do bocianów strzelają: kiedy to ptactwo takie skuteczne na żaby i inne gadziny, jeszcze się do wytępienia szarańczy przyczynia!

Czytelnia w Podkamieniu. Nietylko w samych Myślenicach, jak wam to niedawno doniosłem, ale już i w innych miejscach są takie czytelnie, kędy by niezamożni ludzie książeczki i inne pożyteczne druki do czytania wypożyczać sobie mogli. Owóż tu chcę wam powiedzieć o Czytelni w Podkamieniu, w brzeżańskim obwodzie, boć także i ta urosła tylko pocziwością i dobrą wolą ludzką, a nie ze żadnego nakazu. Najwięcej się do jej założenia przyczynili: gospodarz tamtejszy *Skulski*, majster mularski, i *Józef Michałowski*, stolarz. *Skulski* odstąpił na czytelnię własne swoje mieszkanie, a *Michałowski* stara się gorliwie o to, żeby się ludzie schodzili, i wtedy im dopiero różne rzeczy ciekawe odczytuje, choćby i do północy. Wszystkie pocziwe chęci powinny mieć uznanie, i powinny być w poszanowaniu u ludzi: niechże więc i ci dwaj majstro-

wie będą wiadomi nietylko w swoim kącie lecz i dalej po świecie, jako się do oświecenia bliźnich, i do wzbudzenia w nich cnót chrześcijańskich gorliwie przyczyniają.

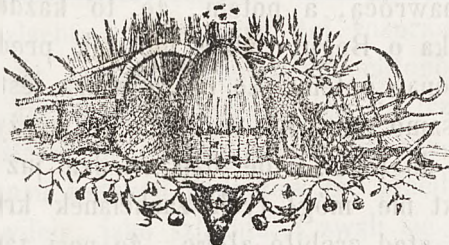
Gorliwy pszczelarz. Sławni niegdyś bywali pszczelarze w naszej polskiej krainie, nieraz też natrafiałeś ua ogromne pasieki, a gdzieś wstąpił w gościone progi, przyjmowano cię czystym jak lza miodem syconym, albo zastawiano całe, wonne plastry na misach, a plastry takiego miodu, co go lipcem zwano, dla tego, że pracowite pszczoły z lipowego kwiatu go znosiły. Dzisiaj niestety, rzadko gdzie umieją chodzić tak troskliwie koło pszczół, jak dawniej. Jeden z drugim byle wyżył, to już jeno mu do góry brzuchem się chce leżeć, nie dba o inny zysk i inne wygody, choć to miły i pożyteczny zachód koło pszczółek. Bardzo mię też to uradowało, gdym znalazł we wsi *Sienkowie* w Złoczowskiem, gospodarza, imieniem *Konrad Senczuk*, który sobie urządził pasiekę nielada, bo w niej już dziś przeszło sto pni stoi, a przecież choć sam i koło gruntu i koło pszczół ukrzątnąć się potrafi, a owszem nawet od roku do roku o jeden, dwa i trzy roje pasiekę pomnaża. Umie też sobie polepszyć, jak co nowego w pszczelnictwie wymyśla, bo oto niedawno przywiózł z daleka ulepszony ul, zwący się *Dzierzon*, i wedle tego już sobie sam *Dzierzon* robi. Niechże więc będzie tu ten gorliwy i zapobiegliwy gospodarz i pasiecznik na przykład innym ludziom zapisany.



21. Września.

1861.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ZYGMUNT TRZECI, KRÓL POLSKI.

IV. Stanisław Żółkiewski, pogromca moskiewski.

Jeden Pan Bóg wie, coby się to było z naszą polską krainą stało za czasów tego króla, gdyby nie szczególna łaska nieba, które nam zawsze w takich ciężkich chwilach tęgich zesłało ludzi. Jak już wiecie, z powodu onych historii z Dymitrem i Maryną, urażony król Zygmunt, że Moskwa naszych posłów do kozy zamknęła, wydał Moskalom wojnę, i niebawem wyjechał sam wraz z hetmanem Żółkiewskim na czele bitnego wojska, którego była moc wielka, bo dwadzieścia tysięcy. Z taką siłą byliby het Moskala na łeb na szyję pobili, poczynając sobie rozumnie; ale cóż kiedy królowi niemądrych rzeczy się zachciewało. Myślał on sobie jadąc tak:

— Trzeba tych Moskali rozumu nauczyć; a żeby im i nadal było jasno w głowach, to muszę het wszystkich na katolicką wiarę wychrzcić, a tak im pomogę do zbawienia wiecznego i kościołowi nie mało się przysłużyć. Aleć mi do tego wypadnie zabierać się zwolna a gruntownie.

I owóż takie te myśli Zygmunta były bardzo niemądre: bo najprzód Panu Bogu nie wiele tam z takiego wiernego, co go przez przymus nawróca, a potem, że to każdemu miła jego wiara i jego nauka o Bogu, więc nie tak prędko wybić mu z głowy a przekonać o tem, że nasza wiara jest najlepszą. Co dobre, to i tak samo ze siebie nad złem zwycięży, i nie trzeba siła ludzkiej ręki do tego; toć dziś wiedzą już o tem ludzie, ale podówczas nikt nie mógł tych zachcianek królowi z głowy wybić, i tyle się ztąd zrobiło złego, że nasi zamiast co pójść do serca moskiewskiego, do miasta Moskwy, a tam pobić, pobić i wrócić: zabrali się na rozkaz królewski do oblężania ogromnej fortecy *Smoleńska*, co jest niedaleko za naszą granicą. Więc niepotrzebnie siedzieli nasi z miesiąca na miesiąc pod onym grodem, bo car moskiewski Szujski miał tymczasem sposobność zebrać sobie silne wojsko, z którym ruszył zaraz na naszych. Ale nasz hetman, Stanisław Żółkiewski, wojownik nie dzisiejszy, przewąchał wnet co się święci, i zakomenderowawszy naszymi od Smoleńska naprzód, ruszył przeciw Moskalom i spotkał ich niebawem pod *Kłuszynem*.

Walna się tu rozpoczęła rozprawa pod onym Kłuszynem. Moskale przewyższali naszych w liczbie, ale nasi ich w odwadze i męztwie. Z Moskalami były jeszcze Szwedy i rajtary niemieckie, a przecież ich nasi zjedli, bo z naszymi był Pan Bóg i przeczysta Panienska, niezmordowana Opiekunka naszej drogiej ojezyny.

Otóż tak opisują, jaki to był koniec tej bitwy:

„Rajtary natarłszy i wystrzeliwszy, gdy się dla nabijania odwracają, nasi nie dając im czasu do nabiecia, wsiadają im z pałaszami w rękę, bo już kopje połamali, na karki, wpędzają na uszykowanych Moskali, łamią, i tak na ich karkach do obozu moskiewskiego wjeżdżają; ale gdy i tu od uciekających przełamane zostały kobylice, pędzą ich Polacy całą milę. Powróciwszy nasza jazda z tego pogromu, była pewna, że się bitwa skończyła, ale Moskale naprawiwszy swój obóz jeszcze się uporeczywie bronili, podczas gdy Szwedzi oparci o dębowe płoty potężnie naszych razili. Szczeńściem nadeszła nasza piechota, ciągnąca dwa działa, któremi hetman owe płoty w kilku miejscach

przerywa. Przeparci nareszcie Szwedzi, ustępują pod las i poddają się.“

Jak to już nieraz słyszeliście, z nieprzyjacielem wojowała zawsze tylko szlachta, aleć przy tej rozprawie pod Kłuszy-nem wstawilo się niemało czterdziestu chłopów, co w kupie się trzymając, tak Moskala trzepali, że aż trzeszczało. Więc Żółkiewski postarał się o szlachectwo dla onych chłopów: i ci już od tego czasu żadnych podatków nie płacili, a owszem różne mieli przywileje, jako szlachta, i zwali się Żółkiewsey.

Skoro Szwedzi stehórzyli i het się naszym poddali a reszta Moskali pierchła, tak Żółkiewski, chcąc corychlej korzystać z zwycięztwa, idzie spiesznie do miasta Moskwy, kędy strwożeni mieszkańce otwierają mu bramy, a wydając Polakom w ręce swych carów Szujskich, mówią:

— Waleczny hetmanie! Oto się poddajemy tobie i twemu dzielnemu wojsku, więc nas udaruj spokojem, a my zato weźmiemy sobie królewioza z waszej bitnej krainy, żeby nami rządził.

Prosili oni mówiąc to o *Władysława*, Zygmuntowego syna, co pokazuje, że już z nimi bardzo kiepsko było. A będzie temu już z górą lat dwieście i pięćdziesiąt, jak nasi ukorzyli tak mocno tę samą Moskwę co dzisiaj nad nami straszliwie przewodzi. Hej, hej, a pewnieby tego dziś nie było, gdyby się podonezas król Zygmunt lepiej był spisał. Bo oto Żółkiewski, jako człek mądry, duchem przystał na oną prośbę Moskali o Władysława, i coprędzej wysłał do króla posłańca z listem, kędy o wszystkim doskonale napisano stało, i kędy hetman corychlej o przysłanie Władysława prosił. Aleć król ani słyszeć o tem nie chciał, bo Moskale żądali, żeby Władysław chcąc zostać carem na moskiewską też przeszedł wiarę. Otóż to o ten sęk rozbiło się wszystko! Żółkiewski czekał i czekał na Władysława, a nie mogąc się go doczekać, obsadził Moskwę naszymi, a sam zabrał uwięzionych carów Szujskich, i z częścią wojska wrócił do Warszawy.

„Wspaniały to był widok, jak hetman Żółkiewski wjeżdżał do tego miasta, wiodąc wziętych w niewolę carów, ubranych w królewskie suknie. Cieszyli się wszyscy z naszych zwycięztw; jeden tylko hetman był smutny, gdyż widział, że ojczyzna nasza nie na tem nie zyska przez zacięty upór Zygmunta!“

I słusznieć, bo słusznie smucił się mądry hetman. Ojczyzna mogła zyskać spokój i przyjaźń sąsiednich krajów, gdyby sobie była Moskwę królewską osobą na wieki zbratała, a tak cóż się stało? Otóż jakiś czas cierpieli Moskale naszych na karku w Moskwie, Smoleńsku i innych miastach; aleć gdy owi, nie pobierając żołdu z domu zaczęli się różnych gwałtów i pustot dopuszczać, tak Moskale, obruszywszy się, jednych wyrznęli, innych wypędzili, i na tem się skończyły świetne zwycięstwa naszych.

Nielepiej stało się też i z carową Maryną, oną córką Mniszcha wojewody. Trzeba wam wiedzieć, że ta kobieta chciała panowania, po śmierci pierwszego Dymitra, znalazła sobie drugiego, nibyto już prawdziwego i z tym jakiś czas carowała, aleć i tego Moskale na polowaniu ubili, a gdy Maryna pomimo tego chciała panować, kazał ją nowy car złapać i pod lodem utopić. Straszna to, nieludzka kara, a wszystko jeno za tę niezmierną pychę.

Więc po tych historjach przyciechły jakoś sprawy z Moskami, i w naszej ziemi było to niby spokojnie, ale ciągle do niezego, bo król obałamucony od niedobrych ludzi, sam nie wiedział co robił, i nie to nie pomogło choć Żółkiewski bił wrogów i narzekał!

PIEŚŃ DO PANA BOGA,

z okazji ucisków, jakie się dzieją w Warszawie.

(Na nutę jak: Bądź pozdrowiona Panienko Marja.)

Przed Twój tron Boże prośby swe składamy,
Racz nie pamiętać, pokornie błagamy,
Naszych przewinień, cośmy zasłużyli,
Byśmy pod chłostą Twojej ręki byli.

Oddal te chłosty od polskiego ludu,
Niech nieprzyjaciel dozna Twego cudu,
Że nas Ty Boże nędznych nie opuszczasz,
Lecz jako ojciec dzieci w pamięci masz.

Grzechy to nasze wszystkiego przyczyną,
Że nas a Polska stała się ruiną;
Wzmogła się hardość i zdrada okrutna,
Dlatego nasza polska ziemia smutna.

Więc wielki Boże racz nas przestać karać,
Nie chciej swej łaski od nędznych oddalać,

Daj się przebłagać miłosierny Panie,
Niech prośba nasza przed Twym tronem stanie.
Daj dobrą radę i męstwo do boju,
Byśmy i nadal mogli żyć w spokoju:
A my Ci za to będziemy składać dzięki,
Żeśmy pomocy doznali z Twej ręki.
Najświętsza Panno przyczyn się do Syna,
Niech nasza Polska będzie podwyższona,
Która jest teraz srodze udręczona,
Za Twą przyczyną będzie wspomóżona.
Przyczyn się za tych, którzy poginęli,
Gdy za swych przodków modląc się klęczeli;
Którzy w czyszcowych męczarniach zostają,
Od nas do Boga ratunku żądają.
A gdy się przyjdzie z tym światem pożegnać,
Racz się o Matko za nami przyczyniać,
Żeby nas Syn Twój nie karał za grzechy,
Ale dał zażyć z Świętymi pociechy. — Amen.

Lekarstwo na upór i nieco o Żydach, *Opowiedział Paweł z Uścia.*

Mówią, że nie ma lekarstwa na upór; otóż ja was tu zaraz przekonam, że jest, a raczej przekona was żyd, który upór złościwych chłopców przełamał.

Jak to zwykle u nas bywa, żydów, a szczególnie szachrajów ludzie nie nawidzą, a chłopcy na wsi, gdy się im jaki handeł, handeł pokaże, to go często i napastować lubią. Tak to ten naród żydowski we czei i wierze podupadł, że co żyd, to go z góry mają za szachraja i naturalnie nie cierpią, chyba że się już gruntownie o jego uczciwości przekonają. Nie wdając się teraz w to, co mogło być przyczyną takiego poniżenia, które dziś dzięki Bogu ustaje, bo też i żydzi robią się innymi, chcę opowiadać, com zamierzył.

Żyd jeden, porządny człowiek, kupiec, bogacz, przytem gospodarz nie lada, przejeżdżał często przez wieś, gdzie go chłopcy zawsze napastowali a dlatego tylko, że był żydem; że zaś był żydem, poznawali po jego sukniach, bo Abram zresztą, jak się tam nazywał, dobrze i czysto po polsku mówił, mając ciągle styczności handlarskie z panami w dworach. Ile razy go

chłopczy zobaczyli, bawiąc się czy było pasąc, zaraz rozpustnicy zaczęli krzyczeć: — Żydzie, parchu! — choć mówię człowiek ten bywał zresztą najporządniej ubrany — daj mi krajcar na tabaku, ja ci oddam na jarmarku — a krzyczeli jakby ich kto najął, tak sobie coś upatrzyli do naszego handlarza.

Z początku myślał żyd, że chłopcy rzeczywiście chcą od niego wyciągnąć kilka groszy, zbliżał się do nich i dałby im był wreszcie po groszu, byleby go napastować przestali. Ale gdzie tam! chłopcy uciekli i ani rozmowy ze żydem, bo pustotnicy obawiali się, żeby może Abram którego do wójta nie zaprowadził, a ukarania nie zażądał za napaść publiczną.

Tymczasem żydowi zawsze jakoś wypadało tędy przejeżdżać; i było raz, że Abram przejeżdżał z bratem swoim, innym jeszcze bogaczem, kupcem z Krakowa. A tu chłopcy dalej po swojemu przezywać żydów. Głowę tracił biedak ze wstydu, to czerwieniał, to bledniał, a zagaduje jak może to chłopaków, to swych towarzyszy, by jako nie uważali, co chłopaki śpiewają na złość żydowi. Próbował jak mógł pozbyć się rozpustników. Podczas jarmarku w pobliskim miasteczku, kędy stale przemieszkiwał, zaprosił nawet żydziak kilku wieśniaków do siebie, uczęstował a prosił, by dzieciom takich rzeczy dokazywać zabronili. Podobno już nawet Staś i Wojtuś doskonale wzięli paliczką od tatusia, ale zato Franuś i Wieuś mimo zakazu krzyczeli aż ochrypli, a Staś i Wojtuś hyc przez płot, wylecieli milczkiem na drogę aż na koniec wsi, kryli się za płoty i drzewa, a nuż śpiewać:

Żydzie, świnia za tobą idzie,

Ryczy kwiczy, żebyś jej dał eyey.

A tak pocziwy Abram tyle przez poczesne zyskał, że chłopcy zamiast co we wsi na niego wołali, teraz go zwykle aż do samej granicy z krzykiem odprowadzali. Choćby też aż do urzędu zaskarżyć smarkaczów, myślał Abram, ale cóż tam paprom zrobią, kiedy im sami ojcowie nie poradzić nie mogą. Abram opuszczał interesa korzystne w tych stronach, aby się tylko nie spotykać z uparciuchami we wsi; aleć znowu dla chłopców upartych opuszczać zarobek, to było okropnie dla żyda. Stało się, że nawet zachorował ze złości i zmartwienia ambitny żydziak, a dlatego, że nie mógł nijak chłopaków odstraszyć.

Aleć wreszcie, cóż on to nie robi?

Raz wychodzi sobie piechotą, choć nigdy piechotą nie chodził bo miał konie jak brytany, ta i gospodarstwo prowadził nie lada. Idzie i napotyka dwóch bawiących się chłopaków.

— A czemuż wy nie krzyczycie na mnie? nie umiecie to wołać? rzekł do nich. Zaboczyły się bębny i spojrzały po sobie; krzyknęłyby oni sobie ta byli, ale żyd był bardzo blisko, a bali się, żeby ich nie wygrzmocił. — A przezywajcież mnie — rzecze Abram — bo widzicie, im więcej krzyczycie, tem więcej to mojej duszy do zbawienia pomaga, tem prędzej, widzicie, moja dusza dostanie się do nieba, bo tyle już od was tu na ziemi wycierpi. No! macież tu po krajearu, a krzyczcie, pamiętajcie, jakoście dawniej robili!

— Hmm! — zaśmiali się chłopcy, ale tak, że żyd tego nie widział. Odbiegli trochę i zaczęli po swojemu krzyczeć i wołać, co im ślina na język przyniosła. — Żydzie, Mošku, prošku — i tam dalej i tam dalej, wierzyli zaś żydowskim słowom, bo przecież po krajearu dostali, a żyd by ta za darmo pieniędzy nie dawał.

Chłopięta co po krajearu dostali, opowiedzieli innym o tem co ich spotkało, nie zapominając naturalnie, że przezywając żyda, duszę jego z piekła wydobywają. Nie trzeba też było więcej. Kupa chłopców zebrała się, kiedy miał żyd przejeżdżać. Długo namysłali się co mają robić: czy wtrącić żyda do piekła, czyli go też wybawić. Przemogło to ostatnie, kiedy po groszu dostali. Następną razą krzyczeli zarówno doskonale, ale już nie z uporu tylko za grosz, który im Abram pewny zwycięstwa po kilka razy regularnie wypłacił. Domyślcie się reszty. I rzeczywiście, gdy Abram przejeżdżając później opłacić się nie chciał, niegodziwi chłopcy niedbając o żydowską duszę, nie chcieli za darmo pracować nad jej zbawieniem.

Tak było raz i drugi, aż zapomnieli przezwisk na żyda. Później domyśleli się podstępu Abrama i śmiali się sami ze siebie, ale już jako starsi mieli tyle zastanowienia, że przechodniów napastować się nie godzi, bo napastując kogo nie jego duszy dopomódz, ale swojej zaszkodzić mogą.

Takim to sposobem przełamał Abram upór chłopaków, którym ani kara, ani rada nie poradzić nie było można. Oj, przemyślny to mówię naród, ten naród żydowski, kiedy się już o

żydzie zgadało. Komu by ta było przyszło na myśl, żeby sobie tak mądrze poradzić! Gdyby to ci żydzi chcieli swojej przebiegłości na co innego użyć, to by pewno i oni dużo się przyczynili do podźwignienia narodu naszego z niedoli. A mogliby mogli, i już nawet rozpoczynają brać się z nami za ręce i razem pracować nad wspólnem dobrem. Dziś żydzi u nas wszędzie nazywają się Polakami, a myślą i czują jak na Polaka przystoi pomimo tego, że są innego niż my wyznania. Kto ta prawdziwie poczciwy, to on sobie zawsze będzie poczciwy, czy on sobie zresztą taki lub owaki.

Żydzi czytają i piszą dobrze po polsku. Ja sam znam żyda Jośka w Radziejowie, co gospodarzom „Dzwonek“ czytuje. Na prawdę! i jeszcze w mojej obecności, Panie odpuść grzechy, żywot świętego Jana z Dukli odczytywał. Oj! żydzi dziś modlą się nawet po polsku, prosząc Pana Boga o pomysłność dla narodu naszego. Już to sobie w ogóle przyznać musimy, że żydzi więcej się na książkach rozumieją od nas gospodarzy, no naturalnie nie wszystkich. I wymieńcież mi też żyda, coby czytać i pisać nie umiał, chyba by on już był bardzo nieszczęśliwy. Co w tem, tobyśmy z nich przykład brać powinni. Żyd choć biedny na arzędzie, a trzyma nauczyciela do swoich dzieci.

Żydom dotychczas zarzucaliśmy brak uczciwości i brak przywiązania do kraju. Jeżeli kiedy tak było, musimy to przypisać ich sposobowi życia i zatrudnienia, nie zaś jakoby żydzi z natury do niczego szlachetnego podnieść się zdolni nie byli. Ciągłe kupeżą, a przy ciągłym kupezeniu, to tak łatwo popełnić oszukaństwo raz i drugi za nie sobie tego nie mając, że się też w końcu do oszukaństwa wprawimy i oszukiwaczami się staniemy. Zresztą, kupeżąc nie zważa się czy to brat, czy swat, komu co sprzedajemy, byleby na nim zarobić, bo na to kura grzebie, żeby wygrzebała. Ztąd wyrabia się brak serca, a przywiązywanie zbytnej wartości do tej mamony. Jużto w ogóle potrzeba z gruntu uczciwego człowieka, któryby przy kupezeniu, mając ciągłą sposobność, nie popełnił żadnego oszukaństwa, boć oszukaństwo przy kupezeniu to tak łatwo z początku zyskiem lub zarobkiem mianować!

Takim to sposobem doszli żydzi, co się tylko handlarstwem trudnili, do tego, że im wszystkim nieuczciwość zarzucaliśmy. To pochodziło z ich sposobu życia.

Nie zaś dziwnego, że żydzi przywiązania do ziemi naszej nie mieli. Przybyli oni do nas z czasem, i za przybyszów się ciągle uważali, oczekując tylko chwili, skoro z mającym się narodzić Mesyjaszem do swojej ziemi nie wyruszą. Dlatego też to trudnili się i handlem, aby z ruchomym majątkiem móż się każdego czasu wynieść. Dziś poznali, że przykroby im przychodziło wyjść z kraju, w którym się urodzili i wychowali, a że tak jak dotąd jakby na tymczasem zostawać nie mogą, muszą się już na stałe osiedlić. To też przestają myśleć na teraz o swym Mesyjaszu, coby ich od nas wyprowadzał, ale myślą razem z nami o takim, któryby nas wszystkich z rąk szatańskich, moskiewskich wybawił.

Obrzynek w Siedliszowicach,

list Wojciecha z pod Opatowca do Grzesia z Mogiły.

Jeżeli mój kumotrze od niepamiętnych czasów był ten piękny zwyczaj u naszych panów, że oto po ukończonych żniwach w nagrodę za pracę przy zbiorach, zapraszali swych poddanych do dworu i z nimi się razem cieszyli i bawili, za co też dzieciom po wszystkie czasy ludziska byli wdzięczni: to tem bardziej powinniśmy być wdzięczni tym panom, którzy chociaż przestali być naszymi panami, a my ich poddanymi, i chociaż teraz swe żniwa drogo opłacać muszą: a jednak dawnego się trzymają zwyczaju i o obrzynku nie zapominają, a jednak i teraz cieszą się po ukończonych żniwach z tymi, którzy im pracowali, zawsze z jednakiej przychylności i miłości dla swych dawnych poddanych.

Bo i to wam muszę rzec mój Grzegorzu, że mi zawsze ciężko na sercu, gdy słyszę nieraz ladajakich ludzi, co to bez różnicy, ogadują naszych polskich panów, za ich złe obchodzenie się z ludem, za onych jeszcze pańszczyźnianych czasów. Prawda, że ono się ta i różnie działo, ale przecie było więcej takich, co to panowie z dawnych panów, byli zawsze dla swych

poddanych nie panami, ale prawdziwemi ojcami, jak ot i on był ś. p. pan Kotarski, Panie świeć nad duszą jego, z Oleśna, co go do dziś dnia w całej naszej okolicy ludzie pamiętają. A teraz, chwała Bogu, to już każdy i z panów, jak zarówno z nami jedną biedę klepie, tak też jednako radby jak z siebie tak i z swych sąsiadów tę biedę zwalić. Oby tylko Królowa nasza Częstochowska chciała to sprawić, aby lud raz poznał i w to uwierzył, że tak panowie jak i my to jedno: bo przecie wszystko jeden naród, Polacy! —

Otóż mój Grzegorzu poczynam od tego, com wam chciałem opowiedzieć, com na swoje własne oczy widział. Wracając przeszłej niedzieli od kumotra z Otfinowa, a idąc około Siedliszowic, ujrzałem nielada narodu walącego ku dworowi, a dowiedziawszy się że to obrzynek, nuże też i ja zdjęty ciekawością zbliżyłem się tam, aby się choć zdala przypatrzeć, i nie żałuję tej chwili, chociaż wiecie, że i ja nie zwykłem darmo czasu marnować. Ledwom ci zaszedł na dziedziniec dworski, aliści walały trzy gromady jedna po drugiej, każda ze swą muzyką i wieńcem nie lada ku dworowi. Zaraz też oboje państwo Siedliszowscy wyszli na przeciw. Pan sam, co go jenerałem mianują, odbierał na własne ręce wieńce od pięknie przybranych żniwiarek, a sama pani to widać, że się najbardziej radowała onemi gołąbkami, co po parze na każdym wieńcu siedziały.

Gdy dziewczęta oddawały wieńce do rąk samego pana, to tymczasem tęgie parobczaki, a wszystko w czerwonych czapkach aż miło, wołali radośnie: — Niech żyje nasz Pan Hrabia i Dziedzie! Wiwat oboje Państwo! — aż się dwór trząsał od tych strasznych okrzyków.

Jak ci wieńce złożyli do rąk pana i dziedzica, tak też każda gromada z swoją muzyką stanęła osobno na dziedzińcu przed pałacem, skrzypiciele urznęli krakowiaka od ucha, a rozochoczone druchny nuże do samego pana, nuże do rządcy i ekonomia i leśniczego jednego i drugiego, a parobcy do pani i do różnych panien co ich tam było, prosić do tańca.

Różniem sobie mój Grzegorzu myślał: — czy ci pójdą do tańca czy nie; ale gdym zobaczył, że sam dziedzie, a znacie go że to człek nie dzisiejszy i do tego pan z panów a jeszcze

i jenerał, poszedł w pierwszą parę krakowiaka, i w kole każdej gromady rzetelnie i wesoło obszedł do koła: to mię moi kochani radość niezmierna tak za serce uchwyciła, że mi aż łzy do oczów wystąpiły. Bo też to i lżej na sumieniu człowiekowi, kiedy widzi, że choć i taki wielki pan, a naszą zabawą nie gardzi, ale kontent kiedy widzi lud wesoły. Pomyślałem sobie w duszy:

— Niech ci Pan Bóg jak najdłuższem życiem stokrotnie odpłaci za każdy krok, coś go zrobił dla rozweselenia biednego ludu. —

Ale się też i ludziska nie lada rozochocili, widząc zachęte do tego samego dziedzica, i tych różnych panów i pań i panien, co to wszystko wspólnie tańcowało nie byle jako. Nawet i księdza proboszcza, co tam także był, kilka druzek prosiło do tańca, ale niebogie odeszły z niezem, i nielada się zawstydziły; choć dobrze im tak, bo przecie powinny wiedzieć, że księdzu nie wypada tańcować. Długo dośe patrzyłem na ten taniec i pomyślałem sobie:— No, gdyby kto nie wiedział, toby pomyślał, że ten lud cały rok nie nie robił — takie to wszystko było wesołe i ochocze — a tu przecie każdy wie, jakie to tego roku były żniwa, że ani dnia odpoczynku, chyba święta Niedziela, tak duchem wszystko czekało sierpa. Ale to u nas jako u Polaków, zawsze tak bywało: I do tańca i do różańca. Jak robić, to co siły; jak tańcować, to od serca; jak się modlić, to z całej duszy: wszystko rażno a rzetelnie, bo tylko takiej sprawie Bóg błogosławi.

Już ta pono mało znamy takich panów, co to jeszcze za starego Napoljona wojowali, bo to już i nielada czasu upłynęło od onych strasznych wojen; a piszę wam to dlatego mój Grzegorzu, abyście tam dziesiątemu o tem opowiedzieli.

Niech więc też i temu panu Pan Bóg przydłuża życia, w najdłuższe lata jak Jego święta wola, a was mój kumusiu niech też ma w swej szczególnej opiece.

Bywajcie zdrowi!

Jak zrobić z dzikiej ziemi urodzajną rolę.

Siła to ziemi leży jeszcze w naszym kraju odłogiem, a to wszystko dlatego, że lenistwo jeszcze między ludźmi wielkie; a czasem jak się trafi, to znowo tyle jest ziemi, że Bogiem a prawdą choćby najpilniejszych rąk to ci za mało do porządnego jej obrobienia. Żebyś to człeku jeden z drugim zajrzał do cudzych krajów, tobyś aż za głowę się chwycił, jak to tam ludzie koło każdego kawałka gruntu chodzą jak koło własnej źrenicy. Prawdać że tam na małym kawałku więcej ludzi siedzi i więcej też jest rąk do pracy, ale też podziwiać jeno i wychwalać, tę ich pracę sumienną, tę ich pilność sprawiedliwą, z jaką się do roli zabierają. Błogosławi-ci też Pan Bóg tej pracy za granicą, bo choć nieraz ziemia ani się umyła do naszej, to przecie plony bywają niezego.

Otóż żebyśmy byli bogatsi, to nam trzeba także bodaj o najlichsze kawałtko ziemi dbać z wszelką starannością i dokładać pracy, trzeba różne dzikie pustki zamienić w urodzajne role. A kiedy tylko ta rada jest mądra, więc zobaczymy co to są dzikie ziemie a co urodzajne, i jakim też sposobem owe dzikie w urodzajne zamienić? —

Dzika ziemia jest taka, której przemysł ludzki jeszcze się nie dotknął; więc która nie była jeszcze ani zoraną, ani skopaną, ani wymierzwioną. Dziką ziemią są na ten przykład: odłogi, pola krzakami, ostami, trawami i różnemi chwastami zarosnięte, dzikie pastwiska, błota, bagna, łągi, moczary, karzowiska i inne. A nie jest taka ziemia dlatego urodzajna, że nie rodzi szlachetnych roślin, jak pszenica, żyto, warzywa, ogrodowiny i tym podobne; bo jest kwaśna, mokra i zarosnięta trawami i chwastami. Oprócz tego, są jeszcze u nas czasem ogromne płaszczyzny piaszczyste, które jako ziemia dzika stoją bez użytku dla rolników.

Zobaczymy teraz, czego potrzebują zboża i wszelkie szlachetne rośliny do życia, czyli do rośnięcia i do dojrzenia. Otóż potrzebują: powietrza, wody, ciepła i właściwego pokarmu w sa-

mej ziemi. Zaś na szczerych piaskach nie dostaje roślinom wilgoci czyli wody: napoju, i pokarmu, czyli czarnoziem. Więc takie piaszczyste płaszczyzny mogły by być dopiero wtedy urodzajnymi rolami, gdyby miały w sobie dostateczny zapas wilgoci i czarnoziem, to jest wtedy, gdyby rolnik przemysłem, sztucznym sposobem, zwilżył piaski i dodał im pokarmu.

Inne są niedostatki na błotach, moczarach i piaskach; tam nie dostaje zbożom ciepła i czystego powietrza, bo błota, moczary, sapiska i łągi mają grunt zimny, przepełniony zdrojami, a z powodu darni i wody świeże powietrze w ziemię wsiąkać nie może. W moczarach znajdują się zgniłe korzonki i przegniłe trawy, ale w dzikiem stanie; ziemia taka ma pełno kwasu i surowości, więc pokarm na moczarach, sapiskach i błotach jest w swym surowym stanie dla roślin nieużyteczny.

Żeby się taki grunt stał urodzajnym, to potrzeba go osuszyć, spulchnić, wyczyścić z zarośli i chwastów, i trzeba mu dodać gnoju, lub czarnej, masnej, przegniłej ziemi.

Nie łatwa to jest sprawa osuszenie moczarowatych gruntów, aleć przecie powoli, powoli, wszystko da się zrobić. Trzeba najprzód patrzeć, aby odeszła zbyteczna woda z ziemi, i tym końcem wybijać trzeba głębokie rowy do jej spuszczenia; takim sposobem ziemia z czasem się osuszy i stwardnie, a ciepło i powietrze łatwiej przejąć ją będzie mogło.

Przez wybijanie kanałów i rowów, najobszerniejsze błota, łągi i moczary zamienili ludzie w bujne łąki i urodzajne grunta. Dawnemi czasy były u nas ogromne a nieprzebyte bagna we wszystkich częściach Polski i prawie nad wszystkimi rzekami i znaczniejszemi jeziorami. Wielkie były, i w części jeszcze są bagna polskie za Warszawą nad rzekami: Bugiem, Narwią, Notecią i innemi; lecz największe były i są bagna nad rzeką Prypcią czyli błota pińskie, które mają długości do 40 a szerokości do 10 mil. Tysiące morgów bagien i łągów zamieniają u nas prawie corocznie przez osuszenie kanałami i rowami w piękne łąki i użyteczne role. A przecie nie ma prawie jednego powiatu na ziemi polskiej, gdzieby nie było większych lub mniejszych bagien i łągów, które na łąki i role zamienić się jeszcze dadzą. A ileż to także kmieciów polskich posiada po morgu lub więcej

błota, które pracą i przemysłem dałoby się osuszyć. Dużo to jeszcze będzie potrzebować pracy, i rańniejszej pracy!

Przez wymierzwianie, uprawianie i obsiewanie ziołami pastewnymi i ziarnem zbożowym, można osuszone bagna zamieniać powoli w urodzajną rolę. Zaś przez częste oranie, radlenie i włóczenie, zwłaszcza podczas suchego powietrza i wiatrów, możesz sobie wyczyścić z chwastów nowinę.

Podobnie postępować sobie trzeba i z karczowiskami. Wykarczujesz z ziemi pieńki, głogi i ciernie, wyorzesz, wyradlisz i wywłóczysz, a możesz mieć wyborną rolę.

A teraz zobaczymy, jak się użyźniają płaszczyzny piaszczyste.

Kiedy są blisko źródła i wody, spuszcza się mialkami rowami woda tak, aby całą płaszczyznę zalała; na zwilżonym piasku puszcza się trawa, a nieurodzajna płaszczyzna zamienia się w piękną łąkę. Albo też wywozi się glina, gruzy z budynków i darń z rowów na piaski, przez co takowe nabierają spistości, mocy, wilgoci i pokarmu, i są potem w stanie wyżywić rośliny, zwłaszcza żyto, owies, tatarkę, proso lub ziemniaki.

W każdym więc ziarnku ziemi jest ukryte złoto, które człowiek pracą i przemysłem wydobyć może. Przemysłem i pracą przemieniają ludzie suche i nużące piaski w piękne łąki, przyjemne gaje i bory, w rozkoszne ogrody. Nieużyteczne bagna i moczary, szkodliwymi wyziewami ziejące, które zatruwają powietrze i chorób okolicznych mieszkańców nabawiają, pracą i przemysłem zamieniają ludzie w urodzajne role, a tam gdzie dawniej różne gady i płazy na kępach wśród niedostępnych błót przebywały, gdzie dzikie wodne ptastwo się gnieździło, potem na bujnej łące pasie się bydło, albo rolnik pługiem ziemię orze.

Jest kraj nad samem morzem, nazywający się Holandja. Tam przed laty wylewało morze i rozciągały się ogromne, niedostępne bagna; dziś na tem samem miejscu stoją piękne miasta i wsie, woda licznymi kanałami do morza odpływa, a pracowity Holender ziemię uprawia. Przemysł to i praca ludzka zatrzymały morskie wody, wzniosły potężne groble niedopuszczające wylewu morskiego, i gęstemi kanałami osuszyły bagna i moczary.

W kraju włoskim wystawił przemysł ludzki miasto Wenecję na wodzie. Na miałkach wysepkach morskich bili ludzie głębokie pale i wybudowali Wenecję, miasto wielkie. Ulicami idą kanały, płynie woda morska, po której tak Wenecjanie na łodziach i swych *gondolach* jeżdżą, jak my chodzimy po ulicach.

RÓŻNOCI.

Nieporzucaj dawnych ubiorów. Mdlawo się robi na poczciwem sercu, i oko mimowolnie zalewa się łzami, gdy człek wejrzy do wsi naszych, i widzi, jak nasze obyczaje staropolskie idą tam powoli w poniewierkę. Ba! nawet i ubiory przodków naszych już niejeden zarzuca. Byle jaki trzpiot, co przyszedł od wojska i widział różne obyczaje po miastach, porzuca sukmanę i przywdziewa surdut miejski, kamizelkę, spodnie długie, i myśli, że mądry. A wszyscy, co to im świta jeszcze w głowie, dalej za nim, i nuże go naśladować, jakby to było co dobrego. Wyśmiać go, palcem go wytykać, aby się poprawił, a nie naśladować, bo to brzydki i szkodliwy zwyczaj. — Byle jaka dziewczyna, co to Boże odpuść, tylko się chce przypodobać, porzuca sznurówki i sute spodniki, a ubiera się w suknie miejskie, i myśli że już wiołmożna pani. Nędznica jest, bo z zmianą dawnych polskich ubiorów traci najczęściej i poczciwe serce.

Nie tak postępuje sobie porządny parobek, lub stateczny gospodarz; — nie tak robi rządna gospodyni, i skromna uczciwa dziewczyna; bo nie porzucają dawnego polskiego

ubioru; gdyż wiedzą, że co nasze, to nam wszystkim drogiem być powinno.

Krasicki, co to był arcybiskupem gnieźnieńskim i sławnym poetą polskim, tak pisze o polskim ubiorze: Polski strój z przystojnością łączy i powagę; a co najistotniejszego w odzieży, wygodnym jest, przeto iż się stósuje do zimnego powietrza kraju naszego. Miewał i on odmiany. Jak się jednak z dawnych posągów i malowideł pokazuje, długa i dostatnia odzież była w używaniu od najdalszych czasów. W krakowskich nagrobkach tak się wydaje Władysław Łokietek i Kazimierz Wielki, syn jego, Królowie Polscy co panowali przed 500 laty. I Jan III Sobieski, co to przed 177 laty Wiedeń od Turków oswobodził, także po polsku się nosił i pokręcał wąsa.

I wy też za niewświecie nie porzucajcie tego dawnego polskiego ubioru, bo to piękny strój i poważny, a ku temu wygodny. I nigdy nie dozwólcie go porzucać ani synom, ani córkom waszym. Niech Polaka zdobi wiara żywa, życie czyste, serce polskie i ubiór polski. — A wy, coście się już przebrali po miejsku, powróćcie do dawnych ubiorów polskich, a


przez to zgładzicie tę winę, którąście zmazali serca wasze. Nie wstydzicie się tego ubioru, bo to ubiór Ojców waszych.

Jaszczóld, stary ułan. Mało to ludzi już żyje, którzy u nas Francuzów pamiętają. Cesarz francuski Napoljon wiele wojen prowadził, a nasi Polacy pod księciem Józefem Poniatowskim to cudów męstwa dokazywali, że aż sam Napoljon wydziwić się temu nie mógł. Raz trzydziestu ułanów polskich wpadło do miasta, gdzie było wiele nieprzyjacielskiego wojska, a na ten okrzyk: ułani polscy! wrogów z miasta jakby wymiółł. Tysiące uciekało przed trzydziestoma ułanami polskimi. Dlatego też gdzie się nasi ułanie pokazali, zaraz rzucano im pod nogi kwiaty i wołano: Niech żyją Ułani!

Ale wszystkich wtenczas przeszedł w męstwie i odwadze podporucznik polski imieniem Jaszczóld. To mi dopiero był chwyt, jakich mało! to mi dopiero był zuch nad zuchy, że aż

się serce śmieje, gdy człek sobie na takiego zucha wspomni, bo przy dzijsiejszej biedzie to zaraz lżej na sercu.

Wystawcie sobie, bo to ani nie do uwierzenia; ten Jaszczóld przychodzi do swego kapitana, i prosi go aby mu dał dwóch żołnierzy, których znał, a którzy takimi zuchami byli, jak on sam, a zrobi dobrą obławę. Kapitan znając Jaszczólda, że to chwyt, żeby i samego djabła do piekła zapędził, zezwolił na to. I z tymi dwoma żołnierzami idzie w nocy do obozu nieprzyjacielskiego, gdzie to tysiące różnego wojska stoi; — i ci trzej w tym obozie ojogromnego narobili bigosu; a Jaszczóld wpada do kwatery generała najstarszego, chwytą go za koltierz i uprowadza do naszych. Lecz przecież żołnierze się pomiarkowali i odbili swego generała. Ale Jaszczóld cało i zdrowo powrócił do swoich, ani włos mu z głowy nie spadł. To mi to zuch!

 *Dobrzy ludzie postarali się tu o podanie do druku książeczki z bardzo ładnymi rzeczami. Nazywa się ta książka „Złota księga,” a znajdziecie w niej siła przykładów różnych cnót chrześcijańskich, z których się i nauczyć dużo można a zabawę też niejednemu sprawią. Owóż z tej Złotej księgi dostało się też i Dzwonkowi conieco, więc ją Dzwonek niektórym z tych, co sobie go zapisują w podarunku przez pocztę posyła. Niejeden tam może dostanie kilka i kilkanaście książeczek razem, ale na każdej stoi napisano komu się patrzy, więc niechże będzie łaskaw, wedle zapisów ją porozdawać. Niech też nikogo nie dziwi że to tak za darmo posyłamy, aleć to jeno na zachęcenie i pokaz, żeby sobie i inni ludzie, jak zobaczą co jest, w mieście, w sklepie gdzie książki sprzedają kupić mogli. Będą te książeczki w świecie po 48 centów sprzedawać, bo droga też coś kosztuje, zato tu we Lwowie w księgarni dostanie po 42 centy. Jest w Bogu nadzieja, że się tych książeczek dużo po świecie rozejdzie, a tym sposobem wróci się wydatek i za te, które teraz na pokaz w podarunku rozsyłamy.*

Zostańcie z Bogiem! →



Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ZYGMUNT TRZECI, KRÓL POLSKI.

V. *Wojna z Turkiem i śmierć dwu hetmanów.*

Słyszeliście już o tem jak się to pan wojewoda Mniszech wraz z Dymitrem na Moskala wyprawiał, i widzieliście że to było dobrze i niedobrze. Dobrze było, bo pobili Moskalów, a to zawsze dobrze; ale źle było dla tego, że to sobie ten pan tak, ot na własną rękę wojował: bo jakby tak sobie każdy wojny wydawał, tobyci był niesłychany harmider i wielka mięszanina w narodzie, jak to mówią jeden do lasa, drugi do Sasa, i nie byłoby w kraju ładu za trzy grosze.

A owóż to prawie też i u nas ładu nie było za króla Zygmunta III, bo każdy robił co mu się podobało. I oto najprzód trzech wielkich panów, jeden Potocki a dwaj inni książęta Kordecki i Wiśniowiecki, namówili się że pójdą z wojskiem do Wołoszczyzny, którą się Turek opiekował, i het sobie kraj ten za-wojują. Jak rzekli, tak zrobili; wyprawili się z wojskiem, aleć jeno zaczęli wojować, tak zaraz dostali od Turków po skórce,

którzy i samych onych panów złapali, a okutych do Stambułu odwieźli.

Ba, żebyci się to na tem było skończyło, to nie! Ale Turek rozgniewany że go laða kto szarpie, zbiera ogromną siłę i ciągnie przez Wołoszczyznę ku naszej granicy.

— Źle będzie! — mówią nasi zrazu, i nie chcąc biednego ludu wydawać na noże tureckie ustępują Turkowi het wszystkich praw do Wołoszczyzny, byle jeno dał pokój. Aleć, że to gospodar Wołoski sprzyjał Polsce a Turkom nie bardzo był przyjaźny, a naszym też obowiązkiem Bożym zawsze było bronić Chrześcijan od pogańskiej ręki: więc hetman Żółkiewski, choć jeno z niewielką gromadką żołnierzy, ruszył na Turka do Wołoszczyzny.

Nieprzeliczona ćma pogaństwa otaczała garstkę naszych, ale Żółkiewski tęgiego był serca, więc zwoławszy starszych z wojska, tak się do nich odezwie:

— Waleczni towarzysze! Mała nas kupka bo mała, ale w Bogu nadzieja. Dnia jutrzejszego chciałbym uderzyć na Turka, a mam tak silną wiarę we waleczność waszą i w pomoc Bożą, że i o zwycięstwie nie wątpię. Jeżeliby zaś przecie bitwa się nie powiodła, to się uszykujemy w *tabor* i tak będziemy się cofać ku granicy.

Nie na to nie rzekli wodzowie, ale widać było z oczu niektórym, że się coś z bojaźni czy z nieżyczliwości ku hetmanowi nie bardzo nato godzą. I patrzeież, na drugi dzień rychło świt rozgląda się hetman po obozie, a tu jedna część i tak małego wojska, bez pozwolenia i rozkazu jego ruszyła sobie z Bogiem. Krew ścięła się hetmanowi w sercu, schmurzył brwi i westchnął do nieba, a jakieś przykre uczucie przeleciało mu przez duszę.

— Źle już źle, kiedy się tak dzieje! — podumał stary hetman, a widząc już bitwę nie możliwą, kazał urządzić *tabor* i tak taborem jął się cofać ku domowi. A *tabor* ten tak się urządził: wozy żołnierskie ustawiało się na cztery boki, a w taki sposób, że przystawały do siebie niby mur jaki; w samym środku znajdowała się jazda, chorzy i co najpotrzebniejsze dla wojska, bokiem zaś piechota z nabitemi rusznicami. Szedłes

więc niby murem zasłonięty i mógłś ztamtąd palną bronią trafić nieprzyjaciela, a samemu przecież ci tak nie szkodziło jak we zwykłym szyku.

Oj, aleć mieli nasi utrapienia dość z tym taborem! Bo to żeby tylko sam Turek co najeżdżał i trapił! lecz bo do tego miałś niesłychaną posuszę i upał i dym pożarów naokoło, a tu nie tylko goły step i step, het żółty od skwaru. Idą nasi pięć, idą sześć dni, idą ci nareszcie już i siódmy dzień, a tu nie jeno ciągle goły step jak po stole, a w dodatku i szarańcza trzeszcząca pod wozami. Więc nasi modlą się jeno gorąco do Pana Boga i śpiewają „Pod twoją obronę“, więc opieka Boża trzymała ich jakoś w kupie i bez wielkiej szkody aż do siedmiu dni, choć widać było, że owe przeniecierstwo jednej części wojska mocno sprawiedliwość Bożą obruszyło, i lada chwila mógłś się kary spodziewać.

Oj, i przysła ci nareszcie ta kara na naszych, oj przysła!

Dnia siódmego wieczorem, skoro już Turcy zmęczeni nie napastowali taboru, a nasi chcieli odpocząć nieco, taki się stał wielki rwetes w taborze. Co wytrwali a Boga w sercu mający przeszedłszy już tyle czekali i końca spokojnie, jako że już do domu bliżej jak dalej było: aleć pachółkom czyli *ciurom* sprzykrzyło się już to ciężkie i powolne cofanie, i nie dbając o własne sumienie i o całą sprawę, chwycili się rabunku. Darmo hetman i starsi wstrzymują, darmo grożą i karzą, nie nie pomaga! Ciurowie rzucili się na dobytek swych panów, a potem hajże w nogi. No i oczywiście zrobiło się z tego wielkie zamieszanie, a Turcy korzystając z zamieszania uderzają na rozzerwany tabor.

Spojrzał stary hetman po szczupłych i niezgodnych szeregach, spojrzał smętnym wzrokiem, i widzi że ostatnia wybiła godzina. Lecz prawemu Polakowi nigdy się z placu ustępować nie godzi. Turcy biją i rozpraszają naszych, a tu koło starego hetmana stanął syn jego z jednej a synowiec z drugiej strony, i tak czekają rychło dać gardło wypadnie. I niestety, nie za długo wybiła ostatnia godzina! Padł stary hetman, pogromca moskiewski w tylu bitwach, a poganie ucieli mu głowę, i posłali ją do Stambułu. Dużo tam naszej krwi pociekło, siła na-

szych padło rycerską śmiercią, reszta zaś poszła w rozsypkę. A działo się to pod *Cecorą*, lat temu dwieście czterdzieści, ho w roku 1620. Wielki był smutek w całej Polsce po onej klęsce straszliwej. Płakały matki swoich synów, płakały żony mężów a siostry braci, a wszyscy skarżyli się na Zygmunta, że nie postarał się o posiłki dla Żółkiewskiego, i dał mu tak marnie zginąć. Trafili się nawet jeden szlachcic imieniem Piekarski, co wypadł na przechodzącego ulicą króla i ranił go czakanem w głowę, za co go potem męczyli, a on plótł piętę przez dziesiąte, i od tego czasu została już gadka między ludźmi: Plecie jak Piekarski na mękach, jeśli kto ni to ni owo bałamuci.

Tymczasem Turek, pobiwszy raz naszych, urósł w jeszcze większą butę jak przedtem, i umyślił sobie het całą zawojować Polskę. Jakoż cesarz turecki czyli sułtan, zebrawszy nie widziane i nie słychane dotychczas wojsko, ruszył ku polskim granicom. Nasi radzili właśnie podówczas na sejmie, a skoro ta wiadomość straszliwa nadeszła, to tam w niejednym zadygotało serce, boć też i *Cecorę* mieli przed oczyma. Więc nie wiele myślący uradzili, że każdy szlachcic co jeno ma zdrowe ręce, kawałek żelaza i konia nijakiego, niech się na Turka wyprawia, czyli mówiąc inaczej, uradzili pospolite ruszenie. Zaś swoją drogą wyprawili gotowego wojska, co jeno było można, pod dowództwem onego *Chodkiewicza*, co to tak Szwedów pod Kircholmem skropił. A do tej siły przyłączyli się też w znacznej liczbie poczciwi Kozacy zaporozcy, którymi dowodził sławny pod one czasy ataman, nazwiskiem *Konaszewicz*.

Na wołowej skórze by nie spisał, chcąc opisywać po szczególności, jaka to była sławna ta wyprawa na Turka. Ważyła się tu sprawa nie tylko o Polskę, ale i o inne narody z Polską graniczące, zgoła o całe chrześcijaństwo, bo któżby był bisurmanów wstrzymał, gdyby to pogaństwo było naoneczas garstkę naszych przełamało i wylało się nie przymierzając jak nasza Wisła na świętego Jakóba? Het, het i u Niemców i u Moskali świeciłyby się dziś pewnie tureckie księżyce, zamiast krzyżów naszego Zbawiciela!

A nie było zupełnie trudno o przegraną z naszej strony, bo jako wam rzekłem niesłychaną liczbę pogan przyprowadził sułtan, i z tych co z Chodkiewiczem przyszli, to ledwo jeden na dziesięciu starczył. Lecz doświadczony hetman postępował sobie rozsądnie i przezornie, bo przeszedłszy za granicę polskiej ziemi nie szedł dalej szukać Turka, jeno stanął obozem pod miastem *Chocimem*, okopał się porządnie, i tak czekał na wroga.

Nie długo trzeba było czekać. Nadciągnęły wnet wojska tureckie, a szły i szły bez końca i wreszcie stanęły naprzeciw naszych obozem, ale-ci to takim obozem, żeś go nie mógł okiem przejrzeć. Co tam było bogactw, koni a ludzi, tobys był musiał cały miesiąc liczyć, a jeszcze byś nie zliczył. Owóz z tą siłą zaczęli nasi zwolna, potroszę się uganiać, a gdzie się tylko dało to urwali i porazili, a tak się to jakoś wiedło, że im wnet i wielkiego wodza ubili. Nasz dzielny hetman, Chodkiewicz, choć już dobrze latami przygarbiony, dzień i noc na koniu objeżdżał i doglądał jak troskliwy ojciec, wszystko też szło jak najlepiej, bo i Pan Bóg dopuściwszy na naszych porażkę pod *Cecorą*, brał teraz Polskę w obronę przeciw poganom.

Wszystko szło dobrze; aliści Chodkiewicz, umęczony ciężką pracą czuwania, musiał zsiąść z konia, i dopieroć uczuł jak go nagle siły opadają i w oczach mu się mroczy. Trudno było mu dłużej utrzymać się na nogach; legł więc stary hetman na obozowej pościeli, a kazawszy zwołać starszyznę do siebie, tak się do nich odezwie:

— Znać już niedługo mojego życia; czuję jak mię siły coraz bardziej opadają, i ciężko mi rozstawać się z wami, kiedy wróg na karku; aleć Wszechmocny, nieogarniony w miłosierdziu swoim wie co robi. Więc chociaż mnie nie stanie, nie żałujecie wy ostatniej kropli krwi za ojczyznę, bo wiecie, że w was nie tylko Polska ale całe chrześcijaństwo nadzieję swą pokłada.

Głos słabnął coraz bardziej staremu hetmanowi; wzięwszy więc *butawę*, oznaczającą hetmaństwo, oddaje ją w ręce *Lubomirskiego*, i rzeknie:

— Wiedź ich ty na pogaństwo i dokonaj zwycięstwa.

Ze łzami w oczach przysięgali rycerze, że rychlej zginą, jak żeby mieli ustąpić przed Turkiem, a w czasie tego stary hetman podniósł oczy w górę, westchnął, i oddał Bogu rycerskiego ducha.

Po śmierci hetmana, długo się jeszcze uwijali Turcy koło naszych; ale dostawszy zawsze po skórze, i widząc że nic nie dokażą, jeśli prosić o pokój, na co nasi chętnie przystali, bacząc, żeby onego pogaństwa nie zniszczyli tak prędko, a na kartę stawili całą przyszłość Polski. Jakoż podpisali pokój z Turkiem, który też zaraz potem odciągnął, zostawiając sześćdziesiąt tysięcy trupa na pobojowisku; a działo się to w rok po Cecorskiej klęsce, więc w roku 1621.

I to było ostatnie najświetniejsze i najważniejsze zwycięstwo za panowania tego króla. Nie król się do tego przyczynił, bo on słabnął coraz bardziej, i coraz więcej był nieudolnym, ale owi sławni wojownicy i hetmanowie, na których, jakście to widzieli, nie zbywało podówczas zupełnie naszej polskiej krainie, którzy sławę i siłę jej utrzymywali, choć jej niejedno groziło nieszczęście, a zgoła zdawało się że ją zniszczy.

Po wyprawie Chocimskiej żył jeszcze lat jedenaście król Zygmunt trzeci, a tak już nie umiał utrzymać porządku, że jeno huezało i kłóciło się jak w kotle w naszej Polsce. Więc nie tylko że ze Szwedami była jeszcze turbacja, gdy zaczęli Inflanty rabować, lecz i własne wojsko nie chciało słuchać, jeno się buntowało i dokazywało, że aż brzydko wspominać. Nie bardzo się też i smucili ludzie, gdy nareszcie Pan Bóg po czterdziestu pięciu latach panowania zabrał Zygmunta III z tego świata. Nie wiele było żałoby, bo wszyscy mieli lepszą nadzieję we *Władysławie*, królewiczu, który po ojcu na tron polski wstąpił.

Prostak wiejski.

Nie wiem, gdzie tam lepiej komu,
Każdyc Panem własnej woli;
Mnie najlepiej w ojców domu,
Rad więc siedzę na swej roli.

Nie ciekawym, co tam poda
Zagranicznym miastom moda;
Sieję sobie swe zagony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam szuka obyczaju,
Pędzi w świat ... otwarte wrota!
Dzięki Bogu, wiem i w kraju
Co jest rozum, grzeczność, cnota.
Wolę ja w staroświeczynie
Wiernym być własnej Ojczyźnie,
Bom z pradziadów Polak chrzczony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś przez mądre tam mozoły
Myśli, że świat przeinaczy;
Toć i jam odbywał szkoły,
Wiem, co ta ich mądrość znaczy.
Hurt na hurt, wolę ja stare:
Ojców serce, ojców wiarę,
Życ dla dzieci i dla żony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam ludzi durzy, mami,
I gdy jakiś zysk w tem zoczy,
Górnościami, czułościami,
Jako może mydli oczy.
U mnie, znam się na oszustach,
Prawda w sercu, prawda w ustach,
Do prostotym wzwyczajony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Niech tam sobie łakną drudzy
Chwały, sławy, i tak dalej;
Mnie gdy w domu lubią sładzy,
Gdy mię w wiosce kmieć pochwali,
Gdy pochwalą mnie sąsiedzi,
A zwłaszcza ksiądz na spowiedzi:
Tom już całkiem nacieszony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Wdzięczny chłopiek.

We wsi Pakówce był dworek ładny, ani murowany, ani malowany, ale z czystego drzewa wystawiony; na około stały dęby i lipy, a opodal były gumna i stajnie pańskie. W tym prostym dworku mieszkał sobie pan wioski z żoną i dziećmi, a był to pan bardzo pobożny i dobry i sprawiedliwy. Jak przyszła niedziela święta, to pan idzie sobie z żoną i dziećmi do kościoła, a przechodząc koło ludzi pochwalił zawsze Pana Jezusa uchylając czapki, a jak wszedł do kościoła, to wszystkim powiedział: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — umaczał rękę w święconej wodzie, i uklękawszy nachylił głowę ku ziemi mówiąc: — Niech będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament teraz i na wieki, amen. — A za nim zrobiła to samo i pani i wszystkie dzieci. Po nabożeństwie szedł sobie do domu, a na drodze rozmawiał z gospodarzami to o gospodarstwie, to o chudobie, to o szkółce, to o biedzie, i dawał gospodarzom różne rady i nauki, zwyczajnie jak dobry pan a do tego jeszcze mądry i uczony. To też nikt tam we wsi nie robił, dopóki się naprzód pana nie poradził i o wszystko dobrze nie wypytał, a jeżeli tak robił jak pan radził, to tam na włos nie chybiło nic i nie wyszło na złe.

Raz idzie sobie pan na pole, i mówi gospodarzowi Janowi:

— Szczyćście wam Boże, Janie! Jak widzę siejecie tatarkę, ale jakoś wam się nie dobrze orze, bo wy nie chcecie sprawić sobie pługa żelaznego, jak to u mnie jest. Ot, idźcie do gumniennego Stacha, a on wam pożyczy mego pługa, i zobaczycie jaka to będzie oraczka po takim pługu.

Posłuchał Jan, bo wiedział, że pan zawsze na dobre chce, a miał zagony potem, jakby tam nie ziemia ale drobnutki popiół był na zagonach! Ale też dał mu Pan Jezus i tatarkę jak krzaki nad potokiem, a sypało mu obłożonemi korcami przy młóceniu.

To znowu inną razą idzie pan na pole, a drugi gospodarz wozi sobie gnój, a pan do niego:

— Szczyćście Boże Jakóbie, ale źle kupki kładzicie! Ja wam radzę kłaść więcej, bo to jedna robota a czasu szkoda, a po-

tem zaraz rozrzucić gnój i przyorać i średnio posiać, a da Pan Jezus dobry zbiór. Ot, idźcie do mego Stacha, niech wam da dobre widły, aby to zrobić jak się patrzy. Może i bron wam potrzeba, to wam pożyczę.

Posłuchał Jakób jak pan radził, a było żytko jak las na drugi roczek, a dało z kopy aż po półtora korezyka. Bo jużci nie pan urodził mu takie żytko, tylko Pan Jezus, ale dobre słowo i dobra rada drugiego, to także wiele znaczy.

Raz znowu się wydarzyło, że się pokłócili sierzisto Antoni z Szymonem, i nuż Antoni gazda do dworu bieży jak zaperzony kogut, ani się nie pozapinał ani rozczesał głowy, ani butów nie otarł z prochu, a szedł tak gniewny, że przed nikim ani Pana Jezusa nie pochwalił, ani czapki przed męką Bożą nie uchylił i sunie prosto do dworu, a pan stoi i patrzy. Antoni sie trzęsie i gada:

— Proszę pana, co ten Szymek ze mną wyrabia! Tać to opłakana każda moja godzina!

A pan mówi do niego:

— Widzicie Antoni, że źle robicie, bo jużci przyehodzicie do mnie, a nawet Pana Jezusa nie pochwalicie. Widziałem nawet, żeście czapczyny waszej nie uchylili przed męką Bożą, którą ja dla was i dla mnie postawił, abyśmy razem chwalili Boga. To źle mój Antoni, takim gniewem nie się dobrego nie robi. Zresztą, wy gospodarz nie zły, czemuż przecie nie weźmiecie co lepszego na siebie, jak idziecie czy to do dworu, czy do kuma, czy do kościoła świętego, boć wiecie, że tak was piszą, jak was widzą.

Antoni, już udobruchany, przeprasza i dziękuje, i gada sobie:

— Jużto, co pan powie, to święta prawda. Jużto my prostacy powinniśmy się wszystkiego uczyć i w kościele i we dworze u dobrego pana. — I pożegnał się i wracał do domu, a pan wołał za nim:

— Mój Antoni! tylko bez gniewu i obrazy Bożej! Trzeba podarować, zapomnieć, a nigdy się nie gniewać od rana aż do nocy, ani nie legać do snu z gniewem.

I było cicho i zgoda między Antonim i Szymonem!

A znowu raz idzie pan przez wieś, a tu w jednej chałupinie płaczą aż się zanoszą.

— Co tam takiego? — pyta pan.

A dziewczę małe mówi:

— Nasz tatuś młócili i nagle ich zamroczyło; cepy im wyleciały z rąk i upadli na znak i skaleczyli sobie strasznie głowę, a matusia nie wiedzą co począć, bo ledwo my się do-krzysili tatusia.

Więc dobry pan wlaźł do chałupiny, pochwalił Pana Jezusa, przywitał wszystkich pięknie, obejrzał chorego i zaraz posłał dziewczynę do dworu do pani, to po ocet mocny, to po lód, a sam kazał ludziom przynieść zimnej czystej wody i obmyć biedakowi głowę i mokremi szmatami obwijać, aby mu nie spu-chła i nie urósł jeszcze większy guz od uderzenia. Oj, leżał i stękał biedny chłopisko i byłby długo chorował, gdyby nie dwór. Ale gdzie są ludzie dobrzy i przy kościele i na wsi i we dworze, to tam nie długo co kogo boli, bo dobrzy ludzie nie dadzą; a choćby tam co kiedy Pan Jezus spuścił na kogo na próbę jaką, to go zaraz ludziska dobrzy zasłonią rękami, odwiedzą, zlecają się do razu, popłaczą razem, poratują, a na drugi dzień jest tak, jakby wczora nie było złego. I tak też być powinno wszędzie, a osobliwie na wsi, bo tam ani do-ktora, ani cyrulika nie ma, tylko ksiądz, pan i chłopi.

Otóż wylizał się i ten biedaczysko, a jak tylko wstał, to naprzód poszedł do kościoła świętego, klęknął przed ukrzyżowa-nym Panem Jezusem, zmówił uczeiwie paciorek, ucałował różki i rączki Panu Jezusowi i włożył trojaka do skarbonki dla sierót, a potem poszedł do ołtarza Najświętszej Panny, pomodlił się i podziękował za przytrafunek i za wyzdrowienie. Ale wychodząc z kościoła pomyślał:

— Tać to mię i dobry nasz pan i pani ratowali! i kto wie coby było zemną, gdyby był Pan Jezus nie przyprowadził szczę-śliwie pana naszego do mej chałupiny. — I wrócił nazad do oł-tarza, klęknął znowu i zmówił paciorek święty za zdrowie pana, pani i ich dzieci, ucałował ziemię w kościele, a idąc gadał sobie:

— Mój Boże! jaki to dobry Pan Jezus kiedy nam dał tu na wsi takiego pana i taką panię! Nierazby człek marnie zagiął, gdyby nie było pomocy i ratunku ze dworu naszego!

I wróciwszy do domu wybrał się do dworu, aby sam na sam podziękować panu i pani. Ledwo minął mękę Bożą, a tu pan go zobaczył i uradowany idzie do niego i mówi:

— Chwała Bogu, żeście już wstali, bo to najlepiej aby nikt z nas nie chorował.

A chłopiek się skłonił i ucałował rękę pańską i gada:

— Jużci Pan Jezus zesłał na mnie to nie dobre, ale mię według swego miłosierdzia znowu podźwignął, a pan też ratował mię jak brat brata — i czemuże ja też odpłacę za to? — i rozplakał się wdzięczny chłopiek, a pan do niego rzecze:

— Mój ojcze! jakbym ja chorował lub kto w moim domu, to wyście powinni mię ratować; a jak z was kto zaniemoże, to znowu ja was poratuję, boć tak każe Pan Jezus, bośmy dzieci jednej ziemi i bracia między sobą jako Chrześcijanie i Polacy.

A chłopiek na to z płaczem odpowie:

— Oj, prawda panie! wszysejśmy biedacy i rolnicy, wszystkim nam jedno dolega, dla wszystkich potrzeba nam lepiej, aby się raz zmiłował nad nami Pan Jezus i Panna Najświętsza!

— A gdy to mówił, włożył rękę do kieszeni i dobył gomółkę sera, i podał panu z wielką niesmiałością mówiąc:

— Weź też pan choć tę odrobinę odemnie chudaka, bo czemuże mogę ja panu podziękować? Niech to Pan Jezus miłosierny odpłaci tyle dziesięcioro! Ja się choć co niedziela pomodłę za pana i jegomości dzieci, aby wam dał zdrowie i abyśmy zawsze tak szczęśliwie z sobą żyli, i jeden drugiego ratowali.

Na to powiedział pan:

— Widzicie ojcze, ja nie powinienem tego brać od was, bo co jeden dla drugiego zrobi dobrego, to powinno być z serca i darmo zrobione, tak każe Pan Jezus. Zły to ten człowiek, który dla zysku tylko robi, który szuka tylko zarobku i chleba powszedniego, a nie robi nic dla duszy swej; który bierze za wszystko gotową zapłatę od ludzi, a nie chce od Pana Jezusa mieć na tamtym świecie zapłaty za to. A dobry ten, który nie

patrzy na zapłatę, ale robi co tylko może i bez zapłaty, i pragnie zapłaty za to od samego Pana Jezusa. Ale widzę ja, że wy mi to przynieśli z wdzięczności, to przyjmuję.

I wziął pan gomółkę sera, a w oczach zakręciły mu się łzy, bo widział to, że chłopiek poznał, ile dobrego mu pan zrobił.

Aleć dobrze to mówią ludzie: Co mnie dziś, tobie jutro. Ty dziś chory a ja zdrowy, a jak znowu jutro będzie? Ty dziś bogacz a ja biedny, a co będzie z nami za tydzień albo za rok? Ty mię dziś potrzebujesz, a ja ciebie będę potrzebował jutro jeszcze prędzej. Boć to zawsze robi Pan Jezus na to tak, aby ludzie się kochali, aby jeden potrzebował pomocy drugiego, aby każdy uważał dobrze, że coś złego i jego spotkać może. I wiedzą też ludzie, że przed chorobą i śmiercią, to ani cesarz, ani król, ani pan, ani chłop nie obroni się nigdy. Otóż rozchorował się i dobry pan w Pakówce. Zaraz dobrzy ludziska zbiegli się do dworu, nawet z pola od roboty przylecieli i obścąpili dwór, a płakał tam niejeden, bo mu się setny żal zrobił pana i pani, która biedaczka chodziła po pokoju i ocierała sobie łzy białą chusteczką. Płakały tam i dzieci pańskie, i sam ksiądz siedział smutny koło łóżka pańskiego, a starsi chłopci coś między sobą pogadali, i nuż do pani mówią:

— Niech się jejmość nie trapią tyle, bo przecie Pan Jezus nie weźmie nam tego pana, który był ojcem dla nas. My sobie tu uradzili, że gromada cała wszystko porobi na polu i zwiezie i dopilnuje, abyście państwo nie mieli szkody żadnej.

I poszli do księdza i pytają:

— Niech nam też jegomość powiedzą, co też to będzie z panem naszym?

A ksiądz na to:

— Dobry Pan Jezus dla nas wszystkich! Umie zasmucić, ale umie i pocieszyć. Oto zwołajcie tu wszystkich ludzi, pokłękniemy razem i pomodlimy się do Pana Jezusa o zdrowie naszego pana i brata.

I poklękli to w sieni, to w pokoju, to na dworze popod oknami, a każdy złożył ręce i patrząc do nieba mówił za księdzem:

— O miłosierny Panie Jezusie! daj też jeszcze zdrowie naszemu dobremu panu, bo cóżbyśmy tu bez niego robili? — A najwięcej płakał i modlił się ten, który niedawno przyniósł w kieszeni gomółkę sera zdrowemu panu. On nie odstępował we dnie i w nocy chorego pana, on sam jeździł to po doktora do miasta, to z listami do bliskich dworów; a gdy się panowie pozjeżdżali i coś między sobą mówili, to ten chłop ocierał sobie rękawem łzy, bo mu się zdawało, że oni gadają już o śmierci pana, i potem pytał ich:

— Powiedźcie mi też panowie, czy nasz pan ma już umierać koniecznie?

Na to mu mówili panowie:

— Nie płacz ojeze, nie; nasz dobry pan jeszcze wyzdrowieje, da to Pan Jezus.

A gromada jak sobie powiedziała, tak zrobiła. W polu dopilnowano roboty, każdy chętnie robił, bo gdzie tyle rąk życzliwych stanie do roboty, tam i Pan Jezus błogosławi robotę, boć on sam tak każe ludziom dbać i stać jeden o drugiego. A chłopek co ser przyniósł, był tak jak stróżem koło dworu, to chodził po sadzie i pilnował sadu, to wybiegał na pole i patrzył co tam gromada robiła, a potem gadał to z uciechą pani i panu, to zajrzał do gumna, to do stajni, to obchodził dwór dookoła, a czasem gdy mu pani kazała pójść zajrzeć i do chałupiny swej, to prosto pobiegł pod kościół i tam się modlił. A o cóż on prosił? Wie to dobrze Pan Jezus i wysłuchał może jego prośby, bo nie długo obaczył się pan, i znowu była radość we wsi, i było w gromadzie dobrze, bo gromada trzymała z dworem i kościołem jak trzymają dzieci za rękę ojca i matkę, gdy poczynają chodzić po świecie Bożym. I jest tam w tej gromadzie do dziś wszystko dobrze, bo ksiądz prowadzi gromadę do dobrego, a pan z gromadą robią co tylko mogą dla swego dobra i szczęścia.

Niech im tam błogosławi tak nadal sam Pan Jezus, a innym gromadom niech dopomoże, aby tak samo robiły.

Ks. Wojciech z Medyki.

Jak zrobić z dzikiej ziemi urodzajną rolę.

Posłuchajcież dalej jak to można z piasków zrobić urodzajną ziemię.

Pewne miasto otaczały wielkie piaski, któremi wiatr miotając, zasypywał ulice, a nie dozwalał nigdzie ani jednego ogródka założyć. Mieszkańcy miasta tego przykrzyli sobie owe piaski, ale nie myśleli o ich zatamowaniu. Pewnego razu przyszedł do tego miasta podróżny, który słyszał skargi mieszkańców na piaski. Idzie do przełożonych i prosi, by mu miasto darowało te piaski i dozwoliło wszystkie z miasta uprzętać śmieci i gnoje, za co przyrzekł piaski wstrzymać. Zdziwieni przełożeni żądaniem podróżnego, najchętniej na takowe przyzwolili, a wydziwić się nie mogli: że nawet zapłaty nie żąda za czyszczenie miasta, które ich przedtem wiele pieniędzy kosztowało. Podróżny kupił konia i dwukolny wózek z pudłem do gnoju i uprosił chróstu z miejskiego boru. Chróstem zagroził mały kawałek piasku za miastem, wózkiem zaś wywoził codziennie śmieci, błoto i mierzwę na ogrodzony piasek, śmiechem i szyderstwem mieszkańców od pracy odwieść się nie dając. Chociaż piaski przez chróst w ogrodzenie jego się sypały i zwieziony gnój zarzucały, zwozić go jednak nie przestawał. Po zimie zasiał na wymierzwionym piasku pietruszkę i inne nasiona, które często wodą skrapiał. Na gęsto zasilanym i często zwilżanym piasku pięknie warzywo wyrosło, które drogo sprzedał w mieście niemającym żadnego ogrodu. Mierzwę zaś wciąż z ulic i podwórz na piasek wywoził, a chróściany płot co rok dalej posuwał. Sprzęt miał co rok lepszy i obfitszy, który doskonale wynagradzał jego pracę. Przychodzień kupił sobie więcej koni i wózków z pudłami do zwożenia z miasta śmieci, mierzwy i błota. Zasiał pestek, z których wkrótce doczekał się pięknych szczepów, służących mu do założenia wielkiego sadu. Wreszcie wybudował sobie piękny dom, a na całych piaskach założył ogrody, które tysiąckrotne jemu i jego następcom przynosiły owoce za podjętą pracę i trud, a miasto nie tylko od zaspów piasku uwolniły, ale pięknie je nawet przyozdo-

biły i mieszkańcom ku wygodzie i przyjemności wśród lata służyły.

Zastanówmy się, w jak różny sposób kawałek nieużytecznego piasku, np. w bliskości wiejskiej zagrody, przemysłem i pracą zamieniłby można na kawałek ziemi użytecznej. Właściciel piasku nie chcąc, aby mu tenże zasypywał dobrą ziemię, zasadzi na nim brzoźki, topole lub wierzby. Głęboko wkopane drzewka, a jeszcze kiedy im się podłoży pod korzenie nieco gliny lub gnoju, prędko urosną, piasek wstrzymają, na którym w cieniu pod drzewami trawa się puści. Będzie więc miły chłód dla bydła lub owiec, trawa dla gęsi, a i drzewo z czasem pożytek przyniesie.

Kto inny zamiast dzikiem drzewem, obsadziłby piasek wiśniami i trześniami, a oprócz powyższych korzyści, miałby jeszcze owoc.

Może ktoś inny zwiózłby wszystek świeży perz z pola, i przyorałby go na owym kawałku piasku. Perz gęsto położony utrzymywałby wilgoć, rósłby i niedługo okryłby piasek zieloną trawą. Pozyskałby właściciel z nieużytecznego piasku pastwisko, a z czasem, gdyby perz i trawa głęboko piasek przerosły, pozyskałby łąkę.

Może inny kto nawiózłby na piasek grubo gruzy ze starego budynku, gliny, darniny z wykopanych lub odnowionych rowów, poskrzybków z podwórza i t. p., a obróciłby piasek w jędrny, żytny grunt.

A jakież skutek wywarłaby glina na piasek? — jaki darń, gruzy, poskrzybki lub ślam?

Kto ma w podwórzu gnojowiec, do której gnojówka ścieka, może gnojówką z piasku użyteczną ziemię zrobić. Niechaj uszykuje na półwózku beczkę ze szpontem do gnojówki, od szpontu na wózku niech urządzi deskę z rowkami, potem niechaj wywozi gnojówkę z gnojownicy na piasek, a polawszy go dobrze, obsiać powinien świeżo skropiony piasek rozmaitemi gatunkami trawy, zmieszaniem z kostrzewą i żytem, i potem przyorać. Trawy szybko i pięknie powschodzą; ażeby zaś nie poschły dla braku żywności, skropić je znów trzeba gnojówką za miesiąc. Tak zrobić ma jeszcze raz i drugi, a w przyszłym

roku powtórzyć tę pracę. Podjęta praca sowiecie się wynagrodzi, bo na skrapianych tym sposobem piaskach najpyszniejsza i najżyźniejsza powstanie łąka.

R Ó Ź N O Ś C I.

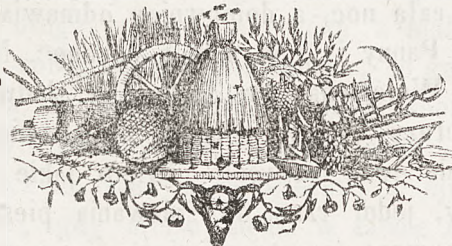
Ignacy Ślusarczyk. Wydrukowaliśmy w przeszłym numerku „Pieśń do Pana Boga“, a nie napisaliśmy kto ją to tak pięknie do składu złożył. Owóż złożył ci ją Ignacy *Ślusarczyk*, co jest parobkiem do wołów w *Pisarach*, niedaleko Krakowa, a człowiek to serdeczny i takiej ci już natury, że jak jeno coś mocniej za serce go chwyci, to mu się potem samo tak, czy żałośnie czy wesoło w dźwięcznej śpiewce wyleje. Nie kończył on tam żadnych szkół wysokich, a sam o sobie napisał pod jedną śpiewką: Ten co to pisał, mało nauki wyssał; aleć przecie jak się trafi, umie niejedno sobie i ludziom przeczytać, umie też i piórkiem na papierze spisać, jak mu się co pięknego wyśpiewa. A oprócz tego, że układa i spisuje pieśni na chwałę Bożą, to spisuje też i inne na pożytek i naukę ludziom, żeby wiedzieli jak sobie w czem poczynąć, czyto przy wyborach na sejm, czy w obec różnych złych plotek na panów. Widać w nim człowieka poczciwego i bogobojnego, coby chciał we wszystkim pięknie i zgodnie ręka w rękę, za które to dobre serce pewnie mu Pan Jezus stokrotnie tu na ziemi i w niebie odplaci.

Pocziwe i pobożne dziewczątka. We wsi *Uhrynowie* w *Żółkiewskim*, prawie ci już w sąsiedztwie onej

części polskiej ziemi co nam ją *Mojskal* wydarł, czytają też ludzie, a już co najbardziej dzieci z tego tu papierzanego *Dzwonka*; co im niech będzie na pochwałę, bo każdy jest pochwały godzien, kto o głowie i o sercu pamięta, a w myśli Bożej i na pożytek ludzki nie w jednym oświecić się pragnie. Jużci to, mówiąc prawdę, bardzo się do tego w *Uhrynowie* przyczyniają panienki ze dwora, bo nietylko że ludziskom użyzczają *Dzwonka*, ale bywa nieraz przeczytają skorem sercem to i owo, jeśli tylko widzą ciekawość i prawdziwą chęć do słuchania. Toć też dzieci ze wsi tak się serdecznie do tych panienek przywiązały, że jak raz trafiło się młodsza z nich bardzo zaniemogła, a strapiona pani postanowiła sobie na uproszenie zdrowia dla córki pójść pieszo do *Sokala*, do cudownego obrazu *Matki Boskiej*: to cztery co najpilniejsze dziewczątka, wyprosiły sobie u pani żeby też i one na tę intencję razem z nią do *Sokala* pójść mogły. Jużci że pani zezwoliła, i nawet serdecznie rada temu była, a widać i Pan Bóg bardzo wdzięcznie przyjął tę ofiarę, bo młodsza panienka przyszła wnet do zdrowia, a teraz z podwójną pilnością krząta się wedle oświecenia tych pocziwych dziewczątek. *Do-pomóż Boże!*



Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Jan Kanty.

Niedaleko za Krakowem leży miasteczko Kenty, a w niem mieszczanie, co to żyją z roli i zarobku codziennego. Ileż to tam było ludzi, ile ich tam wymarło! a przecież do dziś nie mówią ci w Kentach o nikim tyle dobrego, co o jednym człowieku, który był biednie urodzony, biednie się wychował, a w końcu poszedł po śmierci do wysokiego nieba i jest świętym. A tym świętym jest św. Jan Kanty, tak zwany od miejsca urodzenia.

W Kentach żyli wszyscy mieszczanie pobożnie — nosili stroje polskie, zwyczajnie jako ludzie zrodzeni na polskiej ziemi i ochrzczeni w polskim kościele. W ich domach poświęconych był ten zwyczaj pobożny, że w izbach przy drzwiach wisiało naczynie z święconą wodą, i każdy maczał sam palce, kiedy wychodził z izby i szedł w drogę albo do roboty na pole i żegnał się pokornie. A zaraz pod oknami stał stół z ukrzyżowanym panem Jezusem, a co piątek wieczór stawiała tam gospodyni świecę i ta się paliła przez noc na chwałę bożą, a domownicy klęcząc odmawiali litanię do imienia Jezus. Nad łóżkiem

wisiał obraz Najśw. Panny Częstochowskiej, a przed nim znowu co sobota zapalała gospodyni lampę, co ją sama masłem nalała, i ta się świeciła całą noc, a domownicy odmawiali tam klęcząc, litanię do Najśw. Panny i „pod Twoją obronę“. Na ścianach wisiały obrazy św. Wojciecha, św. Jacka, św. Jadwigi i św. Kunegundy, albo obrazy królów polskich, co sobie zasłużyli na dobre wspomnienie. Jak przyszło święto jakie, to szło tam wszystko do fary, jedni rano do śpiewania pieśni pobożnych, drudzy później na mszę św., to na nieszpory, a po nabożeństwie rozechodzili się do domu albo do chorych, albo do sąsiada dobrego, gdzie sobie czytali żywot pana Jezusa albo święte pismo, lub sobie rozpowiadali dawne i nowe dzieje, to o Krakowie, to o królu swoim, o królowej i różnych wypadkach, a potem wieczór po Anioł-pański wracali do domu. To też niejedyn podróźny, przechodząc przez rynek miasteczka, mówił sobie :

— Mój Boże! jakito pobożny lud tu siedzi! ani pijatyki, ani krzyków, ani próżniactwa nawet we święta, a wszystko porządnie ubrane i pocziwe, aż miło popatrzeć i pogadać z niemi.

Otoż między takimi ludźmi w miasteczku Kentach żył sobie także pobożnie i ucziwie jeden mieszczanin, któremu na imię było Stanisław, a żonie jego Anna. U niego tak samo świeciły się lampy albo gromnica przed obrazami świętymi, od niedzieli do niedzieli pracował ochotnie to za warsztatem, to w ogródku, a co wieczór śpiewał w domu przy robocie pieśni pobożne, a znowu nad świtaniem odśpiewał godzinki, a gdy u fary dzwoniło na Anioł-pański, to sobie wstał od warsztatu, poszedł przed obraz Najśw. Panny i tam zmówił trzy pozdrowienia anielskie, pocałował obraz i siadał do roboty, albo szedł na rynek, aby co kupić, sprzedać, a broń tam Boże, kogo na grosz okpić lub zedrzeć. A gdy kto prosił, aby mu pomógł stargować albo sprzedać, to zaraz zrobił za darmo, doradził, pogodził, a tak wszystko pięknie i ucziwie, że go znano w okolicy i mało tam kto bez niego co kupił albo sprzedał. W jego domu nie było najmniejszej obrazy bożej, ani przezwisk ani obmowy, ani śmiechów niepotrzebnych, a po robocie trzymał w ręce święte pismo i czytał i opowiadał, a znał żywot pana Jezusa na palcach i umiał opowiedzieć, gdzie każdy apostoł na-

uczał i jaką śmiercią zginął. W święto szedł do kościoła, ubrany w długą kapotę z białego sukna i opasany pozłacanym pasem, trzcina długa w rękę, a czapka z białego baranka, a prowadził przy sobie małego chłopaczka, co go matka uczesała, umyła i ustroiła po mieszczańsku. Szedł sobie chłopezyk do fary, a ludzie widząc go, gadali między sobą:

— Jakie też to ciekawe to dziecko! Z ojcem już śpiewa zawsze różaniec, gdy ojciec siedzi w ławce i odczytuje tajemnice, to i ono coś czyta sobie i stałoby to podobno cały dzień w kościele.

A znowu jeden mieszczanin rzeknie:

— To ojciec i matka nauczyli go sami tego wszystkiego. Jużci ojciec i matka pobożni, to i dziecko takie.

A znowu kobieta jedna prawi:

— Oj moiściewy! a toć to bardzo pobożne ono maleństwo! Co piątek wieczór odmawia sobie pod krzyżem pańskim litanię do imienia Jezus, a znowu co sobota śpiewa litanię do Najśw. Panny i przeróżne pieśni, a ojcowie klęczą z niem i odpowiadają mu na każde słowo: Zmiłuj się, lub módl się za nami!

A inny z gromadki w ten sens się odezwie:

— To maleństwo co dzień rano jest pierwsze pod drzwiami u fary, a gdy kościelny otworzy bramę; to ono klęczy i modli się a zawsze koło ołtarza pana Jezusa ukrzyżowanego, i zawsze o coś płacze w kościele i o coś prosi. To samo widać, gdy przechodzi koło bożej męki, zawsze głowinę nachyla, jeśli może dostać, to całuje obraz święty, a jeśli nie dostanie, to całuje drzewo figury i ziemię koło niej, a zawsze coś mówi po cichu, albo modlitwy jakie, które go matka wyuczyła.

Na to nadszedł sam kościelny i usłyszawszy, o czem to ludzie gadali, sam rzecze:

— To wszystko prawda co mówicie! ale moiściewy, co to będzie z tego chłopezyka! Tać to nie zje samo śniadania, tylko go przynosi co dzień pod farę i da dziadowi jakiemu, a jeśli ma grosik jaki, to go zaraz kładzie do skarbonki pod krzyż pański, a widziałem sam, jak to biedactwo płakało, że nie mogło nie dać dziadowi kulawemu, który wyciągał rękę i prosił ludzi o jałmużnę.

A znowu ktoś inny dodał:

— A gdybyście wiedzieli, jak ono żyje w domu? Zawsze z ojcami śpiewa i modli się, a potem znowu samo dla siebie mówi koło pościeli paciorek, a gdy go ofiaruje, to podnosi oczka do nieba, składa rączki na piersiach, i tak klęczy a klęczy, a łezki mu kapią z oczek jakby ziarnka grochu. Potem się schyla, całuje ziemię, a gdy się ma kłaść spać, to żegna sobie trzy razy pościel, całuje krzyżyk, co mu matka na szyjce zawiesiła, i kładzie główkę na zrabiony krzyż na pościeli, a złożwszy rączki na piersiach, zasypia to biedactwo jakby aniołek milutki. We dnie to ani znać tego w domu, takie ciche, potulne, posłuszne, a ciągle coś czyta w książce, która zawsze leży na stole koło krzyża pańskiego.

I tak gadając o synku Stanisława pobożnego, weszli do fary i widzieli tam, jako Stanisław przewodził w bractwie, a synek jego stał przy nim i śpiewał cieniutkim głosikiem, aż się rozlegało po kościele. I po nabożeństwie obstąpili ludzie Stanisława, a każdy w te słowa do niego:

— Hej Stanisławie! to dziecko to skarby wielkie, jeżeli takie pozostanie do śmierci! — i głaskali synka po głowie, a ojciec uradowany rzeknie:

— Prawda to, że życie nasze w rękach bożych, ale jak się kto pilnuje za małości, to mu pan Jezus da i starość niezłą. Jak rodzice dopilnują a źli ludzie nie popsują, to dziecko wychodzi na ludzi. — I wrócił Stanisław z synkiem do domu, a wtedyto matka Anna całowała Jasia, co im sprawił tyle uciechy i nadziei. I ojciec dbały o synka, tak do matki mówi:

— Trzebaby nam pomyśleć, co dalej robić z tym chłopczyną. Bośmy go w domu nauczyli co można, a dobrzy ludzie niech go uczą dalej chwalić Boga i robić ludziom dobrze.

A matka na to:

— I cóżmy poradzimy na to? Nie ma o czem dać do szkoły, a tu oprócz Jasia są inne sieroty w domu.

— Pójdzie sobie Jaś do Krakowa — rzeknie Stanisław — tam jest król nasz Jagiełło. co to fundował szkoły wielkie i różne dał fundusze na szkoły i na pilnych uczniów; on tam nie zginie, tam są lepsi i pobożniejsi od nas. I odwiózł ojciec Jasia

do Krakowa! Jaś nie zaginał tam, bo wtedy byli pobożni i miłosierni królowie i pany, chłopcy i mieszczany, wszystko szło ręka w rękę, jakby wszyscy mieli jedną myśl w głowie pobożną i jedno miłosierne serce w piersiach. I biedny nie zaginie, jeżeli chce być dobrym i natrafia na dobrych. Jaś z Kent miał tylko jedną kapotkę, jedną parę butów i trzy koszulek, jak go ojciec przywiózł do Krakowa, nie raz pobiedował, nie raz spał na gołej ziemi, nie raz przecierpiał dużo, ale kto pana Jezusa miłuje, temu tam nie zaszkodzi, a pewnie dopnie swego.

I Jaś przesiedział o wodzie i głodzie i uczył się i modlił, a latka mu płynęły cicho; doszedł do tego, że mógł drugich uczyć, a jak złożył jaki grosik, to sobie pomyślał: — Poszlę do domu biednej matce, aby miała sprawić za co koszulkę dla siostry lub mniejszego mego braciszka — i zrobił tak. Doczekali się rodzice, że Jaś ubrał się w sukienkę kapłańską i przyjechał odprawić pierwszy raz nabożeństwo.

A wtedy szeptali ludzie do siebie:

— A co nie mówiliśmy, że z tego chłopca będą ludzie! Uczył się jakoś, świat mu dopomógł, pan Jezus błogosławił i ot jest księdzem!

I było nabożeństwo u fary w Kentach, gdzie to Jaś z ojcem różaniec śpiewał, a teraz błogosławił on rodzicom, że mu dali dobre wychowanie, błogosławił on mieszczanom i chłopom i mówił do nich:

— Dawajcie dzieci do szkoły, pomagajcie co można, a dzieci nasze wyjdą na ludzi, jak to ze mną się stało!

Odtąd wrócił ks. Jan do Krakowa, bo go powołał król na nauczyciela do szkół. Słyszał król o jego pobożności i zrobił go za pozwoleniem Ojca świętego kanonikiem. Ale ksiądz Jan, choć teraz bogaty i kanonik, pomyślał sobie:

— Jestem synem biednego mieszczanina! zostałem księdzem nie na to, aby jeść, pić i nic nie robić, ale aby służyć biednym i sierotom, aby się odplącić Bogu i królowi za jego dobrodziejstwa.

I żył ksiądz Jan trzydzieści lat w Krakowie! uczył w szkole, pomagał biednym, rozdawał im suknie z siebie, a przytem pamiętał na słowa pana Jezusa:

— Co biednym uczynicie, to mnie samemu uczynicie!

Tak był pobożnym, że nie tylko się modlił, ale rzewnie płakał, gdy widział lub słyszał, że kto grzech jaki wielki zrobił. On sam nie grzeszył, bo mówił sobie tak:

— Cóż ci przyjdzie z uciechy grzechowej, jeżeli za to na wieki przyjdzie płakać i smucić się? Coż ci po wszystkim na ziemi, jeżeli przez to duszę zatracisz?

Aby nigdy nie złego na drugich nie mówić, to sobie napisał na drzwiach czerwonymi literami: „Tyś tak samo grzeszny jak i drugi! Nie wychodź z domu gniewny, ani wracaj tu zagniewany! Co tobie miłe, to mów o każdym.“

Przed śmiercią rozdał wszystko ubogim i oddając Bogu czystego ducha, tak jeszcze mówił:

— Byłem ubogi, niech umieram taki! Dla mnie księdza potrzeba, aby ludzie płakali za mną, aby mię żałowali, aby mieli odemnie dobre nauki i przykłady, bo taki majątek popłaca u Boga! Cztery deski wystarczą do grobu, a na tamten świat trza pójść z miłosierdziem, jeżeli chcesz mieć od Boga miłosierdzie.

Umarł też w Krakowie, mając 70 lat życia. Przeżył trzech królów, bo urodził się za króla Jagiełły, pochował go z żalem i wdzięcznością i ciągle się modlił za tym ojcem swym, przeżył i króla Władysława Warneńczyka i opłakiwał smutną śmierć jego od Turków, a widział też na oczy, jak wtedy żył w Krakowie króliewicz święty Kazimierz, a we Lwowie święty Jan z Dukli, jak przyjechał do Krakowa święty Jan Kapistran, i patrzył się jeszcze na pobożne królowanie Kazimierza Jagiellończyka. I dał mu pan Jezus takie łaski, że za życia robił cuda różne, a po śmierci wzięli święci anieli jego duszę świętą i zaprowadzili do nieba, gdzie króluje i modli się za Polską i Polakami. Więc też prosimy ze łzami tego świętego Rodaka, aby nas nigdy nie opuszczał.

Pieśń

do świętego Jana Kantego.

(Na nutę jak „Boże dobroci“.)

Opatrzaj Boże! z Twojej to świętej woli
Wydobyłeś nas z pogańskiej niewoli!
Z Panem Jezusem przyszło objawienie,
Dla wszystkich ludzi stało się zbawienie!
Tysiąc lat temu jak się Polska chrzciała,
W tych stronach pierwsza w Boga uwierzyła;
Zdeptała swoje nieżywe bałwany,
Przyjęła wiarę, z nią prawe kapłany.
Choć Niemcy pierwaj dwieście lat się chrzcili,
I w świętej wierze Polskę wyprzedziły,
Przecież im Polska dotrzymała kroku,
Co Niemcy w sto lat, Polska miała w roku.
Jak żyzne łąki, pojone deszczami,
Trawę ślicznemi zdobiją kwiatuśkami:
Podobnie Polskę zaraz na pierwocie
Zdobi pobożnych jak i świętych krocie!
Po miastach, po wsiach były domy boże,
Był tam Pan Jezus u chłopaj, we dworze,
A w całym kraju była święta zgoda,
Był i dostatek, była i swoboda.
Byli pobożni królowie z panami,
Byli pobożni mieszczańie z chłopami,
Nie było zbrodni pod niczyją strzechą,
Taką Bóg darzył polski kraj pociechą!
Wtedy to z ludźmi warto było pożyć
W każdej parafji, i tam kości złożyć;
Wtedy i Kenty, uboga mieścina,
Wydała na świat pobożnego syna.
O święty Janie, Kantym nazywany,
Twoja rodzina, to polskie mieszczańy!
Z domu nic nie masz, tylko wychowanie,
Dobre przykłady, dobre nauczanie.
Napełnion wiarą, cnotą i modłami,
Zostałeś świętym między Polakami,
Boś karciał grzeszne, biedne brał w obronę,
Okrywał nagie, cieszył opuszczone;
Biednej dziewczynie na jej łzy i łkanie,
Zmieniłeś w mleko czystą wodę w dzbanie;

A rozbójników przebrzydłych gromadę
Wróciłeś Bogu przez ojcowską radę.
O święty Janie, o liljo czystości,
Tyś dla Polaków wzorem pobożności!
W naszym Krakowie Twoje ciało leży
U świętej Anny, — tam lud polski bieży,
I błaga ciebie kornemi ułtami:
Święty Patronie, przyczyn się za nami!
Uproś nam biednym boskie zmiłowanie,
Osuś łzy nasze, skróć prześladowanie;
Abyśmy lepszych czasów doczekali,
I z Tobą razem Boga wychwalali. — Amen.

Ułożył: *Ks. Wojciech z Medyki.*

HISTORJA

o sierocie Bogu-młdej.

Na chrzcinach u wójta Marcina Kościela zebrali się ludziska, a że nie pili ani nie tańczyli, bo to teraz czasy smutne, więc jeno gawędzili i gawędzili, jedno wesołe a drugie nie wesołe i tak bez końca. Otóż jak się już inni nagadali, tak ci jąła mówić Paraszka nie stara i nie brzydka kobiecina, a w ten sens:

„Tam podobno aż pod Hrubieszowem, powyż nas, a od Buga niedaleko, w jednej wsi była kobieta jeszcze nie stara; nazywała się, zdaje mi się, Maciejowa. Póki mąż jej żył a był wielce stateczny człowiek i uczciwy, póty o niej nie złego słychać nie było. Bo mąż zawsze naganiał ją do roboty, a odganiał od karczmy; jak spotkał że tam biegła z jajami, czy z serem, to on na nią:

— A do dzieci! do domu! dam ja ci tu.—Więc ona, że młoda była, obawiała się jego, bo jego wszystko było, a ona nie miała.

Mieli dwoje dzieci: chłopca Iwanka i dziewczynkę Marysię. Razu jednego pokładli się spać; on spracowany tego zasnął, a

ona wstąpiła idąc z pola do karczmy, póki on nie wrócił i nie widział, i wypła sobie dwa półkwatki. Więc choć nie była pijana, ale też tego usnęła; a tak się spieszyła położyć, że ani uważała jak ogień gasi: że jeno z wierzchu zagarnęła, zatkała babą kemin i kontenta; bach na tapezan, i zasnęła jak nieżywa. Tymczasem kawałtko łuczywa zagarnęła w zarzewie, i zaczęło się palić; grochowiny suche, w niedobrze zawiązanym gałganie, zajęły się od łuczywa i cała baba zaczęła się w kominie palić; od niej zapaliły się w górze sadze, a od sadzy dach słomą pokryty, a zwyczajnie wszystko suche zajęło się w momencie. A tu niebożęta śpią w izbie i ani wiedzą, że się dach palić zaczyna; zaś z tych grochowin i sadzy okrutny się dym i swąd w chacie zrobił. Tylko Marysia, jakby ją Anioł obudził, zerwała się, choć to było dziecko, dopiero trzy latek miała, i zaczęła krzyczeć, płakać i wybiegła ze swojej kołyski i ciągnęła ojca za nogi. Obudził się ojciec, poczuł że dym dasi, aż mu głowę zawraca, zobaczył przez okienko, że jakieś światło jakby łuna. Jak się zerwie, jak krzykuie gore! gore! tak i ona się zbudziła. Myślał biedak, że to nie u niego ogień; chce wybiedz żeby lecieć na ratunek, aż tu we drzwiach już słyszy, że mu nad głową trzaska ogień. Wraca żeby dzieci i chudobę ratować; krzyczy: — ratujcie! gore! — Nim się ludzie zbiegli, zgorzała chałupa ze wszystkimi rzeczami, które w komorze były; a choć stodołę i oborę uratowali, ale tylko drzewo, bo zboże wymłócone miał w komorze, a reszta spaliła się. Tylko ściany porozrywali, żeby się druga chałupa nie zajęła; woły wyprowadzili, a krowa z cielęciem przepadła. Dość, że mało co ocalało; a co najgorzej, że Maciej ratując dzieci i co mógł więcej tak się poparzył, jak się na niego paląca belka zwała, że trzeciego dnia umarł.

Jak Maciejowa sama została z dwojgiem dzieci bez żadnego sposobu do życia, tak się zrazu upamiętała. Poszła w komorne do gospodarza i pracowała; ale nie długo tego było. Co zarobiła przez zimę to przedzeniem, to praniem, to i przepuściła; a tak coraz większy ją do gorzałki smak brał, że już nie mogła dnia bez niej wytrzymać. A tu na dwoje dzieci nie wystarczało, bo coraz mniej robiła a więcej w karczmie siedziała; bo już nie

było męża żeby ją napominał i do domu zaganiał. Iwanek biegł za matką, ale Marysię jak raz z sobą wzięła, tak musiała do domu prędko wracać, bo dziewczynina tak płakała a matkę ciągnęła, że nie mogła Maciejowa jej dać rady, i już odtąd nie brała jej z sobą.

Razu jednego Maciejowa siedząc w karczynie od samego rana, sprzedała ostatnią sukmanę, tylko to co miała na sobie pozostało. Iwanek kręci się koło niej i płacze; prosi jeść, bo już dwa dni jak gotowanego ani matka, ani chłopak nie jedli. Żołnierze przychodzili też do karczmy, bo szli do Hrubieszowa i tam mieli dniówkę. Tak jeden pyta się:

— Co tak płacze ten chłopak? —

A Maciejowa porządnie pijana, jak zacznie narzekać na chłopaka, przeklinać, odpychać, mówiąc że ona sama nie ma co jeść, a ten ją męczy, jakby ona miała schowany dla niego obiad: tak żołnierz zaczął Iwanka głaskać a rozpytywać się, zwyczajnie bawić się jak z dzieckiem, i kupił mu bułkę; chłopczyna kontent, już się jego trzyma, i plecie mu co umie, bo miał lat pięć blisko. Żołnierz się śmieje, kontent także z niego, i mówi do Maciejowej:

— Ot wiecie co kobieto: nie macie co dawać jeść chłopcu, nie lubicie go, sprzedajcie mi go, to ja wyhoduję sobie.

— A dobrze — odpowiedziała pijana Maciejowa — a ileż mi dacie? — I zaczęli się umawiać, i na końcu targ w targ, i sprzedała go za cztery złote.

— Ach to nie może być! — przerwali opowiadanie Paraszcze wójt i inni. — To nie może być, żeby matka dziecko własne sprzedała!

— To nie matka go sprzedała — odpowiada Paraszka — jeno wódka.

— Przecie nie musiała być bardzo pijana i bez pamięci, kiedy się targowała — ozwała się wójtowa.

— Zapewne; ale wódka zabiła w niej miłość do dziecka. Ona tylko o tem myślała zkądby wzięść na wódkę. Zresztą ja tam nie wiem, jak ona to mogła zrobić, ale wiem że zrobiła; bo państwo znają dziedziców tej wsi gdzie się to stało — odpowiedziała Paraszka.

— No więc jak się potem zrobiło? Czy żołnierz zabrał dziecko? Powiedźcie kumo jak dalej było? — prosiła wójtowa. A Paraszka tak dalej mówiła:

„Jak już przybili targu, tak żołnierz kupił matce wódki w dodatku, zapłacił cztery złote i bierze chłopczynę, która coś widać zrozumiała, bo zaczął płakać. Ale matce nie zabolalo serce na płacz dziecka, wódka w niej serce zalała. Wzięła cztery złote i poszła z karczmy do domu, rada, że będzie miała za co pieć. Jak wróciła do domu bez Iwanka, tak zaraz zaczęła płakać Marysia, a gospodyni się wypytywać. Maciejowa nie śmiała powiedzieć, że sprzedała własne dziecko, jeno powiedziała, że go wziął żołnierz na opiekę i dobrze mu będzie. A jak zaczęli na nią w chałupie wszyscy krzyczeć, tak ona się tłumaczyła, że nie ma go czem żywić, że dziewczynie z litości gospodyni jeść daje, a chłopcu nie; ona też go oddała. Szcęściem dla Iwanka, dziedzic tej wsi był dobry bardzo pan, przystępny; jak się co złego we wsi działo, zaraz musiał wiedzieć. Więc nazajutrz gospodarz wstąpił do karczmy spytać się czy prawdę Maciejowa powiedziała, a dowiedziawszy się jak i co, poszedł do dworu i powiedział co się stało. Pan natychmiast posłał do Hrubieszowa do starszego z pieniędzmi i odebrali dziecko od żołnierza. Słyszę jak przywieźli Iwanka biednego do dworu, to panienki śliczne jak anioły, córki dziedzica i sama pani, aż płakały nad nim, i już go matce nie oddały, tylko się dotąd we dworze znajduje. Ale pan sprawiedliwy nie puścił płazem Maciejowej: kazał ją publicznie na środku wsi ukarać. Zmiarkowała się dopiero wtedy, że gorzej niż zwierzę zrobiła, i zaczęła się wstydzić i pomyślała sobie: — Nie ma tu już co robić w tej wsi, wszyscy mnie będą palcem pokazywali, pójdę sobie w świat na zarobek. — I poszła wzięwszy z sobą Marysię, która wtedy cztery lata miała.

Poszła Maciejowa aż o kilka mil; nadechodziło żniwo i pomyślała sobie że dużo zarobi. Ale gdzie tam, jak kto się raz rozpróżniaczy a rozpije, to bardzo trudno aby się sam poprawił. Zrazu pracowała, ale zaraz połowę zarobku przepiła; narreszcie zapadła w ciężką chorobę, co się nazywa zapalenie. Cyrulik jej krew puszczał i nie kazał pić wódki ani piwa, ale

ona tylko do tego gust miała; prosiła komornicy drugiej i ta jej przyniosła wódki, wpadła więc w straszną gorączkę, plamy sine powystępowały na nią i umarła. A mała Marysia siedziała nad nią i płakała. Było to w wiosce do księży Bazyljanów należącej, więc pochowali księża Maciejową darmo, a biedną Marysię wziął gospodarz jeden do siebie, bo mówił:

— Mam dwóch chłopaków a nie mam dziewczyny, niechże się i dziewczyna między nimi chowa.

Ale cóż, kiedy na nieszczęście Marysi, gospodyni okrutnie zła była, tak że właśnie chłopcy się jej bali, a cóż dopiero biedna sierota: to też ona tam przepłakała nie jedną godzinę, a nawet noc nie jedną. Do tego chłopaki były swawolne, to znów nieraz dokuczali jej. Marysia wszystko cierpliwie znosiła, tylko w cichości płakała i modliła się, bo ją nauczył pacierza świętobliwy dziadek co do gospodarza przychodził. Dziadek był ze wsi okolicznej, w której był szewcem tak poczciwym, że go ludzie za świętego mieli. Najczęściej ten idzie na dziada co był za młodu ładaco, próżniakiem, a tu nie tak: on był pracowity, poczciwy, tylko tak sobie powiedział:

— Póki mogę pracować to będę pracował, a jak mi ręce ustaną, a oczy mgła zasłoni, to wezmę torbę, będę się modlił, a gdzie przyjdę dostanę kawałek chleba, ludzie mi go nie pożałują, bom go nikomu nie chciałem odebrać, nikogo nie pokrzywdziłem.

Otóż ten dziadek, choć mało z domu wychodzić lubił, ale że to niedaleko, przychodził często, i różne rzeczy Marysi rozpowiadał, a ona wlepi w niego oczki i słucha. I tak rosła rok za rokiem, a z każdym przybywało jej pracy, bo gospodyni chciała być, żeby sierota za ten chleb co jadła, miała cztery razy więcej roboty. Marysia znosiła jak mogła, pracowała jak mogła; a jak czasem zdawało się jej, że nie dźwignie worka z kartoflami, albo jak ręce pomdlały, że nie mogła w żarnach kamienia obracać, a tu koniecznie kazała gospodyni zemleć, to ona zaraz ręce składa a modli się, modli: i żarna jakby same znów się kręca, a Marysia rada dziękuje Bogu i cieszy się, że jak jej dziadek przyjdzie to mu się pochwali.

Tak rosła sierotka, a choć w biedzie i pracy, choć nędzna i bladawa była, to taka śliczna, że każdy się zastanawiał i mówili ludzie:

— Cóż to za śliczna dziewczyna! To doprawdy jakby królewskie dziecko! Bo co to za bieluchna, a jakie oczy, jakby w czyste niebo patrzył; o! a jakie włoski, to jak najbielszy, najcieńszy len; a cieniuchna jakby młoda sosenka.

Chłopaki gospodarza choć ją za siostrę uważali, wiedzieli że ona sierota a nie siostra ich, więc zaczęli do niej po kolei zalecać się, ale Marysia tak sobie z nimi umiała radzić, tak im o grzechu i o sądzie Boskim gadała, że potem żaden ani śmiało dostąpić i pożartować. Dziadka też się bali, bo im także nauki dawał, a sądem Boskim straszył.

Razu jednego przyszedł dziadek, ale tak wolno szedł, a taki był blady, że Marysia zlekła się i pytać zaczęła:

— Co to wam dziadulu? Ja pójdę za Chełm do waszej pani, żeby wam dała lekarstwa.

A dziadek jej odpowiada:

— O! nie trzeba mnie lekarstwa moje dziecko! nie trzeba. I tak się zaśmiał radośnie, że Marysia pomyślała, że pewnie zdrow być musi. A on jej dalej począł tak mówić:

— Może mi Bóg nie da już do ciebie tu chodzić, słuchaj więc moje dziecko co ci powiem. Ty jesteś sierota Bogu-miła, bo wypełniasz przykazania Jego i boisz się grzechu; otóż staraj się do końca życia, tylko Jego się obawiać, bo nie ma nic straszniejszego jak grzech. Jak zboże od zarazy, tak dusza człowieka od grzechu jak raz zezarnieje, to się z jasnością Boską już połączyć nie będzie mogła, jak noc ze dniem, tak nieczysta, czarna dusza z jasnością Boską połączyć się nie zdoła. Więc moje dziecko, strzeż czystości duszy twojej, uciekaj od grzechu bardziej jak od śmierci! Masz lat szesnaście, sierotą jesteś; ani wiesz przez jakie próby iść będziesz musiała, ale nie lękaj się, Bóg nikomu krzywdy nie uczyni, zasmuci i pocieszy, byle człowiek nie zgrzeszył, bo wtedy nie ma pociechy. Ojciec Niebieski zawsze za dobre wynagrodzi; On każdą łzę porachuje. Jak cię nieszczęścia przycisną, to pomyśl sobie: Ojciec Niebieski nie da mi krzywdy zrobić, czy tu,

czy tam; On mnie pocieszy i wynagrodzi. Bogu ufaj, od grzechu uciekaj, a będziesz zawsze Bogu-miłą.

Jak to powiedział, tak pożegnał Marysię i wyszedł, a ona stanęła zrazu jakby to właśnie nie człowiek do niej mówił, dopiero się opamiętała jak wyszedł, i zaczęła go wołać: — Dziadulu! dziadulu! — i chciała go gonić, ale nie mogła, tylko z daleka między krzakami migotała torba biała na szarej sukmanie.

— Co się zrobiło dziadkowi — mówiła do siebie — że tak prędko popędził do domu, jakby go co gnało? Dzięki Bogu, że jakiś żwawy, a ja złękłam się czy nie chory.

Już to ostatni raz widziała dziadka Marysia, biednej sierocie zbrakła ta ostatnia pociecha!

Napróżno go codziem wyglądała, aż dowiedziała się w końcu, że umarł zaraz na drugi dzień, jak był u niej i u spowiedzi u Matki Boskiej. Ciężko płakała Marysia, jakby za rodzonym ojcem.

— O! ja biedna sierota — mówiła — przed kim ja się teraz użalę! Kto mnie pocieszy! kto mnie radą poratuje!

I tak płacząc zasnęła nieboga, a we śnie dziadek, cały w bieli, jakby ze chmur spuszcza się ku niej, i powiada;

— Nie płacz moje dziecko! nie narzekaj, że cię nikt nie pocieszy, że cię nikt nie poratuje: Bóg cię pocieszy, Bóg poratuje, ile razy z wiarą i ufnością prosić go będziesz.

Obudziła się Marysia cała w trwodze, ale razem jakos lekko i miło zrobiło jej się na sercu.

— Chyba mój dziadus w Niebie — mówiła sobie — kiedyś go w takiej białości widziałam, chyba on tam za mnie Boga prosić będzie.

I od snu tego przestała płakać Marysia, bo zdawało się jej, że chociaż nie widzi dziadka swego, to on jest przy niej, a przypominając sobie, jak to on jej rozповідаł, że przy każdym człowieku jest czysty Anioł Stróż, który strzeże człowieka i od grzechu odwodzi, i póty jest przy człowieku, póki człowiek ciężkimi grzechami nie odpędzi go od siebie. Tak Marysia rozmyślając co jej gadał, jak ją nauczał, pracowała ciężko a modliła się gorąco, i coraz jej praca łatwiej szła.

Aleć tu już miejsca nie dużo a historia długa, więc wam w przyszłym numerku dokończę, jak to Paraszka u wójta na chrzcinach opowiadała.

RÓŻNOCI.

Świeże czytelnie. W mieście Cieszynie na Szląsku, zawiązała się niedawno Czytelnia, taka, o jakich to w Dzwonku już nieraz się mówiło. Znajdują się w niej różne książki i gazety polskie, są też obok tego czeskie, morawskie i inne nam pobratymcze piema, bo tam Czechów i Morawiaków więcej jak u nas. Wiadac z tego, że Pan Bóg Najwyższy opiekuje się naszym polskim ludem i naszą polską mową, boć to Szląsk bywało różnemi chodził rękami: raz do Polski, to znowu do Niemców należał, a przecież, choć z Niemcami miał do czynienia, przy polskiej mowie i wierze pozostał. Drukują też tam nawet w Cieszynie polską Gazetę, ot, podobną do Dzwonka, a zwie się ona „*Gwiazdka cieszyńska*“, bo to niby gwiazdka na samym krańcu naszej ziemi od Niemiec nam świeci.

Oprócz tej czytelnicy, założono jeszcze jedną w *Kleczy górnej*, w Wadowskiem, a to za staraniem tamtejszego pana dziedzica i jego małżonki, która jak kochająca matka opiekuje się ludem wiejskim. Na dobre też i ta Czytelnia wychodzi, bo

lud się w niejednym oświeca, a tem też ku Chwale Bożej się przyczyniając, bo nauka do Pana Boga podnosi, a ludziom niesie pożytek.

Jakób Sobieski, ojciec naszego Króla Jana III co Wiedeń oswobodził, tak mawiał o nauce:

— Nauka wszędzie człowieka zdobi: i na wojnie i u dworu i w domu i na urzędzie. Widzimy to, że ludzie więcej sobie ważą chudego pacholka a uczonego, aniżeli choćby jak wielkiego pana a błazna co go sobie palcem ukazują.

Jan Sobieski, król polski pod Wiedniem. Zmówiwszy się już o ojcu tego króla, powiemy tu że niedawno, boć 12 Września, a więc prawie miesiąc temu, wypadła rocznica, jak król Jan Sobieski czyli *Jan trzeci* pobił ogromną ilość Turków pod Wiedniem. Polska bywało zastawiała zawsze sąsiednie narody przed napadami tureckiej i tatarskiej potęgi; a roku 1683, więc lat blisko dwieście, na wielkie prośby posłów Austriackich pociągnął król Jan na czele naszych dziarskich wojowników pod Wiedeń, gdzie jak się rzekło,

12go września odniósł nad poganami sławne na cały świat zwycięstwo. I nie dość na tem, że ich pod Wiedniem rozprószył, ale ścigał jeszcze aż do samych Węgier i tam bił co się wzięło.

Otóż mówi się tu dla tego o tem, bo dzień ten obchodzą co roku w Wiedniu solemnem nabożeństwem. I tego roku obchodzono dzień ten bardzo wspaniale w kościele jedynym we Wiedniu, gdzie i nasi posłowie na sejmie pokornie mszy świętej słuchali; a obchodzili też tę pamiątkę i w wielu miejscach u nas, dziękując panu Bogu, że nas od pogańskiej zachował niewoli.

Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

Jak to się nieraz dziwnie na tym świecie zdarza, najlepiej widno z wypadku, jaki się dwa miesiące temu we wsi *Byszkowcach*, w Czortkowskiem, wydarzył. Pewien gospodarz, imieniem Iwan, zasiadł był sobie przy łanie kukurudzy ze strzelbiną, a było już dobrze pod noc, chcąc coś ubić jeśli się nadarzy. Miesiączek wyszedł do góry, przyświeca ładnie, Iwan siedzi i patrzy, aż ci naraz zaszeleściło coś wśród kukurudzy. Iwan myśląc na pewne, że to zajęczyna albo jaki inny zwierz, wymierza w tę stronę i pal! aliści Chryste Panie, krzyk ludzki się na to rozległ, a taki straszny, że Iwan jak nie skoczy, patrzy, a tu polowy tamtejszy Janko leży rozciągnięty na ziemi, krew idzie

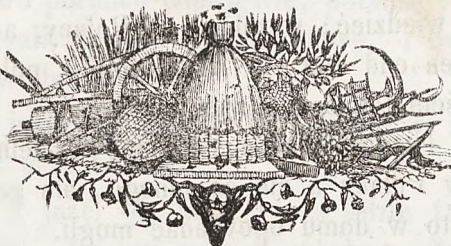
z niego, a on ci już ledwie co dycha. Owoż pokazało się, że Janko zasiadł sobie był na polowych złodziei, bo mu szkodę robili, i tak obaj z Iwanem niewiedzący o sobie, czatowali nieopodal. Tamten ot poprawiając się, ruszył się z miejsca, a Iwan, mój ty miły Boże, strzelił, i niechcący popełnił okropne zabójstwo!

Oj dobrze to mówią ludzie: człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

Pocziwe psisko. Jak w psiskach pocziwa bywa natura, i jak są wdzięczne za opiekę swych panów, najlepiej świadczyć może następujący wypadek. We wsi Jagodne za Wisłą, soltys tamtejszy wychowaną przez siebie sukę sprzedał w Warszawie. Ten pan który kupił zamknął ją w pokoju żeby mu nie uciekła, i trzymał pod zamknięciem dopóki soltys nie wyjechał. Lecz po kilku dniach jakież było zadziwienie w domu soltysa, gdy dostrzeżono ową sprzedaną sukę leżącą wraz ze szczenięciem na zwykłym swem legowisku. Ale to nie dosyć, bo wkrótce suka zniknęła i nazajutrz znowu się zjawiała z drugim szczenięciem w pysku. Podróż taką wynoszącą ośm i pół mili odbyła aż pięć razy, tyle ile miała szczeniąt, ale za przybyciem z ostatniem padła i zdechła. Nieme więc to stworzenie, jakże się okazało od wielu ludzi i lepsze i wdzięczniejsze!



Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PRIMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

NAJŚWIĘTSZA PANNA I PACHOLE.

W miasteczku Pokrzywnicy, blisko Sandomierza i Wisły był kościół bogaty, a w ołtarzu wielkim była Najświętsza Panna z Jezuskiem malutkim na rękach. Była tam jedna pamiątka zawieszona na ołtarzu, t. j. były tam drogie korale, a te złożyła jedna matka na ofiarę Najświętszej Pannie za cud. Otóż raz stali tam koło ołtarza chłopci z Polski, a starszy Walenty Świętyni tak się zapytał kościelnego:

— Prosimy was! ojcze kościelny, co to za rzecz ciekawa z temi koralami?

Kościel. Ho! ho! moi kochani, to cudowna pamiątka, jak to raz uratowała życie Najświętsza Panna jednej dziewczynie tu przed ołtarzem.

Na te słowa przyklękli chłopci i westchnęli, a patrząc z pobożną twarzą na obraz święty, pytali:

— A cóż to się takiego stało? czy może chorą tu przywiozła matka biedna, czy może był jaki przypadek z tą dziewczyną?

Koścl. A dobry mi tam przypadek! a czy to nie słyszeliście nigdy o tem, że dawno napadali nasze kraje polskie jacyś tam pogany, co to zowią ich Tatarami? Toć przecie takie rzeczy powinniście wiedzieć; wszakto i wy Polacy, a nie jakie przywłoki; wszak ten cud stał się dla chłopów polskich, waszych dziadków, a wyście także synowie ich.

Walenty. Nie gniewajcie się panie kościelny, bo jużci my to wiemy, żeśmy Polacy a nie co innego, ale gadajcieno o tym cudzie, abysmy to w domu opowiadać mogli.

Koścl. Otóż widzieie, jak to źle, że wy się uczyć nie chcecie, aniście nie ciekawi, co to było w dawnej Polsce. Tać to taki głośny cud, a wy o nim nie wiecie. Ale ja wam opowiem. I poprawił sobie kościelny białą chustkę na szyi, zapiął kapotę na guzik kościany, zażył tabaczki, odkrząknął i tak opowiadał:

— Tu raz napadli Tatarzy! A oni tu przyjeżdżali zawsze w twardą jesień, jakto już błota i rzeki zamarzyły — bo to wtedy było co brać i z obory i z komory, bo to już każdy miał chleb w domu, co mógł to poprzedać, więc miał i dukaty, a te niewiary bezecne mogły ledziuteńko na koniach przelecieć po lodach i brać co się wlaźło. A jak napadli, to z nienacka obstąpili wieś, zapalili na cztery rogi, ludzi wytłukli, a co żywe to brali i uciekali z tem, aż tam znowu gdzieś się dzielili z rabunkiem, i wracając do domu mieli z czego żyć znowu aż do drugiej jesieni.

Wal. A czyż to nie byli wtedy ludzie tacy, jak my na świecie? przecie było można się bronić!

Koścl. Jaki wy odważny gospodarzu! Cóż było robić, kiedy Tatarzy leźli do wsi jak muchy w lecie do śmietany? To też jak się i chłopci z pierwszego przestachu upamiętali, to im nieraz wyłatali plecy, aż Tatarom w oczach świeciło, a co w jednej wsi zabrali Tatarzy, to w trzeciej wsi dobrze to chłopci odbili i nakładli Tatarów jak kloce na most wielki.

Ależ bo słuchajcie jeno dalej o cudzie:

Otóż było to w sam dzień Niepokalanego Poczęcia, kiedy tu do Pokrzywnicy wpadli Tatarzy. Ludzie byli tu na Roratach dodnia, a Tatarzy rabowali ich domy i zabijali dzieci. Aż zrobił się straszny gwałt po mieście i ktoś krzyknął: — Tatarzy

pałą i są tu koło kościoła! Co to się działo, to prawie był sąd Boży! Tu wpadli ci pohańcy, zarabali przy ołtarzu tym księdza, potratowali lud, porabali chorągwie, połamali lichtarze na ołtarzach, zrabowali kielichy i monstrancyę, i było tu tyle krwi, ile w stawie wody.

W a l. A jakto na koniach tu wjechali ci rabusie i w czapkach het! bez uszanowania?

Ko ś c i. A jużei nie inaczej! ta gdzie tam Tatar zważał na co świętego, tać oni zerwali wtedy z głowy koronę złotą tej samej Najświętszej Pannie, a tę co widzicie, sprawił potem pobożny pan jakiś. I otóż widzicie! jak już pomordowali wszystko, a jedna dziewczynka wlaźła ze strachu pod trumnę zaduszną i tam cicho siedziała — ale słyszała ona jęk i płacz konających, i wystawiła główkę z pod trumny i wołała:

— Mamunio moja! tatuniu mój! gdzie wyście? o moja Panno Najświętsza ratuj-że mię!

A Tatar nadleciał na to i chciał toporem uciąć główkę dziewczynce sierotce, bo już wtedy nie żyli jej rodzice, ale leżeli porabani na środku kościoła i zalani krwią, że ich mało co widać było ze krwi. Ale Panna Najświętsza stanęła żywa koło tej dzieciny, w białej sukience z twarzą jasną jak słońce przy zachodzie pogodnym, nad nią dwanaście gwiazd, a koło niej aniołki skrzydlate, których piórka błyszczały jak róże rozkwitłe, a w kościele jasność, jakby tysiąc gromnie zapalił.

Dziewczynka wyciągnęła ręce ku Niej i wołała płacząc:

— Gdzie moja mama?

A Panna Najświętsza rzekła:

— Teraz ja będę twoją mamą dziecino moja — wyleż z pod trumny; oni ci nie nie zrobią, oni twej główki niewinnej ani ruszą!

A Tatar machnął ostrym i szerokim toporem, ale mu do razu ręka zdrewniała, i stał tak nieruchomy. Na to drugi i trzeci nadleciał, i to samo się im stało. Struchleli Tatarzy i uciekli z kościoła, a wtedy nie jeden żywy, co jeszcze dychał, podnosił głowę, ocierał się rękami ze krwi, i widząc to zjawisko cudowne i tych zdrewniałych Tatarów, wołał głośno:

— O nasza Królowo! o święta Matko polskich dzieci! ratuj nas! Co to się dzieje z nami? czy już nie ma dla nas ratunku?

A Najświętsza Panna odpowiedziała:

— Nigdy nie zginiecie moje dzieci! Tatary zginą, a wy zostaniecie!

I znikło zjawisko cudowne!

Pogrzebali zabitych, a krewna tej dziewczynki zawiesiła te korale na pamiątkę tego cudownego uratowania. I otóż do dziś są te korale — choć one nie gadają, ale kto to wie, ten sobie może zapłakać z wdzięczności nad opieką tej Panny Najświętszej.

A chłopci, wysłuchawszy tej historii, podziękowali, pokłęczeli i poszli smutni do domu, rozmyślając o dawnych cudach na Polskiej ziemi.

Ks. Wojciech z Medyki.

O NASZEJ ZIEMI ŚWIĘTEJ.

Prawdę mówi Kuba stary,
Bóg mu zdrowie daj!
Niemasz ci jak świat szeroki
Oj! nad polski kraj!

Niemasz! niemasz! jak kraj polski —
Tu mój Jezu żyć,
Rolę orać, pieśni śpiewać,
Da! i chwacko bić!

Polska ziemia — święta ziemia,
Dla Polaka raj!
Tak do serca się uśmiecha,
Gdyby kwietny Maj!

W polskiej ziemi święta mowa,
Pełna Bożych słów,
Nią do brata, nią do wroga,
Nią do Boga mów.

W polskiej ziemi pełno żyta,
Jest w niej sól i chleb,
Jest wszystkiego w łaskę Bożą,
Mięsiwa i ryb.

Jest wszystkiego w łaskę Bożą!

Dał wszystkiego Bóg:

Są spichlerze pełne ziarna,

Pełen zboża bróg!

Niemasz! niemasz! jak kraj polski,

Tu mój Jezu żyć,

Rolę orać, pieśni śpiewać,

Da! i chwacko bić!

Prawdę mówi Kuba stary,

Bóg mu zdrowie daj!

Niemasz ci jak świat szeroki

Oj! nad polski kraj.

HISTORJA

o sierocie Bogu-miłej.

(Dokończenie.)

Tymczasem na jesieni, przyszło wojsko. — Nie daleko chaty, gdzie była Marysia, stanął starszy; bo tam była większa izba z komorą, i dzieci nie było. U gospodyni Marysi była krowa co dużo mleka dawała, tak starszy przysyłał po mleko co dnia; a że nie zawsze miał drobne pieniądze, to i bez pieniędzy posyłał; a jak się dużo nazbierało, to razem zapłacił.

Dnia jednego choć wziął mleka starszy i powiedział, że przyśle za wszystko co się należy, nie przysłał. Tak gospodyni mówi do Marysi:

— Idź prosto do starszego o pieniądze, bo mi trzeba tkaczowi zapłacić, a nie ma czem.

— Ach kiedy ja nie śmiem iść — odpowiedziała Marysia.

— Co to nie śmiesz? kiedy ci każę, to idź; nie zje cię; skłonisz mu się i powiesz: Przepraszam wielmożnego, ale gospodyni trzeba bardzo pieniędzy, więc mnie do pana przysłała.

Marysia posłuszna poszła, bo cóż miała robić?

Nadszedł gospodarz, i znów ją chciał posłać sam po coś tam; tak pyta: — Gdzie Marysia?

Jak mu żona powiedziała, że już dawno jak Marysię posłała, tak on na nią:

— Oj! kobieto Boga się nie boisz! żebyś miała swoją córkę, czybyś ją posłała tak do oficera? czy to nie wiesz co to wojskowi?

Gdy tak mówił, weszła Marysia jak ta piwonja, co to nią ołtarze stroją.

— A tobie co? — zapytał gospodarz. — Czy cię tam licho trzymało? — dodała gospodyni.

— Oj pewnie że licho — odpowiedziała Marysia z płaczem. — Nazartował sobie, że człowiek aż nie wiedział gdzie oczy schować.

— To było zaraz wracać — ozwała się gospodyni.

— Ale kiedy posłał do karczmy zmieniać, a mnie kazał czekać; a jakem się rozgniewała i iść chciała, to mi ode drzwi zastępował, a wszystko żartował i pokazywał złote pieniądze w woreczku. Tak ja stałam i modliłam się; to też nie śmiał mnie zaczepiać, tylko gadał. Aż przecie przyszedł z rublami, i ja poszłam.

— No i czegoż się mazgaisz? — krzyknęła gospodyni — i cóż ci się stało?

— Tak płaczę, bom sierota, to choć w ogień, to muszę iść kiedy każą.

— Nie bój się moje dziecko — powiedział gospodarz — nie pójdiesz tam więcej.

I na prawdę nie posłali jej, ale to nic nie pomogło, bo się oficer przyczepił tak, że jej przejść nie dał i obiecywał jej złote góry, żeby tylko dla niego dobrą była. Ale Marysia była głuchą na wszystkie pokusy, bo się bardziej grzechu bała niż śmierci.

Aż razu jednego, przychodzi do niej świekra gospodarza, którą oficer przekupił, i poczyną ją namawiać: że kiedy ona sierota, nie ma nikogo, coby o niej pamiętał, to niech nie gardzi bogatym panem, który jej da posag. A jak Marysia jej powiedziała, że choćby jej dał wszystkie skarby świata, to ona

woli enotę niż sromotę — tak świekra dopiero zaczęła ją żałować: — Oj bieda ci będzie, bieda moja gołąbko! Nie ujdiesz ty jastrzębia! Sam mi powiedział, że jeżeli nim pogardzisz, to on ci tego nie daruje, i ani się spodziewasz, jak cię każe żołnierzom złapać i wychłostać, że nie wstaniesz. — Masz wóz i przewóz, co wolisz? Ot mówię ci: każda coby miała rozum, toby poszła do niego; pan, młody, ładny, dukaty ci będzie dawał i będziesz szczęśliwa.

— Jutro się dowiecie co zrobię — odpowiedziała Marysia. A że mówiła spokojnie, uradowała się stara świekra, istna czarownica, i poszła.

Biedna Marysia załamała ręce jak odeszła baba, ale stały jej w myśli słowa dziadunia: „Uciekaj od grzechu bardziej jak od śmierci,“ i tak jakby jej coś szepnęło: Uciekaj!

— Ale gdzież ja pójde biedna sierota? — mówiła, i zaczęła się modlić. A potem poszła do chaty, wywołała pod jakimś pozorem gospodarza, i za stodołą stanawszy, tak że nikt nie wiedział i nie słyszał — pada mu do nóg i mówi: — „Dziękuję wam gospodarzu za chleb i sól; niech wam tu Bóg błogosławi! Ja w świat iść muszę; Bóg nie opuści sieroty!“ Zdziwił się gospodarz; aż jak ona mu wszystko opowiedziała, tak pokręcił głową i zaczął powstawać na swoją kobietę, że to ona wszystkiego narobiła.

— Nie gniewajcie się na nią gospodarzu! Niech jej Bóg płaci za to, że mnie żywiła i do pracy naganiała; ja się teraz żadnej roboty nie zleknię; każdego mnie przyjmie. Nie mówię jej że odchodzi, boby mnie nie puściła; ale powiedzcie że ją błogosławię, i że jeśli mi Bóg pozwoli, to z wiosną jak wojsko wyjdzie, a roboty będzie wiele, to ja wrócę, żeby jej pomagać, i do nóg padnę za to zem odeszła.

Gospodarz ją błogosławił mówiąc: — Idź z Bogiem moje dziecko! Pozwolił jej wziąć nową sukmanę i chust parę, mówiąc, że to jej, bo przez tyle lat wysłużyła, i nauczył do której wioski ma iść, nie daleko Sawina, bo tam miał krewnych; to jak powie, że za służbą od niego, to ją przyjmą.

— Jeno bieda — mówił — żeby się tutejszy wójt nie spytał.

— Co się ma pytać? — odpowie ona — przecie ja obca; ja sierota z całego świata; ktoby się o mnie pytał? nie bójcie się gospodarzu; a spyta, to powiedzcie: była, służyła i gdzieś poszła jak przysła.

Tego samego jeszcze wieczora, wymiarkowawszy taką chwilę, że jej nikt nie dopatrzył, puściła się w podróż biedna sierota. Nie szła sama, bo szła z Bogiem; krzyżem świętym się przeżegnała, medalik święcony co od dziadka miała, do piersi przycisnęła, owinęła się rańtuszkami, ręce w sukmanę schowała i szybkim krokiem puściła się ku Sawinowi. A niechcąc po noccy iść daleko, do pobliskiej wioski wstąpiła; ale nie zaszła do karczmy — bo co jej to było po tem? — jeno do gospodarza, powiedziała że idzie do krewnych, prosiła o nocleg, przenocowali ją, a przed świtem poszła dalej. Jak tak Marysia idzie a pyta drogi od wioski do wioski, tymczasem tam, z kąd wyszła, wielkie zamieszanie. Gospodyni zrazu na cały głos pomstowała na niewdzięczną sierotę tak, że słyszeli i oficer i ludzie we wsi, którzy się dziwili, bo znali Marysię jako dobrą, pracowitą i skromną dziewczynę, i różne zaczęli domysły robić. Gospodarz uspokoił kobietę, mówiąc że ona może przyjdzie. Ale jak osądził że już Marysia daleko, tak dopiero kobiecie powiedział prawdę, a przytem tak jej uszu natarł, że baba choć twardego serca, aż płakała.

— Co to sierota! — mówił jej. — Sierota to dziecko Boże, bo prócz Boga nikogo nie ma! Słyszałaś jak to nieraz ksiądz Superjor mówił o Chrystusie Panu, że tak powiedział:

„Że nie będzie ten w Niebie, rzekł Boskiemi słowy,
Na kim cięży łza jedna sieroty lub wdowy.“

Albo to ona nieboga mało u ciebie łez wylała? — a za to cię jeszcze błogosławi i teraz nawet, kiedy przez ciebie na tułaczkę poszła!

Najbardziej gospodyni to do serca wzięła, że ona ją pożegnała i błogosławiła. Aż się sama przed sobą zawstydzila i w cichości przyrzekła sobie, że jak Marysia na wiosnę wróci, to lepszą dla niej będzie; nawet powiedziała mężowi: „Taki już

czas, naszego Iwanka żenić; Marysia dobra dziewczyna, to go z nią ożenimy.“

Zaszła Marysia szczęśliwie do krewnych gospodarza; ale oni nie mogli jej przyjąć, tylko powiedzieli jej, że pod Sawinem w jednej wsi, co już dawno oczynszowana, jest znajomy bogaty gospodarz, od którego dziewczka poszła za mąż; teraz nie mają żadnej, to przyjmą. Przyjęli Marysię, i bardzo z niej kontenci byli i dobrze jej płacili; ale Marysi tam nie miło było, bo się kłóceili w domu i pili. To też choć syn gospodarski zalecał się do niej, ona go nie chciała, a tylko prosiła Boga żeby ich oświecił i nawrócił; a oni czasem słuchali i dziwili się, z kąd ona im takie rzeczy mówi jak z książki; i czasem aż gospodynię za sukmanę ciągnęła, tak prosiła żeby nie szła do karczmy. Ta czasem i usłuchała jej, a czasem i nawymyślała; Marysia z pokorą wszystko przyjęła i jeszcze więcej modliła się za nich.

Tak prawie cała zima zesza, i już niedaleko było Wielkiej Nocy. Aż tu wójt gminny rozgniewał się na gospodarza, że mu hardo odpowiedział, jak się pytał, co za dziewczynę trzyma z obcej gminy; i ostro mu zapowiedział, żeby ją do kancelaryi dostawił; że on z niej spisze protokół i każe do miejsca, z kąd jest, odprowadzić ciupasem. Ot i znów nieszczęście nad biedną Marysio; czyżby takiego wstydu miała się doczekać! A gospodarz, zwyczajnie jak człowiek co sobie gardło zaleje, zamiast prosić za nią, to mówił: „Nie doczekanie żebym się jemu kłaniał! Niech sobie ją odstawią; ja znajdę inną.“ Ale gospodyni lepsza była; uspokoiła Marysię, że pójdzie i za nią prosić będzie. Bo jak pierwaj Marysia trafiła na dobrego gospodarza a złą gospodynią, tak znów teraz na odwrót: on był zły, a ona dobra. Często zdaje się tak Bóg umyślnie dopuszcza, żeby jedno drugie od złego wstrzymywało, jedno drugie namawiało do dobrego.

Poszła gospodyni z Marysią do kancelaryi; czekały długo, bo z okolicznej wioski i sołtysi przyszli z podatkami. A jeden z nich zapytał o Marysię z kąd ona, bo już ją nieraz widział w Sawinie w kościele. Marysia też jemu opowiedziała, jak ją gospodarz do krewnych posłał, i na tem koniec. Jak się już wójt

gminny uwolnił z podatkami, kolej i na nich przyszła, tak dopiero zaczął na nich krzyczeć, aż gospodyni języka zapomniała. Ale Marysia podeszła do wójta, skłoniła się i zaczęła mówić z płaczem, że ona sierota, żeby jej tej krzywdy nie czynił; że ona pójdzie jak on pozwoli, sama, i przyniesie świadectwo, albo też wróci służyć do tamtych gospodarzy, od których przyszła.

Ale wójt bał się widać, więc powiedział: — „Kto ciebie wie co ty za jedna; możeś co w swojej gminie ukradła, albo co, i dlategoś uciekła.“ — Zaczęła się tłumaczyć że jej gospodarz pozwolił; aleby to było nie pomogło, żeby nie inni ludzie. Jak zaczęli jemu przekładać, że to dziewczyna tak trzeźwa, że pobożna, pracowita, że ona widać prawdę mówi: tak wójt nareszcie mówi: — No! to niechże zaraz idzie, żebym ja ambarasu nie miał. — Żałowali wszyscy Marysi, a ona przez świekrowę przestraszona, także nie miała ochoty ze wszystkim wracać do dawnego gospodarza. — Myślała tylko sobie: Poproszę o świadectwo, dostanę, bo dzięki Bogu nie tam we wsi złego nie zrobiłam, i zaraz przyjdę; a potem dopiero w lecie do dawnego gospodarza wrócę. Na drugi dzień, akurat była niedziela; Marysię jakby coś jakie przecucie męczyło, i wszystko powtarzała, nie wiedząc dlaczego: „Bądź wola Twoja Panie!“ I pomyślała sobie: — „Pójdę ja do spowiedzi; niech będę gotowa stanąć przed Ojcem Niebieskim; bo czy ja mogę wiedzieć co mnie biedną sierotę spotkać może?“

Po spowiedzi wróciła do domu, zjadła obiad, zebrała rzeczy i pieniędzy trochę, co za te pół roku wysłużyła i zarobiła, pożegnała się i poszła. A było to w Marcu. Taki mróz tego dnia wziął się, jakby na nowo zima nadechodziła; a co gorzej, śnieg tak miótł, że oczy zasypywał. Miała Marysia trzy mile zrobić; to nie taka to straszna droga dla nóg młodych. Jeszcze za widna minęła Sawin i szła sobie drogą; ale jak już karcznię malowaną minęła, ze wszystkim się zciemniło, a śnieg tak drogę zasypał, że nieboga co miała iść drożyną do księżej wioski, gdzie był jej gospodarz dawny, ona poszła w lewo, jak droga przez błotniste łąki prowadzi do miasta.

Coraz ją gorszy strach ogarnia, bo słyszy jak wilki wyją! Idzie coraz spieszej, aż się w niej dech zabija. Jakies świat-

teńko zda się ukazywać, więc ona myśli sobie: To już nasza wioska. Ale jej dziwno że coraz jej ciężej iść, bo nogi jej gdzieś tak zapadają, że wyciągnąć ich ciężko; a zimno ją tak przejmuję, że aż ją sen morzy. Tak dopiero zmiarkowała, że ona gdzieś na błota weszła, aż pod same miasto, w którym widać z daleka światło. Więc zwraca się ku światłom, i jedno z poza domów wyraźniejsze spostrzega, tak że aż z daleka od okien świeci się śnieg do koła; myśli sobie: — No, to i dobrze, po co mi iść do miasta? i tu ludzie znać mieszkają, to mnie przemocują. I idzie dalej nieboga. Gdy się ze wszystkich sił spieszy i zbliża do domostwa, z daleka słyszy jakieś głosy męskie; niby się jej zdaje, że jakby się śmieli, to znów, jakby kłócili, przeklinali. — Złękła się, ale idzie, bo chce co prędzej do domu, z kąd światło takie bije, dostać się. Aż tu przygląda się, a od światła z okien zaczyna się dokoła robić widno, i poznaje, że to dwóch obdartych jakby drabów idzie ku niej. I jeden mówi do drugiego: — Co ty mi tam gadasz żeś zgubił; ja nie zgubił, tylko to pewno ta baba czarownica wzięła! oj gdybym ja ją złapał — i zatoczył się, taki był pijany. Tak Marysia stanęła jak wryta; nie wie co robić; chce uciekać, ale ją zobaczyli, i dalej za nią. Jeden ją chwyta za sukmanę, drugi zdiera rantuch z głowy, a woła: — Toś ty babo skradła moją czapkę. Dawaj sukmanę za nią! — Marysia krzyczy, że ona nie wiedziała, że ona cudza, idzie szukać noclegu bo zbłądziła.

Ale gdzie się kto z pijanemi dogada! W karezmie, z której światło biło, tak na skrzypkach rzępolili, tak pijani krzyczeli, że nikt nie słyszał krzyku biednej Marysi; a ona żeby się wyrwać z ich rąk, pozwoliła sobie zedrzeć sukmanę, a sama wyrwawszy się pobiegła w lewo, i choć nie wiedziała gdzie idzie po nocy, biegła, biegła, co tehu miała, aż na jakieś drzewo natrafiła i stanęła. Pomacała drzewo, i poznała że to był krzyż. Tak wtenczas padła na kolana, i płakać i modlić się zaczęła, i prosiła Boga, żeby jeśli wola Jego, nie umarła tak na drodze, żeby jej ciało nie świeciło nagością. Jakoś zrobiło się jej spokojniej i jakby cieplej; przytomność jej wróciła i pomyślała, że właśnie figura stoi na drodze do księżej wioski; że gdyby jej Bóg dał siłę iść dalej, toby i zaszła, byleby światło

jakie pokazało jej drogę. Ale gdzie tu sił wziąć: tu mróz, a ona w koszuli, w gorsecie tylko i spodniey; rańtuch nawet z głowy jej zdjęli! Tak idzie, idzie a modli się; w głowie się jej zaczyna mącić, a przed oczami to światło to ciemno jej się robi, tak, że różne rzeczy jej się przewidują; i niby widzi że dziadus z torbą idzie przed nią, i że od torby jego białej jakby jaka jasność bije i oświeca jej drogę. Więc idzie co ma tchu, aż widzi wyraźnie małe światełko z poza drzew; tak zbiera siły i biegnie, jakby ją kto popychał. Dopadła do chatki, stuka, aż otwierają się drzwi i wychodzi strasznie czarny człowiek. Marysia krzyknęła, ale jak się zaczęła przyglądać, tak poznała, że to węglarz, co pod lasem tuż przy jej wiosce mieszkał i ona go znała. Dopiero ręce składa i dziękując Bogu prosi o noceleg. Zdziwił się on i żona jego, która właśnie co tylko miała zgasić ogień, nim Marysia zastukała. Pytali jej to o to, to o owo, to o tamto, ale nieboga nie umiała odpowiadać, tak się jej w głowie mąciło, taka ją straszna gorączka rozpałała. Położyła ją węglarka koło siebie na tapczanie, okryła, a ona zasnęła jak nieżywa; a we śnie zdawało się jej, że dziadus ją prowadzi i aż do domku czystego, nowego doprowadził ją, i mówi do niej: — „Spoczniesz tutaj, dopóki cię Bóg nie zawoła; spoczniesz, żebyś Bogu i ludziom służyła, żebyś była przykładem, żeby ludzie wiedzieli że sieroty Bóg nie opuści; bo ona jeśli się Boga boi i od grzechu ucieka, to jest Bogu-miłą.“

Nazajutrz nie mogła Marysia iść do gospodarza swego, choć tak nie daleko było. Leżała bez pamięci, nie wiedzieć co gadała; zdawało się jej, że widzi swego dziadusia i domek, który jej pokazuje, i mówi głośno: — Och dzięki Bogu! dobrze, dobrze że przyprowadziliście mnie do takiego domku jasnego, ślicznego: to on już mój będzie, to ja w nim odpocznę, pod tą gruszą usiedę, będę tu Boga chwaliła! — Przelękli się biedni ludziska! Tak co tu robić? Idzie sam węglarz do gospodarza, zkąd Marynka była i mówi wszystko. Zdziwił się i pożałował człowiek sieroty; przyjechał, owinęli w kożuch Marysię, i powiózł ją do domu.

Nie daleko była wieś śliczna, a we dworze pani miłosierna, co wszystkich kurowała, a jej córki same po chatach do chorych chodziły; więc zaraz do niej poszedł gospodarz. Pani zaraz kazała z Chełma doktora przywieźć, i zaczęły kurować Marysię. Dopiero w trzy tygodnie przyszła zupełnie do przytomności, i opowiadała, co to ona za przypadki przeżyła; szczęściem że pieniądze, które sobie wysłużyła i zarobiła, miała za gorsetem; więc choć te jej nie przepadły, i gospodyni rada była, że choć na sukmanę będzie miała. A że jej sumienie wyrzucało, że tak przez nią Marysia uciekać musiała, i że jak jej nie było, poznała że to trudno o taką drugą: więc dobrą dla niej była, i wszystko jej mówiła: — „Bądź dobrej myśli Marysiu; jak ci Bóg da zdrowie, to cię za Iwanka wydamy i będziesz niewiastką naszą; a jak wam Bóg dopomoże, to pójdziecie na swoje gospodarstwo.“ Marysia słuchała i dziękowała gospodyni; ale jej się czegoś serce ścisnęło i smutek ją ogarniał jak tego słuchała.

Nadeszła Wielkanoc. Marysia blada jak chusta, już chodzić poczyniała. Aż tu w trzecie święto, kiedy sobie siedzą wszyscy za stołem, Iwanek trochę napity drzemie na tapczanie, a tu zajeżdża ktoś na podwórko i pyta na całe gardło: — „Czy tu gospodarz Szumlak mieszka?“ — Wybiega gospodyni, a Marysi tak czegoś się zrobiło słabo, jak spojrzała przez okno; tak jej serce bić poczęło, że nie mogła się ruszyć. Aż tu wchodzi do chaty trzech gospodarzy w nowych sukmanach, w czapkach z baranami; a jeden z nich smagły, gładkiej twarzy, młody, z czerwonym pasem i czapką wysoką z siwym baranem. A najstarszy mówi: — „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Pokój temu domowi!“ — I dopiero powiada: — „Oto syn mój upodobał sobie wychowanek waszą, i przyjechaliśmy o nią prosić; co mieliśmy to swachów wysyłać, to wszystkie korowody robić, woleliśmy tę rzecz zrobić z waszecia i przyjechaliśmy sami.“ — Marysia poznała w młodym sołtysie *) tego, co to jak ją do

*) Sołtysi niedaleko miasteczka Sawina mają pewną ilość gruntu na własność nadaną przez Władysława IV. króla, w nagrodę za waleczność w boju.

wójta wołali, on się wypytywał o nią, i co już nieraz spotykała go w kościele, w Sawinie; on tam niedaleko miał swój grunt i nowo wybudowany dom.

Krótko mówiąc, w miesiąc potem poszła Marysia za młodego sołtysa; — bo gospodarze choć żalowali, że nie u nich zostanie, do woli jej zostawili, bo nie chcieli jej losu zagrażać; a też wiedzieli że sołtysi, choć czynszu nie płacą, ani pańszczyzny nie robią, nie wszyscy się dobrze mają, i nie wszyscy statkują. Ale ten był jeden pomiędzy nimi, co i bogaty i nie pijak i rządny; a Marysia do niego serce miała, a widzieli, że dla Iwanka nigdy nie była chętna.

Jak pojechała Marysia do męża i spojrzała na biały większy od innych dom, tak sobie wspomniała, że taki jak jej dziaduś pokazywał we śnie, że w nim spocząć miała.

Dzięki Bogu! że się tak skończyło — zawołała Marynka, gdy Paraszka mówić przestała. — Doprawdy że mi aż serce biło, jak ona nieboga tak błędziła.

— Już to prawda — ozwał się stary Jakób — że Bóg choć próbuje, to nie opuści, i jeszcze w tem życiu nagrodzi tego co się grzechu boi. Posłuchajcie młodzi mnie starego, i te słowa moje zachowajcie w pamięci, że gdyby tak wszystkie dziewczęta, jak Marysia, były czyste przed Bogiem i ludźmi, toby Bóg błogosławił i wszystkoby u nas szło dobrze. Na kobiecie wszystko polega; jak kobieta uczciwa, trzeźwa, gospodarna, to i męża do dobrego nawróci, dziatki dobrze wychowa, i błogosławieństwo Boże w domu panuje.

RÓŻNOSTCI.

Jakim sposobem można z lata aż na zimę jaja przechować.

Józefowa. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, gotowicie na targ?

Wawrzkowa. Zaczekajcie chwilkę, jeno jaj nałożę do kosza.

Józefowa. A dyć ich tu macie już kilka mędli.

Wawrzkowa. To wszystko mało,

pójdźcie ze mną do komory, to mi pomożecie zestawić cebra, co mam pod nim beczukę z jajami.

Józefowa. Beczukę zaś, a zkądże tyle? pewnieście po wsi skupowali.

Wawrzkowa. Wszystkie mam po swoich kurach.

Józefowa. Toć przecie nie macie jeno te trzy: srokata, biała i kusa.

Wawrzkowa. Powiadam wam kumo, że po tych trzech, ale chodźcie do komory, to więcej zobaczycie.

Poszły do komory, ruszyły ceber, a Wawrzkowa zdjęła dno z beczuki i mówi do Józefowej: Patrzajta!

Józefowa. No i cóż, beczka, a do samego wierzchu popioł.

Wawrzkowa. Ale co pod popiołem? I odgarnęła ręką, a tu się pokazało pełno jaj. Wiecie moja kumo, mówiła Wawrzkowa, że ja te jaja zbieram od samego świętego Jana.

Józefowa. To pewnie wszystkie zatęchły.

Wawrzkowa. Nie powinno być ani jednego zepsutego, bom świeżutkie schowała.

Józefowa. Co wy też kumo powiadacie? dyć u mnie to jak jaja poleżą trzy albo cztery niedziele, to wnet zatęchną.

Wawrzkowa. Bo sobie kumo nie umiecie radzić. Widzicie, ja w lecie nie sprzedaję, bo wtedy jaja bardzo tanie, ale jak w zimę podrożeją, to się prędzej kilka złotych uzbiera; wy macie więcej kur, to prędzej obstaniecie.

Józefowa. Przecie ja tego nie rozumię, chyba że umiecie czarować.

Wawrzkowa. Jest na to i bez czarów sposób, com go się od jednej dobrej gospodyni wyuczyła.

Józefowa. Proszę was też kumo, nauczcie mię, to wam pięknie podziękuję.

Wawrzkowa. Otóż widzicie, jak kura znisie jaje, to je trza na łyżce trzymać we wrzątku chwilkę, a jak wystygnie, tłustem posmarować i wsadzić cienkim końcem w suchy popioł, obsypać nim w koło i dobrze obetkać, a z wierzchu przysypać też suchym popiołem, ale trza jaja tak ustawić aby się z sobą nie stykały. Tym sposobem to można i dwa lata przechować, i nie zatęchnie.

Józefowa. Ale jak się włoży do wrzątku, to się uwarzy.

Wawrzkowa. To też wam mówię, że ino chwilkę małą. Otóż macie i całą naukę.

Józefowa. Bóg wam zapłać kumo. że się też to człek do śmierci musi uczyć rozumu!

Mrówki. Każde zwierze ma sobie od Pana Boga nadany zmysł, co mu zastępuje rozum. Nie jedno umie sobie radzić w różnych potrzebach, choć samo nie wie dlaczego tak, a nie inaczej robi. Ot i mrówka, zmysłne to niezmiernie stworzenie, łączy się w wielkie gromady, zakłada mrowisko, zwłócząc ze wszystkich stron szpilki sosnowe, świerkowe i jodłowe, różne gałązeczki, i buduje jakby jaką ogromną wieżę, z gankami, ulicami i broni swej siedziby przeciwko innym mrówkom. Na zimę zwłóczy ziarno i chowa je w wykopanych

pod mrowiskiem dołach, żeby od głodu w czasie mrozów nie zginęła.

Ale to jeszcze mniejsza że chowa; lecz jak sobie radzi, żeby zboże nie porosło? Wiadomo każdemu że zboże zagrzebane w ziemi, a jeszcze wilgotnej, puszcza kielki. Otóż mrówka chcąc temu zaradzić aby nie porastało, ugryza od każdego ziarenka kieltek i tym sposobem chroni je od porośnięcia.

Jak ratować zmarzniętego. Przywieźli raz człeka zmarzłego; mówiono, że już trup, bo ani dychnie; ale doktor, co tam był, kazał go wnieść do sieni, rozebrać do naga i ułożyć na kupie śniegu; i obłożyli go tym śniegiem na pół łokcia grubo, a głowę mu podparli żeby nie wisiała na dół. Nie wyszło i dziesięć pacierzy, zaczęła woda z niego spływać kroplami, bo się śnieg topił. Jak to zobaczył doktor, tak powiada: dobra nasza, będzie żył. Otrzyjcie go teraz do suchości.

Więc gdy go otarli, tak kazał biedaka zanieść do ciepłej izby, włożyć do łóżka i przykryć derką.

Już go ułożyli na piękne, a tu doktor ujrzał że ma jedną rękę białą i twardą, więc kazał znowu śniegu przynieść i trzeć mocno, aż i ta ręka odmiękła i rozgrzała się. Żeby tak był zostawił rękę przemarzłą, toby potem biednemu człeku spuchła, i ciało jak po oparzeniu spadałoby kawałkami.

Później może w godzinę derkę zdjęli i przykryli pierzyną, a doktor mu wódką natarł twarz i skronie, niedopuszczając do oczu. Tymczasem baba utarła chrzannu i przyłożyli mu pod nos, więc biedakowi drgnęły po-

wieki raz i drugi, i oczy otworzył. Tak uwarzyli mu lipowego kwiatu i dali wypić. Przyszedł do siebie i nie wiedział co się z nim działo, bo na drodze uziął i zasnął, a najbardziej narzekał że go ręka boli; doktor mu kazał tę rękę obwinąć flanelą, i potem chory zasnął, rozczzerwienił się bardzo, tak mu obwinęli głowę chustą, zmaczaną w wodzie. Po południu już mu było lepiej i dziękował doktorowi, że go odratował od śmierci.

Mój Boże! niejeden tak w polu natrafił biedaka, aniby mu do myśli nie przyszło, że go jeszcze uratować można.

Wrony. W czasie zimy wron nie brakuje w miastach; latem trzymają się one więcej wsiów, lasów i pól. Jeden gospodarz chcąc się dowiedzieć, czem też wrony żyją i czy wielkie robią szkody, polował na nie przez cały rok, a co którą zabił, to jej rozerznął żołądek i patrzył co ma w środku. Otóż przekonał się, że od Wielkiej Nocy do świętego Jana jedzą prawie same robaki, przez miesiąc po świętym Janie wiśnie i groch, potem do świętego Michała pszenicę, jęczmień i owies, oraz nieco robactwa. A od świętego Michała do Bożego Narodzenia, jedzą najwięcej żołądździ i nieco zboża. Ztąd każdy rolnik może się przekonać, że wrony na wiosnę są bardzo pożyteczne bo gubią robactwo, a szkody dopiero zrzadzają w lecie i ku jesieni. Żle więc ten robi, co wrony tępi na wiosnę; prędzejby należało je gubić pod jesień, kiedy psują zboże; ale zawsze korzyść, jaką dają na wiosnę, jest większą od szkody, którą później zrzadzają.

Stara prawda.

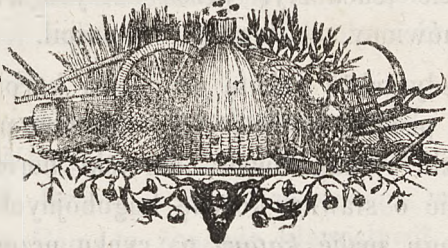
Kiedy ogrodnik o deszcz modły wznosił,
Brat jego garncarz o pogodę prosił. —
Jeszcze się ten nie urodził,
Co by wszystkim tu dogodził.



1. Listopada.

1861.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

DZ W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

WŁADYSŁAW CZWARTY, KRÓL POLSKI.

Jeszcze za życia nieboszczyka ojca, króla Zygmunta III., zjednał sobie królewicz Władysław taką miłość w narodzie, że go potem od razu królem obrali. Bo każdy sobie myślał :

— Nie nowina Władysławowi rycerskie rzemiosło! Bywał ei on na wojnach moskiewskich, i pod Chocimem na Turkach oręż swój zaprawiał; potrafi kraj przed wrogiem zasłonić. Dziękujmy Bogu że nie poszedł Moskałom carować, jak go na swój tron zapraszali.

I wszyscy cieszyli się i obiecywali sobie dużo dobrego z jego królowania. Aż tu gdy przyszło głosować, jeden człowiek przy powszechnej zgodzie wstaje i woła :

— Nie pozwalam! — I póty nie mógł być Władysław królem, póki on człowiek nie pozwolił. Pytał się go potem król, coby miał przeciwko niemu; a ów odrzeknie :

— Chciałem spróbować miłościwy królu! czy jeszcze prawo wolnego głosowania szanowane?

Oj nieszczęsne to było prawo! Zobaczycie potem, że wszystkie nieszczęścia z niego urosły i Ojczyzna kochana przez to prawo upadła. Bo choć się wszyscy na co dobrego zgodzili, znalazł się przecie jeden zły, przez naszych *wieczystych nieprzyjaciół* podmówiony, co tego nie dopuścił.

A miał wtedy także ochotę na polską koronę *Gustaw Adolf* król szwedzki, i pisał o to listy do senatorów polskich. Ale ci bardzo się obrazili i rozgniewali, że taki heretyk niemieckiej wiary śmie prosić o sławną koronę bogobojnych Jagiellonów, i kazali te listy jego spalić *katowi* na rynku przed narodem. Zemścił się też Szwed srogo za tę zniewagę na naszej krainie, ale aż po śmierci Władysława.

Zasiadł tedy Władysław czwartym nazwany na stoleu królewskim w Krakowie i przywdział złotą koronę roku 1633, ale zaledwie miał czas odebrać hołd od *Prusaka* jako od poddanego, alisci przybiega goniec z Litwy z tą wieścią, że Moskale z wielkiem wojskiem Smoleńsk dobywają.

— Nie na tom ja, zawołał Władysław — za nieboszczyka ojca z hetmanami to miasto wielkim trudem zawojował, abym go teraz miał utracić!

I zebrał prędko wojska dwadzieścia tysięcy i ciągnął na obronę Smoleńska. O czem jak się dowiedział *Sehin* hetman moskiewski, zląkł się, choć miał aż sto tysięcy żołnierza; odstąpił od miasta i okopał się w polu. Aleć na nie mu się nie przydały te okopy! bo król otoczył jego obóz, tak że się wnet z głodu na łaskę poddać musiał. Więc czołgał się wódz moskiewski z całą starszyzną do nóg polskiego króla i prosił o przebaczenie za tę napaść zbójcką. Władysław nie był zawzięty, więc puścił het wszystko wojsko wolno do domu.

Ale że był przytem żołnierz dobry, nie chciał tak zaraz wracać, nie dawszy się we znaki Moskalom; więc ciągnął dalej i zdobywał miasta i zamki warowne. Zatrwożył się wielce car o swoją stolicę i prosił o pokój, obiecując oddać dużo ziemi Polsce i zapłacić królowi tyle pieniędzy, ile go ta cała wojna kosztowała. Przystał na to Władysław, bo nigdy nie był cheiwy cudzego — i tak się skończyła ta wojna z Moskałem.

Waleczny to był król! nie wychuchane paniątko, jeno żołnierz prawdziwy; to go też i wojsko lubiło i nieprzyjaciele się bali; a ten sam Szwed, co potem tyle krwi z Polski wytoczył, siedział teraz cicho, a skoro się jeno król z wojskiem ruszył na niego, oddał zaraz bez wojny Inflanty i kraje nadmorskie aż po rzekę Dźwinę.

Oswobodziwszy się tak od nieprzyjaciół, już z wolną głową oglądał się Władysław za żoną po świecie; a posłyszawszy o enotach Cecylii Renaty, córki niemieckiego cesarza, z nią się ożenił. Ale mu Bóg z tą żoną nie błogosławił, bo i ona i dzieci wnet pomarły. Ożenił się tedy drugi raz z bogatą królowną francuzką Marją Ludwiką i wziął za nią wielki posąg.

Ucieszył się król i myśli, coby tu za te pieniądze sprawić? Zbytków nie lubił a Ojczyznę kochał nadewszystko, więc rzeknie:

— Najmę wojska dużo i będę wojował poganina Turka, nieprzyjaciela świętej Wiary i Ojczyzny!

Ale panowie jakoś nie bardzo rycerskiego ducha, bali się Turka zaciepać i nie dali królowi tej wojny prowadzić. Zadumał się Władysław i markotno mu to było, ale mądra głowa zawsze coś dobrego wymyśli.

Wspomniał sobie na chłopów i na swój lud poczeiwy, a widząc, że to nie małe utrapienie dla nich dawać wciąż podwody pod listy królewskie, mówi:

— Trzeba ich od tego uwolnić, a założyć poczty; niech tak będzie na wieczne czasy! I zaraz tak zrobił; a jak nastały poczty, to już każdy widział że to dobrodziejstwo wielkie; zamiast gnać posłańca z pismem daleko, zapłacić mało wiele, a już mu tam liścik zawieją. Więc błogosławili króla i chłopci i mieszczanie i panowie, a od nas mu się też wdzięczna pamięć należy, że nam tak mądre urządzenie zostawił.

Jeszcze jedno dobre prawo postanowił Władysław, a to: żeby się żaden Polak nie ważył przyjmować niemieckich tytułów *hrabiego, grafa* ani *barona*, bo myślał sobie:

— Po co szukać cudzych Bogów! Jak kto powie że Polak, to go w całym świecie uszanują; a niemiecki tytuł przy polskiem

nazwisku, to takby wyglądał jak stara łąta na żupanie. Aleć to wszystko potem zaprowadzili nieprzyjaciele nasi.

Owoż tyle dobrego narobiwszy ten król, panował spokojnie do końca życia, i nie doczekał już tych strasznych klęsk, jakie po jego śmierci kraj nasz trażyły; zabrał go Bóg aby nie patrzył na wojnę braćmi z braćmi, aby nie widział wojny domowej.

Słyszeliście o *Kozakach*. Byli to ludzie wolni, ale z wojny żyjąc puszczała się na rabunki do cudzych ziem, i przez to nieprzyjaciół na Polskę sprowadzali. Chcąc ukrócić tę swywołę, postawił hetman Koniecpolski zamek obronny *Kudak* na granicy, aby ich na rozboje nie puszczać; ale to hultajstwo sprytnie! podeszli raz, wycięli załogę i zamek spalili. Złapali potem nasi ich przywódcę atamana *Pawłuka* i kazali mu głowę uciąć, aleć to nic nie pomogło; kozacy wciąż się buntowali.

W takich to czasach umarł Władysław czwarty po szesnastu latach panowania, roku 1648, a zaskoczyła go śmierć w Mereczu w drodze z Wilna do Warszawy, i nie widział srogięgo utrapienia Ojczyzny.

O Polsko, męczennico święta! tyle narodów z ciebie krew toczyło, a Ty zaufałaś Twojej niebieskiej Królowej i żyjesz; i jak Cię ongi wybawiła z rąk Szwedów, Turków i Moskali, tak Cię i teraz nie opuści!

O chlebie zamienionym w kamień.

Pięćset lat temu, jak w naszej ziemi

Monarcha wielki panował;

I sprawiedliwie rządził wszystkieni,

A kmieci bardzo miłował,

I w każdej chwili, w każdej potrzebie

Wspierał ich, garnał do siebie.

Pan Bóg dopuścił na kraj czas smutny,

Straszne przypadły posuchy;

Więc brakło zboża, głód był okrutny,

Ludzie padali jak muchy.

Naród się modlił z krwawymi łzami:

Zmiłuj się Boże nad nami!

A król pan dobry i sprawiedliwy,
Kazał otworzyć spichlerze,
I rzekł włodarzom: „Lud nieszczęśliwy
Niech sobie zboża nabierze;
Bo na tom ziarno zbierał lat tyle,
By biednych karmić w złą chwilę.“

Klasztory, idąc za królem w ślady,
Z ludźmi dzieliły się zbiorem,
I zewsząd biegły głodnych gromady,
Pełno przed każdym klasztorem;
A zakonnicy, bosey szafarze,
Żywią swym chlebem nędzarze.

A był pod Gdańskiem klasztor Oliwa,
I tam co wieczór, co rano,
Gdy przyszła chwila głodu straszliwa,
Chleb biednym ludziom dawano.
Kapłani chlebem, Bożemi słowy
Karmią sieroty i wdowy.

Był zaś człek, co miał dość grosza w domu,
I więcej zboża niż trzeba,
A przecież chciwiec nie dał nikomu
Jednego kawałka chleba;
Jeszcze sam w zdartą odzież się przebrał,
I chleba w klasztorze zebrał.

I gdy raz wieczór wracał z klasztoru,
Skradłszy chleb biednym — zbiedzona
Leży niewiasta z dzieckiem śród boru,
A prawie z głodu już kona
I woła: „Człeku! na imie Nieba
Daj memu dziecku kęs chleba!“

A chciwiec na to rzeknie niebodge:
„To nie chleb matko ja niosę,
Kawał kamienia wziąłem po drodze,
By sobie poostrzyć kosę.

Gdybym przy sobie miał chleb, przypadkiem,
Dałbym ci z chęcią, Bóg świadkiem!“

Na to niewiasta: „Człeku, tyś skłamał,
Bo chleb ty niesiesz, nie kamień;
Lecz chleb, któregoś ze mną nie złamał,
Boże! w kamienie Ty zamień.“

Ledwie to rzekła, bochen ocieżał;
Na twardy kamień chleb stężał.

Struchlał człek twardy, widząc cud Boski,
I inne prowadził życie ;
Za kradzież chleba, biednych z swej wioski
Swym chlebem żywił obficie.

Do dziś dnia wisi kamień w klasztorze,
By świadczyć zrządzenie Boże.

(*Kmiotek.*)

Jak się pijanica Bartek za życia dostał do sieni piekielnej ?

Szeroko i daleko było szukać takiego pijaka, jakim był Bartek Rzemień z Przedborowa. Bez wódki zdało się, że ten człowiek żyć nie mógł, bo też dzień i noc przesiedział w karczmie, a nie było w okolicy targu, ani jarmarku, na którymby się Bartek nie spił jak cztery dziewki.

To też iście kara Boża tego pijaka ściagała. Dawniej miał się Bartek niezłe, bo i niezły kawał gruntu po ojcach odziedziczył, a oprócz tego w stajniach i chlewach pełno było dobytku; były woły, pszczoły, a w półskrzynku to się i trzos pieniędzy znalazł. Do tego był Bartek jedynakiem, ożenił się dosyć bogato, o biedzie tedy ani słychać u niego.

Ale cóż, jak powiadają, więcej ludzi utonęło w kieliszku, aniżeli w morzu; tak też i nasz Bartek niedługo wszystko przez gardło przepuścił. Zmarniał dobytek, ziemia przestała rodzić, bo też nie miał kto jej dojrzyć, gdy Bartek wciąż jeno po karczmach, targach i jarmarkach się włóczył. To też setna bieda w jego chałupie zagościła, że i siekierą byś nie uciął. Dzieciska głodne, obdarte, aż strach, bo nie było za co kupić przyodziewku i nie było co w garnek włożyć. A długów po karczmach, jak włosów na głowie, tak, że już i gospodarstwo niedługo sprzedać mieli. Ale czy myślicie, że to Bartka wstrzymało od picia? Gdzie tam! — pił przekłętę wódczysko, niby koń wodę. Darmo żona prosiła go ze łzami w oczach, aby porzucił to nieszczęśliwe pijaństwo, jeżeli ma litość nad swoją grzeszną duszą i nad swemi dziećmi; darmo dziedzic i ksiądz pro-

boszcz upominali Bartka; wszystko to było napróżno tak samo, jakbyś groch o ścianę rzucał. Bartek się i popłakał czasem po trzeźwemu, a potem jak zaszedł do karczmy, to pił po dawnemu, a jak przyszedł do domu, to wyrabiał takie brewerje, że nieraz żona i dzieci z chałupy uciekać musiały. A co ztąd było obrazy Bożej, zgorszenia! O wódko! wódko! ileś ty biedy wyrządziła, iluż to ludziom zgotowałaś wieczne potępienie!

I byłby może Bartek nigdy się nie odzwyczyił od tej przekłetej gorzały, a może byłby zmarniał gdzie pod płotem, albo u żyda za piecem, bez spowiedzi, bez Sakramentów świętych, gdyby nie jedno zdarzenie, które Bartka naprawiło. A było to tak :

Spił się raz Bartek porządnie w mieście na targu, więc już nie doszedł do swej chałupy, jeno jak długi rozciągnął się przy drodze i zaczął chrapać należycie. Aż tu jedzie drogą pan bardzo dobry, który też lubił czasem pożartować, a nie cierpiał nadewszystko pijaństwa. Znał on dobrze Bartka i wiedział o jego nieszczęsnym nałogu; więc skoro go ujrzał przy drodze, tak kazał stanąć. Myśli sobie ów pan, jakby tego Bartka od pijaństwa odzwyczyać. Nakoniec widać było, że wpadł na jakąś myśl dobrą, bo kazał wiaść Bartka na drugi wóz i zawieść do swego pałacu.

Tam złożono tego opilca w sklepie, który prędko na piekło zamieniono. Słudzy porzebierali się za djabłów, zapalili kocioł spirytusu, a potem zaczęli robić hałas, krzyczeć, wyć, sykać, aż się i Bartek obudził. Zaraz przystąpili doń ei udani djabli, nuż go ciągnąć do tego kotła, poszturkiwać, a wrzeszczeć, że istne piekło się zrobiło. Jeden z tych czarnych krzyknął przeraźliwym głosem: „Nie mogłeś się nasycić wódeczyskiem za życia, to teraz po uszy będziesz się kąpał w czystym spirytusie, a więc marsz do kotła.“

A na to jeden z czartów jak nie zamięsza warzechwią w kotle, a tu jak nie prysnie ogień na wszystkie strony, że aż Bartkowi włosy dębem na głowie stanęły.

„Ach panowie djabli“ — zawołał rozpaczliwym głosem — „powiedziecie mi, jakem się tu dostał: czym umarł, czy co?“ Na to odpowie mu jeden z szatanów: „A nie pamiętasz to Bar-

tku jakęś umarł wczoraj tam za miastem na górze z pijaństwa, bo wódka się w tobie zapaliła, więc za to dostałeś się do piekła, ale to dopiero sień piekielna, a piekło samo bratku to zobaczysz.“ — Nuże potem djabli skakać koło niego, ciągnąć go do kotła, wrzeszczeć, chichotać, tak że Bartek ledwie na prawdę nie umarł.

Jak to mówią „kiedy trwoga to do Boga,“ tak i nasz Bartek padł na kolana, zaczął się modlić i wyrzekać:

„O przekłeta wódko, cóżes ty mi najgorszego zrobiła, a bodajżem cię nigdy nie był znał na świecie. O Boże wszechmogący zlituj się nademną wielkim grzesznikiem!“

Zaczął potem mówić Bartek pacierze, litanję, a nigdy się tak szczerze nie modlił, jak wtenczas. Djabli się niby przelękli, więc wrzeszczą, że duszę stracą; krzyczą więc na Bartka, aby przestał się modlić, bo dopóki się modli, to go nie mogą do kotła wrzucić. Myśli sobie Bartek, tego mi też tylko trzeba. Więc im bardziej djabli ryczą, tem serdeczniej Bartek się modli, a prosi Boga, żeby go z tej sieni piekielnej wybawił, a już więcej nigdy wódki pić nie będzie.

Wszystkiemu temu przypatrywał się ów pan z ukrycia, a cieszył się, że Bartek może porzuci pijaństwo. Kazał potem zakadzić takim proszkiem na sen, a więc Bartek usnął niedługo.

Wtedy kazał go pan ubrać w piękne szaty, włosy mu spuścić, ogolić i zanieść do swego najpiękniejszego pokoju. Zastawiono stół najlepszymi potrawami, a potem obudzono Bartka. Ten przeląkł się z początku bo myślał, że jest w piekle, ale jakże się zadziwił, gdy ujrzał pięknie malowany pokój, a w nim pełno kwiatów, złota, srebra. A wtem w drugim pokoju zabrzmiała cudowna muzyka, że aż Bartkowi lekko i wdzięcznie na sercu się zrobiło. Słucha Bartek muzyki, aż tu widzi aniołów; byli to znowu poprzebierani słudzy, którzy go zapraszają do jedzenia. Bartek chce się ich pytać, ale ci się tylko ukłoniłi i dali mu znak, żeby nie mówić.

Mówi Bartek do siebie: „Pewnie jestem w niebie.“ Ukłęknał więc i dziękował Bogu za wyrwanie go z piekła i za to, że się dostał do nieba. Jadł potem i pił, a tam muzyka wciąż gra prześlicznie, że dziwa Bartkowi serce z piersi nie wyskoczyło.

W tem ucichła muzyka, a następujący głos dał się słyszeć: „Bartłomiej! za twoje pijaństwo dostałeś się wczoraj do sieni piekielnej, ale szczerą twoją modlitwą została wysłuchana; więc, jeżeli się chcesz poprawić, to wrócisz na ziemię. Ale wprzód na pewien czas dostałeś się do sieni niebieskiej, abys poznał jaką cię nagroda będzie czekać za dobre życie, a jaka kara za złe życie. A teraz powiedz czy przyrzekasz poprawę?“

Bartek ukląkł i zawołał: „Przyrzekam.“

„Pamiętaj więc — rzecze znowu głos — abys się nie dostał do samego piekła, które tysiąc razy jest okropniejsze jak owa sień (myśli sobie Bartek: nie wiem jak może być co gorszego), a w niebie milion milionów razy piękniej i lepiej niż w sieni niebieskiej. A więc popraw się Bartłomiej, a napominaj też innych ludzi, aby przestali pić wódkę.“

Wtem znowu odezwała się przesłiczna muzyka. Bartek był cały wzruszony. Ponieważ mu znowu w jednej potrawie dano proszku na spanie, więc też zasnął wkrótce.

Ubrano go potem w jego ubiór i wywieziono na to samo miejsce, gdzie go ten pan znalazł. Na pamiątkę włożono mu w kieszeń srebrny kielich z tej uczty niebieskiej.

Kiedy się Bartek obudził, tak zaczął naokół siebie spoglądać, a że księżyc przyświecał, więc poznał niedługo znajomą okolicę. Wtem przypomina mu się sień piekielna i niebieska, ale jemu się zdawało, że to mu się śniło. Wtem czuje, że mu coś cięży w kieszeni. Sięga ręką i wyjmuje piękny, srebrny kielich.

Wtedy Bartek struchlał, bo widział, że na prawdę był w sieni piekielnej, ale pocieszył się, jak sobie przypomniał, że był też i w sieni niebieskiej.

Uklęknął Bartek, a jeszcze raz przyrzekł uroczyście Bogu, że już się poprawi i wódki więcej do ust nie weźmie.

A księżyc aż milej zdało się przyświecał, gwiazdki się uśmiechały, a tam w niebie anieli cieszyli się bardziej nad tym nawróconym grzesznikiem niż nad 99 sprawiedliwymi.

Gdy spojrział Bartłomiej na niebiosa i wspomniął na Boga, wtedy zaczął płakać jak dziecko ze żalu, że tak ciężko Pana

Boga obrażał, a ludziom dawał zgorszenie. Wspomnił na żonę i dzieci i co rychlej pospieszył do swej zagrody.

Już świtać zaczęło, kiedy przyszedł do domu. Wchodzi do izby, a tu głodne dzieci wyrzekają, a biedna zaś żona siedzi i pracuje. Nie nie mówiła do Bartka, jeno nań żałośnie spojrzała, a zrobiło się tak Bartkowi, jakby mu kto nożem serce krajał. Przystąpił do żony, wziął ją za rękę i opowiedział rzetelnie wszystko, co mu się przytrafiło od początku do końca, a potem pokazał jej srebrny kielich. Oj ucieszyłaż się biedna kobiecina, widząc że Pan Bóg jej modlitwy wysłuchał.

Bartek nazajutrz poszedł do spowiedzi, a od tego czasu inne zaczął prowadzić życie. W karczmie nie powstała jego noga, wódki chronił się jak morowego powietrza. To też niedługo wrócił dostatek i szczęście do Bartkowej chaty, a zagroda aż się uśmiechała do każdego zdaleka.

Jakoś w rok przyjechał jakiś pan do Bartka. Był to ten sam co go znalazł na drodze, a potem tak go oduczył od pijaństwa. Oj byłoż tam śmiechu i płaczu, jak ten pan Bartłomiejowi całe zdarzenie opowiedział.

Bartek kręcił głową i niebardzo chciał temu wierzyć; onby przysiągł, że to była rzeczywiście sień piekielna i niebieska.

Ów pan zaś przywiózł różne podarunki dla Bartłomieja, żony i dzieci, a jednego chłopca dał uczyć na księdza. Wszyscy się zgodzili, że to Bóg tak natchnął tego pana, aby Bartka takim sposobem od nieszczęsnego nałogu odzwyczaił. Bartłomiej żył jeszcze długo; a do śmierci chował kielich na pamiątkę.

A co ludkowie, będziecie pili wódkę? Oj, oj pamiętajcie, że ta gorzałka zgotuje wam kiedyś potępienie. Oj mili ludkowie! proszę was pięknie, poprawcie się póki czas, bo tam na drugim świecie będzie za późno.

Tw.

O Tatarach w Polsce.

We wsi Siekiernicy była szkoła, a dzieci tam było tyle, że aż się dusza radowała, gdy sobie zaśpiewały czasem to coś

pobożnego to i światowego. A zawsze tam trzymał prym jeden Kubuś — on zaczynał każdą pieśń, a czasem i śpiewkę — on czytał najzwawiej, on się zawsze wypytywał to swego księdza to organisty o różne historie i rad słuchał. Otóż dał mu pan ze dworu jedną książkę, a tam zaraz na początku tak stało grubemi literami napisane: „O Tatarach w Polsce.“ Mądry Kubuś kiwał głową na tę nazwę i dumał sobie rozmaicie, coby to miało znaczyć? czy to byli jacy ludzie tacy, czy to jakie miasta? Aż zapytał się księdza raz tak:

— Mój Jegomość! co to znaczy słowo Tatary? co to za historie o nich?

Ks. Widzisz co dzień, gdzie słoneczko wschodzi — otóż het tam bardzo daleko, dokądby mocny chłop musiał iść jakie pół roku i ledwo by tam zaszedł, są kraje wielkie i strasznie górzyste, a na wierzchu gór są łąki wielkie, tam trawa rośnie w kolano, a gdzie nigdzie znowu leży sam piasek. I widzicie dzieci! na tychto górach wysokich między trawami mieszkali tacy dziwni ludzie, których my zwiemy Tatarami.

Kub. Ha! ha! widzisz, ja sobie też dobrze myślał, że to musieli być jacyś ludzie. A proszę Jegomości, w co oni wierzyli? czy tak wierzyli w Pana Jezusa i Najświętszą Pannę jak my Polacy?

Ks. Oj nie wierzyli! nie wierzyli tak! oni się nigdy nie chrzcili, nie mieli kościołów, nie słyszeli o Panu Jezusie nie, i byli tak prawie jak pogany. Żyli jak rozbójniki i naokoło rabowali.

Kub. A cóż robili po całych dniach? z czego żyli? czy tak orali jak u nas chłopci w Polsce?

Ks. Ot widzisz każdy taki Tatar miał swego konia, czasem miał i barany. Konie i barany pasł sobie na łąkach; a jak mu się jeść zachciało, to sobie wydoił sam kobyłę i nachleptał się końskiego mleka jak u nas źrebię; albo zrobił dziurę koniowi na karku lub w nodze, i nałykał się do syta końskiej ciepłej krwi, jak pijawka końska; a jak mu koń już ustał i nie chciał chodzić, to go tam obłupił, skórę sobie zostawił na obuwie, a mięsa nie rzucił ptakom i psom na żer, jakto u nas robią lu-

dzie, ale pożarł je sam tak, jak my zjadamy krowinę lub wołowinę.

Kub. A dla Boga świętego! to on żarł końskie mięso i chleptał krew końską i mleko kobyle!

Ks. To nie jeszcze, ale wiesz jak on żarł to mięso? Oto pokrajał konia na kawałki, a mięsa nie gotował w garnku przy ogniu, ale upiekł go trochę na słońku i tak surowe połknął — albo jak nie miał czasu kłaść go na słońku i pilnować, to włożył całą łopatkę końską pod siodło i tak jechał ze dwie mile na tem mięsie, aż mu się pod siodłem zagrzało dobrze, potem wydobył go z pod siodła i otarł tem mięsem spoconego konia, a wtedy tak pożerał smacznie, jak my to smacznie jemy szynki z wieprza.

Kub. Tato nie ludzie, ale psy! Że on też na to nie umarł, ani nie zachorował! A chleba on nigdy nie jadł?

Ks. Robił sobie placki z jęczmienia, ale najwięcej z prosa lub tatarski. I widzisz tłukł sobie to proso na kaszę, a potem wymieszał tę mąkę z kobylem mlekiem i kładł to ciasto nie do pieca, ale wydarł trawę z ziemi i na gołej ziemi nakładł gnoju końskiego suchego, podpałił to, a jak się ziemia zagrzała, to położył surowy placek, przysypał znowu popiołem i tak go upiekł, a potem pożarł.

Kub. A cóż to za niewiara, żeby taki śmierzący placek jeść, i to może jeszcze niedopieczony?

Ks. A wiesz z czem jadł ten placek? Jadł albo z końskim mięsem, albo nadrobił go do kobylego mleka, jak wam daje matusia mleko z podrobionym chlebem, i tak ręką i palczyškami niemytemi nabierał sobie do gęby, albo robił sobie z mleka kobylego coś tak jak wasz ser lub masło, i tem smarował placek albo maścił lemieszkę prosianą lub tatarczaną i pożerał bez łyżki lub noża, bo on tylko toporem rozcinał sobie mięso i placki. A znowu z tej serwatki lub maślanki robił sobie trunek kwaśny i trochę gorzki, i po jedzeniu opijał się jak bydle że aż rozum i pamięć tracił.

Kubus kiwał głową i zapytał: A jakże oni mieszkali? czy nie mieli chałup?

Ks. Gdzie tam rabusie kiedy mieli porządne chałupy! Tak samo i Tatarzy, ot mieli na czystym polu budy z płótna, albo wielkie koece lub derhy rozwieszali na kołach długich, i tam jak cielęta leżeli albo na trawie, albo na kocach lub derbach rozścielonych. Oni ani siali, ani orali, to też nie mieli ani stodoły, ani komórki na schowek, a jak żyli i jedli, tom ci już opowiadał.

Kub. A jakie suknie nosili ci rabusie?

Ks. Z baranich kudłów robili sobie takie płótna, i mieli z nich to koece, to derhy na konie i na pościel — gdy mu trza było portki sprawić, to sobie pomalował te kudły, i zwykle nosili szerokie portki (spodnie); ze skór baranich miał każdy kożuch i często go obracał do góry kudłami, jak to u nas chłopcy wywracają kożuch na nice kiedy deszcz leje, a czapki nosili wysokie baranie, tylko były kończaste; tak też ubrani wsiadali na konia i jechali na rabunek. Miał każdy wtedy topor ostry do rąbania ludzi, miał łuk i strzały, miał różne rzemyki długie i mocne, i temi rzemykami wiązał biednych ludzi to za ręce w tył, to za kark, i tak ich gnał naprzód jak bydłęta — a tych ludzi zabierał wtedy, kiedy gdzie wpadł na rabunek.

Kub. A cóż robił potem z temi ludźmi zabranemi?

Ks. Oj Kubuś! Kubuś! Aż niedobrze gadać o tem, co ci rabuśniki obrzydli wyrabiali z biednym ludem! Jeżeli był kto stary i już na nie nieprzydatny, to widzisz kopali doły w ziemi, tam ich wsadzali aż po głowy, a potem przywalali gliną, tylko im głowy nie przywalali, a to na to, aby potem po napitku odcinać im głowy toporem, jak to u nas ścina się trawa kosami na łące — albo zdejmowali im suknie do pól i na trzydzieści kroków ich stawiali, a potem do gołej piersi strzelali z łuku ostremi dzidami i tak ich zabijali okrutnie — osobliwie młodzi chłopcy uczyli się tak strzelać z łuku. Albo kazali tym biedakom siadać na gołej ziemi jeden koło drugiego, a potem kładli jaką deskę lub drewno na ich głowy i siadali na to, jak my siadamy na ławce albo na stołku, i tak ich zagnietli na śmierć po długich mękach. A jeżeli był kto młody, to go sprzedali na targu jak bydle, i już on więcej nie wrócił do domu, nie widział ani ojca, ani matki, ani swoich ludzi. A młode dziewczęta i matki zabierali na pastwę i rozpustę dla siebie.

Kub. A czyż mieli oni jakie baby swoje?

Ks. Mieli baby, i to nie po jednej, a te baby jechały za nimi to na koniach, to na wózkach, a te wozy tak skrzypiały, że o pół mili było słyszeć ten pisk i wrzask, a wtedy kto mógł to uciekał i zostawiał wszystko na zmiłowanie Boże, nawet ptaki tak się lękały tego, że chmurami leciały naprzód i strasznie krzyczały. A dzieci ich tylko do siódmego roku były w budach, a potem już na osobnych koniach jeździły — osobliwie chłopcy. Jak miał chłopiec 12 lat, już musiał iść z ojcem na rabunek — a jak chciał chłopiec jeść, to mu ojciec zawiązał mięso lub placek w worek i zawiesił na sznurku na wysokiem drzewie i kazał chłopcu tak długo strzelać, dopóki nie wycełował dobrze i nie odstrzelił sobie sam tego worka z jedzeniem. Tak się uczyli chłopcy dobrze do celu strzelać z łuku!

Kub. A proszę Jegomości! zkądże się te gadziny wzięły u nas w polskim kraju?

Ks. Widzisz Kubusiu! Tam na górach widać już i zabrakło tym poganiskom trawy i wszystkiego, a może ich ztamtąd wygnali inni jacy ludzie; otóż oni zeszli z tych gór na doliny i szli sobie hurmami pomału coraz dalej ku zachodowi, przechodzili przeróżne kraje, a wszędzie rabowali, palili, zabijali, aż przyszedli i na granicę polską. Oj opowiem ja ci nieraz historie różne, co to wyrabiali ci Tatarowie w naszym polskim kraju — aż włosy stają na głowie na te okropności! Otóż widzisz zabrali oni nad Czarnem morzem wiele kraju na pastwiska dla siebie, tam się osiedlili i z tamtych stron napadali na Polskę to z Moskałem, to z Turkiem, i rabowali polską ziemię jakie 200 lat.

Kub. A czy oni są jeszcze gdzie?

Ks. Teraz już się ochrzcili, i są spokojni ludzie, nawet wielu ich zostało w polskim kraju na zawsze i byli bardzo dobrymi Polakami.

Kub. A czy to oni tacy ludzie, jak i my? bo to powiadają o nich, jakoby mieli tylko jedno oko!

Ks. Nie wierz temu Kubusiu! Oni byli podobni do nas ciałem, ale duszą i sercem to nie. Oni mieli głowy jak my, tylko włosy krótkie, oczy małe, nos drobny i krótki, pysk szeroki, a twarz u nich to równa jak deska; byli miernego wzrostu, a mieni i krępowaci, bo oni też nie nie robili tylko na koniu jeź-

dzili i rabowali. Na koniu potrafili i 20 mil na dzień ulecieć — konie ich tak małe jak nasze, ale wytrwałe i mocne.

Kub. To pewnie mamy od Tatarów tatarkę czyli hreczkę, bo jużci podobnie się nazywa?

Ks. Tak jest Kubusiu! I proszę i hreczkę mamy od Tatarów — tyle dobrego po nich! a jeżeli kto kogo bardzo wybije, to mówimy do dziś: O jakże go wytatarował doskonale! I to nam przypomina, jak okrutnie pastwili się Tatarzy na polskim ludu! A jeżeli teraz przeczytasz sobie tę książkę, co ci dał pan we dworze, to tam znajdziesz różności, a ja ci jeszcze nieraz dopowiem rzecz niejedną.

Ks. Wojciech z Medyki.

R Ó Ż N O Ś C I.

Rozmaite przykłady. Stary Jakób, to tak mu było imię, póki mógł codzien- nie od wschodu do zachodu słońca, pra- cował na wyżywienie syna, ale kiedy dziadownie siły już zakrzepły, wtenczas doznawał najgorszego obchodzenia się od syna i synowej. Pamiętam jakby dziś, co to wyrodne dzieci ze starym Jakóbem wyrabiały. Nie sypiał z dziećmi w izbie, jeno mu w sieni za drzwiami zrobili kojec z kołków, do którego wrzucili trochę gołej słomy, i tam stary siedzieć musiał, bo już chodzić nie mógł. I tu on niepró- żnował: darł pierze, skrobał kartofle, aby darmo, jak mawiali, stary strawy nie jadał. Dawano mu jeść razem z dzie- ćmi, ale to jedzenie najgorszą było dla starego męką, bo dzieci swawolne były starego łyżkami po twarzy, odpędzały od miski i wrzeszczały na całe gar- dło, że ich dziadek odjada. Ani słó- wka użalenia nie mógł starszek zi- pnąć, bo zaraz syn wykrzykiwał: A to sobie idź stary gdzie ci się podo-

ba, kiedy ci źle! Jaki mi wybredny!... nie nie robi tylko leży, darmo mu jeść muszę dawać, a on jeszcze wy- bredza!... jaki to dokuczny dziad!...

Wreszcie gdy przyszła zima, Grzę- dowie uradzili, żeby starego wygnąć z chałupy. Co tam, mówi synowa, trzymać dziada w domu! je tylko i pije za darmo, a nic nie robi, a je- szcze wydziwiał. Niech sobie idzie po prośbie, to mu tam przecie każdy co rzuci, to się obżywi bez naszej krzywdy.

— Ha, no, prawdę mówisz, rze- cze Franciszek. Tatusiu! idźcie sobie w świat, bo ja już nie mogę was dłużej trzymać, na niebym się styrał.

— O moje dziecko, masz-że ty sumienie? zawołał Jakób, wyganiać mię z domu na stare lata, toć mi chyba przyjdzie gdzie pod płotem umrzeć z głodu!

— A cóż mi tam do tego, dyć ja wam nie każę umierać, od tego macie głowę, żebyście nie umarli.

— Niech ci Bóg tego nie pamięta mój synu, ale zlituj się i choć mię czem okryj, boć tam mróz srogi, to na drodze uskwirnę od zimna.

— Weźcie sobie starą derkę, to wam będzie ciepło.

Okrył się biedny staruch i szedł ku drzewom, a Franciszkowie stojąc przy kominie nawet mu „Bóg prowadź“ nie powiedzieli; a gdy już był na progu, skoczył za nim Staszek, wnuk Jakóba, a syn Franciszków, i chwyciwszy za koniec derki zawołał: Tatusiu! a nie dajcież dziadkowi całej derki, przedrzyjcie ją i dajcie tylko połowę!

— Idźże głupcze, mówi Staszekowi ojciec, co tobie do tego, co ty masz kawałka derki żałować?

— Ja tam dziadkowi derki nie żałuję, ale widzicie jak ja urosnę i będę was z domu wyganiać, to czemuż się odziejecie?

Franciszkowie zbledli od strachu, spojrzeli po sobie, a widząc w tej chwili dziecka objawienie zasłużonej kary Bożej, przeprosili starego, zawrócili go napowrót, i od tej chwili dawali mu należytą wygodę i nigdy od nich marnego nie usłyszał słowa.

Michalek, ubogi sierota chodził od wsi do wsi, po prośbie, przyszedł w końcu do jednej wsi i prosiło nocleg u młynarza. Młynarka poczciwa i miłosierna kobieta przyjęła go do izby i posłała na ławie.

Niedługo wszyscy pokładli się spać, a gdy rozmyślał nad swoją biedą, usłyszał obok siebie tykanie zegarka srebrnego. Przypomniał sobie

wprawdzie zaraz siódme przykazanie „nie kradnij“ — ale za chwilę znowu ta sama myśl napastować go poczęła: „mógłbyś go sprzedać“ szeptało mu coś do ucha, a kupić sobie przyodziewkę, i poszedłbyś na służbę i nie potrzebowałbyś dłużej chodzić po proszonym chlebie, zapomniałbyś o biedzie i głodzie. Młynarz i tak człowiek bogaty, to tam dla niego nie wiele znaczy, a tybyś mu potem, jak się dorobisz, mógł wszystko wynagrodzić.

Jakbądź, wybijał sobie te myśli z głowy, ale mu się przecież ciągle nasuwały. Poznał nareszcie, że się nie zdoła oprzeć pokusie, i postanowił w ucieczce szukać ratunku; otworzył okno, a choć było wysoko i niebezpiecznie, wyskoczył śmiało i począł uciekać jak gdyby się ziemia pod nim paliła, aż wreszcie potknąwszy się o coś stojące w polu, upadł zmordowany i usnął.

Już był dzień jasny, kiedy obudzony się spojrzął do góry i ujrzał nad sobą szubienicę, pod którą całą noc przeleżał; poznał że go tym sposobem sam Pan Bóg ostrzegł, i wybawił z pokusy, któraby go była zaprowadziła na szubienicę.

Potem powrócił do młyna i opowiedział młynarzowi wszystko, dla czego w nocy uciekł. Młynarz człek bezdzietny a majątny, widząc dobre serce i poczciwość wproszalnym chłopcu, wziął go na służbę; a gdy mu przez kilkanaście lat wiernie pracował, umierając zapisał mu cały swój majątek. I tak mu Bóg za to pobłogosławił, że odrzucając złe myśli i pożądliwości, uciekł od pokusy i zachował przykazania Pańskie.



11. Listopada.

1861.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

**Ś. MARCIN,
rycerz i biskup.**

Na słowiańskiej ziemi, na tej ziemi, gdzie naszych dziadów i pradziadów pokrewne rody mieszkaly, urodził się święty Marcin. Nie tylko więc wiarą prawdziwą jest nam bliski on św. rycerz i biskup, ale i tem, że pochodzi z tegoż samego wielkiego gniazda słowiańskiego, z kąd i my pochodzimy, a nie z żądnych Niemców i Włochów. Nie darmo też bierzemy sobie go bardzo często za patrona i opiekuna; chcąc zaś atoli wedle imienia i w ślady jego cnót wielkich wstępować, posłuchajmy tu historii jego świątobliwego żywota.

Nie minęło było i czterysta lat po narodzeniu Chrystusa Pana, jak żył św. Marcin; było więc jeszcze podówczas wiele pogaństwa i bałwochwalstwa na ziemi, a zgoła i ojciec świętego Marcina był także poganinem. Pomimo tego okazywał on święty od samego dzieciństwa wiele skłonności ku nauce Jezusa Chrystusa, do chrztu się gotując, a chociaż ojciec jako wojownik

do rycerskiego rzemiosła go wprawiał, przecież św. Marcin przez trzy lata między poganami na wojnie będąc, chęci swej do ochrzczenia się nie stracił, a owszem bardziej ją w sobie wzmocił.

A już podówczas wielkie cnoty kwitnęły w świętym rycerzu: dziwna miłość, cierpliwość, pokora i wstrzeмиężliwość. Największą atoli była w nim miłość ku bliźnim, dla której wszystko uczynić był gotów. Ze sługą swoim w wojsku obchodził się jak z rodzonym bratem; pomagał mu we wszystkim, a nieraz bywało i on mizerakowi usłużył. Rozdając zaś wszystko między ubogie, nie miał nic zgoła prócz tego, co mu najpotrzebniejszym było w rycerskim stanie.

A oto trafiło się raz, że gdy w czasie srogiego zimna wjeżdżał w bramę pewnego miasta, ujrzał nagiego i zziębniętego, co u przechodniów zmiłowania prosił. Poruszyło się serce św. Marcina na widok owej nędzy, spojrział po sobie, lecz cóż, cały swój dobytek rozdał już był między ubogie, i nie miał nic prócz zbroi żołnierskiej i płaszcza. Ale ów nędzarz spogląda błagalnie drżąc na całym ciele od zimna, a każdy z ludzi co przejdzie, to nawet nie spojrzę na biedaka. Więc święty rycerz skoczy czempredziej z konia, a dobywszy szabli przecina płaszcz swój na dwoje, i jedną połówką nagiego nakrywa, a drugą wiesza na sobie! A na ten widok jedni ludzie śmiali się, a inni wstydząc się wzdychali, a św. Marcin zaspokojony w sercu widział teże nocy we śnie Pana Jezusa, a na nim ową połowinę płaszcza dla ubogiego odciętą, gdyż sam Zbawiciel nauczał ludzi: iż cokolwiek ubogiemu uczynicie, mnie uczynicie!

I odtąd stał się Marcin święty najwierniejszym wyznawcą i sługą Chrystusowym, a porzuciwszy rycerskie rzemiosło, poszedł na naukę do św. Hilarjusza, wielkimi cnotami i świętobliwością podówczas słynącego, i tam ćwiczył się w dobrem i służył Bogu. Aleć w nauce i cnotach wyéwiczony, przypomniał sobie rycerz święty, że jego ojcowie w grubej ciemnocie pogaństwa jeszcze pozostają. Więc wziął kij do ręki i szedł w drogę, do swojego kraju.

Miło było św. Marcinowi, że wraca do rodzinnych kątów, że oglądnie tę ziemię i te drzewa i to niebo, które na świat przyszedłszy pierwszy raz obaczył. I szedł rzeźko, a idąc chwalił

Boga i nawracał ludzi, a taką siłę jego mowie nauka i cnoty dawały, że nawet rozbójnika do skruchy przywiódł, będąc przezeń w lesie napadniętym. Więc tak za wolą i pomocą Boską przyszedł szczęśliwie aż w rodzinne strony, i tam rzucił się w objęcia swych ojców. Atoli smutkiem okryło się wnet jego serce, bo jeno matkę mógł nakłonić do świętej wiary chrześcijańskiej, a ojciec uporeczywie trwał w swoim pogaństwie. Nie pomagały proźby i zakłęcia kochającego syna, więc niezadługo musiał odejść Marcin święty z boleścią w sercu, musiał opuścić znowu rodzinne progi, nie mogąc ojca nawrócić.

Po różnych przykrościach i prześladowaniach w drodze i w obcych krajach, szedł po raz drugi św. Marcin do świątobliwego biskupa Hilarjusza, i nieopodal od niego zamknął się w klasztorze, a tam cichy i nieznany, cały swój żywot na służbę Bożą obrócił. I długo tam mieszkał, i bardzo wiele dobrego bliżnim swym czynił, zasługując sobie uczynkami swemi na chwałę niebieską. A gdy go podonczas na biskupstwo wołano, on wymawiał się od tego pełen pokory, a nie czując się godnym na pasterza, zamknął się w komórecie, i nie wychodził ztamtąd, nie chcąc by go proźbami daremnie trudzono. Gdy atoli przyszedł był raz pewien człowiek do klasztoru, błagając go by poszedł do jego słabej niewiasty, a on wyszedł spełnić ten obowiązek kapłański: natenczas otoczyli go wierni na około, i tak gromadnie prowadzili do miasta, i tam w kościele biskupem go obwołali, na co inni biskupowie także się zgodzili.

Na tem wysokiem stanowisku pasterza będąc, nie zmienił św. Marcin zupełnie swojego sposobu życia; skromnie jadł, ubogo się ubierał, a między ludzi cały swój rozdawał dobytek. A tak wiele dobrego i cudownego czyniąc, doczekał wysokiej starości, i wielkiej za życia czei i miłości u ludzi. A gdy czuł, że mu już śmierć bliska, natenczas modlił się do Boga temi słowy:

— Panie, jeśli jest potrzebny ludowi twemu, z pracy się nie wymawiam: stań się wola Twoja. Ciężkość w tym ciele zostać, a staremu jużby pokój był miły; ale jeśli robić jeszcze każesz, zdaję się na wolę Twoją, a jeśli mię już z pracy wypuścić chcesz, jako starganego laty i robotą, strzeż-że sam trzody Twojej.

I skoro niemoc go powaliła, to leżał we włościennicy i na popiele, a z oczyma w górę zwróconemi i modlił się. A gdy go chcieli na miększą pościel przenieść, to nie pozwolił, mówiąc, że mu się nie godzi inaczej umierać. Jakoż tak oddał Bogu świątobliwego ducha, a był po zgonie uśmiechnięty cały, i ciało jego białe i niewinne jakoby niemowlęcia.

Ileż tu nauki dla nas z żywota tego świętego! Miłosierdzie i pokora, oto dwie wielkie cnoty, których nam tak bardzo brakuje! Ileż to razy pomijasz bracie biedaka w łachmanach drżącego od głodu i zimna, nie spojrzawszy nawet na niego, a ileż to razy wynosisz się nad drugich, bijesz i poniewierasz sługami, i pogardzasz każdym co mniej ma od ciebie? O zaprawdę! bez miłości bliźniego i bez pokory a łagodności w duchu i w uczynkach nie masz szczęścia na tej ziemi! Jeżeli enotami temi nie ozdobicie serc waszych, to wrota niebieskie będą przed wami zaparte!

Z Bogiem!

Z Bogiem wszystko nasi starzy
Zaczynali i kończyli:
Więc wesołej byli twarzy,
I szczęśliwi każdej chwili.

Był dobytek, było zboże,
Bo czynili z bożą chwałą;
Dziś pług darmo skibę orze,
Szczęścia mało, chleba mało!

Smutne czasy, brak panuje,
Znać że Pan Bóg ludzi kara;
Nikt biednego nie ratuje,
Bo wygasła w sercach wiara.

Więc do Boga bracia mili
Wznosicie prosząc wasze oczy:
A On serca wam nachyli,
Lepszą dolą was otoczy.

Gdy ła świeci w waszem oku,
Niedostatek guiecie strzechę:
To do Boga!... On z obłoku
Zesze wkrótce wam pociechę.

Dziś wam smutno, złe się mnoży,
Każdy jęczy, że go ciśnie;
Więc mów pacierz! a gniew boży
W zlitowanie się rozbłyśnie.

Za Ojczyznę drogą waszą
Nieście modły, a w pokorze!
Gdy was smutki nie odstraszą,
To Bóg z nieba dopomoże! —

Józef z Bochni.

Jacy byli mój nieboszczyk pan ojciec, i co opowiadali o panu Kościuszcze.

Mówią, że każda liszka swój ogonek chwali. Oj, nie dlatego pochwalę ja mego nieboszczyka pana ojca, że byli mym rodnym, ale że i cała wieś poświadczy za moim ojcem. Toć byli wciąż starszym Bractwa przy farze, a wiecie, że na starszego to tam byle kogo nie poda żaden z braci.

Więc przykładalić się też tam i pan ojciec do chwały Boskiej, a Pan Jezus dał się im za to doczekać starości nie lada. Osiemdziesiąt lat mieli, kiedy ich Pan Jezus zabrał do swojej chwały. Siwiutcy zmarli niebożatko przed sześciu laty. Wieczny odpoczynek i światłość wiekuista niech tam świeci ich duszy.

Serce się targa ze żalu, gdy wspomnę, że już nie ma na ziemi tego, którego ma dusza miłowała niezmiernie. Trudno, tak się widać panu Jezusowi podobało zostawić nas sierotami a im ukrócić niedoli ziemskiej. Bo przeżyli też mój ojciec biedy i kłopotów jak rzadko, a doświadczyli jak mało. I umieli z doświadczenia udzielić rady i pociechy każdemu, kto tego potrzebował. Często, o i bardzo często brał nas chłopców pan ojciec ze sobą w pole, a miał nas trzech synów, a wszystkich trzech do wojaczki przeznaczal, choć sam niebożatko wojaczki zaznal aż do syta.

Raz pamiętam szliśmy, a słońce miało się ku zachodowi; promienie jego odbijały się jaskrawo o wieżyce kościołów krakowskich i oświetlało mogiły drogiech bohaterów: starego Krakusa i ulubionego Kościuszki. Bliski kopiec Kościuszki, na wzniosłej górze Sikorniku wzniesiony po nad wszystko co go otacza, a uwieńczony jasnym promieniem zachodzącego słońca, wyraźnie oznajmiał, że nagrobek taki nie zwykłych przypomina ludzi. Ponury cień góry a siarczyscie oświetlona mogiła wzbudza już sama uszanowanie, choćbyś i nie wiedział kogoby ona wspominać miała. Zobacz każdy choć raz w życiu pomnik ten wspinały!

Dziwnie też wpływał ten widok na nasze młodociane dusze. Posępieliliśmy zaraz a patrzeliśmy wyteżywszy oczęta. Pan ojciec opowiadali to i owo, ale skoro spoglądnęli na mogiłę i wspomnieli o panu Kościuszcze, to im łzy jasne stanęły w oczach!

I ciehe było milezenie za powrotem, a gdyśmy już byli w domu, jął pan ojciec w ten sens opowiadać:

— Kiedy Moskale uwzięli się na zatracenie naszej Ojczyzny, naród, co sobie prawa na odbudowanie swoje ułożył i prawa te konstytucją 3go maja nazwał, widział w panu Kościuszcze podporę swych uczeiwych chęci i jedyną nadzieję ratunku. I nie zawiódł się nikt na panu Kościuszcze. Przybyłei on do Krakowa a narodowi wierność zaprzysiągł, jak równie takiej przysięgi i od narodu zażądał. Oj pamiętam dzień ten: było to właśnie na wiosnę, bo 25 marca 1794 roku, a zdawało się też, że z wiosną nadchodzący rok wieczną w kraju wiosnę zaprowadzi. Siła ludu okolicznego zeszło się do starego Krakowa, a i ja widziałem na własne oczy pana Tadeusza Kościuszkę, widziałem jak trzymał miecz w ręku, a obok niego krwawo odbijała czerwona krakuska. Podniósł miecz w górę, i tym mieczem Moskali z kraju wypędzić przyrzekał.

— Nie boję się nieprzyjaciół — rzekł ukochany naczelnik — was się tylko boję!

A wiedział ci wiedział, że byli tacy co z Moskałem trzymali; oj zdrajey nieszczęsni i nieuczeiwi, bo nikt uczeiwy z Moskałem jedno trzymać nie może. Więc zrobili, co chcieli: sprowadzili klęskę na wszystkich, a na siebie pogardę wieczną. Onié to byli, co niedbali o pana Kościuszkę kiedy on walczył i mizolił się z biednym narodem; onié opuścili i zdradzili drogiego naczelnika, bawili się i hulali, kiedy krew bratnia lała się ostatecznie pod Maciejowicami. Niech zaginą ich imiona wraz z ich czynami, bo też czyny takie nie powtórzą się nigdy w tej naszej ojczyźnie.

Skoro też słaba była pomoc, przegrał pan Kościuszeko, ale z chwałą i sławą, a wdzięczny naród wielbi jego szczere i niezachwiane chęci, i tu oto usypał pomnik jego sławy a miłości ku niemu, i tu wyraził, że Kościuszeko jest obrońcą konstytucji 3go maja, boć ze wspomnieniem Kościuszki łączy się oraz pamięć

tych praw narodu. A trzeci maj to święto narodowe, święto niezmierne, bo wspomnienie nadania praw, połączenia się całego narodu przez równość i braterstwo, i wspomnienie obrońcy praw tych: ubóstwionego naczelnika Tadeusza Kościuszki. Od dnia tego rozpoczęła się też otwarta bójka z Moskałem szatanem i wszystkimi, co ciemności i głupoty ludzkiej pragną. Niech każdy więc ze czcią i wdzięcznością wspomina sobie na życie tego wojownika, na jego trudy i prace podjęte dla narodu, i na jego ogromną miłość dla swoich współziomków! —

Łzami się tu zalali pan ojciec i nie więcej mówić nie mogli. Wspomnielić sobie zapewne z boleścią wszystkie nieszczęścia, które nas po upadku obrońców spotkały. I myśmy posmutnieli, choćśmy ta dzieci może i nie rozumieli dobrze wszystkiego, co nam pan ojciec rzekli. Po chwili rozweselił znów twarz swoją pan ojciec, gdy wspomniął, że Kościuszko Moskali tyrał i bił, jak na to zasłużyli. Więc tak mówił trochę weselej:

— Miałem lat dziewiętnaście, gdy pan Kościuszko stanął w Krakowie. Wszystko co żyło leciało do pana Kościuszki, bo wszyscy byli pewni, że on jeden zdolen wypędzić nieprzyjaciół, a oswobodzić Ojczyznę. Poleciałem-ci i ja za innymi, a nikt z chłopów nie został doma, chyba co ślepy i kulawy. Wszystko się łączyło z panem Kościuszką, bo go uważali ludziska jakby zesłanego z nieba na oswobodzenie nasze. Różne rzeczy rozprawiano też o tym wojowniku, o jego waleczności a odwadze. Wódz to był tęgi: sam zawsze naprzód, sam dojrzał i sam się wywiedział a osobiście opatrzył co było potrzeba. Wszędzie był i wszystko widział.

Raz potrzeba było doskonale rozpatrzyć, jak stoją Moskale. Pan Kościuszko sam osobiście przebiera się za chłopą, (choć i tak zwykle z chłopska się nosił, bo po krakowsku: w białej sukmance i czerwonej czapeczce); bierze nie wiele myśląc siekierkę na ramię i idzie wprost do obozu moskiewskiego, niby to na zarobek. Więc tam dali mu Moskale drwa do rąbania, a za robotę mieli zapłacić kawałkiem chleba takiego, jak sami jadają, a wiecie, że w wojsku takich tyranów to starsi co lepsze skradną i zjedzą, a żołnierzowi otrębami z piaskiem żywić się każą. Takiego chleba miał dostać pan Kościuszko za rąbanie

drwa; aleć jemu nie o chleb chodziło, jeno żeby się opatrzyć. Tak też zrobił: zobaczył gdzie? jak? co? i nuż w nocy z żołnierzami za panie brat pieć i jeść. Popił łajdaństwo tak, że i straż zasnęła, a on nuż do armat, i gwoździami het dziurki pozabijał, bo tak zagwożdżone armaty na nie, chyba je rozbić i przepocić. Tak im zrobił, a dla wydrwienia z nich zostawił jeszcze i porozrzucał karteczki z napisem:

Był tu Tadeusz Kościuszko, rąbał drwa:
Jutro Moskale nie zostanie ani dwa!

Zmiarkowali się Moskaliska, ale już było nie rychło, bo pan Kościuszko dotrzymał obietnicy święcie. Z rana zaraz hura nasi z Kościuszką naprzód, wysiekli wszystko co się broniło, na kwaśne jabłko, że i żywa dusza nie została, a zagwożdżone ich armaty potopili w błocie. I nie mało było uciechy a radości z tego wytępienia gnębicieli i tyranów, co nieproszeni do nas przyszli, chcąc nas drzeć choćby z ostatniego a trzymać w niewoli. Dla takich nie ma litości, bo jeżeli nie my im, to oni nam to samo uczynią. —

Tu przestali i podumali chwilkę pan ojciec, a potem odchrząknawszy, tak znów jęli prawić:

— Kiedy indziej przebrał się znów pan Kościuszko za parobka, niby maziarza, i wiozł maż na sprzedaż do obozu Moskale. I zobaczył też czego chciał! Moskale się śmiali z niezręczności maziarza, a on im za to porozrzucał karteczki:

Był tu Tadeusz Kościuszko z mazią:
Jużci Moskale z obozu nie wylazą!

A rozumie się że nie wyleźli, bo ich nasi zaraz otoczyli, i ani jednego cało nie wypuścili, wyrąbawszy do nogi. Toż cuda prawiono o panu Kościuszcze, a wszystko to dowodzi, że Kościuszko był odważnym i śmiałym, jak rzadko. Zdradzili go, toż musiał paść zwyciężony.

Oj! nawiedza nas Pan Jezus nieszczęściem, ale też ma za co; bo niezmasane jeszcze ojców naszych przewinienia, co nie poznali zbawcy swego i nie uczcili należyte. Opuścili naczelnika, kiedy najwięcej na ich pewną pomoc rachował. A skutkiem u-

padku było podzielenie kraju naszego i wszystko złe, czegośmy doświadczyli.

Między trzy rządy podzielono Ojczyznę naszą. Tyrani Moskale, oj znacie ich i wiecie co się u nich dzieje: zabrali największy kawał ziemi, prześladują religię, wiarę naszą, wypędzają z kraju najzacniejszych ludzi a nasyłają takich, których od szubienicy odcięto. Nigdzie prawa, nigdzie sprawiedliwości, wszędzie samowola jak zwykle w tyrańskim rządzie, gdzie starszy młodszego za nic nie ma, a sam znów popychaczem przełożonego. Niepotem Prusak, pomocnik i sługa Moskala, odszczerpieńca od wiary, chytry a zdradliwy, zabrał co mógł dopaść, jak zwykle nieuczciwym sposobem. Tam rządzi i kłamie sobie samemu, a dopuszcza się największych krzywd i zniewag uciesnionego ludu. Ostatni grosz oddałbym z chęcią, byle się tylko pozbyć tak okrutnych a zdradliwych rządów! —

Mój Boże! tak też robił nieboszczyk tatusieniek, jak mówił, choć mu tego Boże zachowaj! za złe nie mamy. Ale pamiętam ja jeszcze jak to było! Kiedy nasza pogiębiona Ojczyzna podnosić się zaczynała, a młodzież biegła na ratunek: tak-ci przyszło do nas dwóch panów, pięknych i rośliwych, co się przez Wisłę przeprawili, a Moskala bić spieszyli. Przyjął-ci ich nieboszczyk tatuś jak mogli, posilili się panowie, a pan ojciec na noc ich zatrzymać musiał koniecznie. Była to zima, mróz, a nie było w domu i trzaseczki drzewa, by w piecu dla tych panów zapalić. Sami oszczędzaliśmy się jak mogli; pan ojciec łożył, gdzie mógł komu dopomódz, aż brakło na wszystko zupełnie, że i opału nie było za co kupić.

— Weź ten koszyczek i chodź za mną! — rzekł pan ojciec do mnie.

Weszliśmy do stodoły, stanęli, a pan ojciec na przyciesi, chrast, chrast siekierką z belki, a ja zaniósłem trzaski i zapaliłem w piecu. Stodolina stoi do dziś dnia, a nikt nie wie, że się tam pamiątka dla mnie znajduje, co mi łyzy z oczu wyciska, ile razy na ociosaną belkę spoglądnę. Wspominam sobie bowiem zaraz słowa ojca: że na dobro oswobodzenia Ojczyzny niczego żałować nie powinniśmy, jak to tatuś jak mógł czynili, a i nam tak czynić zalecali.

— Jeden rząd gorszy, niż drugi! — mówili nieraz pan ojciec. — Dręczy Moskal, ale już wie każdy przynajmniej, że to Moskal. Uciska też Prusak, a wykrętnym sposobem nazywa się sam ucywilizowanym, i za człowieka dobrego uchodzić pragnie. Nie ma już chyba gorszego stworzenia jak Prusaki, dlatego to obrzydłe robaki Prusakami nazywamy. Kto wie o ich początku, już się nimi brzydzić musi. A zapewne, taé to ich przodkowie byli zakonnikami, a opuścili świętą wiarę i zltrzeli, by się babcie mogli. Ot obrzydliwy to lud, i basta! Rząd austryjaeki szanuje przynajmniej religię naszą, bo sam tę samą wiarę co i my wyznaje. Ale tamci inni to zgoła odbierają wolność, prawa, zabraniają mówić własnym językiem, a nasyłają ludzi obcych, by nami rządili i z nami robili, co im się podoba. Kiedyż to kiedy zmieni się ta nasza dola nieszczęsna, której sami jesteśmy przyczyną za nasze wielkie grzechy i przewinienia ojców naszych. Poprawmy się a Bóg się nad nami zlituje! —

Tak zawsze kończyli opowiadanie nieboszczyk pan ojciec, a na tem i ja zakończę: — Poprawmy się, a Bóg się nad nami zlituje, i natchnie nas przez Ducha swego miłością ku sobie a odwagą do każdej walki ze złem, szkodliwem duszy i ciału.

Paweł z Uscia.

List Marcina Grzędy do Grzesia z Mogiły.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Witam Was mój Grzegorzu, choć tym oto piórkiem, kiedy już własną osobą serdecznie Was uściskać nie mogę, a pozdrawiam też i Waszą po starej znajomości. Może Was to zadziwi zkąd mię taka ochota do pisania napadła, aleé wnet wyrozumiecie jeno przeczytacie, że to korcei choć opisać serdecznemu znajomemu, kiedy już powiedzieć nie można, co się tu ciekawego widziało i słyszało. Zaczynam więc w imię Boże.

Jakem wyjechał od Was, to wicie zem jechał do pana Zaleskiego w służbę, za furmana. Owóz poszczęściła mi się ta

służba, bo jestem już prawie trzy kwartały, ale sobie nie a nie nie krzywduje; bo pan człek sumienny i sprawiedliwy, a przytem takiej miękki i łagodny, że jeno słówko przemówi, a spokojnie a po przyjaźni, to choćbyś nie wiedzieć jaki był zły albo smutny, duchem cię chwyci za serce. A że też i pani dusza słodka i anielska, więc mi z takim państwem jeno żyć aż do samej śmierci. Tęskni mi się czasem za Wami i za wszystkimi, bo to człeka, choćby był i w niebie zawsze coś ciągnie do rodzinnego kąta, aleć wtedy sobie wesoło zaśpiewam, do roboty się chwycę, i jakoś to przeminie... A bodaj cię!... rozpisałem się o niepotrzebnych rzeczach, a czasu i papieru nie dużo, więc wracam do swego.

Owóz jakoś tak z tydzień przed narodzeniem przeczystej Paniunki przyszedł pan do studni jakem poił konie i rzecze: — Mój Marcinie, wyciągnij-no powóz, oczyść go i oglądnij, bo da Bóg za trzy dni ruszymy w dalszą nieco drogę. A ja na to: — A dokądże to pojedziemy? — Wtedy pan mi rozpowiedział, że pojedziemy na odpust do Częstochowej, bo odpust będzie niesłychany, jako że z różnych stron polskiej ziemi ściągają tam kompanje. Więc ja z radości małym ze skóry nie wyskoczył, bom sobie przypomniał na to, co to o tej Częstochowie i o Jasnogórskim klasztorze zaraz w I tomie „Dzwonka“ a w trzecim numerku napisane stoi. I ucałowawszy pana w rękę na podziękowanie, że do tego świętego miejsca pojedziemy, wziąłem się zaraz krzątać koło koni i powozu, tak że trzeciego dnia rychło świt, wszystko już stało w porządku.

Jakoż więc wybraliśmy się do Częstochowy, pan mój czarno ubrany, pani też w czarnej sukni a z krzyżem na piersiach i z książką do nabożeństwa jak się patrzy; więc i ja „Złoty ołtarzyk“ schowałem do ferezji, a pani mi do krakowskiej czapeczki czarne wstążki przyszyła, bo to moiściewy het po całej polskiej ziemi teraz ludzie w grubej żałobie chodzą, a to wszystko z przyczyny tego Moskala niewiary, co niewinnych i bezbronnych zabija. W imię Boże, zrobiłem krzyż święty przed kołmi i ruszyłem, a bez żadnej przygody dowiozłem moje państwo popołudniu do miasta Siewierza, z kąd jeszcze ze sześć mil będzie do samej Częstochowy. Więc tu wypadł popas. Sta-

nęliśmy w porządnej gospodzie, a tu nam powiedział gospodarz, że na drugi dzień wybierają się Siewierzanie wielką kompanją także na Jasną górę. Tak państwo, usłyszawszy to, uradzili w gospodzie przemocować, a nazajutrz z całą kompanją ruszyć do Częstochowy. Tak się też i stało.

Na drugi dzień zebrali się Siewierscy wielką gromadą; moi państwo nie wsiadali już do powozu, jeno się przyłączyli do kompanji, a ja szedłem koło koni, co się ot noga z nogi ciągnęły za procesją. Śliczne tam nieśli ci Siewierzanie chorągwie i obrazy, ale co najśliczniejsza, to była jedna chorągiew karmazynowa jak krew najczystsza, a na niej obraz przenajświętszej Paniunki i krzyż Chrystusa Pana, a spodem ptak biały, niby orzeł. Śpiewaliśmy też różne śliczne pieśni: „Witaj królowo,“ „Ty któraś piękne dni swoje skończyła“ a także i dwie nowe pieśni którychem się na pamięć nauczył; jedna jest do „Matki Chrystusa“ a druga się zaczyna: „Boże coś Polskę,“ a na śliczną śpiewa się to nutę. Serce by wam się było nie mało uradowało mój Grzegorz, gdybyście byli widzieli, jakto tam księża, mieszczanie, panowie z okolicznych wsi i włościanie bez żadnej różnicy razem szli i śpiewali, prosząc Boga, żeby było lepiej; tak mnie się nieraz łzy cisnęły do oczów gdym na to spoglądał, i pomyślałem sobie: — Przecież Pan Bóg łaskaw zlitować się raczy nad nami, widząc jak to jego dzieci choć różnego stanu, razem odprawiają pielgrzymkę ku chwale Jego, śpiewając pieśni nabożne.

Moja pani, choć to mówię Wam słabe i delikatne jak kurczątka, dotrwała aż do samego końca; a nie tylko że sama szła, lecz do tego niesła przez dobrą chwilę obraz razem z innymi paniami. Taki też więc w ślicznej procesji zbliżaliśmy się do Jasnej góry, z kąd też niezadługo wyszła ogromna kompanja ludu, a wszystko jeno aby nas powitać. Więc razem weszliśmy na górę i oddali hołd przeczystej Panience, Królowej polskiej. Ja się trochę opóźniłem, bom musiał przódy do gospody zajechać i wedle koni zrobić porządek, poczem oddawszy dozór znajomemu furmanowi, za dozwoleнием państwa udałem się za całą kompanją.

No, nic tam nie będzie dziwnego, jeżeli Wam powiem, że głowę z kretesem stracił na widok tego tłumu ludzi co był na Jasnej górze. Nie ci tam nie pomogło wspinać się choćby na palce, boś jeno widział głowy i głowy rojących się ludzi niby jedno jezioro. Księża Paulini, co są w klasztorze, ślicznie tam i usłużnie przyjmowali pobożnych pielgrzymów. Dla przedniejszych pań, które już biedaczki były pomęczone, otworzyli oni pyszne i wielkie pokoje, w których jeszcze królowie polscy przebywali! A jużci o wystawnych i uroczystych nabożeństwach, co to człowieka aż gdzieś do głębi serca przejmowały, to i napisać Wam zgoła nie potrafię. Wiem jeno tyle, że skorom się docisnął do kaplicy z cudownym obrazem Najświętszej Pannienki, tom ci tak jeno upadł na kolana, dech mi w piersiach zgoła zaparło i łzy mi z oczów poleciały ciurkiem, a ja się tak w duchu modliłem:— O Panienko przenajświętsza, cudowna Matko Chrystusowa, a wstawże się Ty za nami u Syna Twego jedynaczka, coby nam już raz się polepszyło w tej przykrej naszej biedzie. A nie opuszczajże nas Orędowniczko i Mateńko nasza! — Ale co się wam tam będę chwalił z mojej modlitwy! Świętą to powinnością każdego Chrześcijanina, a czem skromniejsza a bardziej z głębi serca pochodząca, tem więcej waży u Boga. Więceśmy się tam wszysey dużo namodlili i naspiwaliśmy, i prędzej czy później rzuci Pan Bóg łaskawym wzrokiem na te nasze proźby, i zesze nam lepszą dolę. A mówili też tam i księża kazania takie rzewne i smutne, że się aż krajało po sercu, przy słowach, gdzie tylko przychodziło im opowiedzieć, cośmy się to już dla Chrystusa Pana i dla tej ziemi w niejednem nacierpieli.

Serdeczni też tam i ludziska są w tej Częstochowie! Przyjmowali cię i gościli gdzie tylko który mógł jakby rodzonego, choć i trudno było wystarczyć z gościnnością na taką liczbę ludzi. Wieczór zaś w dniu uroczyste odpustu, to stawiali wszędzie w oknach świeczki, tak, że ci cała Częstochowa wyglądała jak jedna latarnia, i zgoła podłą szpilkę byłbyś znalazł na ziemi!

Nie mało też człowiek był rozradowany i polepszony w sercu, gdy przyszło opuszczać Jasną górę. Smutno ci było jeno dlatego, żeś musiał żegnać pocziwych ludzi. Jakoż niejedni so-

bie pamiątki jakieś w drogę dawali, inni choć dobre słowo, aleć już co najsprawniej to się popisała nasza Siewierska kompanja, bo ofiarowała drugiej kompanji z Poznania swoją czerwoną choraągiew z obrazem Matki Boskiej i białym ptakiem, na znak przyjaźni i na pamiątkę onego spotkania na Jasnej górze. I uznali tem w onych ludziach z Poznania także swoich braeci, choć tam oni pod innemi rządami, bo pod Prusakiem.

Tak też jęły się kompanje rozechodzić, więc i my w naszą stronę wraz z Siewierską kompanją; a śpiewaliśmy po drodze różne pieśni, a takie ładne, co żeby je wszystkie Wasz organista umiał i Was nauczył, toby ztąd nie mało było chwały Panu Bogu a ludziom pociechy. Moi państwo, choć nie mało zmęczeni, szli jednak piechotą aż do samego Siewierza, czemu ja się nie mało dziwił w duchu idąc znowu przy koniach za procesją, i myślałem sobie: — O mój Boże, widzę już w ludziach znaki łaski Twojej a naszej szczęśliwości, skoro taką pokorę i pobożność wszeczepiasz w serca panów, boć też to nas robi braćmi w tej jednej chrześcijańskiej wierze.

Z Siewierza wsiedli państwo do powozu, i ztąd jednym dniem stanęliśmy już szczęśliwie w domu, gdzie ja mojemu dobremu panu jeszcze raz od serca podziękowałem, bo to moiściewy nie mała była dla serca mego pociecha i nie małe przyczynienie się do zbawienia duszy. Nie mogłem też wytrzymać mój Grzegorz, moi Wy najmilsi, żeby Wam o tem wszystkim nie napisać! A teraz, skorom już wszystko skończył, całuję Was po tysiąc razy i Waszą pozdrawiam i dzieciiska ściskam serdecznie, a oddaję Was opiece Pana Boga najwyższego, i tej przeczystej Paniutki Częstochowskiej.

RÓŻNOSTCI.

Żelazna kolej. Nie potrzebuję ta opowiadać, co to jest żelazna kolej albo *zeleźnica*, boć niejedyn ją już widział, a kto nie widział to słyszał, że to są wielkie wozy na pakunki i osoby, a przed niemi piec i kocioł

na wodę, z kołami tak dowcipnie zładowanemi, że skoro podpalisz, to para idzie w koła i pcha je po żelaznych szynach, i wszystkie wozy lecą jak sto djabłów! Siła to czasu i pracy trzeba do zbudowania takiej

koleji, bo to musi być usypana droga twarda, wysoka, a po drodze het żelazne sztaby i sztaby, i het co ćwierć mili chałupy dla wartowników, coby dawali pozór i kamienie z drogi umiatali. A trzeba też od miejsca do miejsca wymurować dom porządny, to dla starszych urzędników, to na wodę, na drzewo, na węgle, wreszcie dla podróżnych i na towary, co wszystko za jeden dzień się nie zrobi. Ciągnęło się też to zwolna ku nam, aleć się też i dociągnęło! Oto z początkiem tego miesiąca zaczęła już tu do Lwowa przyjeżdżać żeleźnica, z czego też i uciechy dużo, boć to wygoda nie mała. Chcesz sobie jechać w świat, toć i niewiele myślący siadasz do pysznego woza, a tu świśnie, zachuczy, i leci cztery mile na godzinę, a ty sobie siedzisz jak król, i nie płacisz więcej jak 23 centy od mili, tak, że cię droga ze Lwowa do Przemyśla, co jest przecie mil trzynaście, jeno 3 reńskie kosztuje!

Wielki, ba i bardzo wielki pożytek z tej żeleźnicy; zaś będzie jeszcze większy, skoro ją poprowadzą dalej poza Lwów na Węgry i Podole, bo wtedy w którą zechcesz stronę, to sobie świśniesz jak ptaszek z towarem czy bez towaru.

Zabobon moskiewski. Na początku tego lata, rozeszła się między ludem w moskiewskim kraju wieść zabobonna, której wszyscy wnet uwierzyli. Powiadano że dlatego nieurodzaj wielki i głód nastanie, bo siła ludzi chodzi w kaftanach, chustach i spodni-

cach z czerwonego perkalu, który jak mówili, farbują w psiej krwi: że to grzech chodzić po cerkwi w takiej przyodziewie, że się za to Pan Bóg pogniewał i głodem naród karze. Znaleźli się też i tacy co opowiadali, jako widzieli dwóch Świętych na polu, którzy powrózkiem od chodaków to pole mierzali i gadali do siebie: „to wypalić posuchą, a to zniszczyć ogniem!“ Więc strach wielki padł na ludzi; aż im ktoś doradził, żeby zabrali wszystkie czerwone suknie i zakopali w lesie, bo jeno tak mogą guiew Boski od siebie odwrócić. Jak się tedy nie rzucają wszyscy! nuż zrzucać ze siebie odzież: ten kaftan, drugi czapkę, tamta hustkę, jaki taki i ze skrzyni święteczne wydobędzie, nazywali tego wielką kupę aż się czerwieniło i — jak im doradził mądry rajca — zawieźli do lasu i zakopali! A tak przez głupotę straciło marnie kilka wsi najlepszą przyodziewę, bo ani płotka czerwonego nikt sobie nie zostawił.

Otóż to zysk wierzyć takim baśniom i zabobonom! Gdyby byli Moskale troszeczkę nad tem pomyśleli, zaraz by im było przyszło do głowy że to bajki. Boć przecie każdy wie, że krwią płótna nie zafarbuje, bo by zaraz po pierwszym praniu nazad białe było; a po drugie, że ich Pan Bóg za co innego głodem karze, a nie za czerwone kaftany!

Które zwierzę najpodobniejsze do człowieka? W jednej szkółce w Polsce, gdzie Moskale panują, ale już da Bóg niedługo panować będą, odbywał się

egzamin: popis maluczkich chłopczyków. A zdarzyło się, że na popis ten przyszedł Moskał nadzorca szkół, sam głupi jak but, bo tam takich nadzorcami szkół robią, coby ci wśzystek rozum ludzki w głupotę obrócili, a ludzi w niewolników ciemnych!

Toż wiadomo, że szkółek to tam u bywa ciągle, a o założeniu nowych ani myśleć nie dadzą. Co w tem, to i Prusacy Moskali naśladować myślą; bo tam rodzice z płaczem proszą o przyjęcie dzieci do szkoły, a Prusacy ani do szkoły przyjąć, ani szkół nowych zakładać nie dają. A u Moskala to jeszcze tak jest, że kogo-bądź profesorem zrobią, bylebyś ta dał łapowe jakiemu, co wyżej stoi; a bywały przypadki, że niejeden wojskowy, z którym sobie już nie poradzić nie mogli, dostał świadectwo, że za łajdactwo, pijaństwo, kradzież i inne najgorsze rzeczy, których się poczytywać człowiek i wymienić wstydział, skasowany i het wygnany z wojska a profesorem lub co więcej zarządzą szkoły zrobiony. Uważajcież sobie: to nie żart! Łajdak największy posłany na profesora, by nasze dzieci wychowywał, kiedy ludzi najuczciwszych i najuczciwszych na Sybir w lody wyganiają. To u Moskali tak bywa, a bywa rzeczywiście, choćby temu najprostszemu człowiekowi u wierzyć nie chciał. Jak tu tacy ludzie o dzieci dbać, a o ich wychowanie starać się mają osądzić sami! O Boże! zlituj się nad narodem naszym utrapionym.

Rozsiadł się tedy nadzorca szkół, a nauczyciel miał słuchać chłopców historii naturalnej o zwierzętach. Więc zaczęli od tego:

— Powiedz mi chłopczyku, jakie zwierzę jest najpodobniejsze do człowieka?

Chłopczyk zalekniiony, widząc takiego tyрана nadzorcę przed sobą, coby po wojskowemu, po moskiewsku i chłopczynie pałki sypać kazał, bo cóż to ta u nich, mówi nieśmiało: m- m- m...

— Dobrze, dobrze — rzekł nauczyciel ośmielając chłopca — więc któreż zwierzę najpodobniejsze do człowieka?

— M- Moskał! — krzyknął ośmielony chłopczyzna.

Ztrętwiał poczyty nauczyciel.

— Już po mnie — pomyślał sobie — przez tego chłopczynę stracę kawałek chleba, utrzymanie dla siebie i dzieci moich a może pójdę i do więzienia, bo ten Moskał, choć go dobrze chłopiec nazwał, pomyśli, że tu dzieci odemnie przewiska na Moskali słyszą.

Na głośniejszą mowę zbudził się ze swego obrzydliwego marzenia i „coto?“ wykrzyknął moskiewski nadzorca szkół. A nie dosłyszał widać, co rzekł chłopczyk, bo myślał wtedy czart wie o czem, może o najniegodziwszych rzeczach; bo gdzieby Moskał o czem dobrem myślał.

Nauczyciel połapał się, bo zrozumiał, że Moskał nie wie o czem mowa, i z łagodnością rzecze:

— Dobrze, dobrze! małpa, małpa ze zwierząt najpodobniejsza do człowieka.

Egzamin ciągnął się dalej, a Moskał marzył jak marzył, i potem zdał sprawę, że się popis chłopców tak odbył lub owak, podług tego, jak go nauczyciel przyjął, lub jak mu się z powierzchowności podobał.

Każdy najporządniejszy człowiek marnieje pod takim rządem, gdzie trzeba być wielkim niegodziwcem, aby do wysokich dojść dostojności.

Przypowieści gospodarskie.

Jak od rosnącego konia tegi źrebak, a od dobrej dójki dobra dójka: tak i z dobrego ziarna więcej zboża i lepsze.

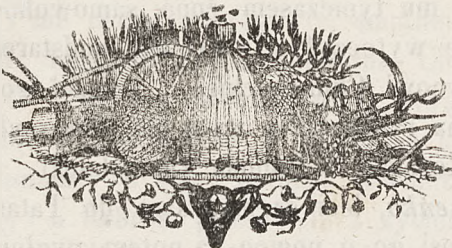
Nigdy ten nie żałował, co wczas zasiał i wczas się ożenił.



21. Listopada.

1861.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JAN KAZIMIERZ, KRÓL POLSKI.

I. Bunt kozackie.

Mijały już ostatnie chwile szczęścia i spokoju, choć i ten spokój nie wróżył nic innego jeno wielkie burze. Jakoż co za rządów króla Władysława szło jeszcze krytym ściegiem, to przy końcu jego życia wybuchnęło na wierzch, gwałtownie jak pożar. Najpierwsza krwawa i smutna przeprawa była z Kozakami.

Już za króla Zygmunta III nie było w Polsce wiele porządku, a choć król Władysław tęgim był panem, to i cóż z tego, kiedy go zaprędko pan Bóg zabrał z tej ziemi, więc i on nie mógł nic do ładu doprowadzić, bo się już ludzie zwyrzyli, a krecąc prawem ku swojej stronie, robili sobie wedle własnej woli. Nie też dziwnego, że i na Ukrainie między Kozactwem był podówczas wielki ucisk i niedola, bo co tylko możniejszy pan czy szlachcic jarzmił Kozaków i ciemiężył, a to bractwo do wolnego życia wezwyczajone, bardzo sobie nie smakowało w tej pańskiej niewoli. Ba, żeby to jeno ucisk i niewol.! ale miejscami to i krzywdy wielkie się działy. A oto wy-

darzyło się wreszcie, że pewien podstarości krętym sposobem odebrał kozakowi *Chmielnickiemu* wioskę, od króla mu nadaną, a gdy Chmielnicki jeździł się uskarżać na ten gwałt, to podstarości porwał mu tymczasem żonę samowolnie, a gdy o to swary się zacięte wytoczyły, to krewny podstarościęgo wziął w dodatku konia synowi Chmielnickiego, i kazał go jeszcze kijami obić publicznie na rynku. Ten wypadek obruszył już do reszty niespokojnych Kozaków. Bohdan Chmielnicki, a jak go tam zwali *Chmielniczeńko*, leci czempredzej do Tatarskiego księcia, czyli *chana*, prosi go o pomoc, a potem zwołuje Kozactwo, i hejże na koń, na Lachów!

Więc nastąpiła straszna i piekielna chwila. Do Chmielniczeńka garną się ze wszystkich stron Kozacy, uzbrojeni w piki, strzelby i noże, i leją w siebie gorzałkę na zapicie sumienia, boć to przecie bunt na Matkę Polską, co ich nieraz w złej doli ratowała; a tu we Warszawie smutek i nieład, bo król umiera w Mereczu, a panowie myślą o zwołaniu sejmu, aby obrać następcę po królu.

Krwawa historia rozpoczęła się na Rusi. Chmielniczeńko czy własną krzywdą, czy jakimś złym duchem opętany, wydaje rozkaz aby rżnąć panów, żydów i księży, i z całą zgrają Kozactwa posuwa się naprzód ku Lwowu. Winna i niewinna krew zaczęła się lać strumieniami, płonęły sioła i miasta, i w ręce Kozaków wpadał wszelaki dobytek ludzki. Dowiedziawszy się o tem hetman Potocki, stojący z wojskiem na Ukrainie, wysłał przeciwko Chmielnickiemu syna swege Stefana z niewielkim oddziałem żołnierzy. Chmielniczeńko stał właśnie ze swoimi nad bagnami, zwanymi *Żółte wody*, i nie chciał zrazu wyleźć z poza swych okopów; aleć gdy wielka chmara Tatarów nadeięgła mu w pomoc, zwarł się z królewskim wojskiem, i dopiero przyszło do zaciętej bójki. Przez kilka dni seierali się nasi z Kozactwem, aleć gdy Tatarów jeszcze większa ilość nadeięgła, a wszyscy Kozacy ze strony królewskiej Stefana Potockiego zdradzili i do Chmielniczeńka przeszli: musiało wojsko hetmańskie ulegnąć. Wielka tam ilość królewskich padła trupem, i młody syn hetmański został zabity, co zaś nie zginęło to poszło w niewolę,

tak, że tylko jeden żołnierz się uratował, który wrócił ze smutną powieścią do starego hetmana.

— O biednyż ja wódz i ojciec! — zawołał z boleścią stary hetman, i nie chciał wierzyć tej smutnej przeprawie pod Żółtymi wodami, lecz niebawem stanął mu Chmielnicki ze swą zgrają oko w oko, bo podochocony jedną wygraną, sunął się naprzód jak kula. Przyszło i tu do bitwy, a było to pod miasteczkiem *Korsuniem*, a stary hetman również jak i syn jego musiał przegrać, a dobrze jeszcze iż z życiem dostał się do niewoli, bo zgraja Kozactwa była o wiele przeważniejsza, a srodze rozjuszona.

Wiadomość o tych dwóch przegranych bitwach doszła wnet do senatorów i zgromadzonej na sejmie szlachty w Warszawie, więc uradzono czemprowadzaj, żeby zebrać co się da wojska i szlachty, i ruszyć na zbuntowanych Kozaków. A gdy się zebrało wojsko, postanowił nad niem sejm trzech nietęgich dowódców, i wysłał to na wojnę. Ale i tą razą smutny był koniec wyprawy, ba, nawet smutniejszy niż pierwszej, bo poprzód królewscy choć nie zwyciężyli to się dali zabić albo wziąć do niewoli, ale tą razą, gdy przyszło pod *Piławcami* do spotkania, a królewscy raz i drugi z Kozactwem się starli, tak wnet nie dotrzykali placu, a większa część razem z hetmanami umknęła z pola sromotnie, odbiegając w obozie niezmierne bogactwa i kosztowności, jako łup Kozakom i Tatarom.

Tak więc naszych ścigało już nietylko nieszczęście ale i sromota, a Chmielniczenko coraz śmielszy i mocniejszy ciągnął wciąż naprzód, a stanąwszy niebawem pod Lwowem, takie do lwowskich mieszczanów posyła pisanie:

— Ja Rusin i wyście Rusini; łączcie się więc ze mną przeciwko Lachom co nas ciemiężą, bo inaczej padniecie wszyscy śmiercią.

Potruchleli mieszczanie na takie słowa, spojrzeli między siebie: miejskich żołnierzy jeno garstka, ludu zdolnego do obrony także nie wiele, zamek na górze słaby, a tu Kozactwa i Tatarów więcej jak dwa razy po sto tysięcy. Strach i źle, ale przecież mieszczanie mieli wiarę w Bogu że im zginąć nie da, a nie chcieli za nic w świecie łączyć się z Kozakami na rozboje

i mordy przeciwko tej wspólnej matce Polsce, co ich zawsze brała w opiekę i obronę. Więc naradziwszy się między sobą, taką szłą odpowiedź:

— Miłaby nam była wasza życzliwość, ale łączyć się z wami nie będziemy, bo my wierni królowi, czekamy na jego wybór w Warszawie.

Więc na to podstąpili Kozacy pod miasto, a gdy mieszcza- nie spaliwszy przedmieścia gotują się do obrony, posyła do nich znów Chmielniczenko trębacz, z takim gadaniem:

— Jeżeli wy mi dacie dwa kroć sto tysięcy dukatów dla chana tatarskiego, i przysłecie mi wszystkich żydów jako wro- gów, to ja wam dam święty spokój.

A mieszczenie powiedzieli tak:

— My żydów nie wyślemy, bo oni tu tak dobrzy jak i my, a pieniędzy gotowimy ci dać boś bardzo mocny, jeno tro- chę mniej bo tyle nie ma.

Więc po długich targach i swarach stanęło na tem, że się mieszczenie pieniędzmi i towarem okupili, a Chmielnicki ze swo- imi zostawił ich w pokoju, i pociągnął dalej ku Warszawie.

Tak przyszły gromady kozackie i tatarskie aż pod *Za- mość*, lecz warowny ten gród opierał się im długo, a tu mię- dzy Kozakami jakby kara Boża wybuchła zaraza. Osłabiał więc trochę Chmielniczenko i sam nie wiedział co robić, czy dalej iść czy Zamościa dobywać, aż tu nagle przyjeżdżają z wiado- mością z Warszawy, że królem brat Władysława, *Jan Kazi- mierz* obrany.

Chmielniczenko zląkł się tego czy co, dość że wziął od mieszczan Zamojskich niewielki okup i pociągnął napowrót na Ukrainę. Zdawało się więc, że już sprawa skończona z Kozakami, że już buntów nie będzie. Więc też nowy król umawia się przez posłów z Chmielnickim, lecz na nie poszły umowy: bo onemu Kozakowi bez mała złotych gór się zachiewało. Więc król pomyślał sobie:

— Poczekaj, dostaniesz cięgi zamiast dobrego słowa! — i nuż zbierać wojsko na Kozaków.

Dowiedział się wnet Chmielniczenko, że znowu ma iść na udry, więc zbiera swych Kozaków i Tatarów czempredzej,

i przyciągnawszy wnet pod miasto *Zbaraż*, zaczął go dobywać. Była tam królewskich niewielka garstka, ale się tego trzymali przez całe dwa miesiące; tymczasem nadeignął król z liczniejszym wojskiem i stanął naprzeciw nieprzyjaciół. Kozaków i Tatarów czereda była wielka, więc trudno ich było pobić; ale król mądrym postępowaniem odmówił Tatarów od Chmielnickiego i na swoją przyciągnął ich stronę, tak że dumny Chmielniczenko musiał się ukorzyć i prosić o pokój. Przyszedł on wtedy do namiotu królewskiego, upadł do nóg Janowi Kazimierzowi i prosił o łaskę.

Lecz widać nie dość jeszcze było gniewu bożego i na tych co gnębili, i na tych co rozbójnickim sposobem jęli palić i zabijać, bo oto i tą razą skończyło się tylko na gadaniu i obiecankach. Rozruchy nie ustawały już drugi rok, a król się wnet przekonał, że go Chmielnicki tylko w oczy tumani, a poza oczy z innymi jeszcze nieprzyjaciółmi na Polskę się zmawia. Więc rok jeszcze minął na wyczekiwaniu i obradach, a potem ruszyli się ludzie ze wszystkich stron, i wyszedł król w sto tysięcy, żeby już zniszczyć het całą kozacką siłę. Kozaków i Tatarów było trzy razy tyle, a żałośnie krakały im kruki. Wnet przyszło do walnej bitwy pod *Beresteczkiem*, a miały co krakać kruki, bo bitwa była ogromna, a przez dziesięć dni toczyła się z zaciętością, i dopiero dnia jedenastego ustąpili Kozacy i Tatarzy, a przy królu zostało zwycięztwo. Chmielnicki począł uchodzić, wojsko królewskie gonilo za nim, ale cóż, kiedy w tem ani ładu ani posłuszeństwa za grosz: dużo po drodze się odczepiło i do domów pojechało, i tak nieprzyjaciela w jednym miejscu odparłszy, nie mu dalej nie zrobili.

Aż oto miała nastąpić najokropniejsza rozprawa! Król pozostawiwszy pod hetmanami część wojska, sam odjechał do Warszawy. Więc hetmani uganiali się Kozactwem i bili ich miejscami, a tak się ciągnęło do przyszłego roku. Ale Chmielnicki gotował świeżą zemstę. Z początkiem czerwca 1652 roku napada wielką siłą na obóz królewskich pod *Batowem*, i rozpoczyna okropnie krwawą walkę. Broniło się wojsko królewskie jak mogło, aż wreszcie musiało dać garło. Padli pozabijani: hetman i co znaczniejsi dowódcy, i legło dwanaście

tysięcy a prawie samej młodzieży tęgiej. Oh, ileż to krwi, ileż to mordów, a wszystko między dziećmi jednej ziemi! Lecz znać gniew boski przejednał się już tą ostatnią, okropną rzezią, bo odtąd bunty kozackie coraz bardziej zaczęły przycichać, lecz zato inne nieszczęścia jęły się gradem sypać na tę naszą nieszczęśliwą i utrapioną Ziemię.

A Chmielnickiemu widać sumienie musiało srogo wyrzucać te mordy i pożogi braterskie, bo zaczął się bardzo zapijać, i tracił het na swojej miłości i poszanowaniu u braci Kozaków. A widać i oblicze Boże było od niego odwrócone, bo gdy w kilka lat umarł, a ciało jego przed grzebaniem było złożone w cerkwi, którą sam fundował i księża nad nim żałobliwie śpiewali, to zajął się katafalk i trumna od jarzących świec, i cała cerkiew wraz z jego ciałem się spaliła, a ledwo że ludzie pouciekali!

Boże sprawiedliwy, nie dopuść że już nigdy, ażeby Ziemia nasza broczyła w takiej ciężkiej krwi bratniej!

Na dzień świąteczny.

Pod szopę wtoczcie wozy i pługi;
A niechaj także i wasze sługi
Sierpy i kosy na bok odłożą,
I dzień ten spędzą na chwałę Bożą.

Puściecie na paszę konie i woły,
Niechaj po pracy odpoczną trochę;
A za to raźniej i bez mozoły
Pociągną jutro pług albo sochę.

Niechże i one stworzenia Boże
Przy pełnym żłobie owsa i siana,
Chylając głowę w niemej pokorze,
Rżeniem i rykiem pochwalą Pana.

A kiedy dzwonek zabrzmie w kościele,
Zabierzcie na mszę czeladź i dziatki,
Niech dziewczki ołtarz ubierą w ziele,
I w piękne leśne i polne kwiatki.

Módlcie się wszyscy w miłości bratniej:
Wójt zarobnikiem niechaj nie gardzi,
Boć to u Boga będą ostatni,
Ci, którzy tutaj bywali hardzi.

A po serdecznem szczerem modleniu
Do domu prosto wszyscy wracajcie,
Pod rosem drzewem usiądźcie w cieniu,
I tam niewinnie się zabawiajcie.

Niech który chłopiec co bywał w szkole
Przeczyta z mądrej książki co nieco;
Wtedy poznacie jak w takim kole,
Godziny prędko i słodko lecą.

Zaś gdy to w zimie, wieczór do chaty,
Niech na kominie gore łuczywo;
A co się działo dawnymi laty
Rozpowie stary dziadunio żywo.

A gdy wam dzionek przeminie chwilką,
I moja rada wyda się zdrową:
Nie chcę nagrody, każdy niech tylko
Rzeknie: — „Bóg zapłać za dobre słowo!“ —

Jacenty z Magierowa.

Dwie siostrzyczki.

Był jeden biedny chłopek, co miał chałupinę na obcym gruncie, a ta tak była ogrodzona płotami sąsiada bogatego, że ledwo mógł ją obejść, i trudno mu też było utrzymać krowinę jaką, bo sąsiad bogaty zabraniał mieć i kurkę, aby mu szkody w ogrodzie nie robiła. Biedny ten chałupnik żył tylko z codziennego zarobku, i dla świętej zgody z bogatym sąsiadem nie trzymał sobie ani kury, aby mu na zagonie nie grzebała, ani krowiny aby mu szkody nie robiła; a z płotu jego nie ruszył mu ani patyczka, choćby miał i nie jeść nie gotowanego. W jego budzinie nie znalazłbyś ani ziarneczka maku cudzego, ani zdiobełka kradzionego, ani nitki nieczyjej, coby miał niesprawiedliwym sposobem. To też rzadko jadał on chleb, bo go nie było stać na to, a inna strawa nie była mlekiem pobielona, a nieraz ani solona, gdy nie było za co soli kupić, a na przednowku trza było się karmić trawnikiem lub liśćmi. W takiej biedzie nie przyszło mu nigdy na myśl, aby co komu ukraść, lub kogo ocyganić; ale wtedy prosił on gorąco Pana Jezusa, aby mu nie dał zaginać i jakoś biedę bez grzechu przebyć. Poszedł nieraz do dworu do dobrej pani i zawsze sobie coś przyniósł, ale nie szedł on nigdy do sąsiada bogatego, bo tam nie dostał nigdy nic, bo niektórzy chłopi na wsi to są tak jak kamienie, nieużyeci do niczego dobrego.

Nie lęgał ci on chłopek ani wstawał bez pacierza, a jak rano wychodził z chałupiny, to się żegnając mówił:

— O Panie Jezusie, dajże mi też szczęśliwie przeżyć ten dzionek boży, i zachowaj mię od grzechu!

I nie zaginął ten biedak nigdy, wszystkie przednowki przebył, a nie jeden bogaty umarł, choć miał gdzie siedzieć i co jeść do syta. Boć tak rządzi wszystkim Pan Jezus miłosierny. Kto pobożny i ostrożny, choćby był i ostatnim na ziemi, tego Pan Jezus strzeże; a kto Bogu wiernie służy, ten marnie nie zginie; a choćby tam i brakło komu jedzenia, to mu nie braknie ani ziemi, ani wody, ani słonka, ani pomocy boskiej, a byleby miał ducha dobrego w sobie, to on wszystko złe zwy-

cięży, przeżyje i zawojuje. Całą pociechą tego biedaka były dwie dziewczątka Kasia i Marysia, a obie siostry z białą główką, rumiane jak jabłko na drzewie koło św. Michała, a zwinne jak młode baranki, a oprane i czyste jak piórka na gołąbku. Nie знаły one matki, bo tę zabrał Pan Jezus, kiedy one były jeszcze drobne jak kureczątka. Zostały więc sierotkami, tylko dobry ojciec wychuchał ich, wykarmił biedą i łzami, wyuczył ich wszystkiego dobrego, co on sam umiał, i czego go wyuczono w kościele bożym. To też obie te dziewczęta miały jakby jedno oczko, jakby jedną rękę, jedną duszę: co jedna powiedziała dobrego, to druga już robiła na wyścigi, jak jedna płakała o co, to druga mówi:

— Nie płacz sestro! Pan Jezus widzi naszą chałupinę biedną z wysokiego nieba, my nie zginiemy — a wtedy ocierała jej rączką łzy z oka, wieszala się drugą rączką na jej szyi i całowała ją serdecznie i mówiła jeszcze:

— Nie płacz, bo jak tatuś przyjdą i zobaczą oczy twoje mokre i ezerwone, to się zgryzą, bo oni się i tak gryzą o to, że my takie biedne i najbiedniejsze na całą wieś.

I już było dobrze, bo siostra omyła sobie oczka wodą, a druga otarła ją rękawem od koszulki i poczęły dalej robić, aby miał ojciec co zjeść, gdy powróci do domu z ciężkiego zarobku. I były szczęśliwe w domu! Razem jedna koło drugiej klękały koło stołu i mówiły sobie głośno pacierz rano i wieczór, razem szły sobie do kościoła, miały jednako warkocze splecione, bo jedna drugiej posłużyła, miały jednakie kwiateczki na głowie, jednakie koszule i fartuszki, jednakie szpinki u podszyci, a nie miały obuwia, bo sobie gadały:

— Jak nam Pan Jezus dopomoże, że sobie zarobimy, to sobie kupimy jednakie buciki.

A druga mówi:

— O, pierwej trza pomyśleć o butach naszego biednego ojca, bo on biedaczek już nogi pozbijał do reszty na tych zarobkach.

Zawsze jedna szła na zarobek, a druga była w domu, aby ojcu co jeść zgotować, aby mu łachy podarte ponaprawiać, aby co sobota wyprać wszystkie chusty, by można iść do kościoła w niedzielę, aby ludzie nie mówili:

— Ot jest dwie dziewcząt w domu, a jakie to niedbałe, że ani sobie ani ojcu nie wypierą koszuli!

To też dziwili się nie mało ludziska, że te sierotki mogły tyle robić, czego nie robiła niejedna gospodyni. Bo w ich chałupinie było zamieciono, śmiecie było na gnój wyniesione, szyby w okienku umyte, piec polepiony, ławka i stół co sobota wyszurowane, a ścieżka koło domu była tak czysta, żebyś tam i włoska nie zobaczył na ziemi, a cała chałupina była glinką i rękami tak wymuskana, że między płotami i wierzbami wyglądała jak biały dworek. A nad drzwiami do sieni wisiał Pan Jezus ukrzyżowany, co go sobie kupiła Marysia, gdy była z ojcem na Kalwarji, i kupiła go sobie za te grajcarey, co jej ojciec dał na wstążkę, bo ona tak myślała sobie:

— Lepiej mi kupić święte rzeczy niż światowe; wolę mieć krzyżyk z Panem Jezusem, niż malowaną wstążkę — i kupiła ślicznego Pana Jezusa, dała go poświęcić i sama zawiesiła go nad sienią, a ile razy obie siostry wychodziły lub przychodziły, to całowały tego Pana Jezusa i mówiły:

— O Panie Jezusie dopomóż nam też, abyśmy nie zaginęły za życia i po śmierci.

I było im dobrze, bo nie ci mają dobrze, co to mają co jeść i pić i nie nie robią, ale tym dobrze, co Pana Jezusa kochają, pobożnie żyją i za to Bogu dziękują, co on im daje z łaski i miłosierdzia. Oj biedne sierotki! one tały łzy przed ojcem nieraz, dopóki ojciec wychodził z domu na zarobek; ale jak ojciec zaniemógł i w chałupinie na środku izby zaległ, wtedy musiały płakać nad ojcem, a ojciec nad nimi. Tylko ojciec rozumny mówił im zawsze:

— Nie płaczcie darmo! choć ja pomrę, to wy nie zginiecie, tak jak nie zginęłyście w kołyse po śmierci matki. Pan Jezus kocha najbardziej sierotki! Nie macie wiana ani gruntu, ale macie zdrowie, dobrą naukę, dobry przykład odemnie, macie cnotę i macie w niebie Matkę Najświętszą, i nie zginiecie, jak długo dobremi pozostaniecie.

I stary chałupnik już nie wstał więcej. Biedne siostry zostały teraz jak dwa listki na suchym drzewie, one dwie i biedne

ściany, i ta jedna izbina o jednym okienku, z jednym stołem i jedną ławką.

Trza było trumny dla ojca, a tu nie było z czego zrobić! I mówi Kasia:

— Ot, weźmy stół i tę ławkę i obmyjmy to ślicznie piaskiem, złożmy to do kupy, zwiążmy troczkami od naszych fartuszków, i będzie trumna dla ojca, bo nam tu nikt nie zechce dać kawałka tarcicy, bo teraz ludzie są bardzo mądrzy i łakomi, i nie darmo nie dadzą.

I wzięły się do roboty te dwie sierotki, ale deski ze stołu były za krótkie i było ojcu nogi po kolana widać, więc cóż tu było płaczu! Ile razy to pocałowały te dobre dzieci zimne nogi ojcu zmarłemu! i cóż tu robić?

Ale Marysia starsza rzecze:

— Do sąsiadów bogaczów nie ma po co iść, bo tam i ojciec po nie nie chodził, ale jest plebanja i dwór.

I leci Marysia do pani do dworu, i pokłoniła się pani i pochwaliła Pana Jezusa, aż się zadziwiła pani, i mówi z płaczem:

— Zrobiłyśmy trumnę ojcu, ale krótka, niech nam też pani w imię Pana Jezusa podaruje kawałek tarcicy!

A pani rzecze:

— Ja pójdę sama zobaczyć! — I poszła z sierotką i aż się rozplakała, gdy ujrziała co te sierotki porobiły, i dała im tarcicę i kazała zrobić trumnę, a Marysia wymalowała węglem krzyżyk na trumnie, i włożyła w ręce ojca kupionego Pana Jezusa. Ale trza było koszuli dla ojca, bo jakże go grzebać w podartej?

Otóż nie śmiała Marysia iść drugi raz do dworu prosić, bo ona pamiętała co jej ojciec mawiał:

— Co sobie sama możesz zarobić, oto ani proś ani się nie kłaniaj ludziom, tylko proś Pana Jezusa i pracuj, a będziesz miała.

I poszła do bogacza sąsiada kupić płótna. A sąsiad chłop drabisko ostatnie nie zważał na sieroctwo dziewcząt, ale kazał sobie drożej zapłacić i ani się popatrzył na czerwone od płaczu oczka Marysi. A biedne dziewczę nie miało tyle pieniędzy z sobą, więc pobiegło po nie i zostawiło płótno, bo sąsiad zły nie dowierzał biednej sierotce i nie chciał jej ani grosza podarować,

choć dobrze wiedział, że to płótno idzie na śmiertelną koszulę ale nie na jakieś stroje światowe. I uszyły siostry koszulę ojcu nowiutką i ostatni grosz dały na mszę św. za duszę ojca, i po biednym pogrzebie wracały już napół nieżywe do domu, a Kasia płacząc rzeknie:

— Widziałas Maryś jak tam stoją na grobach krzyże drewniane i malowane, możeby można taki krzyż postawić i ojcu naszemu?

A Marysia mówi:

— Dobrze ty mówisz Kasiu, oto pójdziemy obie do żniwa do dworu przez tydzień, za zarobek kupimy dąbka i damy zrobić krzyż i postawimy ojcu. I jak sobie powiedziały tak zrobiły, i stanął krzyż na grobie ojca, a za miesiąc odbyło się nabożeństwo w kościele za duszę ojca i matki, bo córki kochały ojca i matkę nawet po śmierci. Co niedziela szły obie siostry na emętarz aby się modlić nad grobem rodziców, nawet posadziły młode drzewka na grobie: Marysia posadziła cztery małe sosninki na grobie ojca, a Kasia białe jaśminy na grobie matki — codzien w pacierzu wymieniały dusze ojca i matki, a trzymały naumyślnie kożuch po ojcu i pas jego jako pamiątkę w chałupinie, i ile razy popatrzały na to, to płakały. A gdy kto chciał kupić ten kożuch od nich, to mówiły:

— To pamiątka naszego ojca, tego nie sprzedamy, bo to grzech za to, kiedy dzieci poniewierają rzeczy i pamiątki rodzicielskie. Wolałybyśmy to dać jakiej sierocie, niż brać za to pieniądze.

I zostały w chałupinie dwie siostrzyczki same, same bez ojca, bez matki, bez brata, bez opiekuna, bo gdzie tam bogacze chcą się opiekować sierotami? Gdyby sieroty były bogate, toby każdy chciał mieć opiekę, byliby wtedy i krewni, i bracia i sąsiedzi. Ale dla sieroty nie ma ręki ani ochoty! Po śmierci ojca zaraz zaczął ujadać sąsiad bogacz, na którego gruncie stała chałupina sierot. Biedne sieroty poszły do niego i taką zrobiły ugodę:

— Będziemy wam robić w polu za to, abyście nam chałupiny nie wyrzucali.

I był kontent strasznie łakomy chłop, że mu przybyło

cztery sieroce ręce do roboty i to za darmo. Zapomniał on, że kto wyciska sierotkom łezki, tego ukarze ojciec niebieski! A te dobre siostry odrabiały mu sumiennie: jedna szła do niego, a druga do dworu na zarobek, bo dwór i płacił, ale i nieraz dał kawałek chleba i przytułek jako przyczynek miłośnierny. Gdy Kasia chorowała, to Marysia szła na zarobek, ale trzy razy na dzień przybiegała do chałupiny. Przynosiła ona Kasi chorej to mleko w garnuszku, to barszczyk w dzbanuszkuzku, to rosółek ze dworu, to lekarstwo od pani; a w nocy znowu sprzątała w chałupinie, prześcielała słomę pod Kasią, prała dla Kasi, to koszulę, to łachy z pod chorej, a gdy nie mogła często przybiegać do niej z pola, to najęła dziewczę z drugiej chałupy, aby pilnowała Kasi chorej. I musiała za to zapłacić, bo dziś nie chcą ludzie ani za darmo łyżki wody choremu podać, ani garści słomy podarować na posłanie. Dziś każdy patrzy na pieniądze, ale nie na Pana Jezusa i jego przykazy, dziś każdy dba więcej o chleb niż o zbawienie duszy. Ale umarła Kasia biedna i Pan Jezus skrócił jej cierpienie i ulżył Marysi, bo ta musiała na chorą Kasię i na siebie zarobić, i odrobić za plac bogatemu sąsiadowi. Biedna Marysia nie szła cały tydzień na zarobek, ale przesiedziała trzy dni przy umarłej Kasi, a trzy dni płakała i nie wiedziała co robić. Ani tarciey nie było na trumnę, ani płótna na koszulę śmiertelną, ani pieniędzy na pogrzeb: a tu serce siostry chciało zrobić jak się patrzy. Otóż wyjęła drzwi z izbiny i złożyła trumnę, jak mogła, tak powiązała do kupy, bo dziś nikt nie zrobi trumny bez napitku i zapłaty, a Marysia była biedną. A potem otworzyła swoją skrzynkę, gdzie miała chusty, wybrała najlepszą koszulę, obmyła ciało Kasi, uczesała jej białe włosy, splotła ostatni raz warkocz paniński i oblekła ją w tę koszulę, i powoli włożyła do trumny. Potem wybiegła na łąkę, nazbierała różnych kwiatków, uwiła wianuszek, ucięła sobie włosów i temi włosami związała ten wianuszek i położyła go na trumnie, a zdjęła szkaplerzyk z piersi swej i włożyła na szyję Kasi, a z Kasi włożyła na siebie i powiedziała sobie:

— Przynajmniej tę pamiątkę będę miała po tobie, a ty po

mnie! Ty się módl za mną i kochaj mię na tamtym świecie, jak ja się będę modlić za tobą na tym świecie. Tyś przestała cierpieć, płakać i biedować, a ja teraz nieszczęśliwa sama jedna, tylko Pan Jezus nademną.

I pogrzebała siostrę, postawiła jej krzyż tak samo jak ojcu, i musiała pójść z chałupiny, bo ją niedobry sąsiad wygnał. A gdzież teraz ona? Oto może stoi z tym chłopem na sądzie bożym i odbiera nagrodę za dobre sieroce życie, a chłop karę za uciemiężanie sierot.

Ks. Wojciech z Medyki.

Pogadanka w Wąwrowicach.

O szkłaoh powiększających.

Nad wieczorem samym siedziało kilku gospodarzy na pogródcie przed domem, odpoczywając po pracy całodziennej. Miesiączek wychodził piękny z za góry i oświecał szarzejące pola, a gospodarze rozmawiali o robocie polnej, o pomyślnych urodzajach, dziękując w duszy Panu Najwyższemu, że pozwolił tak pięknie zebrać tegoroczne garście.

— Cóż Piotrze myślicie o rzepie? — rzekł Bartłomiej — Przydałoby się przy gospodarstwie kilka korey jarzyny, boć to i pożyteczna a dla chudoby pożywna i konieczna, jak nam to raz Antoni czytali. Wnet pełnia toćby dobrze było teraz zorać pod rzepę, bo w pełni zasiana to się może i pełnie porodzi; a może też ta Pan Jezus da i deszcza, boć go i dawno nie było.

Na wspomnienie o pełni, podnieśli gospodarze oczy i patrzeli na księżyc w całej pełni jaśniejący. Zapomnieli o rzepie, bo uderzyła ich naraz wszystkich wspaniała postać księżycyca. Wpatrywali się chwilę, a Piotr, jeden z gospodarzy, rzeknie:

— Że też to ludzie wymyślają a wymyślają różne niestworzone rzeczy, a nikt nie wynalazł coś takiego, eoby się na miesiączek albo i na słoneczko dostać, a popatrzeć, co też tam tak pięknie jaśnieje.

— Ho, ho, ho! mój kumotrze, zacheiewa wam się nielada jakich rzeczy, o tem toć już i najmędrsi ludzie nie myślą; bo co tego, to nikomu z nas żyjących nie dozwoli Pan Jezus, żeby aż tam na miejscu badał skrytości Pańskie — rzekł Antoni czytelnik, szkolnik a bywalec, stary wojak a szanowany we wsi całej, bo Bóg wie ile pięknych rzeczy nie raz powiadał ludziom we wsi na ich podziwienie a wzbudzenie pokory przed tym Panem, co nas i świat cały z niczego wyprowadził.

— A byli tacy — prawił Antoni — co zarozumiali w siłę swoją wyprawę na księżycę przedsiębrali, i na balonach w górę zapuszczając się pragnęli. Aleć przyplęcili srogo swoją dumę; zaledwo się wzniesli nie bardzo daleko nad ziemię, a jużci pac! i karki pokręcili. Przy ziemi tylko Pan Bóg ludziom żyć pozwolił, więc tu tylko tak urządził, żeby bez przeszkody żyć mogli; nad ziemię zaś, jak to już nawet ludzie i na wysokich górach doświadczają, takie jest rzadkie powietrze, że niem ani oddychać ani w niem żyć niepodobna. Nawet zwierzęta żyć tam nie mogą; pies w niewielkiej wysokości szczekać przestał, ta i człowiek gdy do drugiego mówi, to nie słychać zupełnie, chyba, żeby się już wrzeszczało z całego gardła; wreszcie zaś krew lunęła z ust i nosa tym ludziom, co się na góry wysokie zaciekali, że ani rusz do dalszej drogi. Takie to jest nasze powietrze, w którym żyjemy; bez niego nad ziemię zginaćby trzeba; jakże się tu więc wnieść aż do księżycy? Nie dostaniecie się i wy mój Piotrze na miesiącek, a mielibyście widzieć ochotę zaglądnąć, co się tam dzieje. Ale widzicie: tak zwykle, gdzie być nie można samemu, to choć zdaleka można co zobaczyć. To też wynaleźli znowu ludzie takie *szkła powiększające*, przez które małe rzeczy wielkimi się wydają, a tak i mały miesiącek może być strasznym widziany.

— Aha — wtrącił Wawrzeniec — to takie szkła mają inżynierowie, ci wiecie, co to pola mierzą a mierzą, a coś nie bardzo dobrze im się tam pomierzyło!

— Takie same — odrzekł stary Antoni — ale są jeszcze i lepsze, bo są te szkła różne. Najzwyklejsze to już okulary, *perspektywy*, przez które daleko widzieć można, bo choć co zdaleka małe się wydaje tak, że i dojrzeć trudno, to przez ta-

kie szkło zobaczysz wszystko wielkie, tuż przy sobie. Aleć najbardziej powiększające szkła to się nazywają *mikroskopy*. Popatrzysz na ten przykład na pehłę przez szkło takie, to ją zobaczysz jak woła, albo jeszcze i większą, a jakie ona ma ryjki, pyszczki, któremi nas gryzie, tobys człowieka zgłupiał z dziwienia i nie uwierzyłbys jak żyw, że to pehła być może; ale, że to albo jaki słoń z trąbami, albo smok z ogromnemi łapami! A jakie ma na sobie smugi, fałdy, jakby ją kto powrozami pokrępował!

Ileż to pięknych i ciekawych rzeczy nie naodkrywali ludzie przez te szkła powiększające, ileż się nie podowiadawali, to aż strach! Ot powiem wam naprzykład jedno, z babskiej gospodarki.

Jużei u nas każda gosposia nasadza kury na jaja, ale żadna może nie miała ciekawości zaglądnąć czasem, jak się to tam to kureczątko w jajku rozrasta; boby może wreszcie niejednej żal było rozbić jajko, z którego się kurki spodziewa. Ale ludzie ciekawi, jak ci zaczęli natłukać jajka a patrzeć, a szperać; nie żałowali i trudu i wydatku dosyć obrócić na to, aby przecie jako dowiedzieć się, jak to Pan Jezus to kureczątko do życia przyprowadza. Choć trudno i tu wszystkiego dociec, bo niepodobna pojąć człowiekowi nędznemu, co Bogu tylko wiadomo.

Jak roztluczesz świeże i dobre jajko co jeszcze kura na niem nie siedziała; to gołem okiem nie tam nie zobaczysz, prócz białka i żółtka i czegoś ciągnącego się, w czem naturalnie zarodek na kureczątko być musi, bo białko i żółtko na wyrobienie się tylko i rośnięcie a żywność dla kureczenia służą, tak nieprzymierzając jak w jabłku marna pestka a w ziemniaku znowu jedno oczko jest zarodkiem, reszta zaś to mięso jeno do rośnięcia tego zarodka pomocne. Dla kureczenia już w jajku się znajduje pokarm, boć ono żyć musi, kiedy się rozrasta. Jak się ulegnie, dajemy mu ugotowane pokrajane żółtko, to jest to, czem ono i w jajku żyło; zaś pożywienie inne dopiero wtedy, gdy zesilnieje. Toć i bydle, gdy się ulegnie, ssie matkę i żyje długo tem samem pożywieniem, jak w matce żyło, póki innego cięższego pożywienia przyjąć nie będzie mogło.

Cheć mówić o tym zarodku w jajku, o tem ciągnącym się. Jeżeli na to tak gołem okiem popatrzemy, toć nie szczególnego

nie widać. Jednak tam życie już musiał włożyć pan Jezus, bo zkadzeby się wzięło później, kiedy kura na jajku siedzi. Włóżże drzewa kawałek pod kurę, to żeby ci na tem i rok biedna kurzyna siedziała, nie nie wysiedzi, bo w drzewie zarodku na kureczkę nie ma. Kiedy zaś kureczkę ma żyć, to już i w zarodku coś żyjącego być musi.

I tak też jest rzeczywiście.

Kiedy na ten zarodek przez szkło, ale przez bardzo powiększające szkło popatrzymy, to widać, jak tam jakieś stworzenko jużci do kureczęcia nawet jeszcze nie podobne, ale żyje, bo się rusza, przewala i broi jak wszystko, co gdy malutkie a młodziutkie, to mu się i figlów zachiewa. Otoż tak jest w jajku świeżem, z którego pod kurą w ciepłe, za 21 dni kureczątka ma się wykluć; przez ten bowiem czas to młode stworzenko na kureczkę wyrasta. Niezmierzona mądrość Boża, co to wszystko tak urządziła! Dość że w sześć godzin, jak kura siedzi na jajku, zarodek już się zmienia zupełnie, ale tak, że przez szkło takie powiększające już główkę przyszłego kureczątka dobrze rozpoznać można, w 6 godzin mówię! Po dwóch dniach siedzenia kury już serce kureczątka bije, i tak dalej powstaje kureczkę, co już i okiem zobaczyć można, aż się wreszcie maleństwo wykluje ze skorupki.

Opowiadali jeszcze więcej stary Antoni o różnych dziwach, co przez szkła zobaczono, ale to wam aż za drugą razą powtórzę, bo tu już nie ma miejsca.

RÓŻNOSTKI.

Pożary. Kilka było pożarów, przeszłego miesiąca. Oto dnia 20. października zajęło się w stodole u wójta Dmytra w *Hawryłowie*, w stanisławowskim, i nie małe ztąd wypadło nieszczęście, bo zgorzało sześć zagród razem ze zbiorami tegorocznymi, a co jeszcze większe nieszczęście, to oto ten wypadek, że zginął w płomieniach mały chłopak wójta Wasyl, i dwoje sierot po jego bracie nieboszczyku: Iwanko i Fedor. Nieszczęście chciało że wszyscy trzej spali właśnie w stodole, i trudno im się niobożątkom było wydobyć z tam-

ąd. Nie wiadomo jeszcze od czego się to tam zajęło.

Wielki też pożar był w *Babińcach*, w czortkowskim, we dwa dni po o-wem w *Hawryłowie*, na godzinę przed północą. Ogień wyszedł z cerkwi, a spaliwszy ją do szcztetu, rzucił się na chałupy, i pogorzało aż siedm o-bejsę gospodarskich ze wszystkimi zbiorami. Między pogorzalcami jest także *Fedor Andrejczuk*, gospodarz, obrany na posła do sejmu, a będący teraz we Wiedniu. Przyczyną tego pożaru ma być nieostrożność kościel-nego, co źle świece w cerkwi pogasił.



Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

DZWIŃKI

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzoba,
Kto chce syt być swego chleba.

JAN KAZIMIERZ, KRÓL POLSKI.

II. Napad szwedzki i obrona Częstochowy.

Dobrze to mówią ludzie, że nigdy jedna bieda nie przyjdzie na człowieka, ale za nią zaraz cały ogon innych nieszczęść sypie się jak z rękawa. Owóż i w naszej Ziemi za czasów Jana Kazimierza, nie obeszło się na kozackich buntach, bo jeszcze i tym nie było końca, a jużci Szwed niewiara, miarkując że Polska w domowych swarach musiała zesłabnąć, postanowił sobie drzeć łyko póki się da, i uderzyć na naszych. Jął więc wymyślać różne kruczki, żeby to mieć niby prawo rzucenia się na Polskę, a kto wie czyby to tam nie było się jakoś bez wojny zepchało, gdyby nie taki wypadek:

Był na dworze królewskim we Warszawie pan *Radziejowski* na wysokim urzędzie, a tego król nie bardzo lubił, za różne obmowiska przed ludźmi, i szukał tylko sposobu, żeby się go jak ze dworu pozbyć. No i trafiło się, że ten pan *Radziejowski* pokłócił się był o coś ze swoją żoną, a tak mocno, że się aż rozjechali on sobie a ona sobie; — zaś król, dowie-

dziawszy się o tem, dalej sobie wodę na swój młyn, i nuż pod-
mawiać panią Radziejowską żeby się z mężem rozwiedła. Owóż
z tego to niepotrzebnego wściubiania się króla do małżeńskich
swarów, powstały niesłychane gwałty: Radziejowski wpadał pu-
blicznie z zbrojnymi pacholkami na dwór swojej żony, chcąc ją
sobie odebrać, a żona też znowu zajeżdżała męża, i ta obraza
boska skończyła się nareszcie w sądzie, kędy pana Radziejow-
skiego na garło, a ją na grzywny osądzili. Rozgniewany tem
Radziejowski zapomniał zgoła że jest synem tej polskiej Ziemi,
i myśli sobie:

— Poczekajcie, wy mię tu sądzicie na utratę życia, a ja
wam tu wnet gorącą sprawię łaźnię! — I nie nie mówiąc zabiera
się i umyka z Polski, a sunie prosto do szwedzkiego króla.
Szwedzi niewierniki, jak już rzekłem, mieli już podówczas do-
brą na nas chętkę, więc jak ich zaczął jeszcze Radziejowski
podmawiać a podmawiać, tak nie wiele myślący, wydali naszym
wojnę, i ruszyli wnet z licznym wojskiem na naszą biedną krainę.

Był podówczas młody król, *Karol Gustaw*, nad Szwedami,
więc raźnie szła ta wojna. Weszli oni do Wielkopolski, zabie-
rając wszystko i obsadzając swoimi na imię Karola Gustawa, a
Radziejowski szedł też z nimi i tak dogadywał naszym:

— Po co wy się bronicie? Szwedy mocne i odważne, to
im nie dacie rady, a król Jan Kazimierz was nie wspomże, bo
człek słabego ducha. Ot, lepiej poddajcie się szwedzkiemu Ka-
rolowi, co jest król młody i dzielny, niech on nami króluje, i
będzie nam z nim jak w niebie.

Więc na ono gadanie Radziejowskiego, smutno powiedzieć,
lecz trafili się tacy, co przechodzili do Szwedów wierząc sło-
wom zwodnika. Aleć inni mu na to prawili:

— Idź ty i z swoimi Szwedami do pioruna, żebyś nie
wziął po skórce! Jak nami nasz król będzie źle rządzić, to so-
bie innego obierzemy, ale Szwedów niewierników na karki nam
nie trzeba żeby tu rządzili, bośmy tu na własnych śmieciach
panami a nie sługami.

Więc i oto zaczęli się bić. A nie było podówczas jeszcze i
z Kozakami zupełnie spokojnie, a Moskał także nas z innej strony
jął turbować, a książę ze Siedmiogrodu także swoim dworem.

Potracili więc wszyscy głowy, a król, załękłszy się bardzo, spakował swój dwór czempredzej i wyjechał na Szląsk, mówiąc: Róbcie sobie co chcecie; a było to wielkim grzechem z jego strony, bo on jako król powinien był do ostatka wytrwać, broniąc kraju i swoich poddanych. No, ale taki to tam i był ten król z cudzego gniazda!

Skoro więc i król porzucił królestwo, tak dopiero ani weź ładu, i nijakiej obrony choć za grosz! Jeden do Szweda inny na Szweda, nikt nie wiedział co robić, a było to jużci na rękę szwedzkiemu królowi, bo szedł sobie jak do tańca, i bardzo łatwo dobywał jedno po drugim, ogłaszając się prawowitym panem. I wnet też stało się tak, że co nie było zabite lub zwyciężone, to padało na kolana przed Szwedem prosząc o pokój, bo nigdzie sił do obrony, tak że już wszyscy zwątpili, i każdy oczekiwał rychło się dopełni ta miara niedoli.

Atoli, jako jedyna gwiazdka na ciemnych niebiosach co zbłąkanemu żeglarzowi przyświeca: tak i klasztor na Jasnej Górze w *Częstochowie*, przez Szwedów jeszcze nie zajęty, przyświecał resztą nadziei całej polskiej krainie, a utrapieni mieszkańcy klękając zwracali modły swoje do Matki Boskiej Częstochowskiej, królowej i patronce polskiej, oczekując od niej pomocy w swem nieszczęściu. Lecz butny król szwedzki, nazdobywawszy mnóstwo grodów i miast, wnet zajrzał oną gwiazdkę jedyną, a złakomiwszy się na bogactwa klasztorne, wysłał wnet generała swego Milera z częścią wojska, nakazując, aby zdobył klasztor Jasno-górski i złupił.

— Nawet ich Matka Boska im nie pomoże! — mówił król szwedzki, niedowiarek — wszystko zdobędę, upokorzę, i muszę mię słuchać jak prawego króla.

Dnia 8 listopada 1655 roku, pod wieczór, księża zakonicy modlą się gorąco i śpiewają pieśni nabożne w chórze, a gdy skończyli, cichość wielka zaległa klasztor, a na niebie zmrok nocny rozsiadł się już dobrze. Naraz kotły i trąby ozwały się strasznyim grzmotem pod samemi murami, i wszystkich ogarnęło przerażenie, bo oto pod klasztorem stanęła już część szwedzkiego wojska, a dowódzca ich Wajchard śle do klasztoru posła z taką mową:

— Mam cztery tysiące wojska; jeżeli zechcę to was zaraz dobędę, poddajcie się więc sami szwedzkiemu królowi.

Wysłuchali tej mowy z murów zakonnicy, nie otwierając nawet bramy posłańcowi, i aż na drugi dzień rano wysłali dwóch braciszków do Wajcharda, który był katolikiem, prosząc, aby jako katolik odstąpił przecie od cudownego miejsca, i raczej bronił klasztoru niż napastował. A chytry Wajchard nato:

— Ja też to cheę z przyjaźni dla was, żebyście się poddali, bo nadechodzi za mnę jenerał Miler heretyk, a z tym wam będzie gorzej.

Wrócili braciszkwowie do klasztoru, i tu dopiero się rozpoczęła narada, co robić? Było podówczas w klasztorze bardzo wiele szlachty, co się z żonami i dziećmi przed napaścią szwedzką schronili, było też sześćdziesiąt i ośm zakonników, broni, kul i prochu nie brakowało, mury były jakie takie, a na murach gęste armaty. Więc rada w radę, postanowiła załoga klasztorna bronić się jak można do upadłego, i raczej zginąć w obronie Bożej-Rodzicielki, niż obraz Jej cudowny i cały klasztor wydać na świętokradzki rabunek heretyków Szwedów. Kazał też ksiądz przeor powiedzieć Wajchardowi:

— Rób sobie co cheesz, a ja ci klasztoru nie wydam! —

Więc rozgniewany Szwed uderzył z armat do klasztoru, spalił kościół świętej Barbary pod górą zbudowany, a potem odszedł na bok z wojskiem. Korzystali zakonnicy z tego odstąpienia Szwedów, bo sobie ukradkiem ściągnęli więcej ludzi zdolnych do broni, co było jeszcze armat na składzie, to wszystko zatoczyli na mury, a kazawszy het zburzyć i spalić wszystkie budynki, co tylko były za murami klasztoru, żeby się nieprzyjaciel nie miał gdzie ukrywać i zaczajać: oczekiwali spokojnie Milera z wielkiem wojskiem. Jakoż nadeszła wiadomość, że Miler z Wajchardem i innymi, w dziewięć tysięcy wojska ciągnie oblęgać Częstochowę. Jednemu i drugiemu poszła dusza w pięty na taką wiadomość, ale ksiądz Kordecki gromił trwożliwych, a pokładając całą swą nadzieję w Boga-Rodzicy, Królowej polskiej, odprawił uroczyste nabożeństwo z procesją okazałą na około klasztoru i po wałach fortecznych, i przy odgłosie dzwońów święcił armaty, proch, kule i broń wszelką. Właśnie też

pod koniec procesji zaczęło się pod górą, i oto Miler stanął we wsi Częstochówce.

Jeszcze tego samego dnia poczęli Szwedzi armatami prażyć, więc gracko odstrzeliwano im z klasztoru, a posłom przychodzącym od Milera odpowiedział ksiądz Kordecki, że póty nie będzie się w żadne układy wdawał, jak długo Szwedzi zostaną na klasztornym gruncie. Jakoż na nie poszły wszystkie poselstwa, a bitwa zawiązała się na piękne.

Już trzy dni i trzy noce grają armaty szwedzkie i Jasnogórskie, a łaska Boża widocznie przy naszych, bo szwedzkie strzały nie wiele sprawiają zniszczenia, a Jasnogórscy zapaliwszy sztucznymi ogniami Częstochówkę, wielki sprawili popłoch w szwedzkim obozie. Co Szwedzi sypną granatami i innym ogniem na dachy klasztorne, to nasi wartownicy, na dachach umyślnie postawieni, zaraz to gaszą i zrzucają. A przyczyna Marji Panny także i tu widoczna, bo oto jeden granat odbił się od murów bez szkody, inny szedł prosto na samychże Szwedów, a inny znów padł przy kolebce dziecięcia w klasztorze, a zgasł i nie pękł zupełnie. Strzały zaś obłożonych robią wielkie szkody, a zabiły też jednego Polaka w szwedzkim wojsku, prawie w chwili, gdy innym żołnierzom Polakom dowodził, że będąc w służbie u Szweda, nie jest grzechem napadać na cudowne miejsce. Wyraźna więc łaska Boża sprzyjała obłożonym.

Nie mało też martwiło to Szweda Milera, co przecież generał był nie lada, i niejednen zamek zdobył już w swem życiu.

— Czy czart broni tego kurnika, że ja go zdobyć nie mogę? — wołał on heretyk rozjedzony — wszystkich mnichów wygubię, jak muchy.

Ale co tam pogrożki, kiedy mu się szturmy wcale nie wiedły, a ksiądz Kordecki pod opieką Matki Boskiej bronił tak dzielnie klasztoru, że wszystkim obłożonym aż ducha przybywało.

Więc Miler dalejże w świeże układy. Pchnął swojego posła do klasztoru, obiecując, że nikomu nie nie zrobi, i klasztoru obdzierać nie będzie, byle tylko księża szwedzkiego króla swoim panem uznali i stu pięćdziesięciu strzelców na załogę wzięli. Lecz na drugi dzień przyszli do obozu szwedzkiego dwaj zakonnicy, a tak jęli mówić:

— Nam zakonnikom nie godzi się wdawać w spory między królami, nie możemy też łamać przysięgi danej królowi naszemu; a skoro Jan Kazimierz nie przestał być królem, i panowie innego nie obrali, więc my tylko jemu podlegać będziemy, i raczej zginiemy, niż żebyśmy mieli klasztor w wasze ręce oddać.

— Wy sobie żarty stroicie ze mną! — wrzasnął Miler, i oddawszy księży pod straż, wziął się całemi siłami do oblężania. Daremnie inni przychodzą z klasztoru i upominają się o wydanie posłów, prawiąc, że poseł to rzecz święta: Miler krzychał, że ich powiesi, i nie wydał. Ale gdy ci odpowiedzieli, że są za ojczyznę i za wiarę na śmierć gotowi, więc puścił ich Szwed do klasztoru, a sam się wziął znowu do strzelania. A przyszło właśnie Milerowi sześć ogromnych armat z Krakowa, więc temi bił w mury i wielkie szkody robił. Atoli oblężeni nie tracili nadziei, a to ich też pokrzepiło nie mało na duchu, że w samą uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny, zakradł się cichaczem pod mury niejaki Jacenty Brzuchański, mieszczanin częstochowski, i przerzucił do środka list od jednego księdza Paulina z Krakowa, gdzie stało napisano, żeby się klasztor nie poddawał, bo Szwedzi nigdy słowa nie dotrzymują. A gdy się też zakonnicy i od jednego szlachcica przejezdnego dowiedzieli, że sprawa ze Szwedami źle stoi, że hetmani wojska ściągają, i da Bóg przybędą na odsiecz Częstochowie: tak to nie mało pocieszyło walecznych obrońców.

Było to już w grudniu, zima twarda, mrozy trzaskące, ale Miler nie zważając nato stawia działa, tłucze od ranka do nocy, i coraz większe robi w murach szkody. Lecz gdy Szwedzi zaczęną dobrze bić, to nasi z murów jeszcze lepiej, kładąc nie mało trupa; a jeden strzał był taki, że kula wpadła do namiotu i zabiła śpiącego w łóżku siostrzeńca Milera, z kąd Szwedowi ogromne było zmartwienie. Więc boleś z tego wypadku rzucała nim jak szalonym, stawiał armaty od wszystkich stron klasztoru i bił bez ustanku z wielką szkodą murów, tak, że ksiądz przeor musiał znowu upominać niektórych, co się bać poczynali, że za Ojczyznę i Najświętszą Pannę powinni być i na śmierć gotowi.

W takiej ciągłej bójce nadeszło Boże narodzenie i wilja. Poczciwy Jacenty Brzuchański podkradł się był znowu pod mury,

aby dać księżom wiadomości z obozu, a przyniósł też biedakom i kilka ryb na wilję, lecz nieszczęśliwy, przypłaoił to mękami i strachem niemałym, bo go Szwedzi złapali, i już powiesić chcieli, jeno, że się im jeszcze jakoś wykupił.

W sam dzień Bożego narodzenia, chcąc odbyć spokojnie nabożeństwo, prosił ksiądz przeor Milera o spokój na chwilę. Szwed przyrzekł nie strzelać, ale mu księża nie wierzyli i mieli się na baczności. A patrzcież, tak się stało, jak sobie myśleli. Szwed zdrajca obiecał a nie dotrzymał, i ledwie się nabożeństwo skończyło, uderzył całą siłą. Był to najsilniejszy, ale też już i ostatni napad, a i ten skończył się na niczem. Szwed wygłodzony i wymrożony, a chorobami i armatami klasztorными wytłuczony, nie miał już chęci i odwagi napadać. Jakoż ze wstydem i hańbą we trzy dni po Bożem Narodzeniu, ustąpił z pod klasztoru i poszedł we trzy strony.

Ileż to radości było między oblężonymi, ile chwały i podziękowań księdzu przeorowi, że tak wszystkich krzepił na duchu, a ileż dziękczynień Bogu i Najświętszej Pannie! A oto cudowna ta obrona Jasnej Góry stała się początkiem i pobudką do gnębienia Szwedów. Panowie widząc, jaka jest silna Pana Boga nad Polską opieka, porzucili swary i zwady, a dalejże się zmawiać, i stanęła umowa w *Tyszowcach*, żeby Szweda bić do nogi gdzie tylko się nawinie. Ci co się w ten sens mówili, nazwali się konfederacją tyszowiecką, a chwycili się zaraz do dzieła. Wszystkim już ciężyła niepomalu ta szwedzka niewola; ochoty więc było dużo i pomocy dosyć, a nawet król dowiedziawszy się o tym związku powrócił do kraju i wziął się też do roboty. Goniono więc teraz dopiero Szwedów natrętów, het na cztery wiatry, wyrzynano załogi po miastach i bito na łeb na szyję.

I dał Bóg wreszcie, że poszły sobie one heretyki z naszej Ziemi, i noga ich nie powstała więcej, zaco niech będzie Panu Bogu chwała.

Ś p i e w k a.

Kwiatek zawsze w miejscu stoi, Jestem człowiek, a nie zwierzę,
Ledwo się zachwieje,
Czeka aż go deszcz napoi,
Umiem także i pacierze,
A wietrzyk obwieje. I czytać już umiem.

Kto ma nogi, chodzić może,
A co starszy, więcej może,
I biegać — ze statkiem;
Bo mądrzejszy wiekiem;
Dziękuję Ci Panie Boże,
Dziękuję Ci Panie Boże,
Że nie jestem kwiatkiem. Że jestem człowiekiem.

I zwierzęta nogi mają,
W świętej wierze, a nie w innej,
Jak nasz kruczek w budzie,
Przy uczciwej pracy,
Ale się nie rozmawiają,
Kocham Boga, kraj rodzinny,
Tak jak z ludźmi ludzie. I tych co swojacy.

Bo jak się rozmówić może
Nie jak Moskal, cudzoziemiec,
Szara gęś z prosięciem?
Co w nas topi noże:
Dziękuję Ci Panie Boże,
Żem nie Moskal, ni też Niemiec,
Żem nie jest zwierzęciem. Dziękuję Ci Boże!

Nie ukryje się szydło w worku!

Wszyscy jesteśmy ludzie i wszyseśmy grzesznicy, nikogo nie ma na świecie bez błędu, ale też staraniem naszym powinno być unikać tych błędów, raz dlatego, że przez nie obrażamy Pana Boga Stwórcę naszego, który nam daje wszystko z swej łaski, powtóre, że przez te błędy stajemy się innym ludziom niemiłymi, a po trzecie, że sami sobie przez nie szkodzimy, bo czy prędzej czy później a człowiek odniesie karę za nie.

Próżniak obraża Pana Boga, bo mu dał zdrowie i zdolność do pracy, a jemu się nie chce robić i marnuje czas i siły, ludziom którzy go przyjmują do roboty robi zawód, a sobie też szkodzi, bo jak się jeden i drugi przekona że leń, to go nikt nie weźmie ani do służby, ani na wyrobek.

Pijak jeszcze gorszy, bo stworzony na obraz i podobieństwo Boże tarza się w kałużach, wyciera pod ławami, a często kończy żywot jak ów Franek, o którym pisaliśmy, bez pociech re-

ligijnych, bez opatrzenia na drogę wieczności, ludzie nim się brzydzą, dzieci wydrzyńniają się kiedy pijany idąc z karczmy zagania kaczkę po drodze, sobie szkodzi, bo niszczy zdrowie i zalewa rozum, a najczęściej wychodzi na dziada i od wsi do wsi łażąc z torbą, co otrzyma z miłosierdzia bliźnich niesie do szynku.

I tak żaden błąd na dobre nie wyjdzie, tembardziej też występki, bo prócz tego pociąga jeszcze za sobą karę srogą, którą prawo naznacza, a kara ta sprawiedliwa i potrzebna, bo gdyby prawa nie było, to niktby nie był pewny swego i pracowałby na zbrodniarzy.

Złe nigdy się nie utai i zawsze na wierzch wychodzi, i choćby tam nie wiem jak zbrodniarz się taił, *szydło z worka wylezie*.

Ze wszystkich występków najczęściej między ludźmi trafia się kradzież.

Nie mówię ja tu o kradzieżach koni, bydła, bo na to już czychają złodzieje z rzemiosła, ale o tych drobnych porywaniach, które się codzień przytrafiają po wsiach. Jeden drugiemu udrze kawał płotu, wypasie zboże, poszkoduje owoc, ukopie ziemniaków. Wszystko zdaje się to rzecz mała, ale czy kto weźmie mało czy wiele, zawsze jest złodziejem, bo siódme przykazanie Boskie mówi: *nie kradnij*.

Są tacy znowu co nie mają sobie za grzech ściągnąć drzewinę z dworskiego lasu, uciąć w dworskim sadzie szczepek na biczysko, naciać płachtę konieczyzny, albo nocą wpędzić dobytek w dziedzicowe zboże, a jak mu kto co mówi to powiada: — O! straszne tam rzeczy ten szczepek, albo drzewinka! Czy to na panu będzie znać że się ubogi pożywi? — Czy znać będzie czy nie, to nie wiadomo, bo nikt w niczyjej kieszeni nie siedzi. Nie jeden pan wydaje się z pozoru bogatym a biedniejszy od chłopca, bo po uszy obdłużony a wielkie ma wydatki. Kto ubogi a chce się pożywić, niech prosi, to dostanie, a niech nie rusza cudzego, bo siódme przykazanie Boskie mówi: *nie kradnij*.

Ileż to szkody nie mają ludzie przez kradzieże: nie jeden gospodarz trzeźwy, pracowity, morduje się żeby pole dobrze sprawić, obsiać, zbronować, nazgina się przy żniwie że aż

w krzyżach trzeszczy, naokopuje się ziemniaków, przyjdzie jesień, raduje się że będzie miał pożywienie dla siebie i dla dzieci na zimę: aż ci przyjdzie złodziej i wykradnie z komory! Mrzuj potem z głodu, a on nie pracując hula za twoją krwawą pracę. Drugi znów goni za onym zarobkiem, śpieszy się w domu z robotą żeby jak najwięcej czasu zostało do najmu, przez żniwa pracuje jak wół, wreszcie uzbiera kilkadziesiąt złotych i cieszy się że sobie albo żonie kupi kozuch i buty na zimę: aż ci przyjdzie złodziej wyłamie skrzynkę, i zabierze krwawo zapracowany grosz! Chuchaj potem w palce, a on za twoje pieniądze pije i wyśmiewa się jeszcze z ciebie. Dlatego nie należy nigdy złodziejowi przepuszczać, ani go zakrywać, ale schwyć i zaprowadzić do sołtysa, żeby się nie pasł ludzką krzywdą, ale jak drudzy pracował; dlatego trzeba dziatki pilnie posyłać na katechizm do księdza dobrodzieja, aby się od małości uczyły przykazań Bożych i onych nie przestępowały.

Najgorszy ze wszystkich złodziej domowy. Najprędzej znajdzie on sposobność do kradzieży, i trudno się przed nim ustrzedz, bo zna wszystkie schowania i wie dobrze gdzie co leży. Ale przecież czy prędzej czy później wydać się musi, bo się szydło w worku nie utai.

Mieliśmy tu właśnie w tamten tydzień śmieszną historję z Walkiem parobkiem co służy u Pawła, najpierwszego gospodarza naszej wsi.

Otóż Paweł składał sobie grosz do grosza z najmu, aby miał czem podatek opłacić, a że nie chciał zbiorów się pozbywać za byle co, więc sobie zbierał i gdzie mógł wymieniał gotowe pieniądze. Tymczasem raz kiedy przyniósł znowu cztery złote dołożył do dawnych, zdało mu się że pieniądze poruszone, policzył je i zmiarkował, że brakuje czterdzieści groszy. Zastanowiło to Pawła, ale myśli sobie: Ha, kto wie, może źle rachował, policzył więc wszystkie na nowo, zapisał na wieki i zamknął skrzynię.

W niedzielę wyjął Paweł z kieszeni pieniądze, które wziął za tydzień ze dworu, za siebie, brata i dwóch parobków, było tego dwadzieścia cztery złote, liczy, a tu brakuje dwudziestu groszy. Zafrasował się w myśli, czy też nie zgubił; pobiegł

potem do skrzynki i tam brakowało złotówki. Poznał Paweł że mu ktoś dobiera się do skrzynki i ostro powstał na czeladź, wszyscy się wypierali, ale Walek najbardziej; klął się żeby go pioruny zatrzaśły, żeby jasności Boskiej nie oglądał, jeżeli dotknął pieniędzy Pawła.

Paweł nie nie mówił tylko uważał pilnie, ale niezego dostrzedz nie mógł; a wczoraj ledwie że wyszedł na chwilkę do sąsiada, znów mu brakło dwie dziesiątki. Zwołał więc całą czeladź i począł okrutnie hałasować, i Bóg wie jakby było wypadło, bo nie wiedział kogo posądzać, ale szczęściem nadszedł sąsiad Goralezyk. Skoro ten wysłuchał Pawła, rzekł mu: — Nie turbujecie się kochany sąsiedzie, my tu wnet bez hałasu wynajdziemy złodzieja choć by się pod ziemię skrył, dajeie jeno garnek nowy i każecie rozpalić ogień na kominie z jałowcowych gałęzi. — Pawłowa posłała dziewczkę, ta przyniosła jałowcu i zapaliła ogień.

Wszyscy patrzyli się z ciekawością; tymczasem Goralezyk wziął smolnych szczyb, rzucił na ogień, wrzucił trochę bylicy, i garnek obracał nad ogniem, a ciągle coś szeptał. Potem garnek ten odjąwszy z ognia pokazał wszystkim i rzekł do czeladzi: — Przypatrzcie się garnkowi jako jest czarny i okopciały, stawiam go w komorze, niechaj każdy pociągnie po nim rękami od góry do dołu, złodziej będzie miał ręce czarne jak sadze, a kto niewinny rąk nie zwała ani krzty, już ja mam na to taki czarodziejski sposób.

Poszli potem z gospodarzem do komory i zabili okno deszczką; wpuścili Walka i Szymka parobków, Magdę dziewczkę, a potem nawet Franka, brata gospodarzowego, żeby wszyscy pod jednym prawem byli. Po chwili Goralezyk woła: — Magda!

Dziewka wychodzi z komory i pokazuje ręce, a tu czarne jak smoła. Pawłowa mówi: — Widzicie to ta niegodziwa kradnie. Goralezyk mrugnął na gospodynię żeby umilkła, potem woła: — Szymek! Szymek wchodzi do izby, ręce czarne, Pawłowa kręci głową. Franek! wychodź! — krzyknie Goralezyk, Franek włązi, ręce czarne. Co u kaduka, myśli Pawłowa, czy oni wszyscy kradli? Wnet zawoła Goralezyk: Walek! — pokaż ręce! Walek wychodzi z komory i pokazuje czyste ręce. On ukradł krzyknie

Goralezyk! pokażcie wszystkie ręce! wszyscy mieli ręce posmolone sadzami, a Walek czyściuteńkie. — Przyznaj się, mówi mu ostro Goralezyk, bo cię porwisiu oddam do sołtysa i pójdiesz do Chęcín. Zląkł się Walek, zbladł jak chusta i przyznał się że on gwoździem skrzynię otwierał, i wziął gospodarzowi dziewięć złotych różnemi czasami, ale obiecywał odsłużyć.

— Ani twojej usługi nie chcę, ani ciebie dłużej trzymać nie będę. Porwisiu niegodziwy! — krzyknie Paweł — zabieraj rzeczy i idź z Bogiem, a dziękuj Bogu że ci ten raz ujdzie na sucho, bo mógłbyś posiedzieć kilka miesięcy, tyle twego szczęścia żeś się przyznał.

— Ale jakżeście wy czarowali mój Kazimierzu — rzeknie Pawłowa do Goralezyka — kiedy na opak się stało jak miało być; przeciwnie na własne uszy słyszała, że złodziej miał mieć ręce posmolone a niewinni czyste; tu się stało przeciwnie.

— Nie były to żadne czary — odpowie Kazimierz — bo czarów na świecie nie ma, tylko zaszedłem z mańki tego co ukradł, bo inaczej nie byłoby się wydało. Dla większego otumanienia udawałem że to czarodziejski sposób, bo by i Walek nie dał się złapać. Otóż widziecie moja gosposiu, że Magda, Franek i Szymek mieli czyste sumienie, więc się nie bali tknąć garnka, a Walek że ukradł, to go się nie dotknął, żeby się udać za niewinnego i tym sposobem wydała się jego kradzież.

— Co tam za sposób taki? — zawoła Pawłowa.

— Ho, bo stary nie z jednego pieca chleb jadał — rzeknie Paweł — Bóg wam zapłać kochany Kazimierzu.

— Za mało mój bracie — odpowie Goralezyk — a ty Walku masz naukę, żebyś poznał brzydkie złodziejstwo i nie łakomił się na cudzy grosz; idź do spowiedzi, wyznaj grzechy i prosz Pana Boga żeby ci odpuścił i łaską swoją przenajświętszą na dobrą drogę wyprowadził, a pamiętaj że jako *nie ukryje się sztydło w worku*, tak też i każdy występek się wyda.

Pogadanka w Wąwrowicach.

O szklach powiększających.

Stary Antoni skończywszy cudowną rzecz o jajku i o tem jak się to z niego pisklątko wykłůwa, dumał chwilkę cichości,

a potem tak jał prawie o innych ciekawych rzeczach, co ludzie wypatryli przez szkła powiększające :

A innych rzeczy, ileż to nie naoglądano przez szkła takie, a wszystko, co ludzie widzieli, dowodzi tylko nieskończonej mądrości Boskiej a dokładności najmniejszego stworzenia i stworzonej rzeczy.

Weźmy listek z jakiego bądź drzewa. Patrząc na niego przez taki mikroskop, ileż tam regularności! Żyłki tak powiązane równiuteńko, tworzą najpiękniejszą siateczkę, a w niej najokrągłejsze kuleczki, otworeczki, których tak okiem patrząc nie a nie nie dojrzysz. Liście, to tak jak płuca w człowieku; drzewo niemi oddycha; dla przyjęcia też to powietrza widać najmędrzy Pan Jezus takie dziureczki równiuteńkie pourządzał, bo także się wszystkowiedzającemu Stwórcy potrzebne widziały.

A gdybyśmy znów popatrzeli na najbardziej wygładzoną rzecz, na ten przykład, na marmur wypolerowany. Wypolerowanie czyli wygładzenie to ludzka robota, więc już niedokładność. Toć masz doły, dziury, że zdaje się, żebyś nogą na takiej grudzie postąpić nie potrafił, gdy to tymczasem najgładszy, najpiękniej wymuskany kamień.

Wzięto dalej kropelkę wody, na przykład deszczówki. Chryste Panie! Co ci tam robactwa małego, dużego, tobyś ani zliczył w jednej kropelce wody. Zdaje się to być nie do wierzenia, a jednak tak jest rzeczywiście, bo uczeni ludzie to nawet znają i nazywają ono robactwo *wymoczkami*, a zwierzątka te może widzieć każdy, ale tylko przez szkła bardzo powiększające. A to takiej biedzie i napatrzeć się rozrywka. Są one większe i mniejsze. Wszystko się rusza, łązi, jedno na nóżkach, drugie się czołgają jak węże itd. Mocniejsze gonią za słabszemi, pożerają je, połykają; małe się bronią. Słowem, świat tam drugi we wody kropelce. Po co tyle robactwa w tej wodzie, bez której by człek żyć nie potrafił, tego nikt nie odgadnie, bo głupieje myśl i najmędrszego, kiedy się nad stworzeniem Boskiem zastanawiać pocznie. Tak widać najlepiej, kiedy tak najlepszy Pan postanowił; a woda choć z tem robactwem na szkodę nam nie wychodzi. Jeden Bóg to wie, co te i tyle innych cudów zdziałał na okazanie potęgi swojej. Chwalmy Jego imię po wszystkie wieki! korzmy się przed Jego nieogarnioną mądrością! dziękujmy mu za to wszystko co stworzył, i za to, że nam dał ten Pan duszę i rozum, którym potęgę Jego ile nam dozwolono, poznawać możemy.

Owoż przez podobne to szkła, choć znów inaczej urządzone, patrzeli mądrzy a ciekawi na miesiączek. Najprzód szu-

kali tam tego chłopa, co to za karę, że w święto gnój wyrzucił, na miesiącku na pokucie miał być posadzony. Nie znaleźli chłopa; chłop pewno w piekle po uszy za zgwałcenie święta pokutuje. Przekonali się atoli, że te plamy na księżycu co je widać, to są niby nasze chmury, co się raz tak, drugi raz inak pokazują i najrozmaiciej zmieniają. Tak jest! Ale to nie! bo dziś uczeni ludzie to znają miesiącek jak na dłoni; choć tam nie byli, ale tak wszystko wypatrzyli. Znają na miesiącku góry i doliny; wiedzą jak wysoka która góra, jak obszerna dolina; dlaczego księżyc raz widać, kiedy indziej nie, to oddawna mówili; bo juźci kiedy słońeczko oświeci miesiącka toć go i widać będzie; kiedy nieoświecony, toć go zaciemnionego nie zobaczysz, a tyle go zobaczysz, ile go jest oświeconego i jasnego. Mówią, że księżyc sam okrągły niby jabłko a caluteńki jest tylko jednolitą skałą, a niektórzy ciekawsi jeszcze mieli dopatrzeć, że w miesiącku taka na wskrós dziura jak w kole młyńskim, tak że przez tę dziurę na drugą stronę przejrzyć można; ba nawet zaręczają, że podczas całkowitego zaćmienia słońca, co wtedy bywa, gdy miesiącek nam słońko zupełnie zakryje, to oni tą dziurką w księżycu słońeczko widzieli; choćby nie powinni byli widzieć, kiedy zasłonięone było. Naturalnie patrzeli oni przez swoje szkła.

No patrzcież się, co to ci ludzie nie wymyślą, i choćbyśmy im ta jeszcze zupełnie nie wierzyli, że nasz piękny miesiącek dziurawy; toć to prawda, że ludzie przez szkła powiększające tyle naoglądali rzeczy, o których pierwej ani się śniło człękowi, kiedy szkieł takich nie było. O! ileż to podobnych rzeczy mówią ci mądrzy! my, co nie znamy ich nauki, nigdy ich mowie nie uwierzemy. Starajmyż się, aby choć dzieci nasze mogły wierzyć oczywistej prawdzie, a poznawały lepiej niż my Stwórcę naszego i Pana, i godniej od nas czeićły i wielbiły tego, którego świat i tak nigdy pojąć i zrozumieć nie zdoła.

(u Klimka na łanach.)

RÓŻNOCI.

O zacnej pani i o dziewczętach w Witkowicach. Już dzięki Panu Jezusowi lud nasz poznaje, ile to pociochy i chwały ztąd wynika, gdy się dobrą szkółkę we wsi urządzi. Lecz nie wszędzie można było dotąd zro-

bić tak, jakbyśmy sobie życzyli: z początku toć to i łożycie trzeba na wybudowanie pomieszkania i na utrzymanie nauczyciela. W niektórych miejscach znaleźli się dobrodziejnie niekoniecznie panowie, bo wiecie, że

byli i są gospodarze wiejscy, wieśniacy, co o szkółce staranie mają. Zato im niech będzie podziękowanie teraz i na wieki.

Gdzie zaś takich dobrodziejów nie ma, muszą ojcowie sami myśleć o założeniu szkółki, a czas też ku temu, boć to i wstyd gminie, która w tyle za innymi została, a nie dba o wychowanie swoich dzieci.

Jeden mądry człek przed laty przechodził przez wieś i widział piękne gospodarstwo włościan: czyste bydelko, piękne koniki, wypasłe prosiaki, bo dobrze się mieli wieśniacy. Podobano się to każdemu, bo piękna chudoba o pilnym i pracowitym gospodarzu świadczy. Ale widział ten sam mądrzec nieskromne, bose i zamurdzane dzieci, które to piękne bydelko na trawę wyganiały. Pyta tedy ten mądry:

— Umiecie wy też chłopczyki Pana Boga chwalić? a wiecie też, kto was stworzył? macie wy też tu szkółkę we wsi? a umiecie wy czytać na książce?

Chłopcy ani *be* ani *me*; tyle tylko odpowiedzieli, że szkółki we wsi nie mają.

— No! wiecie wy — rzecze ten mądry — tobym ja tu we wsi wolał być prosięciem, niżli synem jednego z tych gospodarzy; bo tu widzę o prosięta większe staranie mają, niż o własne dzieci.

Co się ta robiło gospodarzom, gdy się o tej mowie mądrego członka wywiedzieli, osądzicie sami; a nie każdy chciał być potem do tych głupich choć pracowitych podobnym.

Ale mi się tu co innego pisze, niż powiedzieć chciałem; lecz i to wiedzieć nie zawadzi. Ludzie uczeni a rzetelni płaczą nad ciemnością gospodarzy i zaślepieniem tych, co jeszcze dzieci swoich uczyć nie dają, nie dbając o własną korzyść doczesną i wieczną.

Pani we wsi w Witkowicach namawiała włościan i to jeszcze łoś-

skiego roku, żeby się jako zebrać a myśleć o sobie, o swoich dzieciach i o duszy swojej. Lecz wieśniacy jak wieśniacy nie skorzy chodź i łożyc na takie rzeczy, z których oczywista korzyść. Tak-ci sama pani nuż zwoływać do siebie dziewczątka wiejskie; choć ta i chłopaki nie nie umieją, tylko że z chłopakami zachwałami toby ta pani nie była doszła końca.

Rozplakałbyś się człeku z radości, bo i mnie łzy w oczach stanęły, gdy patrzałem na dziewczątka we dworze. Czyste koszulki czerwoną stążeczką zawiązane pod szyją, główki uczesane piękniuteńko, że radość patrzeć. Tak pani przyzwyczajala do porządku i czystości. Dobrze to będą kiedyś wieśniaczki a żony i gospodynie, jak się tak z małości do wszystkiego dobrego wprawia. Jedna szyla czyściuteńko spodniczkę dla siebie; druga koszulkę, ale tak pięknie, żebyś myślał, iż taka koszulka to chyba gdzie w wielkiem mieście uszyta na ten przykład w Krakowie; a to ci ta dziewczynka mała, Marysia Majówna jej na imię, tak porządniuteńko koszulkę dla siebie na niedzielę uszyła. Inna znów czytała a potem miała pani to samo opowiedzieć; a znów jedna rachowała groch, bo utój szylę palców sobie porachował nie umie. Jeżeli będzie taki nieuk, no to już trudno myśleć z nią o książce; nauczy się Boga chwalić, być porządną, uczciwą a pracowitą, a i to rzecz nie mała. Pilne czytają tam jak starzy. Małeńka pani córeczka: Jadzia, uczyła się razem z dziewczątkami i robiła właśnie piękniuteńko siateczkę na drutach.

Raj to nie ziemia był w tych miłych Witkowicach! Aż oto Pan Bóg dotknął wielką boleścią mieszkańców Witkowic; chciał widać Najwyższy przekonać się czy ludzie i dalej tak uczciwie sobie postępować będą, bo zabrał do siebie tę bogobojną i cnotliwą panią. Dnia 15

zeszłego miesiąca, umarła ona Dobrodziejka i prawdziwa matka dziewcząt gromadzkich, wpośród płaczu i smutku caluteńkiej wsi, a co najbardziej, owych wychowanych przez nią dziewczątek. Mówcież pacierz za nią włościanie witkowscy: pokój jej duszy! A jeżeli chcecie uczyć jak się należy jej świętą pamięć, to prowadźcie dalej w bogobojności i cnotach swoje dzieci, starajcie się o szkółkę i o nauczyciela do swej wsi, a to wam będzie zawsze przypominać zgasłą waszą panię. Weźcie się do tej pracy, a Bóg wam dopomogaj!

Piękna ryba. Raz za onych czasów, kiedy Tatarzy najężdżali często na Polskę, łupili, palili i w niewolę lud pędzili, stał jeden żołnierz polski na czatach daleko od swoich, w pustem miejscu nad rzeką, aby tam pilnował i uważał dobrze, czy zkąd nie widać Tatarów. Stoi on żołnierz stoi, to przejeżdża się z wolna na koniu, słońce go piekło, nic nie było widać nigdzie, a choć nadstawał uszu, to nie nie słyszał, tylko gdzie świerszcza w trawie, albo ptaka zdaleka. Sprzykrzyło mu się setnie tak cały dzień Boży stać i stać, zmówił sobie już wszystkie modlitwy co umiał, ziewnął raz i drugi i wpatrzył się z nudów w wodę rzeki. I jak się zaczął przypatrywać, zobaczył ryby jak się pluśkały: to jedna to druga gonila za robaczkami, to na wierzch się wysunęła, to poszła spodem. Te rybie zabawy podobały się żołnierzowi, pochylił się z konia i patrzył w wodę. Ta i zebrała go pokusa zleść i zrobić wędkę na ryby. Strach ci też był i złazić, bo nie wolno było pod wielką karą na czatach schodzić ze stanowiska, broń Boże zasnąć, a dopieroż ryby łapać. Rzecz była niedarowana; jeszcze na

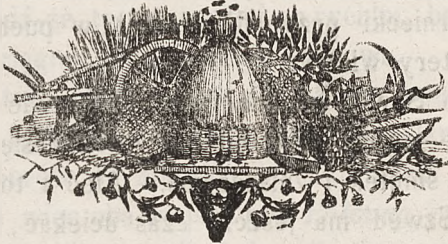
takiem ważnym miejscu, gdzie Tatarzy nie daleko. Ale lichy jak zaczęło kusić naszego wojaka, taki go i skusiło. Pierwszy raz w życiu zrobił to co nie wolno było: zlązł z konia, a owinawszy uzdę kolo ręki, dalejże za sznurkiem po kieszeni. Znalazł sznurek i żelaza odrobine, a wyciągłszy zrobił wędkę i siada sobie na brzegu. Ale że diabeł nie spi, więc tu ryby łapie, a tu słucha i konia nie puszcza; więc słucha czujnie, a ogląda się bystro, a ryby łapie. Aż tu od lasu szmer, dalej szum — nasz czujny wojak jednym skokiem na koniu a wędkę na plecy. Patrzy, tuman się zakurzył, kilkudziesięciu Tatarów pędzi od lasu, starszy na przedzie, a sadzą jak diabli. Zobaczyli polskiego żołnierza na czacie, wrzaśli strasznie i prosto na niego. Nasz zuch jak się nie zwinnie między nimi, przeżegnał się w duchu, szast jednego, szast drugiego po łbach, oni go ranią strzałami i wkoło wzięli, trupem położył kilkunastu, ale za dużo było na jednego, widzi że szkoda dać życie poganom, więc jak się nie zwinnie jeszcze raz, a tu wędka ucepiona wisi mu przez plecy. Nie wiele myśląc porwie za wędkę, i jak nie zakreśli po nad głową starszemu, złapał go i ściągnął, i dalej z tą rybą w nogi. Koń pomknął jak strzala, Tatarzy za nim, pędzą, lecą a wrzeszczą. Tymczasem polskie wojsko zdaleka się pokazało, i Tatarzy musieli uciekać. Dzielny zuch ze swoją rybą stanął przed pułkownikiem, aż zdumieli się wszyscy. Krew po nim ciekła zmieszana z potem i kurzem, koń ledwie dychał, a starszy tatarski wił się na wędce. Sam się on zuch oskarżył że na czatach ryby łapał, ale już za taką piękną rybę, to mu darowali tę ciężką przewinę.



11. Grudnia

1861.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JAN KAZIMIERZ, KRÓL POLSKI.

III. *Stefan Czarniecki, bicz na wrogów.*

Ta sama opieka Boża, co czuwała nad Częstochową i nie dała jej zginąć, czuwała też i nad całą Ziemią polską, budząc w sercach prawych jej synów chęć do boju z nieprzyjaciółmi. A jako nam nigdy nie brakło ludzi eoby wraz z sercem i głowę mieli na swoim miejscu, tacy też i tą razą znalazł się wielki wojownik i szczerzy polak Stefan Czarniecki, który ludzi do podnoszenia broni na Szweda namawiał, a do onej konfederacji w Tyszowcach najwięcej się przyczynił.

Był ten Czarniecki już nie młody, a w sprawach wojen-nych na wszystkie boki wypróbowany, bo też nie z jednego pieca chleb jadał i już w niejednej bywał przepawie. A toć on nadstawiał piersi prawie we wszystkich wojnach z Kozakami, był nawet i w niewoli kozackiej, a przecież im się wysliznął i teraz rusza lud na niewiarę Szweda, że aż miło! I ustępuje Szwed z naszej ziemi, jeno się za nim kurzy, a Czarniecki z swoim wojskiem obraca się w inną stronę, bo oto książe ze Siedmiogrodzia, imieniem *Rakocy*, ni ztąd ni z owąd wpadł ze

swoją chołotę w nasze podgórskie okolice przez Karpaty, i dalejze sobie plądrować po wsiach i po miastach. Nie długo ano broił on siedmiogrodzki książę, nie tak wiele też i szkód narobił, bo Czarniecki przypadł, rozbił w puch całą chołotę i rozpędził na cztery wiatry.

Tymczasem Szwed umknął już był prawie całkiem z Polski, jeno jeszcze ogony niedobitków wlokły się za nim, zostawując po sobie smutek i zniszczenie. Aleć i to mierziło Czarnieckiego, że Szwed ma jeszcze czas uciekać, więc pomyślał sobie:

— Trzeba mu oddać za naszą krzywdę; za nasze spalone miasta i zrabowane kościoły! — i tak pomyślawszy zwrócił się z swoim wojskiem i pogonił za Szwedem, i gnał ci go gnał het aż za morze, i tam go jeszcze szarpał i niepokoił, jak on nas w naszej ziemi, bo jaką kto miarką mierzy, taką mu też i odmierzają!

Radzi też byli Szwedzi uwolnić się już od wszelkich kłopotów i napaści, i zaczęli przemyślać o jakiejś ugodzie, a panować nad nami cale im się już nie zacheiewało. Jakoż z każdej strony zjechali się znakomici ludzie w mieście *Oliwie* niedaleko Gdańska, i tam spisali ugodę, żeby się już nie turbować, i dać sobie święty spokój, a w tej ugodzie odstąpili nasi Inflanty Szwedowi, boć tam z onego kącika więcej kłopotu jak pożytku było! Król Jan Kazimierz darował też wtenczas winę Radziejowskiemu i wszystkim innym co albo z tchórzostwa, albo ze złości ku niemu ze Szwedem się łączyli. Stało się to roku pańskiego 1660, i tą razą skończyła się wszelka bieda ze Szwedem.

Aleć jeszcze tego samego roku, podczas gdy w jednym końcu układano się o spokój, to w drugim jęło znowu wrzeć i kipieć jak w garnku. Owóz było to na Kozaczyźnie. Chmielniczenko nie żył już na tym świecie, a na jego miejscu był atamanem kozackim Jan Wyhowski, polak, a choć pod nim się nie burzono, nie było jednakowoż i spokojnie, a to z tej przyczyny, że połowa Kozaków przystała do Moskale, a połowa została przy naszych. Więc gdy bywało Moskale ujmują się za swoim a Wyhowski za swoim kozactwem, tak ztąd przychodziło do zwad różnych, ażei w końcu przyszło i do bójki. Wy-

howski pobił Moskali; a gdy ei chcąc się pomścić, ściągnęli niesłychane wojsko i szli z niem na Ukrainę, tak Wyhowski dał znać Czarnieckiemu, mówiąc:

— Przychodź-że ty ze swoimi co rychlej, bo nam tu wielki kłopot: Moskal ciągnie niby chmura gradowa.

Czarniecki też, choć to aż z drugiego końca Polski, uwinął się duchem, i jakby z deszczem spadł do Ukrainy. Nie dużo też i było przyborów na Moskali, bo Czarniecki prędki był jak iskra; sparły się więc oba wojska pod *Połonną* i stoczyły wielką bitwę. Trwała ta bitwa cały jeden dzień, na tę i ową stronę przechylało się szczęście, ażci w końcu dostał Moskal po skórze, i uciekł z niedobitkami, zostawiwszy na polu piętnaście tysięcy swoich trupem, a nam 146 chorągwi i 40 armat.

Tak więc na wszystkie strony bronił Czarniecki naszej biednej Ziemi, chociaż z małym wojskiem, i prawie że cudów dokazywał, bo wszędzie był górą. Aleć jak wóz, co wtedy tylko dobrze jedzie jak go posmarujesz, tak i ono wojsko Czarnieckiego, skoro miało jakie takie wygody i żołd mu wypłacano, pilnowało sprawy i biło się dobrze: ale jak mu już i jeść nie dawali i płacy nijakiej, bo nie było zkąd, tak Szwedy i inne wrogi kraj cały wyniszczyły, więc jeden i drugi jął się buntować i sprzeciwiać. Owóz ztąd powstał wnet nieporządek w wojsku, a Moskale widząc to znowu głowę podnieśli, i dalejże się zmawiać z Kozakami na naszych. No, aleć tą razą nie przyszło już do żadnej walnej bitwy, bo Moskale sił wielkich nie mieli, a nasi połatawszy jak było można pogodzili się jakoś między sobą, i dobrze się Moskałom oganiali. Ale Czarnieckiego tknęło już do żywego ono Kozactwo, co to z Moskałem się zmówiwszy, świeże bunty rozpoczęło.

— Nie wytrzymam dłużej — mówił Czarniecki — a natrę im w nos takiego pieprzu, co im jeszcze na sądnym dniu pachnąć będzie! —

Jakoż wziął się do roboty, przeciągnął na naszą stronę tatarskiego Chana, a tak razem z Tatarami zły i obruszony, ruszył na buntowników. Bił po drodze na proch, co mu się tylko z onych opryszków pokazało, nie przebacząc już teraz żadnemu, i przyszedł tak pod miasto Stawiszczę, kędy się największa siła

onych buntowników zamknęła. Wysłał więc do nich człowieka z taką mową:

— Albo mi się zaraz poddajcie, albo nie, to was w piech rozbiję i w powietrze wysadzę, i żaden z życiem nie ujdzie.

Lecz owi śmiali się tylko na ono gadanie i przezywali Czarnieckiego *Rabaja Sobaka*. Więc ów wykrzyknie:

— Bóg świadkiem, że nie wezmę w gębę ani odrobiny pokarmu nijakiego, póki nie rozwalę tego gniazda opryszków! — i rzekłszy to, wiedzie swoich do szturmu. Lecz gdzie się tam co przed naszym Czarnieckim ostoi! Tęgo bronią się Kozacy, ale jeszcze walniej uderza on na nich, a jeno który z naszych spojrzy na wodza, jak ten niby żołnierz prosty głowy swej nadstawia, to weń o połowę więcej ducha wstępuje. Każdy tam rycerz nad rycerza, jak oto niejaki *Krzysztof Zgłobicki*, co się drze z chorągwią na wały. Uciał mu Kozak prawą rękę, a on chorągiew do lewej, i dalej naprzód; ucieli mu i lewą, a on wtedy upadł płackiem na chorągiew, i wołał że go rozsiekali, niż żeby miał dobrowolnie chorągiew im oddać! O dziwne zaprawdę męstwo! Nie wytrzymali też Kozacy przed wojskiem, gdzie byli tacy rycerze, i poddali się, a tak Czarniecki wielu z nich przykładnie za bunty pokarawszy, znowu Ukrainę do spokoju przywrócił.

Patrzcież więc, jaką to pracą krwawą, jakimi zasługami wstawiał się Stefan Czarniecki! Był on już jak rzeszoto na wszystkie strony pocięty, a każda rana na nim była w obronie kochanej ojczyzny odebrana i przecierpiana! A przecież, choć tyle się wycierpiał i zasłużył, nie uganiał się za wielkimi stopniami i honorami: wależył od małego dziecka, i jeszcze teraz nie puszczał szabli z ręki, a nie był żadnym hetmanem, ani wysokim dostojnikiem. Mawiał też o sobie: *Ja nie z soli, ani z roli, ale z tego, co mię boli, urosłem!* Bo inni bogacili się, warząc sól, a inni orząc rolę, a on jeno tem, co tyrał zdrowie po bitwach. Nie mogło też to zdrowie na wieki zostać dobre, choćby i jakie było mocne! Więc z ran i niewczasów popadł Czarniecki w wielką niemoc, a właśnie podówczas, gdy go król kazał obwołać hetmanem! Lecz na cóż mu się już zdało ono hetmaństwo, kiedy on już i w powozie jechać nie mogąc, musiał le-

gnąć po drodze, we wsi *Sokolówce*, na Wołyniu, we wieśniaczej chacie. Tu dopiero uczuł, że śmierć bardzo blisko; zrobił więc rozporządzenie ze wszystkim, a w końcu rzecze do sług słabym głosem:

— Przeprowadźcie mi mojego Siwosza, niechże i on mnie pożegna!

A słudzy płacząc, przyprowadzili mu siwego konia, na którym hetman wiele bitew wygrał. Siwosz rżał żałośnie i chrapami sięgał do swego pana, a Czarniecki słabą ręką pogłaskał go jeszcze, a potem westchnął głęboko i Bogu oddał walecznego ducha!

Módlmy się dzieci za tego wielkiego wojownika Polskiego, bo on wiele nieszczęść odwrócił od tej naszej biednej ziemi, a wraz z księdzem przeorem Kordeckim, prawie że od wiecznej zguby i niewoli ją wyratowali. Bo cóż mógł w takich ciężkich chwilach poradzić król, człowiek słabego ducha, co i we własnych domowych sprawach nie umiał sobie dać rady? Po różnych więc swarach i kłopotach ujrzał to w końcu i sam Jan Kazimierz, że nie jednemu podołać by potrafił, ale co na króla, zwłaszcza w ciężkich chwilach, to całe nie stworzony. Uderzył się też w piersi, a pomyślawszy siebie: — lepiej mi nie królować, jak być kiepskim królem, — złożył z głowy koronę i rzekł:

— Znadto ja stary, słaby i strapiony jestem, abym mógł wami rządzić po Bożej i po waszej woli! Oddaję wam koronę, wybierzcie sobie kogo innego na króla!

A gdy się nasi onej woli królewskiej nie wiele sprzeciwiali: tak ci zebrał się wnet Jan Kazimierz i wyjechał do *Francji*. Żył on tam cztery lata cichutko i spokojnie, więc śmierć jego wypadła pod rok 1672.

Jest temu dziś blisko dwieście lat, więc jak ludzie tak i pan Bóg musiał nam już dawno jego grzechy ze złych rządów pochodzące zapomnieć. Zostanie nam ten król atoli zawsze smutnem przypomnieniem, bo od niego zaczęły się różnorakie nieszczęścia, które naszą ziemię gnębiąc i niszcząc, w końcu ją pod wrogów panowanie oddały.

Szturm do Stawiszcz.

Chrobrzy Czarniecki narodzi ła lice,
Zgrzyta na popłoch żołnierstwa;
A grzmią móżdziejrze, grają haubice,
Huczą Stawiszczan bluźnierstwa.
Daremnie! wszystko pierzcha w zawody,
Przy wodzu tylko garść wiernych:
Murza Tatarzyn, Sobieski młody,
I kilka znaków pancernych.
Żelazną ręką trze hetman czoło,
Przegryza język i wargi,
Oczyrna wzgardy błyska w około,
Jaka obelgi i skargi.
— Przeklęty — wrzasnął — przeklęty boju!
Zburzę opryszków jaskinię;
Póty nie dotknę jada, napoju,
Aż com zamierzył, uczynię.
Odkąd paniętom, wyległym z puchów.
Starzec na hańbę hetmanię!
Zagrzeć do walki krwi niewieściuchów,
Nie jestem więcej już w stanie.
Jaż, com pomimo wrogów zagony,
Z upadku dźwignął ojczyznę,
Dziś w tym motłochu sam opuszczony,
Świątą pokalam siwiznę? —
Stała czerń jakby morem owiana,
Każdy bezmowny, struchlały;
Tylko jednego oczy młodziana,
Ogniem błyskawic gorzały.
Skoczył, wy dobył z piersi głos gromu:
— Dość! O niech głową nałożę;
Niechaj nie ujrzę rodziny, domu,
Tak mi dopomóż mój Boże!
Nie takie nasi brali fortece,
Jak ta mieścina ladaco;
Za mną, kto Polak! leć, gdzie polecę!
Wrogi obelgę optacą! —
Schwycił chorągiew, na wiatr rozwinął,
Spiał ostrogami rumaka;
Ręką ku dziarskim husarzom skinął,

I lotem puścił się ptaka.
Błysły od ziemi sromne zrenice,
Sypną się tłumy rycerstwa;
A grmią mozdzierze, grają haubice,
Huczą Stawiszczan bluźnierstwa.
W dali znak polski miga jak wstęga;
Koń zbiega wały, przekopy,
Już przedmieściowych wałów dosięga,
Za nim husarze tuż w tropy.
I bramy miejskiej pierwszy doskoczy:
Nadbiega Daszko w pogoni,
Wnet zgrozą obu zaiskrzą oczy,
I szabla w szablę zadzwoni.
I gwiżdżą cięciem częstem i gęstem,
Razy po razach, a krwawsze,
Aż jękla zbroja z przeciągłym chrzęstem,
I Daszko w prochu na zawsze!
Opada zewsząd zgraja wrzaskliwa,
I młodzian ręce już traci...
Lecz jeszcze usty chorągiew zrywa;
A tuż, tuż pomoc współbraci!
Zemsta, o zemsta! bój grzmi rozgłośnie,
Hetman i wodze tam biegną:
Młody bohater kona radośnie,
W uczuciu czynu pięknego.
Wlepił weń hetman oczy zwilżone:
— O droga, święta — rzekł — ziemio!
Gdzie słowa wodza na wiatr puszczone,
Takową cnotę wyplenia! —
Z dymem rokoszan poszła jaskinia.
— Któż był ten młodzian? Któż powie!
Zacny wojownik z nad wód Horynia,
Krzysztof Zgłobicki — ziomkowie.

Cztery pogrzeby.

Czytaliście niedawno moi ludzie, jak to Pan Bóg ukarał strasznie dwóch sąsiadów co żyli w niezgodzie i obrażali świętą Boską przytomność, wieczną kłótnią i przekleństwem. I ja też wam opowiem coś bardzo smutnego, co się wydarzyło i to bar-

dzo niedawno, bo w przeszłym miesiącu i to u najbliższych moich sąsiadów, bo tylko za wrota, przez drogę, i chata ich patrzy się na moją, i tak mnie to zdarzenie tknęło do żywego, że muszę wam zapisać je w Dzwonku na przestrożę i pamiątkę, a szczególnie matkom i gospodyniom.

Przed siedmiu laty umarła w naszej wiosce wdowa już stara, Jewa Martyniczka, zostawiając grunt dosyć piękny i gospodarstwo nieostatnie synowi Iwanowi i córce Ołenie. Chociaż to teraz podług prawa najstarsze z rodzeństwa spłaca młodsze, ale wdowa Martyniczka miała tylko tych dwoje dzieci, które zarówno kochała i przy sobie mieć chciała, więc ożeniwszy syna osadziła go na połowie gruntu i w drugiej połowie chaty z osobną komorą, a do córki także przyjęła zięcia, oddała połowę gruntu i w jednej chacie z nią siedziała, jak zwyczajnie przy córce, co zawsze szersza jak synowa, i już serce ma inne dla rodzonej matki. Przy niej też głowę położyła, nie ciesząc się długo dziećmi swojemi, bo Ołena dopiero była wydana, a Iwanowi dopiero Pan Bóg dał jedno dzieciątko, córeczkę Kasiunię, kiedy Jewa zasnęła w Bogu.

Nie z wielką ochotą widział Iwan szwagra przystającego do gruntu, a źli ludzie których wszędy jest dosyć, ni siak ni tak mu podgadywali, ale że Hryć pożyczył mu był kilka razy dosyć pieniędzy, jeszcze kiedy parobkiem zalecał się do Ołeny, bo był zamożnych rodziców, którzy dla tego tylko go odstano- wili, bo mieli siła dzieci, i dopomógł mu wiele, bo Iwan w ciężkie lata miał gorące potrzeby, a oddać nie było zkad i obiecywał mu wtedy, że mu udzieli połowę gruntu za siostrą: więc musiał już jakoś przystać, i dwa razy krzyżyk położył przy ugodach piśmiennych.

I Hryć i Iwan spokojne byli chłopiska, trochę prawda pochmurne, ale nie kłócili się i siedzieli cicho. Hryć był pracowitszy około roli i gospodarstwa, to też mu się wiodło jako tako, jak na połowie średniego gruntu można było, miał i parę byczków, i krowinę, i cielę upięte w sadzie, który już był wspólny, i wystawił sobie szopkę, bo stodoła należała do Iwana, i wszyscy widzieli, że ma się lepiej od Iwana. Iwan był leniwy i nieporadny, i chociaż miał niby więcej, bo i budynki, i dwie

krowy i woły, nie szło mu, nie wiedło się, zastawiał łąki i pole zagonami, bo trzeba było pieniędzy, albo pożyczał i nie bardzo mu się odrabiać chciało, bo mu się potem zdawało, że za darmo. Sprzedał chudobę, robił w polu byczkiem i krową, na podatki nie mogło wystarczyć, więc znowu pożyczał i biedował. Nie było tam bogactwa i u Hrycia, bo teraz ciężkie czasy a przeróżne podatki oddychać nie dają gospodarzowi, a pracować trzeba było dniem i nocą aby swoje porządnie obrobić i odrobić nie jeden grosz, który trzeba było koniecznie pożyczyć na folwarku lub u Jegomości, ale przecie szło mu jakoś składniej i łatwiej.

Powiadają ludzie, że dwie gospodynie w chacie nigdy się zgodzić nie mogą, chociaż to bardzo nie mądre powiedzenie, bo jeżeli kobieta jest ucziwa, bogobojna, dla czegóżby się nie miała zgodzić z drugą, ale że tak się musi dziać najczęściej, więc tak sobie ludzie gadkę wzięli. Złe to i wstyd gospodyniom, że są najwięcej tak niegodne i złośliwe, i tak o sobie gadać każą. Nie miło Panu Bogu patrzeć z góry na kobietę złą i kłótniwą, bo szczególnie kobietom Pan Bóg przykazuje być łagodnymi i dobrymi, jak to im dał najświętszy i najśliczniejszy przykład w swojej Najświętszej Mateńce.

A owóz nie po Bożemu było z Ołeną i Hanną żoną Iwana. Obie gospodynie, obie chciały być starsze. Swary i kłótnie wszczynwały się z lada jakiej przyczyny, czy jedna poszła narwać jagód w sadzie, już druga biegła, podpatrywała, wypominała; czy kura rozdrapała grzędę drugiej, już tamta wyzywała i przeklinała; czy zarzuciło się co, bodaj szmata lub czerepek, już pesądzenia na drugą, aż strach i wyzywania. Ołena zamykała chatę na kłódkę jak szła w pole aby jej bratowa tam nie łąziła; bratowa znowu podpierała się w komorze aby Ołena nie widziała co ona tam ma i co robi. Godziły się czasem od niechcienia, a najczęściej brały na kiel i nie gadały do siebie po całych miesiącach, nie znały się i obchodziły w koło. Mężowie radzi nie radzi stali za żonami i także nie gadali do siebie, a trafiło się kilka razy, pewnie po pijanemu, bo osobliwie Iwan lubił zaglądnąć do kieliszka, pobili się i pokrwawili jak wrogi ciężkie. A co wtenczas było krzyku i obrazy Boskiej! Baby

aż ohustki pogubiły i czepee tak ich rozrywały, a same się dały i przeklinały. Z ich to przyczyny poszło, a one płakały i zawodziły w niebo głosy, a ludzie się zbiegiwali i gawronili. Mój Boże, mój Boże! czy to tak miło się patrzeć jak dwóch ludzi, dwóch bliźnich chrześcijan szarpia się wściekle niby dzikie zwierzęta. Tam w górze Anieli pewnie oczy zasłaniają i płaczą nad tem zasłepieniem ludzkim, a głupia gawiedź przypatruje się uciesznie.

Otóż trwało tak ciągle, aż ci przysłała grzeszna myśl Hannie, a to żeby Olenę z mężem odsadzić i wygnać z gruntu. Oboje z mężem naradzali się nad tem. Olena zaś gdzie się tylko zesła z kim, nie miała mowy tylko o swojej bratowej, którą obmawiała i wysmiewała przed wszystkimi, oblubiać się że ona to gospodyni, ona to rozumna, ona zna się na wszystkim, a tamta nie. Trzeba przyznać jednak, że obydwie były bardzo dobrymi matkami, kochały swoje dzieci, doglądały i cieszyły się nimi serdecznie; ale cóż kiedy ta miłość macierzyńska nie prowadzona Bożem przykazaniem była im pobudką do większego grzechu, bo jedna zazdroszcząc drugiej rada była swoim dzieciom własnym Bóg wie co przysporzyć, nie bacząc, czy to będzie z krzywdą czyją czy nie. Słusznie to jest, że ojciec i matka, którzy najlepiej kochają dzieci swoje pragną dla nich szczęścia, ale niech rodzice pamiętają, że największe im szczęście zgotują jeżeli je wychowają w enocie i ucieiwości, aniżeli żeby mieli dostatki i bogactwa całego świata. Rozsądny ojciec i enotliwa matka wolałaby widzieć dzieci pocziwe przy ubóstwie, jak w dostatkach i bogactwie a bez Boga w sercu.

Pięknie rosły dziateczki obudwom gospodarzom, kwitły jak kwiateczki, szczebiotały jak ptaszki, a oczkami jak niebo śmiały się we śnie do Aniołków. Nie znając nienawiści rodziców, bawiły się wszystkie wspólnie na podwórku chaty. Nieraz matki patrząc na ich niewinne zabawki, a takim okiem jak tylko matki patrzeć umieją na swoje dzieci, albo siedząc na przyzbie każda z swojej strony w dnie świąteczne, i widząc jak jedne z drugimi dokazują, musiały się uśmiechać i mimowolnie zapominały o swojej nienawiści, i nieraz wtedy to jedna to druga przemówiła co przyjaznego, niby to z okazji dzieci, i chociaż do któ-

rej przybiegło nie swoje dziecko, to nie mogła do niego nie zagadać mile, albo nie pogłaskać.

U Iwana najstarsza dziewczynka Kasiunia, szczebiotka wielka i dziwnie mądra dziewczynka o jasnych włoskach i jasnych oczkach, opiekowała się już niby młodszymi, umiała zawsze coś powiedzieć, z czego się trzeba było uśmieć serdecznie, posłużka była matczyzna we wszystkim, i lubionem od każdego dzieckiem. Ona już kwiateczki na głowę, ona kraśne zaścieżki, ona po zagumienkach śpiewy, ona rozmowy ucieszne: słowem, pełno jej było w domu, a nawet już wyręczenie. Drewek przyniosła, braciszka zabawiła, groch złuszczyła i chatę zamiotła, i modlitewki już umiała pięknie przed świętymi obrazami odmawiać, a do cerkwi w niedzielę czysto przybrana, z ochotą wielką biegła z matką lub ojcem, i pięknie całą Mszę świętą przesłuchiwała wpatrując się w święte aniołki, jak w białe braciszki swoje. Druga jej siostrzyczka, mała Ksenia, tłusciocha wielka, toczyła się za zwinną Kasią, i zaczynała dopiero mówić wyraźnie, a Fedjowi przy piersi dobiegał rączek dopiero. U Ołeny zaś rósł najstarszy chłopczyzna Tymko, żwawy i zuchowaty, jak to na chłopaka patrzy, zdrów jak ryba i wesół jak wrzecionko, a gdy nasunął czapczynę na ucho i obuł bucięta, co mu były wielką pociechą, to niewiedział, jak ma chodzić z strasznej psychy. I dziewczynka, także Kasiunia, co jej na trzeci rączek poszło, miłutkie i ciche dziewczątko, nieśmiałe bardzo i wstydlive. Gdy się kto obcy na nią poglądnał, to nie wiedziała, gdzie się schować u matki i gdzie wleźć, ale u swoich za to uśmiechnięte zawsze słodko, a malutkie było jak kociątko.

Niewinne te stworzenia powinny były przejednać nienawistne serca swoich rodziców; patrząc na nie, łatwo im było odbiedz grzechu, aby ich kiedy za to Bóg nie pokarał, ale oni zacięci w grzechu, zrobili się właśnie jeszcze cheiwszemi i radzi byli pochłonąć wszystko dla swoich dzieci. Iwan nosił się pochmurny ze złą myślą, od paru lat chodził do miasta, radził się adwokatów i pisał a spisywał coś. Wieczorami, gdy się dzieci pospały, układał z żoną, jak wygonią siostrę z mężem, a grunt będzie na jego dzieci cały, a żona go podmawiała gorąco, i wrzało w nich tylko pokryjomu. Nareszcie zwartwszy

się raz nadzwyczajnie ostro z Hryciem, zaczął głośno wykrzykiwać, że już niedługo jego panowania, bo on tu nie śmie siedzieć na jego ohejściu, i że go wyrzuci bo ma prawo, i podał już do Beeyrku. Byłoto na wiosnę. Hanna bojąc się, aby mąż nieostygł, nieustannie go podjudzała i dokładała drew do ognia. Nienawiść powstawała wielka w chacie, dzień nie przeszedł bez obrazy Boskiej; jedna gospodyni nie puszczała swoich dzieci do drugiej chaty, a gdy na podwórzu które drugiemu cokolwiek zrobiło, zwyczajnie jak dzieci, co rozumu nie mają: matki biegły, przeklinały, i każda swoje zabierała z lamentem. Mój Boże, gdyby stara Martyniczka mogła to wszystko widzieć, i słyszeć, co się działo, toby się nieboraczka jeszcze w grobie wrzuciła.

I zebrał się Iwan do roboty, bo mu żona nie dała pokoju; podawał i pisał: i dostał wreszcie z sądu rozporządzenie, aby siostrę spłacił, a ona się ustąpić musi. Jak to dostał Iwan, dęli strasznie oboje, a jednak przemyślivali nad tą spłatą, bo to niełatwo było na te czasy ciężkie, i jak zaczęli radzić jedno z drugim, tak wymądrowali, że Ołena już połowę spłaty wybrała w chudobie, którą dostała po matce i w kosztach weselnych, a co trzeba będzie jeszcze dopłacić, to sprzedadzą stodołę i wykurzą ją jaknajprędzej. Niedobrzy przyjaciele radzili też swoją drogą, żeby grunt odebrali, to się postawią na nogi a stodoła im się prędko wypłaci i drugą postawią, że teraz takie prawo, że on brat starszy, to grunt jego a siostrze spłata, i tak tam w ten sens. W rozporządzeniu sądowym stała suma dla Ołeny dosyć znaczna, nieraz się Iwan poskrobał w głowę, gdy mu ta suma stanęła przed oczy, ale pocieszał się, że da kawałek miejsca na chałupę i będzie tego świat, a zaciekł się tak srodze, że nie chciał słyszeć o żadnej zgodzie, albo ustąpieniu, tylko mu się ciągle śniło, że on pan na gruncie i on ma prawo.

Uczciwi ludzie w gromadzie i Jegomość, i z folwarku sąsiad odradzali mu:

— Ej Iwanie, pogodź się z siostrą, oni także mają dzieci, nie krzywdź niewinnych, bo to Pan Bóg karze. To nieuczciwie, niesumiennie; dwa razy podpisałeś się, to jakby krzywoprzysięstwo, to grzech!

Iwan się zaciekł i ofukał sąsiadów, a przed Jegomością wsadził oczy w ziemię, i już nie nie mówił, a swoje robił.

— Iwanie — mówili Jegomość, co ich tu nasza gromada bardzo szanuje i kocha, bo bardzo mądrzy i miłośni — Iwanie, masz dwie córki i syna, czy miło tobie będzie, jak te dzieci podrosną i będą się kłócić, nienawidzić, a syn powyganania siostry? Toć ty ich jednako kochasz wszystkie, ta one pod jednym sercem spożywały, pod jednym dachem się perodziły, i to wspólna ich ojcowizna. Nieprawdaż, żeby się serce bolało za pokrzywdzoną dzieciną? Upamiętaj się! Nie zazdrość siostrze rodzonej kawałka ojcowskiej ziemi, pogódź się. Pan Bóg cię pobłogosławi na twoich dzieciach, na twojej pracy, na twoim dobytku, a choć mniej będą miały twoje dzieci, ale niezyja krzywda nie będzie im ciężyc, a nienawisć waszą pan Bóg skarze, i nie będziesz używał tego, czego żałujesz drugiemu. Uszanuj wolę matki Iwanie, a dzieci cię szanować będą!

Słuchał Iwan, słuchał, i coś mu tam koło serca chodziło; zamyślony wrócił do domu, ale go baba zbiła z terminu i przerobiła na swoje. Zastawili korale, przedali stodołę i dalejże na Ołenę i na Hrycia:

— Won z gruntu!

Wyszedł Hryc z pługiem w pole, zegnał go Iwan; chciała Ołena kopać na pietruszkę, przyleciała Hanna i nie dała. Ołena zawodziła i płakała, albo przeklinała tak okropnie, że aż słuchać nie można było i lęk zbierał, żeby się nie stało co straszego. Hryc się zaciekł i milezał, a rachował wszystko, co mu był Iwan winien, i zrachowawszy, zaklął duszę i ciało, że Iwan pierwej sam grunt sprzeda i z torbami pójdzie, nim jego spłaciec potrafi, a potem poszedł do becyрку i wydał mu proces. Odradzali mu niektórzy, że prędzej na dziady wyjdzie, niżeli co zyska, ale on przysięgał się, że ostatni łach sprzeda a w proces pójdzie, i o zgodzie nawet nie chciał słyszeć! Ołena zaś przeklinała brata i jego dzieci, życzyła im, aby skapali, szczeżli, żeby im krzywda wyszła na śmierć, na potępienie, klęła się, że pozdychają z głodu pod płotem i skonać im nieda: i Bóg miłosierny wie, co to kobieta zaślepiona wyzywała. Prawda to, że miała krzywdę, ale moi ludzie kochani, czyż

nam Pan Bóg nie kazał znosić cierpliwie i oddawać dobrem za złe? Czyż miał kto większą krzywdę i niesprawiedliwość od ludzi, jak nasz święty Zbawiciel Pan Jezus, a czyż on złorzeczył swoim zabójcom? Czyż nie lepiej ofiarować Bogu i Jego prosić o odwrócenie krzywdy, jak mścić się i przeklinać? Wszakże Bóg jest wszystkich ojcem i nie da nikomu zginąć i o nikim nie zapomni; a kto tu na ziemi więcej cierpi, tam za to wspaniale wynagrodzony będzie. Oj ludzie, moi ludzie, żebyście chcieli pamiętać na naukę Chrystusową i wyrzucili nienawiść z waszego serca! bo nienawiść, to jest to ziarnko, które szatan rzucił w serca wasze, aby was odciągnął od Boga. Dzikie zwierzęta tylko kłapią się jedno drugie, ale chrześcijanie powinni się kochać.

Tak więc na srogiej nienawiści stanęło w obu chatach, a jak to pan Jezus na straszny przykład dla ludzi obrócił, to wam da Bóg, w następnym opowie numerku.

Prawdy gospodarskie

przez starych gospodarzy na zapytania i odpowiedzi ułożone.

*Żeby młodsi tak robili,
Jak to starszy uradzili.*

1. Co to jest gospodarstwo wiejskie? — Jest to obrządzenie się około roli i dobytku, żeby praca szła Bogu na chwałę, a człeku na pożytek.

2. Czy praca około roli jest zasługą przed Bogiem? — Jest zasługą, bo jest według przykazania Boskiego. W piśmie świętem mówi Bóg do człowieka: w pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba.

Z Bożej to woli,

Człek patrzy roli.

3. Co powinien czynić dobry gospodarz i dobry sługa? — Bogu cześć oddawać, ludziom poczeiwość, roli pracę od rana do zmroku.

Próżniactwa i Boskiej obrazy,

Unikać jak zarazy.

4. Czy dobry gospodarz tylko dla siebie samego pracuje? — Nikt na świecie dla samego tylko siebie nie pracuje, ale owszem z każdej pracy, czy w rzemiośle, czy w czem innem musi być przecie pożytek i dla drugich. Tak samo i gospodarz nietylko dla siebie pracuje, ale i dla wszystkich, którzy ziemi nie mają, a jeść potrzebują.

Kęska chleba
Wszystkim trzeba;
Więc kto z roli chleba sporzy,
Łaskę Boga sobie mnoży.

5. Kto jest złym gospodarzem? — Ten co kościół omija, karcznię ma za dom, dom za łóżko, łóżko za pracę, pracę za dopust Boży, a ręce zawsze w zanadrzu.

Co w święta, w niedziele, nie bywa w kościele;
Co przy pracy chucha, przy jedzeniu dmucha;
Ochotny do szkody, jak ryba do wody;
Komu karczma swat, każdy hultaj brat.

6. Kto jest złym sługą? —

Co w pracy niedbały, w mówieniu zuchwały;
Co kłamię i kręci, na cudze się nęci;
Przy robocie łązi, niby mucha w mazi;
Bydłatko nie boże, wygłodzi, zniemoże;
Co rok służbę zmienia, i jest bez sumienia.

7. Czy niedbały gospodarz i zły sługa Pana Boga obraża? — Bardzo obraża: bo pan Bóg przykazał żyć poezciwie i pracowicie.

Kto próżniak, niedbalec, niepoczciwie służy,
Ten duszę piekłu na mieszkanie dłuży.

8. Czy gospodarce zawsze tylko starego zwyczaju pilnować, czy się też czego nowego imać godzi? — Starego się trzymać, kiedy dobre, nowego się imać, kiedy lepsze. Ludzi na świecie przybywa, ale ziemi nie przybywa, więc trzeba do tego bardzo dochodzić i starania przykładać, żeby ziemia coraz lepiej rodziła i dobytku coraz więcej przybywało.

9. Kiedy oranie jest dobre? — Kiedy skiby na głębokość, na szerokość i na prostotę składają się jak pod miarę:

Wtedy orce rola rada,
Gdy się równe skiby składa.

10. Kiedy radlenie jest dobre? — Kiedy cała rola raz koło razu radłem się poruszy.

11. Kiedy bronowanie jest dobre? — Kiedy bryły rozbite, a rola spulchniona, czysta, bez chwastu, niby wypielona.

12. Czy w każdym razie można w roli robić? — W mokrzej roli nigdy nie robić ani pługiem, ani radłem, ani broną, dla tego starzy uczą:

Kiedy mokre role,
Nie chodź z pługiem w pole.

13. Czy trzeba rolę pogłębiać? —

Kto pogłębia rolę,
To powiększa pole.

Ale trzeba pogłębiać zwolna, najlepiej pod zimę, i tam gdzie gnój przypada.

Gdzie masz w polu złożyć gnój,
Puszczaj z głębia pług, i krój.

14. Czy gospodarz powinien dbać o gnój? — Najwięcej dbać powinien.

Bo gnój to wielki dobrodziej;
Bez niego rola nie rodzi.

15. Czem się gospodarz najczęściej bogaci? — Dobytkiem: bo gdzie wiele bydła, tam wiele gnoju, a gdzie wiele gnoju, tam i dobry plon. Powiadają też starzy:

Gdzie pełno w oborze,
Tam pełno w komorze.

16. Jak gospodarz powinien paść swój dobytek? — Iżby z niego miał i gnój dobry i robotę sporą i pożytek wszelaki, i przychowku dosyć. Więc nie samą słomę i plewy bydełku dawać, ale siano albo konieczybę i wykę, ziemniaki albo inne warzywo.

Gdzie karma w samych plewach,
Tam chudzizna w chlewach.

17. Co jeszcze gospodarz winien mieć na baczeniu w ob-
rządzaniu się swem koło dobytku? — Żeby koń, bydłę, owca
i trzoda miały pod sobą sucho, na sobie czysto, przed soba
w złobach i korytach porządnie i schludnie:

Dozór, czystość, suche stajnie,
Za pół karmy bydłu stanie.

(Przyjaciel ludu.)



21. Grudnia

1861.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocz-
nie 1 złr. w. a.

DZ W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bądź miłosierny!

Nie pamiętam już w jakiej to wsi, żył gospodarz Walenty Zięba, co miał i stodoły i obory i chudobę i ogrody i wszystkiego tyle, że było i za co Bogu podziękować i biednym ludziskom rozdać, i dla swego użytku dosyć pozostawić. I nieraz idąc sobie inni gospodarze drogą koło obejścia Walentego, patrzyli na te budynki i tak sobie mówili:

— Mój Boże! jest tu, bo jest pracy dużo, ale też nie żałuje ten człowiek nikomu. Czy biedny, czy bogaty, to się tu pożywi i odpocznie, więc znają ludzie na około poczeiwą zagrodę.

A prawda, że miał pan Bóg komu błogosławić w pracy i w dobytku! Sam Walenty nie puści nigdy ubogiego z próżnymi rękami, a i chłopaka swego jedyne go wprawia do cnotliwego życia, a przedewszystkiem do litości i miłosierdzia nad ludźmi.

— *Bądź miłosierny!* — mawiał Walenty synowi — a Bóg cię nigdy nie opuści, bo co ubogim dobrego uczynisz, to tak, jakżebyś samemu panu Jezusowi uczynił!

Więc chłopak jeno dostanie kawałtko chleba, a pode drzwiami dziaduś żebrak mruczy, to już się zaraz dzieli z dziadusiem a gada:

— Mówcie paciorek za szczęście moich rodziców, i prosicie pana Jezusa abym ja urosł i miał dostatkiem wszystkiego, to i ja tak samo będę pamiętał o biednych, jak mój tatuś.

I jakże nie ma pan Jezus przymnażać chleba w Walentego chacie, kiedy tam żadna okruszyna nie idzie w niwecz, kiedy tam wszystko a wszystko idzie na chwałę bożą! Nie tylko tam dziady jedzą co niedziela, ale tam obiada i każdy najemnik biedny, jeżeli robi u niego dwa lub trzy dni w tygodniu, i jeszcze dostaje kawałek chleba, jeżeli ma w domu żonę i dziecięta drobne. Jeno tam zajrzysz, to on ci zaraz wyciąga łyżkę z łyżnika, ociera łachem białym, pcha ci do ręki i przystawia ławkę i przysuwa miskę i prosi i prosi, aż musisz siadać i jeść, choćbyś był i syty. A jego babina siwiutka i drobnutka stoi z garnkiem za plecyma, i dolewa i wyskrobuje warzechą i dogaduje, ale nic głupiego, a broń Boże co brzydkiego lub złego. A przed jedzeniem klękają wszysey z Walentym koło stołu i mówią na głos pacierze z pokorą i statecznie, dziękując panu Jezusowi za Jego dary obfite. —

Było to zimą. Śnieg leżał bielutki po polach, jeno się iskrzyło, a mróz był taki, że skoroś tylko za próg wyszedł, to ci zaraz szła para z gęby niby dym z komina. Nadchodzi święto narodzenia dzieciątka Bożego, i nadchodzi wilja, gdzie gospodarz wśród życzeń i radości opłatek z czeladzią łamie, a potem do wieczerzy wspólnej zasiadają.

Walentowa warzy coś jadła na setną wieczerzę, a po całej też wsi ruszają się ludziska. Ten bieży po sól, ten po pieprz, a tamten po olej do miasta, a inny znów pożyczyc co do sąsiada. A gdzie najwięcej ludzi stoi? Gdzie najwięcej idą? A jużci do domu ucziwego Walentego! Tam i miodu łyżeczkę dostaniesz za Bóg zapłać, tam dostaniesz troszkę maku do kłusek na wilią, tam dostaniesz i mąki do zapaski i kilka suchych grzybków, a jeżeli cię na wilią nie stać, to Walenty zaprasza wszystkich ubogich kumów i komorników mówiąc:

— Do mnie, do mnie sąsiedzi dziś na wieczerzę, bo to wie-

czór boży! Dziś dla wszystkich ubogich radość z narodzenia Bożego!

I poczciwy odprowadza każdego aż za furtkę, a powtarza: — No! pamiętajcież na wieczerzę do mnie! Idźcie z Bogiem i przychodźcie z Bogiem, jak tylko pierwsza gwiazda zaświeci na niebie.

A gdy jeszcze czas był na wieczerzę, to Walenty bierze swego syna, i posyła przez niego to kilka opłatków do ubogiej wdowy, a innej białą bułkę chleba, a innym biednym komornikom bodaj garnecek kapusty, lub innej ciepłej strawy. A skoro już pierwsza gwiazda na niebie błysnęła, to u Walentego zasiada luda aż koło trzech stołów, i jedzą, i modląc a ciesząc się śpiewają kolendy. A mały synaczek biega do furtki i przyprowadza różnych dziadów na wieczerzę, i znowu odprowadza drugich do dom i niesie coś dla nich w ręce, a tak zaciągła się wieczerza aż późno w noc.

Już było blisko północy. Ludzie słuchali, rychło na mszę pastuszkową zadzwonią; a właśnie podówczas drogą zaśnieżoną wehodził do wsi dziaduś stary, sam jak ten śnieg na polach biały i siwiutki. Torba łatana wisi mu u boku, a bucięta znać podarowane bo coś z pańska szyte, a i przyodziewa na nim nieostania, a dziwnie czysta i jakby z śniegu utkana, takie to na nim białe. Idzie dziaduś idzie, a gdy przyszedł na prost furtki, małuśki synaczek Walentego poskoczył ku niemu, pocałował dziadka w rękę, bo tak go ojciec nauczył i mówi:

— A wy też dziadusiu nie wstąpicie do nas na chwilkę się zagrzać? A możecie głodni, toby wam matusia co podali zjeść, a u nas tam są ludzie i kolendują i czekają na mszę pastuszkową.

A dziaduś pogłaskał chłopca po główce i rzecze:

— Ja moje dziecko już po wieczerzy, ani mi też nie zimno, bo mię dobrzy ludzie nie źle okryli -- i począł iść dalej.

A synaczek Walentego zastąpił mu drogę i woła:

— Ja was dziadusiu nie puszcze, boby się tatuś gniewali na mnie! Chwilkę jeno poczekaicie, ja pójdę po tatusia.

I poleciał chłopczyną i wrócił wnet z ojcem, a ojciec w te słowa do dziadka:

— Nie mijajcie też dziadku mej chałupiny dzisiaj, boć to wilia święta, a kto by dziś dziadka nie przyjął do domu, to mówią, żeby pan Jezus płakał na to. Toć przecie powiadają starzy ludzie, że dziś to sam pan Jezus chodzi po wsiach i patrzy jak też to ludzie żyją między sobą, i czy też jeden drugiemu nie żałuje kawałka chleba.

I dalejże tak prosić dziadka, aż dziaduś wstąpił do niego. A gdy wchodził do chałupy, to zdjął czapczynę, pochwalił pana Jezusa, i takim słodkim wzrokiem spoglądnął w około, aż ludziom się zdawało, że to nie oczy jeno gwiazdki niebieskie, a na czoło i włos siwiutki, że to miesiąc promieniący. Walenty sadowi staruszka na ławę i stawia misy przed nim, i spożyć choć cośkolwiek zaklina. Ale dziaduś dziękuje od serca i prawi:

— Byłem już na wilji we dworze. Oj macie wy dobrych ludzi po dworach. Zostawiłem tam dzieciom różne pamiątki na błogosławieństwo za ich miłosierdzie nad biednym, bo i nade mną się ulitowały.—A potem wyciągnął dziaduś małą książeczkę z torby i rzecze:

— Ot, i dla was mam pamiątkę za wasze dobre serce.

Walenty wymawiał się, i prosił dziadka, żeby się nie szkodał, bo on nie dla nagrody ludzkiej, jeno dla chwały samego pana Jezusa miłosierne serce ludziom okazuje. A staruszek na to:

— No, więc choć waszemu dziecku ją pozostawię!—I zawołał chłopaka Walentego do siebie, i dał mu książeczkę, a potem położywszy ręce na jego główce, tak mówił:

— *Bądź miłosierny*, a Bóg cię nigdy nie opuści, bo co ubogiemu uczynisz, za to ci pan Jezus w niebie zapłaci. A jeśli pokornie i nabożnie będziesz się modlił z tej książeczki, to zobaczysz, że wszystko ci się będzie darzyć na tej ziemi!

I wstał dziaduś, i jął się żegnać z ludźmi, a oto zadzwonili właśnie na mszę pastuszkową. Więc Walenty prosi dziadka, żeby szedł razem z nimi do domu Bożego zakolędować dzieciątku Jezusowi; więc staruszek szedł z nimi i klęczał i kolędował. A gdy przyszło wychodzić z kościoła, to uważali niektórzy, jak na dziaduniu odzienie niby srebrne zajaśniało, i twarz mu się słodko promieniła. I dziwili się temu, i szukali go między sobą

wyszędłszy na pole, ale staruszka nigdzie już nie było, i nikt nie wiedział kędyby się podział.

Późniejszemi już czasy, skoro syn Walentego wyrósł na gospodarza, i po śmierci ojca grunt i gospodarstwo objął: to we wszystkim widać było pomoc i błogosławieństwo boże. A ile razy poszedł do kościoła, klęknął pod krzyżem pana Jezusa i mówił w pokorze modlitwy z onej książeczki i wziął się do roboty: to wszystko mu szło jak z płatka, i zawsze mu się udało szczęśliwie. Ale też był on ciągle życzliwym i miłosiernym jak i nieboszczyk jego ojciec, był on pobożnym i pracowitym, i nie raz później śnił mu się ów siwy dziadus, a koło dziadusia widział bielutkich aniołków, a duszę ojca i matki w obłokach jasnych, i te sierotki, które ojciec okrywał, nakarmił i trzymał w domu swoim. A teraz gdzie on się obraca? Oto cieszy się w niebie z ojcem i matką, i dowiedział się jak na jawie, że to sam pan Jezus był w domu ojca jego na ziemi w ubogiej sukni na wilią za to, że w tym domu znajdowali ludzie biedni zawsze miłosierdzie, a z miłosiernymi sam pan Jezus mieszka.

Kolęda.

Narodził się Jezus Chrystus, syn Boży,

Radują się niebo, ziemia i morze:

Chwała na wysokości, chwała na wysokości,
Śpiewają mu w chórze.

Radują się na niebiosach anieli,

Wyśpiewują Bogu chwałę weseli:

Chwała na wysokości, chwała na wysokości,
Śpiewają weseli!

Pastuszkowie dzieciąteczko witają,

Na kolana koło żłóbka padają:

Chwała na wysokości, chwała na wysokości,
Dzieciątku śpiewają.

Trzej królowie do dzieciątka zjechali,

Złoto, myrę i kadzidło mu dali:

Chwała na wysokości, chwała na wysokości,

Dzieciątku śpiewali.

I my także dzieciąteczko witajmy,

Z aniołami, pastuszkami śpiewajmy:

Chwała na wysokości, chwała na wysokości,

Dzieciątku śpiewajmy.

Wszyscy ludzie dobrej woli na ziemi

Niech pieniami wyśpiewują wdzięcznemi:

Chwała na wysokości, chwała na wysokości,

Synowi bożemu!

Ksiądz Wojciech z Medyki.

Cztery pogrzeby.

Posłuchajcież jak to dalej było.

Wraz z nienawiścią, stały się już przekleństwa codziennym chlebem w zagrodach Martynów, i nie usłyszałeś tam już ani jednego uczciwego słowa. Straszne złorzeczenia Ołeny obijały się o ściany ojczystej chaty, o niewinne uszy dzieci, odbijały się o dzień Boży i słońce świecące, o powietrze czyste, a mrowiem przechodziły Hannę i gdzieś dochodziły aż do grobu nieboszczki Martyniczki, która niedaleko tak cicho spała na ementarzu za cerkwią, a duszyczka jej musiała się rozplýwać we łzach za dziećmi przed majestatem Boskim.

Sprawa zaś poszła w proces i ugrzęzła w becyрку.

Tymczasem tyle wymogli ludzie, że jeszcze Hryć siał tej wiosny, a Iwanowi pieniądze za stodołę przez połowę rozlażyły się na przednowku; a dzieci ich bawiły się na podwórku, tylko do chat nie zaglądały, bo tak nauczone były od rodziców, a rosły sobie i kwitły jak kwiateczki. Nadeszło lato i zaczęło złocić kłosa w polu, lipy około probostwa zakwitły pachnące, przepióreczka w zbożu a derkacz na mokrej łące kłóciły się po ca-

łych nocach, bo powiadają ludzie, że raz pożyczyła przepiórka derkaczowi pszenicy, a ten nie chce oddać, i dla tego przepióreczka upomina się krzyżąc: pięć! pięć! a derkacz z mrukiem odpowiada: trzy, trzy. — Małe bociany podnosiły się na gnieździe i ciekawie naciągnawszy szyje przypatrywały się jak wygląda na świecie; a zazulka siedzi cicho i patrzy jak jej jaja wygrzewają inne ptaszki, bo ona się często niesie, to wygrzewać nie może jeno lata koło gniazd i tylko czasem odezwie się żałośnie, i wylęgłe ptaszko zabiera pod skrzydła. Ślicznie było na świecie; ludzie cieszyli się plonem, który niespodzianie tak pięknie urósł, bo na wiosnę wróżyło źle bardzo tego roku, a niezadługo chyliło żyto głowy na dół, i kłaniało się pracowitym rękom.

Pewnego dnia, a było już ku zachodowi, siedzę sobie na ganku i szyję; wtem przychodzi do mnie Ołena z Kasią swoją na rękach, zapłakana że aż mówić nie może, a tuli dziecię do siebie i nakrywa chustką.

— Co ci Ołeno? — pytam i odkryłam dziecię, domyślając się że słabe.

Mój Boże, chrypiało strasznie i całe aż zesiniało; zatrzęśłam się czegoś, bo to straszna słabość u dzieci, zowie się *angina* i trudno bardzo uratować, kiedy tylko o kilka godzin zapóźniona. Pocięszam więc matkę, ale sama nie spodziewając się nic dobrego, i jęłyśmy ratować to proszkami, to pijawkami, ale daremnie! Już nie pomagało, bo było zapóźnione, i woła Boża inna była. Dziecina robiła piersiami, a broniła się i chwyciła matkę, bo ją dławiło i dusiło strasznie. Serce pękało Olenie i gdyby mogła toby była temu dziecięciu swojego dała życia, swojego tehu; ginęła patrząc na te męki niewinnego robaczka, co nic jeszcze nie zawiniło i nie zgrzeszyło, a nie mogła się oderwać od tych mąk, bo ją przykuło do dziecka kamieniem. I nastąpiła noc straszna, długa jakby wieczna była, noc męki wielkiej. Śmierć się pasowała z życiem; Kasia konała i skonać nie mogła. Zrywała się i rzucała z jękiem okrutnym i na ręce matki opadała. Noc przeminęła i zaświtał świeży ranek. Słoneczko wstało jak zawsze, a u Ołeny w chacie Kasia konała i skonać nie mogła. Płacz matki dochodził uszu Hanny i serce w niej

mocno biło, a nie śmiała wejść do chaty. Ołenie straszne przekleństwa stanęły w myśli, jakby wracały na jej głowę, i ledwie nie rozpląnęła się we łzach z żalu wielkiego. Południe minęło i słońce się spuszczało ku zachodowi, położyli dziecię na ziemi na słomie, a Kasia konała i skonać nie mogła. Na niski nieszpor się miało, i zadzwoniono w cerkwi na jutrzejsze święto, a u Ołeny otworzono chatę na oścież, aby każdy szedł, to się szczęśliwa dusza trafi, bo Kasia skonać nie może. I pierwsza gwiazdeczka zesłała na niebie, Kasia się zerwała, chwyciła się matki wyprężyła i skonała.... Duszyczkę jasną jak gołąbka ponieśli Anieli do Chrystusa Pana i złożyli u nóg Jego, a on słodki i miłosierny przyjął ją łaskawie, i świeci tam gdzie duszyczka Kasi między niebieskimi służkami, i już ma Kasia inną matenkę przeświętą i zapomniała co cierpiała, modląc się tylko za rodziców. Jezus Chrystus powiedział o dzieciach niewinnych, że ich jest królestwo niebieskie. Pocieszajcie-że się matki, coście utraciły dzieci, bo one tam bezpieczne i szczęśliwe na wieki.

Ołenę oderwali ludzie od zimnego ciała Kasi. Babka stara ubrała i położyła dziecinę pod oknem, a kwiatów i ziółek pachnących naniósł wszystkie sąsiedzi tyle, że leżała jak w ogródeczku, biała jak lilijka. Hryć nie widząc przed sobą drogi, poszedł do cerkwi po krzyż i dwoje świec żółtych. Pobożni ludzie przychodzili odwiedzać zmarłą i odmawiali cichy paciorek; przyszła i Hanna ze swoją Kasią, i nie mogąc wstrzymać się od łez, zmówiła pacierz i dziwnie jej smutno było. Pierwszy raz uczuła jakiś wyrzut sumienia, że ona chciała te dzieci skrzywdzić i wypędzić, że i ona ma swoje które jej są tak miłe, a które może także utracić. Ołena spojrzawszy na Hannę zapłakaną przypomniała sobie jak przeklinała strasznie jej dzieci, życząc im wszystkich nieszczęść, a tymczasem swoje pochować musi, i sumienie w niej aż zakrzyczała głośno: zakryła twarz w białe chusty i serdecznym zawodziła płaczem.

Nazajutrz pochowano Kasię w grobek maleńki, w święconą ziemię, i usypano mogilkę żółtą. Ołenie głosu i tchu nie stało, bo u nas na Rusi ten żałobny zwyczaj, że kobiety za swojemi dziećmi płacząc, zawodzą żałośne nihy pieśni jakies, przy których się serce rozdziera:

— Zkądże cię wyglądać będę dziecinko droga, gołąbeczko biała, sokołeczko siwa, kwiatuszku śliczny! Gdzież idziesz ode mnie dziecino szczerza, dziecino rodzona; w jaką drogę daleką taka małeńka, taka biedneńka, taka słabeńka! Tam cię wiatr nie zawieje, słońeczko nie zagrzeje, deszczyk nie obmyje Kasiuniu moja! Ucieszko moja!—Tak zawodziła Ołena, aż płakały z nią wszystkie matki, wszystkie drzewa i wszystkie gwiazdki.

Ucichło w chacie Ołeninej; Tymko nawet nie śmiał swawolić, a Kasia Iwanowa siedziała na progu chaty, przytuliła się do ściany i dumiała. Matka wyszła z Feduniem na rękach i pytała jej się o czem tak duma, a ona podniosłszy oczka na matkę rzekła:

— Mamuniu, to nie żal umierać, kiedy tak ślicznie ubierą w kwiaty i wstążeczki! I jabym umarła, żeby mnie tak ubrali.— Nie Hanna nie odpowiedziała, ale ją coś zabolalo strasznie.

Tej samej nocy, po pogrzebie Kasi, leżała Ołena w boleściach, i pan Bóg obdarzył ją synem. I uśmiechnęła się do swojego dzieciątka, i zaraz zalała się łzami, bo ją coś tknęło smutnego. Dziecię zdawało się dosyć zdrowe; nazajutrz ochrzczył je w cerkwi ksiądz proboszcz i dał mu na imię Michał, a kumowie przynieśli go matce, winszując jej zdrowia a jemu wzrostu. Hryć raczył i przyjmował gości i zabawiali się w noc do późna kumowie podechmieleni. Za prześcieradłem Ołena smutna tuliła dziecię płaczące niezmiernie, i uspokajała je piersią, ale dziecko ssać nie chciało, naciągało się jakoś dziwnie, pianka mu usta okryła, zaczęło sinieć i oczka zawróciło. Z przestraczem zawołała Ołena babkę, nacierały, ratowały, dziecko dostało ścisiki jak tu nasi nazywają, męczyło się okrutnie dzień cały, zimne leżało a skonać nie mogło. Dopiero na drugą noc oddało ducha i poszło do niebieskiej ojezyny, tam w górę, poznać się z siostrzyczką.

I znowu cicho było i smutno u Ołeny w chacie. Lato przeszło i zbiory pozwolił Bóg zebrać szczęśliwie; już nie kłócili się i nie wywoływali u Martynów; wprawdzie nie chodzili do siebie, ale już czasem przemówiło to jedno to drugie jakie słowo po ludzku. Dzieci bawiły się razem i lato uciekało. W polu zrobiło się pusto i blado, ucichły wesołe ptaszki polne, tylko do sadów cisnęły się lasowe sikory i szczygiełki. Nareszcie znikł

już i owoc z drzew, a liście zaczęły się przerabiać na złote, po wsi słyhać było cepy w stodołach i szeżekanie terlic, przy których gospodynie tarły konopie, minął już dawno praznik w naszej wsi na cud świętego Michała, nastało babskie lato. Coś przędło po świecie srebrne nici, ciepło było i pogodnie. Ludzie chodzili po odpustach, prazniki huczały po wsiach, a codziennie dzwon naszej cerkwi głosił msze za umarłych, parastasy i spominki. Dziady jak po żniwie obchodzili stronami, i wszędzie obdarzeni hojnie ładowali torby. Ludzie pozbierawszy pracę nie żałowali i na ofiarę Bogu i na datek biednemu. Sroka gadatliwa a wielka bywalska siadając po opłotkach rozpowiadała niby plotki jakie, albo gości wróżyła. Zbliżała się święta Pokrowa.

Kasia Iwanowa siedziała znowu na progu chaty w południe. Miała główkę obwiązaną i wspartą na obu rączkach; na mizernej twarzyczce widać było cierpienie, i nie było już na niej tego śmiechu szczerego co dawniej. Tłusta Kseńka bawiła się z Tymkiem, włącząc i wyłącząc z jamy przygotowanej na kartofle, a Fedunio uczepiwszy się płotu stał i śmiał się do rozpuku z tej zabawy. Kasia tylko ani patrzyła na nich, czasem jęk, a czasem krzyk prawie wyrwał się jej z ust. Matka zajęta w izbie odzywała się często do niej:

— Cyt lubuniu, cyt dziecino, oj dolaż moja z tobą!

— Mamuniu! mamuniu, jakże mnie główka boli! co ja będę robić! ja nie wytrzymam! — kwiliła Kasia, a matka żeby mogła toby jej wzięła wszystek ból. Już to od dwóch tygodni tak cierpiała Kasia, dostała jakichś strupów na głowie, które się jątrzyły, raniły i bardzo bolały. Ani w nocy spania ani w dzień jedzenia nie było dla niej, a matce z nią; wynędzniała i żaliła się tak serdecznie prosząc to ojca to matki aby jej ulżyli, że serce pękało słuchać. Nie zdawała się ta słabość bardzo zastraszająca, bo to się często dzieciom głowa zlewa, i choć przecierpią, potem im to na zdrowie: dla tego też zdawało się że i u Kasi to szczęśliwie minie. Ale że się nie polepszało a dziecko bardzo cierpiało i płakało dniami i nocami, radzili na probostwie zawieźć do doktora, ale Hanna się bała i opierała temu, bo już to u was moi ludzie zły zwyczaj, że nie wierzycie doktorowi, który się długo uczył, a zdajecie się na baby co nie nie umieją i nie się nie uczyły;

aż kiedy już was wielki strach przycisnie, to wieziecie do doktora chorego skoro już dohedzi, a że wtedy nikt poradzić nie może, gadacie potem że doktor nie pomógł.

Otóż jednego dnia wieczór było Kasi gorzej, chociaż głowa niby się goiła; wołała że ją koło serca nudzi, i garnęła się to do ojca to do matki płacząc i prosząc ratunku. Cieszyli ją i tulili jak mogli, światło się świeciło w chacie, młodsze dzieci spały, a ich się spanie nie brało: ciężkość jakaś dziwna przyniotła im piersi.

— Tatuniu, mamuniu, boli, boli! — co chwila jęczała Kasia. — Ja umrę, ja umrę.

Mrowie przechodziło ojca i matkę.

— Nie umrzesz koteczku, nie umrzesz Kasienko, to przestanie, to już nie będzie, tylko cicho, cyt, nie płacz!

— Ja umrę — szeptała Kasia ciągle, i chwytiała się z krzykiem za serce, to za głowę. — Rodzice już postanowili wieźć ją rano do doktora, i byliby wtenczas wszystko oddali aby ją ratować. Ani oka nie zmrużyła Kasia, a nad nią rodzice, a matka bolała jej bolem, i każdy jej krzyk rozdzierał jej duszę na połowy. Północne kury już piałły, a ona nad Kasią pochylona nic nie słyszała, tylko jej jęki: gdy naraz obilo jej się o uszy jakieś charczenie i chrapanie, słucha, to Fedio w kołysce tak od-dycha aż pieje, piersi mu się podnoszą aż dołek się załamuje pod niemi, a czasem zakaszle głucho jak z pustej beczki. Zerwała się Hanna, porywa dziecko, poznała że mu tak jest jak Ołeninej dziewczynce nieboszczce, daje piersi, ale on nie chce, i z ciężkim głuchym płaczem wyrzuca się i wypina matce z rąk. Pół żywa, pół umarła, przybiegła znowu Hanna do mnie.

Jaki tam był ratunek w domu, taki się dało dziecku choremu, ale gdzie tam! Straszna noc zesła w chacie Iwana przy świetle łuczywa, przy jękach i krzyku Kasi i przy mękach Fedia, którego dusiło. Iwan stracił głowę i opuścił ręce, a Hanna topiła się we łzach, nie mogąc żadnemu dziecku dać rady. Nareszcie i płakać nie mogła, bladajak ściana, trzymała Fedia na rękach, a schylona nad Kasią, już ani mówić nie miała siły. Dzień cały męczyła się Kasia: długimi chwilami nie było w niej słychać ani widać oddechu, to znowu z przeraźliwym krzykiem wołała

ratunku. Fedia położył Iwan do kołyski i on tam cichutko leżał jakby nie chciał przeszkadzać rodzicom w wielkiej boleści. Poschodziły się kумы i lekarki, cieszyły i rozgadywały, ale żadna już nie nie radziła, bo widziały śmierć oczywistą. Niema i głucha siedziała Hanka nad Kasią, przykuta do jej każdego oddechu, i zdawało jej się, że z ostatnim oddechem Kasi i w niej się coś urwie.

Nad wieczorem krzyknęła Kasia okropnie, chwyciła się matki za szyję obiema rękami tak mocno, jakby się nie chciała oderwać nigdy od niej, zacięła usta i skonała. Matka na nią upadła i nie słysząc było nic w chacie tylko chrypienie Fedia w kołysce. Iwan przełęczniony wpadł do drugiej chaty, wołając ratunku. Weszła Ołena pierwszy raz od roku do chaty Iwanowej; patrzy i widzi Hannę leżącą w objęciach martwej Kasi; chlusiła wodą, myśląc, że Kasia jeszcze żyje, chciała rozewrzeć usta, ale były ścięte mocno, chciała uwolnić Hannę z ramion Kasi, niemożna było: stężyły rączęta na szyi matecznej, a twarz przy twarzy zdawało się, że spią obydwie. Iwan łamał ręce, kobiety w chacie posłupiały, Fedio chrypiał ciężko.

— Duch święty z wami Hanno! — odezwała się jedna z kobiet przysuwając się do matki i do dziecka — toż wstańcie i zmówcie lepiej pacierz za jej duszę; nie będziecie z nią umierać, macie dzieci! — Ocknęła się Hanna, pomału i ostrożnie zdjęła rączki Kasi z szyi, i złożyła na piersiach, wstała jak słup, blada i straszna, bez mowy, bez płaczu. Fedio dotychczas spokojny, zaczął także męki konania, i sądny dzień był, aż mówić już wam nie mogę i nie potrafię. Umarł Fedio przed północą.

Rano paliły się cztery świece pod oknem. Na ławie leżała Kasia jak słusznazna dziewczyna: wieniec z ruty i barwinku otaczał i nakrywał jej białą główkę, a świeciły w nim ostatnie żółte kwiaty jesienne. Wstążki jasne wisiały na ramionach, jak śnieg biała bielizna ją nakrywała, i co dziwnego, miły uśmiech był na ustach: snąc dusza jej radowała się w niebie i słodko śpiewała Bogu. Na skrzyni leżał Fedio i patrzył się otwartymi oczami, w nogach siedziała matka i zawodziła, a głos jej wychodził jak z pod ziemi:

— Kasiuniu moja! Moja malino hoża, moja dziecino miła, posłużko moja, robotniczko moja! Czemu do mnie nie przemówisz? Czemu na mnie nie spojrzysz? Czemu mamy nie zawołasz? Czemu nas porzucasz? Zkądże cię wyglądać będę! Kiedyż przyjdiesz do mnie, panno młoda moja!... Na cóż tobie tyle kraszy dziewiczej? na co ci tyle kwiateczków? Czy to wianeczek ślubny? Czy tak nam dziękujesz? Zorońko moja, gołąbko moja! — A moje dziecińcy drogie! gdzież idziecie odemnie! Mój Feduniu miłeńki! Mój kniazia maleńki! Mój sokole biłeńki! Któż cię tam kołysać będzie? Kto cię tam przyhołubi, dziecięcętko moje!

Pochowano dzieci w jednym grobie. Głos Hanny rozechodził się z ementarza daleko po równinie. A w niebie przybyło znowu dwoje aniołków, i cieszyli się tam z nowych przybyszów.

W kilka dni, w niedzielę, obie matki trzymając po jednym i jedynem dziecku na łonie, siedziały w sadzie, a liść złoty uścielił im siedzenie, i patrząc jedna na drugą, rozplakały się rzewnie.

— Żeby nam Bóg choć te dzieci uchował! — rzekła Hanna.

— Żyjmy w zgodzie — odrzekła Ołena — ja już wszystko ofiaruję Bogu i nigdy nie będę drugiemu źle życzyć, żeby mnie na mojem dziecku Pan Bóg nie skarał.

— I ja też nie nie chcę! Niech się te dzieci razem chowają i kochają, żeby się nigdy nie chciały skrzywdzić — dodała Hanna, i przysunęły się bliżej, a dziatki między nimi posiadały.

Jegomość przechodzili właśnie przez ich sadek, bo tamtędy ścieszka prowadzi, pozdrowili je, a zobaczywszy tę zgodę, westchnęli sami do siebie i rzekli:

— Moi ludzie, Pan Bóg was pokarał za waszą nienawiść, wasze przekleństwa i chęć krzywdy. Przyjmcież pokornie tę karę, a żyjcie w zgodzie i uczeiwości, pomagajcie jedni drugim, a Bóg wam pomoże! Wychowujcie pobożnie dziatki, ojczysty kawałek ziemi wystarczy dla nich, a czyste sumienie niech będzie dla nich największem bogactwem. Bóg z wami!

I ja to słyszałam, żyję z Martynami w sąsiedztwie, płaka-

łam za ich dziećmi szczeremi łzami i patrzyłam na tę karę Bożą z żalem. I ja też wam powiadam:

— Weźcie sobie do serca tę naukę, kochajcie bliźniego jak siebie samego, niepożądajcie bogactwa z krzywdą drugiego, i nie tylko brat z bratem, ale wszyscy żyjcie w zgodzie jak dzieci jednego Ojca w niebie, i jednej Matki, tej naszej Ziemi świętej.

B. E.

Rady gospodarskie, o chudobie.

Jak wieprze tuczyć należy.

Do tuczenia wybierz wieprze długie z rzadką siercią, które nie mają węgrów. Łatwo je poznać po małych pęcherzykach pod językiem, które są podobne do prosa.

Zwykle już na początku września trzeba je odłączyć, jeżeli mają być zabite na zapusty. Z początku dawaj im przez dwa tygodnie chwast z surowymi ziemniakami i osypką. Po dwóch tygodniach dawaj im ziemniaki gotowane, bo od nich lepiej tyją. Po św. Michale porzuć chwast, a pasz tuczniaka ziemniakami lub burakami z osypką, a raz poraz przysyp też i soli. Po Wszystkich Świętych dawaj zaś ziemniaki gotowane z jęczmienną osypką. — Jeżeli wieprze już są przebierne i zostawiają ziemniaki i buraki, natenczas buraków więcej im nie dawaj, a natomiast na drugie danie daj im z kwartę namoczonego grochu, również po południu dawać także groch. Z początku trzeba często pasć tuczniaki; ale strzeż się, abyś gorąco im jeść nie dawał, boby ci mogły zdechnąć. Koło św. Marcina to już tylko pięć razy dziennie je pasć możesz, bo to już wystarczy. Dwa lub trzy tygodnie przed zabiciem, to już i ziemniaków zaniechaj, bo i tak ci ich jeść nie będą, dawaj im przeto samą osypkę parzoną i groch moczony.

Na początku tuczenia wypuszczaj tuczniaki w ciepłe dni na krótki czas na podwórze, najdłużej na pół godziny, później daj temu pokój. Dobrze jest, gdy je możesz też skąpać, a jeżeli nie możesz, to zlej je w kuble wodą; lecz później i tego zaniechaj. Podczas wiatru ich nigdy nie wypuszczaj, boby mogły dostać ochwatu.

Na końcu nie można się dosyć nachwalić żuru, bo żurem doskonale się wieprze wypasają. Żur zwyczajny bierze się za-

miast ziarna, co rano i wieczór przymieszuje się po funcie do gotowanych ziemniaków i buraków, a wieprze chciwie to pożerając bardzo prędko się tuczą.

Jeżeliście przestrzegali i przestrzegać będziecie te wszystkie tu wam podane przepisy, to na każde zapusty aż się cieszę, jak wyborne będziecie mieli szynki, słoninę, kiszki i kiełbasy.

(Sz. N.)

Jak bywa ludziom koza przydatna.

Nie każdy może mieć krowę, bo nie jednego na nią nie stanie. Ale każdy prawie komornik lub rzemieślnik może mieć kozę, a ta mu wiele dopomoże do utrzymania rodziny, bo dobra koza i za mierną krowę obstoi, gdyż po okoceniu może dać dziennie ze trzy kwarty mleka; a przytem jej utrzymanie jest łatwe i tanie.

Przy kupowaniu kozy uważaj na to, aby była młoda i mleczna. Siła ma lat, to poznasz po zębach. W drugim roku wypadają dwa średnie zęby, a na ich miejsce rosną większe. W trzecim roku wypadają jej dwa następne zęby. W czwartym i piątym roku to samo się powtarza, tak że pięcioletnia koza ma wszystkie przednie zęby krające, równe i nowe. W szóstym i siódmym roku tępią się zęby, kruszą i wypadają. Koza do szóstego i siódmego roku zdalna do chowu, a kozły tylko do czwartego, dłużej nie trzymaj; a przez ten czas mógłś się łatwo innej kozy i kozła dochować. Mleczność kozy poznasz po pełnem wymieniu. W ogóle przy kupnie uważaj na głęboki brzuch, szeroki krzyż, długi tułów, krótkie nogi, gruby zad, i pełną okrągłą głowę. Przekonano się też, że kozy bez rogów są najlepsze.

Gdys już kozę kupił, wprowadź ją do czystej obórki, któraby i przeciw mrozom w zimie, i przeciw upałom w lecie była zabezpieczoną. Pamiętaj, że jej mokrość szkodzi.

Wyżywienie kozy jest bardzo łatwe i proste. Żywi się wszelkiem liściem, trawą i warzywami. Ale nie lubi ciągle jednostajnej paszy, bo jej się prędko sprzykrzy. Dla tego zimą daj jej rano siano, potem zupy; w południe siekanych ziemniaków, buraków lub brukwi; na wieczór zupy i siana, albo też grochowiń, wyczanki, łącin, liści suchych, co masz, a zawsze odmieniaj; wszelką paszę zdrową jej dawaj, ale nie stęchłą, ani zmarznąętą, bo to jej bardzo szkodzi. Latem dawaj jej trawę, koniczną; wyganiaj ją na ogród i na pole, osobliwie tam, gdzie powójka rośnie, bo tę pożera z chciwością. Od wiele liścia ka-

puścianego dostaje wzdęcia i zdycha; dla tego przeplataj je z innym, a nawet liści świeżych nigdy samych nie dawaj, tylko zawsze pomieszanych z suchemi.

Koza jest kotna 20 do 21 tygodni, ma jedno, dwa lub trzy koźleta; lecz trzech nie wyżywi, dla tego trzecią koźlą powinieneś albo mlekiem żywić, lub przysadzić do innej kozy. Na chów wybierz największe koźleta wiosenne a pozwól im ssać 4 do 6 tygodni. Przed odsadzeniem zacznij im dawać drobno posiekana marchew, sałatę, trawy i chwasty. Po odsadzeniu daj im mleka z ciepłą wodą i otrębami; zaś za drabeczkę włóż im drobnego siana; a tak powoli przyzwyczajają się i do grubszej paszy.

W końcu dodać wypada, że po okoceniu daj kozie do zupy trochę gotowanego grochu, a od tego jej wiele mleka przybędzie.

(Sz. N.)

Na zakończenie.

I znowu za pomocą Boską złożył się jeden Tom naszego **Dzwonku**. Serdecznie on wam dzwonił moi mili gazdowie, a czy trafiał zawsze do serc waszych, nato sobie sami odpowiedźcie. Serdecznie wam dzwonił, a czasem wesoło, bo pocziwemu nie trudno o wesołość; a często i smutno, bo siła smutku na tej bożej ziemi. Tak samo będzie dzwonił ten Dzwonek i nadal; i dałby pan Jezus, żeby potem już zawsze tylko wesele i radość mógł wydzwaniać, a nastąpi to wtedy, jeżeli ludzie w pocziwości, i w miłości ku bliźnim i w innych cnotach chrześcijańskich się podniosą, jeżeli poznają dokładnie co złe a co dobre, co szkodzi a co pomaga do zbawienia wiecznego.

Niech przepadają wszystkie nasze grzechy i przewinienia z końcem tego starego roku! Prośmy pana Boga, żeby nie pamiętał na to jakieśmy błądzili, a dał w tym roku co następuje większych uciech zażyć, i dni szczęśliwszych doczekać! Prośmy tego Stwórcę Wszemocnego o lepszą dolę dla nas i dla naszych dzieci, a sami łamiąc święcony opłatek, rzucajmy się wzajemnie w objęcia, przepuszczając sobie wszelkie winy i urazy, i złość wszelaką: a zagrzewając serca do dobrego.

I ja was też gazdowie pozdrawiam chętnem sercem, i życzę wam miłości Bożej, miłości ojczyzny i miłości bratniej; czystego sumienia, szczęścia na ziemi, i w Bogu nadziei; i życzę Wam żebyście w dobrem zdrowiu Nowego roku doczekali. W tym nowym roku, da pan Jezus, znowu się zobaczymy, a ja Bogu i Wam jak do dziś i dalej będę odrabiał psńskie, jako dzwonnik na cnot wstawanie dzwoniący, a wy mi ofiarujecie zato chętnie serce, chętnie oczy i chętnie ucho, i podzwonnego tyle jak do dzisiaj.

Spis rzeczy i okładzinkę różową na tom V. posyła się z dzisiejszym numerem.